Andrzej Konieczny

Tajna broń Reinharda Heydricha

Andrzej Konieczny

Tajna broń Reinharda Heydricha

Tajna broń Reinharda Heydricha

Andrzej Konieczny

Tajna broń Reinharda Heydricha

WYDAWNICTWO „ŚLĄSK"

Projekt okładki *Andrzej Kacperek*

© Copyright by Wydawnictwo „Śląsk" Katowice 1984

ISBN 83-216-0406-4

PROLOG

Wrzesień 1964, Hamburg

— Dlaczego pan tyle nakłamał, panie Naujocks? Kogo pan się boi? A może pan kogoś osłania? Ale dlaczego na litość boską teraz, po dwudziestu pięciu latach? — młody człowiek w sportowej marynarce w kratę aż się zachłysnął nie mogąc ukryć wzburzenia.

— Moi panowie, to, że zgodziłem się na tę rozmowę, co zaczynam uważać za zgubną lekkomyślność, nie upoważnia was w najmniejszym nawet stopniu do prawienia mi impertynencji — starszy pan w białym golfie przyjemnie kontrastującym z opaloną twarzą, w przeciwieństwie do swego rozmówcy zachował całkowity spokój i lekko kpiący uśmiech nie wydając się bynajmniej obrażony.

— Musi pan jednak przyznać, że okoliczności całej tej sprawy są co najmniej dwuznaczne, a pańskie zeznania złożone przed Międzynarodowym Trybunałem w Norymberdze zawierają, delikatnie mówiąc, wiele luk i nieścisłości — trzeci mężczyzna biorący udział w rozmowie starał się zachować pojednawczy ton. Był w średnim wieku, elegancko ubrany w jasnopopielaty garnitur z cienkiej wełny i błękitną, popelinową koszulę. — Mój młodszy kolega Joachim jest bardzo wrażliwy i żywo reaguje — wskazał ruchem głowy na nerwowego blondyna.

— Ma pan ładne imię — nieoczekiwanie oświadczył Naujocks. — Nosił je mój kuzyn, z którym byłem bardzo zaprzyjaźniony, niestety poległ na froncie wschodnim —

westchnął z odcieniem melancholii w głosie. — Wracając do nieszczęsnego epizodu w mym życiu, napadu na gliwicką radiostację, który mi przysporzył tylu trosk, nie mam nic do ukrycia, wszystko co miałem do powiedzenia wyciągnął ze mnie pan Runzheimer i opisał w swojej książce.

— Proszę mi wybaczyć jeśli będę odmiennego zdania — dość bezceremonialnie przerwał mu mężczyzna w popielatym garniturze — to raczej pan nafaszerował Runzheimera tym, co było panu wygodne, a on to przyjął za dobrą monetę.

— Tak pan sądzi? — Naujocks roześmiał się niegłośno — czy pan mnie jednak nie przecenia?

— Ja? Bynajmniej, czy sam fakt, że pan nas gości w tym przytulnym wnętrzu — gestem ręki ogarnął obszerny pokój, w którym się znajdowali, siedząc w miękkich fotelach rozstawionych wokół niskiego, podłużnego stolika — pędząc beztroski żywot zamożnego mieszczucha w najdroższej dzielnicy Hamburga, nie świadczy najlepiej o pańskich talentach?

— Powodzi mi się w interesach, to prawda, mogę panom pokazać księgi finansowe — gospodarz zrobił ruch jakby zamierzał podnieść się z fotela.

— Rozśmiesza nas pan — odpowiedział mu Joachim.

— No cóż panowie, odrobina humoru nigdy nie zawadzi, kawa jak sądzę również, moja gospodyni zaraz nam ją poda, a ja tymczasem proponuję coś mocniejszego — sięgnął po butelki ustawione rzędem na półeczce pod blatem stolika — koniak, a może whisky?

Do pokoju wsunęła się bezszelestnie kobieta w nieokreślonym wieku. Przyniosła na tacy filiżanki, kieliszki i dzbanek. Miała siwe, gładko uczesane włosy i zaskakująco młodzieńczy wyraz oczu, którymi bystro taksowała gości nalewając kawę do filiżanek. Gospodarz pobrzękiwał butelkami, które wyjął spod stolika.

— Koniak z całą pewnością dobrze mi zrobi wyrównując ciśnienie — rozparł się wygodnie w fotelu trzymając unie-

siony w górze kieliszek z koralową zawartością — i poprawiając bystrość umysłu, abym mógł zaspokoić waszą ciekawość, o ile mi tylko pamięć dopisze. To już tyle lat minęło!

— Ale wtedy, w Norymberdze, w listopadzie 1945 roku upłynęło ich zaledwie sześć i nie mógł pan zapomnieć tak istotnych szczegółów jak chociażby ilość uczestników napadu na radiostację w Gliwicach — natarł na niego Joachim. — Raz podawał pan sześciu, to znów siedmiu, a przecież wiadomo, że było was pięciu plus szósty wspólnik na terenie radiostacji.

— Czy to możliwe aby pan nie pamiętał żadnego nazwiska ani wtedy, ani potem? — Joachima uzupełnił jego towarzysz. — Czy nazwisko Walter Unsslep SS-Unterscharführer mówi coś panu?

— Nie — zawahał się podnosząc oczy ku górze, jakby w niebiosach szukał natchnienia — nie przypominam sobie.

— A szkoda, bo był jednym z waszej grupy. A Obersturmbannführera Germanna, jego też pan nie znał?

— Hansa Germanna, owszem, o ile wiem, wchodził w grę jako kandydat na szefa akcji gliwickiej, na moje nieszczęście ta mało zaszczytna funkcja mnie przypadła — gospodarz ożywił się pociągając łyk z ogromnego kieliszka, którego podstawę z trudem mieścił w rozcapierzonej dłoni.

— Jak więc pan widzi coś niecoś udało nam się dowiedzieć o tej sprawie — pochwalił się Joachim.

— Coś niecoś to znaczy nic — starszy pan wydął pogardliwie wargi nie przestając się uśmiechać, ale oczy zachował czujne. Wodził nimi po twarzach swych gości.

— Mamy nadzieję, że pan nam pomoże w poznaniu dodatkowych okoliczności — towarzysz Joachima zachował pojednawczy ton — weźmy chociażby pierwszy z brzegu fakt, te nieszczęsne „konserwy" czyli zwłoki jednego z rzekomych napastników, byłych powstańców śląskich, podrzucone panu pod radiostację w chwili zamachu.

— Przecież tak było — zdziwił się Naujocks.

— Owszem, ale na terenie radiostacji tuż po zamachu znaleziono jeszcze jedne zwłoki, wie pan czyje? — mężczyzna wyczekująco zawiesił głos, a ponieważ Naujocks milczał, mówił dalej — członka waszej grupy, rzekomo przez przeoczenie pozostawionego na miejscu i zastrzelonego również ponoć przypadkowo przez przechodzącego właśnie ulicą członka SD. Czy nie za dużo tych przypadków?

— Przecież ustalono personalia zamordowanego, to był realny człowiek, Polak zamieszkały na Opolszczyźnie, brał udział w powstaniach — bronił się słabo gospodarz.

— Wszystko się zgadza, nazywał się Franciszek Honiok, z tym tylko, że jego zwłoki potrzebne były dopiero nazajutrz, pierwszego września, gdy do Gliwic Ministerstwo Spraw Zagranicznych pana Ribbentropa i Ministerstwo Propagandy pana Goebbelsa zwiozły zagranicznych dziennikarzy, aby im przedstawić materialne dowody napadu Polaków na radiostację.

— Całkiem ładna bajeczka — pokiwał sceptycznie głową starszy pan — a jakie macie panowie dowody na poparcie swego twierdzenia?

— Unsslep, Walter Unsslep, tak się nazywał ów drugi nieboszczyk, członek pańskiego komanda, którego ani rusz nie może pan sobie przypomnieć...

— Albo nie chce — Joachimowi wpadł w słowa mężczyzna w jasnym garniturze — a Nawrotha też pan nie pamięta?

— Nawrotha? — powtórzył Naujocks, a zadziwienie na jego twarzy było tak szczere, że Joachim aż poczerwieniał ze złości i byłby z pewnością ostro zareagował, gdyby jego towarzysz nie zaczął pospiesznie mówić:

— To był przecież pański wspólnik na terenie radiostacji i jedyny esesman wśród jej personelu. Przeżył też wojnę jako jedyny z czwórki pełniącej dyżur w ów pamiętny wieczór 31 sierpnia 1939 roku. Interesujące, prawda? Z po-

zostałych trzech kierownik radiostacji Klose zginął w Jugosławii, podobno z rąk partyzantów, ale nikt tego w gruncie rzeczy nie potwierdził, maszynista Kotz zmarł na anemię, a dozorca anteny Foitzik jeszcze w 1940 roku, ponoć z powodu skrzepu, który był rezultatem potłuczeń, jakich doznał w czasie waszej akcji. Dziwny zbieg okoliczności, prawda?

— Śmiercią tych ludzi też mnie obciążacie? — zawołał gospodarz. Po raz pierwszy wydawał się zdenerwowany.

— Niekoniecznie, ale pańskich mocodawców, których pan tak skrzętnie usiłuje ukryć, no bo jak inaczej można sobie tłumaczyć treść zeznania złożonego w Norymberdze przed amerykańskim prokuratorem?

— Przecież Heydrich już dawno nie żyje, a od niego właśnie otrzymałem bezpośrednio to zadanie.

— Panie Naujocks, a może pan nam odpowie na inne pytanie: jak się pan wydostał z najbardziej surowego kryminału na świecie, jakim było więzienie w Norymberdze, podległe Międzynarodowemu Trybunałowi? Trzymano w nim osoby oskarżone w najcięższe zbrodnie wojenne przeciw ludzkości, Goeringa i spółkę. Kto panu pomógł?

— No cóż — w odpowiedzi starszy pan rozłożył tylko ręce bardzo wiele znaczącym gestem.

— Pozwól Wernerze, że i ja coś do tego dodam — oświadczył Joachim. — Jak to było możliwe, panie Naujocks, że wyminąwszy szczęśliwie wszystkie rafy zamieszkał pan w tej oto cichej przystani wszelkiej pomyślności, oczywiście pod przybranym nazwiskiem, ale każde dziecko w całej dzielnicy wiedziało, kim pan jest. A kiedy odszukali pana dziennikarze „Spiegla" przestał się pan w ogóle ukrywać.

— Gdzie pan się podziewał przed osiedleniem się w Hamburgu? — dodał drugi z gości, nazywany Wernerem.

— To istna lawina pytań, moi panowie, wykraczających poza temat, który was do mnie sprowadził — starszy pan wykonywał gesty jakby się opędzał od natrętnych much. — Co was w końcu interesuje: napad na radiostację czy moje życie?

— Wszystko — odpowiedzieli zgodnym chórem, po czym starszy się roześmiał kładąc dłoń na ramieniu swego towarzysza — sam pan teraz widzi jaką stanowimy zgodną parę, nas niełatwo byle czym zadowolić.

— Zacznijmy wobec tego od początku, kto jest autorem prowokacji gliwickiej, sporządziliśmy listę czterech panów, których nazwiska zaczynają się na H — uzupełnił Joachim.

— Trzech mogę się bez trudu doliczyć: Hitler, Himmler, Heydrich, ale czwartego... — starszy pan się zadumał.

— Henlein — podpowiedział mu Werner, który w międzyczasie dolał sobie whisky z odrobiną wody sodowej.

— To interesujące, co pan mówi, i prawdopodobne — zgodził się Naujocks. — Prowokacje, jakich wiele zorganizowano na polskim pograniczu latem 1939 roku, poprzedziły podobne, choć może na mniejszą skalę, w Sudetach, przed ich powrotem do Rzeszy.

— No proszę, widzę, że zaczyna panu wracać pamięć — Werner pociągnął duży haust ze szklanki — a w kwestii samej akcji, czy mieściła się w ramach operacji „Tannenberg" czy przedsięwzięcia „Himmler"?

— W żadnym z nich — gospodarz wyraźnie się ożywił. — Pożałowania godna napaść na radiostację, którą kierowałem wykonując rozkazy przełożonych, była akcją samodzielną i całkowicie wyłączoną spoza wszelkiej kontroli, oprócz Reinharda Heydricha, a ja spełniałem tylko jego wolę. W trakcie przygotowań, gdy zaistniały pewne komplikacje z przesunięciem jej terminu, podobnie jak i wybuchu wojny, Heydrich dopuścił do sekretu jeszcze jednego człowieka. Był nim szef gestapo.

— Gestapo-Müller, to by się zgadzało — potwierdził

Werner, który znów uzupełnił sobie szklankę porcją whisky z odrobiną wody.

— Zaczynamy się rozumieć — ucieszył się starszy pan.

— Gdyby pan zechciał być równie szczery w innych kwestiach...

— Na przykład jakich?

— Nazwiska, stopnie służbowe, dalsze losy pańskich współpracowników w trakcie realizacji akcji „Gliwice".

— Panowie wybaczcie mojej starości i zawodnej pamięci.

— Czy mówi panu coś nazwisko Birkel, wówczas Hauptsturmführer? — zapytał go Werner.

— Tak, przypominam sobie, był taki w Głównym Urzędzie Bezpieczeństwa Rzeszy, bodajże w kwatermistrzostwie.

— W więziennym lazarecie w Norymberdze leżał łóżko w łóżko z generałem Lahousenem, znanym panu zapewne wysokim oficerem Abwehry, zamieszanym również w antypolskie prowokacje latem trzydziestego dziewiątego roku. Ci dwaj panowie znaleźli rychło wspólny język i Birkel zwierzył się swemu rozmówcy, że zajmował się członkami pańskiego „komanda". Bardzo skutecznie się zajmował. Nikt z nich nie został przy życiu. Co pan na to?

— Gdybyście panowie wiedzieli, kto był w gabinecie Heydricha, gdy czekałem pewnego dnia w jego przedpokoju, niedługo przed wybuchem wojny... — Naujocks zmienił temat ku zaskoczeniu swoich gości. Obserwowali go przez chwilę w milczeniu.

— Ale pan nam tego nie powie, jak sądzę — pierwszy odezwał się Werner.

— Nie — zapewnił skwapliwie zapytany — dopiero po mojej śmierci się dowiecie.

— Zabawię się w zgadywankę — dodał Joachim — nie był to z pewnością Himmler, o Hitlerze nawet nie wspominam, nie odwiedzał nigdy swoich podwładnych służbo-

wo, prywatnie również niezmiernie rzadko. Któż inny z dygnitarzy III Rzeszy wchodzi więc w grę?

— A może cudzoziemiec? — podpowiedział mu Werner — przedstawiciel jednego z wielkich mocarstw? Nie byłbym wcale zaskoczony, gdyby się okazało, że miał pan podwójne oblicze. Wówczas można by zrozumieć pańskie dziwne zachowanie i wykrętne zeznania w Norymberdze, które niczego nie wyjaśniały gmatwając jedynie sprawę. Jak wytłumaczyć późniejsze wydarzenia w pańskiej biografii, chociażby udział w sfingowanym zamachu na Hitlera w listopadzie 1939 roku w monachijskiej piwiarni, albo porwanie oficerów brytyjskiego wywiadu w tym samym czasie z terenu neutralnej Holandii? Występował pan wówczas pod kryptonimem pułkownika Martina w imieniu nieistniejącej organizacji antyhitlerowskiej.

— Panowie naprawdę dużo wiecie, jestem dla was pełen podziwu — Naujocks skłonił głowę — ale nic więcej nie powiem ponad to, co zawarłem w odpowiedziach udzielonych Runzheimerowi na temat radiostacji gliwickiej, widzę, że nie rozstaje się pan z jego dziełem — wskazał na grzbiet książki sterczącej z aktówki, którą trzymał w ręku Jaochim — jeśli chodzi o inne epizody z mego bujnego żywota, no cóż, dzisiaj nie jestem przygotowany do takiej rozmowy, może kiedyś... chętnie was znów zobaczę, chociaż zadajecie mnóstwo kłopotliwych pytań. Wyrządźcie mi jednak tę łaskę i posłuchajcie przez chwilę zwierzeń starego człowieka, na którego barkach spoczywa ciężkie brzemię. Czasami bywa, że kiedy sen mnie omija, zasiadam w jednym z tych oto foteli i zastanawiam się nad moim życiem. Czy to możliwe, żebym ja, w gruncie rzeczy niskiego stopnia oficer, chociaż dobrze się zapowiadający, rozpętał światową zawieruchę? Ta myśl chodzi za mną od dawna, mimo że ją odpędzam od siebie, bo wojna by i tak wybuchła, niezależnie od akcji na radiostację, która właściwie zakończyła się fiaskiem. A jednak nie daje mi to spokoju i nęka świadomość, że przyłożyłem rękę do czegoś tak

okropnego. Otóż jestem w trakcie sporządzania na swój użytek rachunku sumienia. Nie dlatego, żebym miał złe przeczucia albo kiepsko się czuł, wręcz przeciwnie, jestem jednak w tym wieku, że Bóg może mnie każdego dnia powołać przed swe oblicze. Medytuję więc nad swoim życiem, a czasem tak się zapatrzę w przeszłość, że nie widzę nic i nie słyszę co się wokół mnie dzieje. Byłem nazistą z przekonania, to prawda, nie wstydzę się tego, złotą odznakę partyjną wręczył mi osobiście Hitler podczas ostatniego przed wojną Parteitagu w Norymberdze. Zważcie panowie, otrzymałem ją w tej samej Norymberdze, w której po siedmiu latach przesłuchiwał mnie prokurator Międzynarodowego Trybunału. Dla mnie minął wtedy wiek, cała epoka, zwaliły się w gruzy porywy i nadzieje młodości, pozostało rozgoryczenie i krytyczny stosunek do przeszłości. Nie mówię, tego aby wam się przypodobać, wiem kim jesteście i jaki macie stosunek do takich jak ja, mówię to, ponieważ taka jest prawda. Zmieniłem się panowie i to nie po Stalingradzie, jak to uczynili niektórzy moi rodacy. Zacząłem coś rozumieć po blitzkriegu w Polsce, a całkiem rozjaśniło się w głowie po zwycięstwie nad Francją, nieprawdopodobne co? A dlaczego mnie wtedy odsunięto na margines naszej służby? Sam to sprawiłem. Byłem ściśle związany z Heydrichem, jego śmierć też odegrała znaczną rolę w moim życiu. Kto wie, jak by się dalej potoczyło, gdyby Heydrich przedwcześnie nie opuścił tego świata — przerwał zapatrzywszy się w otwarte okno, za którym szemrały gałęzie krzewów w ogrodzie otaczającym jednopiętrowy budynek. Było ciepłe wrześniowe popołudnie. Obaj goście nie zakłócili zapadłej ciszy, młodszy sięgnął jedynie po filiżankę z wystygłą kawą. Ruch jego ręki ożywił starszego pana, który poruszył się w swoim fotelu.

— Naleję panu świeżej — zaproponował. Już się nie uśmiechał, miał zgaszony wyraz twarzy, która nagle jakby się postarzała.

— Właśnie minęło ćwierć wieku od wybuchu drugiej

wojny — zaczął niepewnym głosem — wybaczcie więc, że zebrało mi się na zwierzenia, ale jak byście się czuli na moim miejscu, gdyby wam oświadczono, że ponosicie winę za jej rozpętanie, a tym samym pośrednio za śmierć milionów ludzi? Taki zarzut postawił mi radziecki prokurator, kiedy przyszedł porozmawiać ze mną w celi, w norymberskim więzieniu. Oficjalnie przesłuchiwał mnie Amerykanin i kiedy zapowiedziano mi gościa, poczułem ciarki na plecach, a nuż mu przyjdzie do głowy zażądać wydania mnie bolszewikom? Przybrałem zbolałą minę ale wkrótce tak mnie pochłonęło to, co do mnie mówił, że zapomniałem udawać. Prześladują mnie do dziś jego słowa, wciąż widzę twarz tego człowieka. Mówił cicho, nie wrzeszczał jak ten jankes, ale zapamiętałem dobrze wszystko co powiedział:

„Czy pan sobie zdaje sprawę, panie Naujocks, że to, co pan zrobił w Gliwicach było tą przysłowiową kroplą, która przepełniła naczynie."

„Przecież naszą akcję uznano za jeden wielki niewypał — odparłem — prawie nikt nie usłyszał przemówienia, które zostało przez nas wygłoszone."

„Uważam pana za inteligentnego człowieka, powinien więc pan zrozumieć, że nie chodziło o efekt jakiegoś tam przemówienia, ani w ogóle o powodzenie pańskiej akcji — mówił dalej prokurator — sam fakt, że doszła do skutku, wystarczył Hitlerowi jako pretekst. On się dawno zdecydował i potrzebował przekonywającego powodu. Nie dla świata, ale dla samego siebie. I pan mu go dał. W gruncie rzeczy sam pomysł wystarczył Hitlerowi. Dlatego nie zainteresował się przebiegiem akcji. Prawdopodobnie nawet o nią nie zapytał, a Heydrich speszony techniczną wpadką nie kwapił się, by mu o niej przypominać. Być może też w ogóle jej nie pamiętał jadąc w dniu pierwszym września do Reichstagu, by wygłosić sławetne przemówienie, w którym obarczył Polskę winą za wybuch wojny. Podpalił lont przyłożony do beczki z prochem, bo miał powód, który

uspokajał jego podwójne, ba, poczwórne sumienie, pan mu go dał."

Nie było mi do śmiechu, kiedy Rosjanin sobie poszedł zostawiając mnie samego. W miarę, jak płynął czas, wracało nękające pytanie: czy ja rzeczywiście wywołałem tę straszną wojnę, która pochłonęła tyle ludzkich istnień? Nie byłem autorem diabelskiego pomysłu, tylko wykonawcą, do tego nieudolnym. Dlaczego wszyscy kojarzą zamach na radiostację ze mną, a nie z Heydrichem, Himmlerem, a może z Henleinem albo i samym Hitlerem?

— Bo pan się nazywa Naujocks, Alfred Helmuth, i tylko we własnym sumieniu może pan znaleźć odpowiedź na zadane nam pytania — odpowiedział mu Joachim.

— A ja się zastanawiam po co pan nam to opowiedział, żeby wzbudzić nasze współczucie? Radzi pan sobie bez niego doskonale — Werner mówił wolno obserwując spod oka siedzącego naprzeciw starszego pana. — A może po to, by odwrócić naszą uwagę od celu, który sobie wytyczyliśmy z przyjacielem?

— Broń Boże! — pospiesznie zastrzegł się Naujocks — było to szczere, z głębi serca płynące wyznanie, chwila ludzkiej słabości.

— Niech i tak będzie — zgodził się Werner, widocznie spora ilość whisky, którą zdążył wypić, usposobiła go ugodowo. — Sumując przeprowadzoną z panem rozmowę stwierdzam, że choć był pan tak oszczędny w słowach, umocniła nas w przekonaniu o wiarygodności naszej wersji „gliwickiego incydentu", jak niektórzy pańscy rodacy nazywają prowokację, aby pomniejszyć jej znaczenie, prawda Joachimie? — zwrócił się do młodszego z gości, który kiwnął z aprobatą głową. — Chowamy na koniec dla pana pewną niespodziankę — mówił po chwili dalej.

— Niespodziankę? — gospodarz się zdziwił, a chyba i lekko zaniepokoił.

— Tak, czy byłby pan skłonny wysłuchać tej naszej wersji? — odpowiedział mu pytaniem — Joachim ma przy

sobie szczegółowe notatki, nawet pewne sceny z grubsza naszkicowane i dialogi, które prowadzą ze sobą bohaterowie interesującego nas wydarzenia.

— To brzmi zachęcająco — starszy pan wyraźnie się odprężył — szykuje się z pewnością nowa książka albo i film.

— Kto wie, być może — nie zaprzeczył Werner.

— Proszę jednak nie liczyć na moją natychmiastową reakcję, ja również sięgnę po notatnik i pióro i będę zapisywał, jeśli coś mnie zafrapuje. Odpowiedzi udzielę wam jednak podczas następnego spotkania. Na jeden raz wystarczy, zgoda?

— Zgoda, wystarczy mi, jeśli będę mógł na pana patrzeć — roześmiał się Werner — jestem dobrym psychologiem.

— Mogę zaczynać? — Joachim był jak zwykle konkretny.

— Wpierw jeszcze poproszę gospodynię o świeżą kawę, a potem zamieniam się cały w słuch.

Wrzesień 1938, gdzieś w Sudetach

— Proponuję przechadzkę w góry, Henlein — mężczyzna o szczupłej, pociągłej twarzy i orlim nosie dopił piwo z ogromnego kufla i odstawił go na stół. Potoki jaskrawego słońca wlewały się do obszernego wnętrza zastawionego długimi stołami. Biesiadowało przy nich liczne i hałaśliwie zachowujące się towarzystwo. Stroje tyrolskie mieszały się z mundurami różnych formacji hitlerowskich, nie brakowało też uniformów wermachtu.

— Bardzo chętnie, Gruppenführer — zagadnięty mężczyzna poderwał się skwapliwie z ławy, którą zajmował ramię w ramię z rosłym blondynem o gładko uczesanych włosach i charakterystycznej, podłużnej twarzy. To był sam Reinhard Heydrich, szef bezpieczeństwa Rzeszy, tym razem w cywilu, w ciemnozielonej marynarce z grubego sukna,

z wysokim brązowym kołnierzem i rogowymi guzikami, jakie miało wielu mężczyzn na tej sali, oraz spodniach w tym samym kolorze i białych skarpetach do kolan. Spotkali się w niewielkim miasteczku rozłożonym malowniczo w wąskiej dolinie między dwoma pasmami górskimi, którego mieszkańcy szczególnie się wyróżniali „w walce o powrót Sudetów na łono Wielkich Niemiec", jak głosił oficjalny komunikat opublikowany w prasie. W nagrodę gościli przywódcę prohitlerowskiej partii Niemiec Sudeckich Henleina i największego terrorystę III Rzeszy, jak potem nazwano Heydricha. Po oficjalnej uroczystości na rynku, z przemówieniami i koncertem orkiestry dętej, najbardziej zasłużeni mieszkańcy oraz goście zostali zaproszeni przez burmistrza na piwo.

— Ludzie bawią się znakomicie i myślę, że przeboleją naszą nieobecność — powiedział Henlein, gdy kierowali się ku drzwiom.

— Z pewnością będą się bawili jeszcze lepiej — roześmiał się Heydrich. — Kiedy nie ma kota myszy hałasują, zna pan to przysłowie?

W tym momencie przestała grać orkiestra złożona z mężczyzn w białych koszulach i krótkich skórzanych spodniach. Siedzieli na podwyższeniu plecami do kominka, a właściwie paleniska wzniesionego z wielkich, okrągłych kamieni, o gładkiej, jakby polerowanej powierzchni, które zajmowało znaczną część ściany naprzeciw wejścia. Z głośnym hałasem poderwali się z miejsc mężczyźni i kobiety zajmujący długie ławy ustawione wzdłuż stołów.

— Niech pan ich powstrzyma, bo gotowi wyjść za nami — syknął na ucho swemu towarzyszowi Heydrich.

— Moi drodzy — zawołał tubalnym głosem Henlein odwracając się do sali — nie przeszkadzajcie sobie i bawcie się dalej, chcemy z moim przyjacielem, Gruppenführerem, zaczerpnąć nieco świeżego powietrza, wrócimy do was.

Słowom tym towarzyszyła radosna wrzawa i okrzyki: „Hoch! Heil!"

— Należy się chłopcom chwila wytchnienia i beztroski po dobrze wypełnionym obowiązku — powiedział do swego towarzysza, gdy znaleźli się na ganku ozdobionym potężnymi rogami jelenia.

— To była solidna robota — zgodził się łaskawie Heydrich — a przy okazji poligon dla nowych, bardziej wyrafinowanych i przebiegłych metod walki z wrogiem, szkoda jedynie, że nie wszystkie udało nam się skutecznie wypróbować.

— Co pan ma na myśli?

Poprzedzani przez dwóch rosłych dryblasów w czarnych mundurach, kroczyli wolno chodnikiem wzdłuż kamieniczek zajmujących prawą stronę kwadratowego ryneczku, następnie zagłębili się w wąską uliczkę łączącą się z kamienistą drogą podchodzącą dość stromo w górę. Coraz rzadziej spotykali przy niej zagrody wśród poszatkowanych jak szachownica zagonów, a przed nimi wyrastał las ciągnący się hen, aż po szczyty niezbyt wysokich wzniesień. Heydrich nie od razu odpowiedział swemu towarzyszowi. Wciągał z lubością rześkie powietrze płynące z gór i mrużąc oczy wystawiał swą bladą twarz na działanie promieni słonecznych.

— Coś, co szykowaliśmy tym tchórzliwym Czechom na deser, od czego z pewnością dostaliby niestrawności, gdyby Anglicy i Francuzi nie narobili w portki zmuszając ich do przyjęcia wszystkich naszych warunków.

— Najważniejsze, że cel do którego dążyliśmy, został osiągnięty i mogę pana gościć w niemieckich Sudetach — dziarsko odpowiedział Henlein.

— Z pewnością — przytaknął tamten, ale z miną roztargnioną, jakby myślami był gdzieś daleko. Przez chwilę szli w milczeniu wsłuchując się w odgłosy dochodzące z pól, na których pracowało kilka zaprzęgów konnych wykonujących podorywki, i z coraz bliższego lasu. Sine smugi dymu z rozpalonych ognisk unosiły się w górę, a ostry zapach spalenizny drażnił nozdrza.

— Domyśla się pan, jakie nas w najbliższym czasie czeka zadanie? — zagadnął pierwszy Heydrich.

— Nas, to znaczy kogo? — jego rozmówca nie był zbyt domyślny albo udawał, że nie rozumie o co chodzi.

— Nas, Niemców — jakby od niechcenia odpowiedział Gruppenführer.

— Przyznam się, że... — tamten się zawahał.

— Oczywiście dalsze rozszerzenie przestrzeni życiowej. Jest nie do pomyślenia, żeby naród tak zdolny jak niemiecki musiał się gnieździć i tłoczyć, podczas gdy inne głupie i leniwe panoszą się na urodzajnych ziemiach nie potrafiąc należycie spożytkować tego, co los wsunął im w ręce — Heydrich zachował spokojny, flegmatyczny sposób mówienia.

— To zrozumiałe — Henlein z zapałem podchwycił jego słowa — prędzej czy później Niemcy przejmą hegemonię w Europie środkowej, wschodniej a chyba i południowej.

— W całej Europie, drogi Konradzie — powiedział tamten z naciskiem.

— Naturalnie — jego rozmówca natychmiast się zgodził.

— A póki co, najważniejszym zadaniem, które stoi przed nami jest rozprawa z Polską — to, co powiedział, musiało stanowić zaskoczenie dla jego towarzysza, bo aż przystanął.

— Uważałem, że z Polakami łatwiej się dogadamy niż z Czechami, największymi nacjonalistami na świecie, a ponadto zarażonymi komunizmem, który rozsiewał z Pragi jawnie, przez całe dwadzieścia lat Republiki, swoją propagandę. Polacy do czegoś podobnego nigdy nie dopuścili — mówił ze swadą, jakby miał przed sobą większe grono słuchaczy — w narodzie polskim żywy jest wciąż kult marszałka Piłsudskiego, który zaszczepił w nim uczucia przyjaźni i szacunku dla nas, Niemców, dla naszej gospodarki, kultury, niełatwo przyjdzie je zniweczyć paru szowinistom.

— Wybaczy pan, że będę szczery — Heydrich zaczął po

swojemu wolno, akcentując każde słowo, jakby chciał do brze zakarbować je w pamięci mężczyzny, który mu to warzyszył — ale kiedy pan przemawiał, miałem wrażenie że słucham wyuczonej na pamięć lekcji. A ja uważam, ż z Polakami pójdzie nam znacznie trudniej i właściwie ni ma żadnych szans na porozumienie, proszę sobie zapamię tać moje słowa, przekona się pan wkrótce, że się nie my liłem.

— Pan się zna na tym lepiej, po prostu wydawało m się, że z Czechami jeszcze nie załatwiliśmy do końca na szych rachunków — Henlein uznał za stosowne zrejtero wać.

— A ja odniosłem wrażenie, że pan nie był ze mną cał kiem szczery — zabrzmiało to niemal szorstko, aż Henlei poruszył się niespokojnie jakby chciał coś powiedzieć — niech pan nie zaprzecza, może się zresztą omyliłem. Chodz o czyny a nie o słowa. Będziemy mieli pełne ręce roboty Henlein, tak, nie przesłyszał się pan, my obaj — ujął g konfidencjonalnie pod ramię. — Pańskie Sudety i akcje które wspólnie udało nam się podjąć, aby zalać Czechon sadła za skórę, to był wspaniały poligon naszych możli wości i pomysłowości, zdobyte doświadczenia wykorzysta my przeciwko Polakom — mimo woli ściszył głos chocia nikt ich nie mógł usłyszeć. — Podobnie jak tutaj, równie na Śląsku, Pomorzu, w Poznańskiem nie braknie naszyc rodaków, gorliwych patriotów gotowych oddać wszystko, c mają najdroższego, własne życie za sprawę Wielkich Naro dowosocjalistycznych Niemiec. Trzeba nimi tylko odpo wiednio pokierować, dać broń do ręki i bibułę, a reszt już się sama dalej potoczy we właściwym kierunku.

— Może pan na mnie liczyć, Gruppenführer — Henlei impulsywnie zapewnił o swojej lojalności. Jego rozmówc jakby tego jednak nie zauważył kontynuując:

— Mam zamiar opracować plan specjalnych działań wy mierzonych przeciwko Polakom, gdyby okazali krnąbrność wobec naszych słusznych żądań i karygodną lekkomyśl

ność. Znając ich należy przypuszczać wszystko, co najgorsze. W swoim czasie przedłożę ten plan Führerowi. Podobno będzie pan niedługo gościem w jego prywatnej rezydencji?

Henlein wydawał się nieco zaskoczony tym pytaniem, nie od razu też odpowiedział.

— Zostałem zaproszony, ale terminu jeszcze nie określono.

— Byłbym zobowiązany gdyby pan zechciał wspomnieć o skutkach propagandowych i psychologicznych naszych specjalnych akcji, pan wie, o które mi chodzi? — świdrował go czujnym spojrzeniem, pod którym Henlein się ugiął i odwrócił wzrok.

— Potrzebne były panu do nich mundury czeskie — podpowiedział mu.

— Rozumiem, zamierzam przy tym przedstawić Führerowi odpowiednie dowody — zapewnił pospiesznie przywódca sudeckich Niemców — mój sekretariat zgromadził wycinki prasy europejskiej, między innymi francuskiej, angielskiej, amerykańskiej, opisującej prowokacje czeskie, ich bojówkarzy przyłapanych przez nas na gorącym uczynku.

— Bardzo dobrze — rozpogodził się Heydrich — cieszę się, że znaleźliśmy tak szybko wspólny język.

— Myślę, że nastąpiło to już wcześniej.

— Tak, oczywiście, doświadczenia zdobyte na pańskim terenie przydadzą nam się niezadługo, ale działać nam przyjdzie w zupełnie nowych warunkach.

— Zdaję sobie z tego sprawę, Gruppenführer. Proszę mi wybaczyć, że zapytam raz jeszcze... — zawahał się.

— Niech pan wali prosto z mostu.

— Czy naprawdę nie ma szans na zwycięstwo rozsądku u Polaków? Widziałem ich w akcji podczas I wojny, to świetni żołnierze, gdyby do czegoś doszło, gotowi nam sprawić wiele kłopotów. Polacy to nie Czesi.

— Wiem o tym, dlatego tak wielką wagę przywiązuję do naszej działalności, będzie miała na celu zmiękczenie

Polaków. Niech pan będzie przygotowany na przerzuceni pańskich najlepszych ludzi z Legionu Sudeckiego na Śląs i Pomorze, przekażą doświadczenia bojowe tamtejszym pa triotom, których dopiero czeka chrzest bojowy.

— Nie ma więc nadziei...

— Jeśli mam być szczery, to wyznam panu w sekrecie – Heydrich pochylił się ku swemu rozmówcy — że niewielk jest szansa, aby Polacy zmiękli.

— Zatem wojna — powiedział Henlein, co niemile za skoczyło Heydricha, zlustrował bowiem surowym spojrze niem swego towarzysza.

Luty 1939, Warszawa

Przytłumione dźwięki modnego slowfoksa powitały go ja tylko przekroczył próg kasyna. Z przyjemnością wciągną w płuca specyficzną woń wypełniającą obszerny hol wyło żony drewnianą boazerią aż po sufit, z którego spływał dyskretne światło z ciężkiego, mosiężnego świecznika. Był to mieszanina zapachów pochodzących z papierosów przed niej marki i drogich cygar oraz subtelnych perfum. Okry cia dam, kosztowne futra mieszały się z oficerskimi i ge neralskimi płaszczami w szatni, zajmującej przednią część holu. Oparty dłońmi o ladę starszy mężczyzna w ciemno brązowym uniformie złożył głęboki ukłon, jak zwykle go tów do usług.

— Dawno pan u nas nie gościł, panie majorze — po wiedział odbierając płaszcz.

— Tak się jakoś składało — oficer mimo woli zlustro wał swoją sylwetkę w lustrze zawieszonym na bocznej ścia nie.

— Warszawa wyrosła nam na metropolię, ale daleko je jeszcze do Berlina. — Szatniarz, który zatrudniony był od lat w kasynie, znał stałych bywalców. — Chociaż nam, Po

Dział Zbiorów

lakom, zaczyna tam być teraz ciasno, prawda panie majorze? — oficer nie zdążył mu odpowiedzieć, bo zniknął wraz z jego płaszczem za najbliższym rzędem okryć, zawieszonych ciasno jedno obok drugiego.

— Jakże się cieszę, że cię widzę — wyrósł jak spod ziemi wysoki, barczysty blondyn w mundurze podpułkownika w towarzystwie cywila w smokingu.

— Panowie chyba się nie znają? — zapytał przenosząc wzrok ze swego towarzysza na oficera — major dyplomowany Władysław Pawlik nasz attaché wojskowy w Berlinie, doktor Hubert Kram, radca w Ministerstwie Spraw Zagranicznych — dokonał prezentacji.

— Tylko pracownik ataszatu — poprawił go major.

— Dawno ci się należy ten tytuł — gwałtownie zareagował oficer — gdybyś tylko wykazał choć odrobinę zainteresowania swoimi sprawami.

— Jesteśmy więc kolegami po fachu — stwierdził radca — altruizm to niezwykle cenna zaleta, ale w dzisiejszych czasach nie popłaca, zgadzam się całkowicie z panem pułkownikiem Poganowskim.

— Na jak długo wpadłeś do Warszawy, a może na stałe? — indagował majora Poganowski.

— Kto wie? W listopadzie minął szósty rok mojej kadencji, chyba wystarczy? — roześmiał się zapytany. — Na razie jednak mam delegację na kilka dni.

— To rzeczywiście długi staż jak na dyplomatę, świadczy jedynie o pańskich nieprzeciętnych walorach — wypowiedział się autorytatywnie radca.

— Ale dlaczego, u licha, sam się zjawiłeś? — podpułkownik trzymał się swego rubasznego i nieco agresywnego tonu. — Na górze trwa zabawa na całego, panie prześcigają się w prezentowaniu najdroższych toalet i wywijaniu łamańców w rytm modnych melodii, a ty nic! Ile wytwornych dam się zjawiło, tyle że niektóre mocno przekwitłe.

— Rzeczywiście, to już schyłek karnawału, przeoczyłem ten fakt — stwierdził ze skruchą major.

— Przyznaj się, a może straciłeś serce w wielkoniemi
kiej Rzeszy, dla jakiejś jasnowłosej spadkobierczyni w
lecznej Walkirii? — Poganowski wybuchnął głośnym śm
chem wprawiając majora w wyraźne zakłopotanie.

W sukurs przyszedł mu domyślny radca zapraszając p
nów do baru. W długim i wąskim pomieszczeniu wyp
nionym gwarem podniesionych głosów zastali sporą g
madę mężczyzn, głównie w mundurach, prowadzący
ożywione dyskusje. Nie brakło i kobiet, jedna z nich w c
cisłej, czarnej sukni skierowała w ich stronę wzrok, g
pod wodzą hałaśliwego podpułkownika wtargnęli do wn
trza. Majorowi w pierwszej chwili wydało się, że ją z
miał nawet ochotę jej się ukłonić, ale powstrzymał go w
raz oczu dziewczyny. Było w nim coś na kształt zdumi
nia, a może i paniki. Nim zdążył się nad tym zastanow
odwróciła się zagadnięta przez siedzącego obok niej pr
stojnego oficera z dystynkcjami kapitana.

— „Cóż za fatalne zawodowe skrzywienie — pomyślał
w spojrzeniu nieznajomej kobiety dopatrywać się zar
Bóg wie czego, do tego ten krzykacz Poganowski robi w
kół nas tyle szumu, że najbardziej flegmatycznego Angli
przyprawiłby o zwyżkę ciśnienia."

Podpułkownikowi usta się nie zamykały. Bez przerw
z kimś się witał, kogoś pozdrawiał tubalnym okrzykie
lub poklepywaniem po ramieniu. Do bufetu przepchał s
tylko sobie wiadomym sposobem odnajdując w gęstym tł
mie wolne miejsce przy lśniącej ladzie. Major i radca p
śpieszyli jego śladem. Major wylądował tuż obok dzie
czyny, niemal dotykając jej ramienia. Znów doznał dzi
nego uczucia, że zadrżała chowając przed nim twarz, zas
niła się wysoką szklanicą, z której pociągała pomarańcz
wy płyn przez słomkę. Ułatwił jej zadanie stając bokie
i z grzecznym uśmiechem słuchał pogawędki Poganowski
go z barmanem na temat gatunków koniaku. Uczestnicz
w niej aktywnie radca. Barman podał kieliszki na tac
kiedy podpułkownik sięgał po jeden z nich, nieoczekiwan

potknął się i część ciemnopurpurowego płynu wylała się niebezpiecznie blisko dziewczyny w czarnej sukni. Pośpieszył z przeprosinami.

— Nic się nie stało — mówiąc to patrzyła nie na Poganowskiego, ale na stojącego najbliżej Pawlika. Znikł z jej oczu wyraz niepokoju, uśmiechała się zalotnie. Kiedy podpułkownik po obcałowaniu obu jej rąk powrócił do koniaku, szepnęła do ucha majorowi:

— Czy byłby pan uprzejmy poprosić mnie do tańca?

Zaskoczyły go jej słowa, ale nie dał tego po sobie poznać. Barman tymczasem pośpiesznie napełniał kieliszki. Poganowski wzniósł toast za zdrowie sąsiadki majora.

— A propos, panie kapitanie, czy zezwoli mi pan na zaproszenie pańskiej uroczej partnerki do tańca? — Pawlik zwrócił się do przystojnego oficera.

— Z przyjemnością — tamten się nawet nie zawahał. — Życzę wam udanych pląsów.

Panna włożyła majorowi rękę pod ramię i wyszli razem na korytarz, kierując się w stronę głównej sali. Powitał ich gwar głosów, orkiestra jednak milczała.

— Dziękuję panu, zaraz wszystko wyjaśnię — zaczęła, ale delikatnie jej przerwał:

— Pani pozwoli, że wpierw się przedstawię: Władysław Pawlik.

— Ja pana znam — gdy stanęli na progu rzęsiście oświetlonej sali, rozległy się pierwsze dźwięki znanego tanga — widywałam pana na wyścigach konnych w Berlinie. Któregoś razu gratulował pan w imieniu ambasadora zwycięstwa majorowi Dobrzańskiemu.

— Rzeczywiście, zgadza się, była pani przy tym?

— Jedna z pierwszych, wraz z moim ojcem, by uściskać naszego znakomitego kawalerzystę. Jestem Karolina Łubieńska.

— Bardzo przepraszam, że nie skojarzyłem od razu, teraz już sobie przypominam, ojciec pani jest właścicielem sławnej stadniny. — Weszli w krąg tanecznych par, któ-

rych szybko przybywało na lśniącym parkiecie. Tańczy
przez chwilę w milczeniu.

— Nie wyjaśniłam panu, dlaczego poprosiłam o wy
świadczenie mi przysługi.

— Czy nie mogę zachować złudzeń, że uczyniła to pan
wyłącznie dla mnie?

— Ależ to nie złudzenia — jej odpowiedź wprawiła g
w jeszcze większe zdumienie, niż oferta zaproszenia d
tańca.

— Tylko? — zapytał.

— Tańczy pan tak znakomicie, że teraz już wiem na pe
wno, uczyniłam to dla pana — jej słowom towarzyszył nie
głośny śmiech. Jednocześnie przytuliła się do niego pogłę
biając zakłopotanie swego partnera.

— Miło mi to usłyszeć — nic innego nie przyszło mi
do głowy. Dziewczyna znów się cichutko roześmiała.

Niemal odetchnął z ulgą, gdy orkiestra przestała gra
i pary zaczęły opuszczać parkiet.

— Na drugim piętrze jest jeszcze jeden bar w sali klu
bowej kasyna, o wiele bardziej intymny i mniej uczęszcza
ny. Gdyby pan zechciał mnie tam zaprowadzić... — zwró
ciła się do niego panna Karolina.

— Nie wiem tylko jak na to zareaguje pani partner —
major podał ramię dziewczynie.

— Otóż to, obawiam się, że moje ekstrawaganckie pro
by zakłócą panu beztroską zabawę, jeśli już jednak zda
łam się na pańską łaskę i niełaskę, cóż mam poradzić, bez
bronna istota — miała charakterystyczny, jakby przytłu
miony głos.

— Biorę wobec tego panią w jasyr.

Na korytarzu, a następnie na szerokich schodach wiodą
cych w górę, spotkali znajomych wymieniając ukłony.

W sali klubowej, którą major najbardziej lubił ze wszyst
kich pomieszczeń kasyna, wbrew opinii dziewczyny, te
było tłoczno. Kiedy stali rozglądając się wokoło, zwolniły
się dwa fotele pod oknem.

— Pozostawię pana na chwilę samego — poinformowała go odchodząc. Zajął jedno z wolnych miejsc i zapaliwszy papierosa zaciągnął się głęboko dymem.

„Dlaczego była spłoszona, kiedy mnie zobaczyła?" — wrócił myślą do chwili, gdy w towarzystwie podpułkownika i radcy z ministerstwa przekroczył próg baru. Dostrzegł z całą pewnością przestrach w jej oczach, nie mógł się mylić, zmysł obserwacyjny miał odpowiednio wyczulony, było to w jakimś sensie następstwo zawodu, który od lat wykonywał. A potem nagle wyraz jej twarzy uległ całkowitej zmianie, uśmiechała się zalotnie, wreszcie porwała go do tańca. Gdzie tkwiła przyczyna jej dziwnego zachowania? Dlaczego tak bardzo zaniepokoił Karolinę jego widok?

Ktoś nacisnął klawisze pianina. Major podniósł głowę. Mężczyzna w ciemnym ubraniu, akompaniując sobie zaśpiewał przyjemnym, niskim głosem:

Nie ma szczęścia bez miłości i bez kogoś drogiego.
Moje serce bez tego tęsknotą drży.

Zasłuchany, nawet nie zauważył, kiedy wróciła.

— Niezmiernie żałuję, że będziemy musieli się wkrótce rozstać — zaglądała mu z uśmiechem w oczy — mam jednak niepłonną nadzieję, że rychło się zobaczymy.

— To od pani tylko zależy — skłonił głowę.

— Trzymam pana za słowo, ale teraz proszę o odprowadzenie mnie do wyjścia.

— Nie pożegna się pani ze swoim partnerem? — nie miał ochoty tłumaczyć się z jej postępku przystojnemu kapitanowi.

— Jest uprzedzony o moim wcześniejszym odejściu — zapewniła go — a w ogóle to proszę nim się nie przejmować, działał jedynie w czyimś imieniu jako dama do towarzystwa.

Nie rozmawiali schodząc do szatni, gdzie odebrał jej futro.

— Będzie mi miło znów pana ujrzeć, oto mój telefon — podała mu kartkę przy pożegnaniu — będę pod nim osią-

galna dopiero za kilka dni. Dziękuję panu za wszystko – oddała mu lekki uścisk — proszę mnie nie odprowadzać samochód czeka przed kasynem.

Pierwsze kroki skierował do baru, w którym spotkał dziewczynę. Było w nim jeszcze bardziej tłoczno i gwarnie. Poganowski rozochocony perorował głośno, jego donośny głos rozchodził się wkoło. Wśród najbliższych słuchaczy podpułkownika dostrzegł partnera Karoliny. Zastanawiał się co począć, gdy podpułkownik odwrócił się odchodząc od lady.

— Dlaczego tkwisz jak słup soli zamiast do nas wrócić — zagadnął podchodząc do majora — a gdzie twoja nie dobna partnerka?

— Miała coś pilnego do załatwienia.

— A ja już myślałem, że ulotniliście się pospołu – mrugnął porozumiewawczo z łobuzerskim uśmiechem. Razem podeszli do towarzystwa. Major zwrócił się z wyjaśnieniem do kapitana, ale ten nie dał mu dokończyć.

— Kamień spadł mi z serca — zawołał — nie mogłem odmówić szefowi opieki nad jego narzeczoną, ale prawdę mówiąc, nie była mi na rękę. Chętnie sam sobie poszukam narzeczonej — roześmiał się hałaśliwie.

— Pan major Pawlik? — usłyszał za plecami pytanie. Obejrzał się, przed nim stał młodziutki oficer z dystynkcjami podporucznika. Potwierdził skinieniem głowy. – Czy panu nie przeszkadzam, bo pan generał Stachiewicz chciałby zamienić z panem kilka słów. Jeśli pan dysponuje czasem, to proszę za mną.

Przeprosił swych towarzyszy udając się za oficerem. Wspięli się na piętro mijając salę główną, w której grał znów muzyka i kręciły się pary. Podporucznik otworzył drzwi znajdujące się na końcu korytarza i stanąwszy na baczność przepuścił majora. Znaleźli się w pomieszczeniu, w którym czterech oficerów grało w brydża, piąty im kibicował. Przeprosili ich przechodząc do następnego pokoju. Zastali w nim kelnera mocującego się z butelką. Oficer

zapukał do kolejnych drzwi, po czym je otworzył i Pawlik ujrzał generała zajmującego jeden z kilku głębokich foteli ustawionych wokół okrągłego stolika z metalowym blatem. Wnętrze wypełniało dyskretne, przytłumione światło, padające z kinkietów zawieszonych na ścianach. Major wyprężył się służbiście meldując swoje przybycie, ale szef sztabu głównego mu przerwał wskazując miejsce obok siebie. Podporucznik, który przyprowadził Pawlika, zaraz się ulotnił. Towarzyszący generałowi pułkownik również wstał przepraszając, że musi wrócić do swoich pań, które na niego już zbyt długo czekają. Zostali więc sami.

— Proszę wybaczyć tę bezceremonialną formę — zagaił generał — ale wolałem z panem porozmawiać tutaj, niż u siebie w biurze. Jest pan w towarzystwie?

— Zupełnie sam.

— Adiutant miał polecenie zapytać, czy moje zaproszenie nie zakłóci panu zabawy, jutro muszę wyjechać z Warszawy na kilka dni.

— Adiutant zachował się z największym taktem — Pawlik mimo woli się uśmiechnął — właśnie kogoś pożegnałem i jestem całkowicie do pańskiej dyspozycji, panie generale.

— Bardzo się cieszę, kieliszek koniaku dobrze nam chyba zrobi? A może pan woli wódkę? — zrobił pauzę.

— Jeśli można, wolałbym wódkę.

Stachiewicz sięgnął pod blat stolika, który rozdzielał zajmowane przez nich fotele i prawie natychmiast wsunął się do pokoju młody podporucznik.

— Dwie wódki i wodę sodową — zadysponował. — Złożył pan bardzo interesujący raport, uważnie go przestudiowałem — zaczął, kiedy ponownie zostali sami — wynika z niego niedwuznacznie, że należy się spodziewać rychłej agresji niemieckiej.

— W tym celu go napisałem — potwierdził major.

— Czy pojmuje pan ciężar gatunkowy zawartej w nim tezy przewodniej?

— W zupełności, i biorę na siebie odpowiedzialność za każde napisane w nim słowo, na źródła informacji wskazałem dość ogólnie, ale są jak najbardziej wiarygodne — ujął w dłoń kieliszek, ponieważ generał sięgnął po swój.

— W sprawie Czech mamy podobne sygnały, w Słowacji narastają tendencje odśrodkowe — generał mówił z zaaferowaną miną.

— Należy się spodziewać w każdej chwili ogłoszenia niezależności Słowacji, oczywiście w charakterze państwa faszystowskiego pod ścisłą kontrolą III Rzeszy, Republika okrojona jesienią ubiegłego roku — praktycznie przestanie istnieć, mówi się o przekształceniu jej w jakiś twór satelitarny pod nazwą Czechy i Morawy — mówił major — następnie przyjdzie na nas kolej, obawiam się, że rychło

— Nie neguję tego, co pan powiedział — odparł po chwili generał — oczywiście, co do istoty sprawy — zastrzegł się. — Uważam jedynie, że realizacja zaborczych planów Rzeszy ulegnie zwłoce. Rozbiór Czechosłowacji zaplanowany jest najprawdopodobniej na lato, a potem zaczną się naciski na Gdańsk.

— Również na Pomorze i Śląsk — uzupełnił Pawlik. — Twierdzę jednak nadal, że wcześniej niż pan przypuszcza

— Wezmę pod uwagę pańskie sugestie, ale mimo wszystko — generał zamyślił się na chwilę — Anglia i Francja nie mogą już dłużej ustępować coraz bezczelniejszym żądaniom. Zastanawiam się, czy w Niemczech tego naprawdę nie rozumieją, że agresja wobec nas to wojna europejska co najmniej, o ile nie światowa...

— A może jej chcą — podpowiedział mu major wywołując żywą reakcję swego rozmówcy:

— Wykluczone, to czyste szaleństwo. III Rzesza nie jest przygotowana do czegoś takiego. Znam raporty ekspertów gospodarczych. Niemcy potrzebują co najmniej dwóch a nawet trzech lat na rozkręcenie machiny wojennej.

— Mocarstwa zachodnie potrzebują ich tyle samo, a może i więcej, aktualnie zaś najlepiej przygotowane są do

rozpoczęcia działań wojennych Niemcy i Hitler o tym dobrze wie, może więc postawić na element zaskoczenia — wywodził major.

— Może się i tak wydarzyć, ale mamy rok czasu, przynajmniej rok — zabrzmiało to niemal żałośnie, aż Pawlik, który chciał coś powiedzieć powstrzymał się i dopiero po chwili westchnął:

— Dałby Bóg żeby tak było.

— Jest pan niepoprawnym pesymistą — generał wypił jednym haustem wódkę z kieliszka, po czym go napełnił z kryształowej karafki pozostawionej na stoliku przez adiutanta nalewając również Pawlikowi.

— Być może za długo już pozostaję na placówce berlińskiej — odpowiedział po opróżnieniu kieliszka.

— O tej sprawie też postanowiłem z panem porozmawiać. Chce pan nieodwołalnie wracać?

— Będę wielce zobowiązany za spełnienie mojej prośby.

— No cóż, właśnie teraz jest pan tam potrzebny.

— Dla dobra sprawy będzie lepiej jeśli wrócę, proszę mi wierzyć, panie generale. Zbyt dobrze mnie tam już znają, mam wciąż wrażenie, że depczą mi po piętach i świadomość tego faktu działa paraliżująco na moje poczynania. Może jestem przewrażliwiony, ale pan rozumie, panie generale, w naszej służbie brak pewności... Z moim doświadczeniem w pracy na terenie Rzeszy przydam się przecież teraz w kraju.

— Nie ulega wątpliwości. Czy jakieś względy osobiste też wchodzą w grę?

— Mają drugorzędne znaczenie. Najważniejsze jest dobro służby, nim się kieruję prosząc o zgodę na powrót.

— Rozumiem, może pan uważać sprawę za załatwioną. Jak długo zamierza pan pozostać w Warszawie?

— Tyle, ile będzie to konieczne.

— Proszę poczekać aż wrócę z podróży inspekcyjnej, wówczas dokończymy naszą rozmowę, powiedzmy pod koniec tygodnia. A teraz pańskie zdrowie, dziękuję za wzo-

rową służbę — generał podniósł w górę kieliszek. — Jak należy rozumieć zastosowanie przez Niemców doświadczeń sudeckich, tyle, że na większą skalę? — zapytał majora kiedy wypili. — Wspomniał pan o nich w swoim raporcie prawda?

— Uzyskałem informacje, że zamierzają podjąć działalność terrorystyczną na pograniczu, a niewykluczone, że również w głębi naszego kraju, korzystając ze skupisk niemieckiej mniejszości, ale także agresywnych kół nacjonalistów ukraińskich. Jest niemal pewne, że posłużą się prowokacją, jak to miało miejsce właśnie w Sudetach, a więc sfingowanymi napadami na szkoły i inne lokale należące do organizacji niemieckich.

— W głowie się nie mieści podobna perfidia, biorąc jednak pod uwagę ostatnie doświadczenia zgadzam się z panem, że po hitlerowcach można się wszystkiego spodziewać! Chętnie wysłucham pańskiej obszerniejszej informacji na ten temat przy następnym spotkaniu.

— Mogę się odmeldować? — zapytał major.

— Tak, mam jeszcze jedno pytanie, czy z Sosnowskim nie strzeliliśmy wielkiego głupstwa? Działał przecież jako nasz agent pod pana bokiem. Wierzy pan w jego winę?

— Nigdy w nią za bardzo nie wierzyłem, a tym bardziej teraz — odpowiedział bez wahania.

— Tak, chyba jednak to był błąd, niewybaczalny błąd — ostatnie słowa generał powiedział bardziej do siebie, niż do swego rozmówcy, podnosząc się z fotela. Pożegnali się.

Luty 1939, Berlin

— Pali się czy co, do diabła — mężczyzna z grymasem niezadowolenia stęknął ze złością — nie uważa pan, Schellenberg, że to lekka przesada ściągać człowieka z urlopu

spóźnionego w dodatku o rok, który mu się wpierw samemu dało.

— Naszemu staremu zawsze się pali, Herr Brigadeführer — jego rozmówca, młodszy, dbający o swój wygląd mężczyzna, uśmiechnął się pogodnie — tym niemniej sprawa, która nas tu przywiodła, musi być najwyższej wagi. Niech pan spojrzy, nadchodzi sam Oberführer Müller, a za nim Brigadeführer doktor Best, który przecież podróżował ostatnio do Rzymu. A więc i jego wezwał nasz Gruppenführer, czyż to nie najlepszy dowód, że mam rację? — rozmawiali stojąc oparci o parapet okna w sali konferencyjnej położonej w bezpośrednim sąsiedztwie gabinetu ich przełożonego, szefa policji i służby bezpieczeństwa Rzeszy, Heydricha. Właśnie stanął na progu, wysoki, z nieprzystępną miną, powiódł chłodnym wzrokiem po gromadce swoich podwładnych, którzy na jego widok przyjęli postawę zasadniczą stukając obcasami.

— Mam nadzieję, że panowie są wszyscy? — zapytał charakterystycznym, nieco zbyt wysokim głosem, nie przystającym do barczystej sylwetki — proszę więc o zajęcie miejsc.

Odgłos kroków i szuranie przesuwanych krzeseł zagłuszyły stuk zamykanych drzwi za jeszcze jednym uczestnikiem konferencji.

— Melduję się, Herr Gruppenführer — przed Heydrichem, który wciąż stał na końcu stołu czekając widać, aż wszyscy zajmą miejsce, zatrzymał się mężczyzna w szarozielonym uniformie z dystynkcjami Standartenführera.

— Pan zawsze musi się spóźniać, Mehlhorn — Heydrich skrzywił się z nie skrywaną niechęcią.

— Pozwolę sobie zauważyć, że samochód urzędu przywiózł mnie prosto z pociągu, którym wróciłem na pańskie wezwanie z Monachium, Herr Gruppenführer — tamten się nie zmieszał, odpowiadał głośno, wymawiając wyraźnie poszczególne wyrazy. Heydrich w odpowiedzi wskazał mu jedno z wolnych miejsc.

— Jak ci dwaj się nie lubią — szepnął Schellenberg d siedzącego obok niego szefa Urzędu VI Josta, korzystają z chwilowego zamieszania jakie powstało, gdy przybys kroczył w głąb sali w trzeszczących głośno wysokich, la kierowanych butach — aż dziw bierze, że został tu dz zaproszony, nieustannie przebywał w podróżach zagranic nych.

— Moi panowie — zagaił szef Głównego Urzędu, gdy za padła cisza — od dziś będziemy systematycznie spotyka się w tym gronie, w zależności od sytuacji i potrzeb w sprawie, która jest obecnie dla Rzeszy najważniejsz a nazywa się po prostu sprawą polską. — Lekki, niem nieuchwytny szmer przeleciał przez salę, referent zrob pauzę opuszczając wzrok na papiery rozłożone przed ni na stole i dopiero po chwili mówił dalej. — Po załatwi niu problemu czeskiego i słowackiego, co wkrótce się d kona, stanie przed nami w całej swej okazałości proble polski. Istnieje kilka sposobów jego rozwiązania, naszy zadaniem jest rozpoczęcie przygotowań do podjęcia w sw im czasie odpowiednich działań mających uzasadnić o wieczne prawo zjednoczenia się wszystkich Niemcó w granicach jednego państwa. Kryzys sudecki wykazał n szą szczególną przydatność w służbie wielkoniemiecki Rzeszy. Nawet najbardziej zagorzali konserwatyści z A wehry musieli przyznać, że zastosowane przez nas no metody walki z wrogiem na jego własnym zapleczu o niosły zamierzony skutek. Najważniejsze, moi panowi to nie stać w miejscu, ale nadążać za duchem czasu, b wroga jego własną bronią, działać przez zaskoczenie. D ktorze Six, czy jest pan gotów do zreferowania swoj kwestii?

— Tak jest, Herr Gruppenführer — zapewnił wywoł ny — w wyznaczonym terminie sporządzimy listę os godnych zaufania, zamieszkałych niedaleko polskiej gran cy, a reprezentujących różne zawody i środowiska społec ne, które mogą się okazać przydatne dla naszych celów.

— Wszyscy na tej liście muszą być dokładnie sprawdzeni — przypomniał.

— To się samo przez się rozumie — potwierdził szef Urzędu II.

— Oberführer Müller, mniejszość polska w Rzeszy? — zwrócił się do szefa Urzędu IV, czyli wszechwładnego zwierzchnika policji politycznej, znanej pod złowrogim skrótem gestapo.

— Dokładnie spenetrowana. Wyselekcjonowano jednostki podejrzane o współpracę z Polską, a także stanowiące dla nas potencjalne zagrożenie, na przykład byli uczestnicy śląskich wystąpień z lat 1919—1921, członkowie ich rodzin, członkowie Związku Polaków w Niemczech oraz innych organizacji utrzymujących kontakty z osobami prywatnymi lub instytucjami w Polsce — szef gestapo odpowiadał bez zająknięcia.

— Polska siatka wywiadowcza na naszym terenie — Heydrich powiedział to bezosobowo, ale zaraz zgłosił się jego oficjalny zastępca, SS-Brigadeführer doktor Best.

— Na razie możemy się poszczycić paroma mniejszymi sukcesami, które niedługo powinny się złożyć w jeden poważniejszy...

— Niedługo, to znaczy kiedy? — Heydrich mu przerwał.

— W ciągu trzech, może dwóch miesięcy.

— To bardzo długo — skrzywił się — polska siatka powinna otrzymać decydujący cios najdalej za miesiąc — zasponował.

— Zdjąć pierwszego agenta możemy już wcześniej, chcemy jednak zastosować formułę: po nitce do kłębka — tłumaczył dalej Best.

— Każda metoda jest dobra, kiedy prowadzi do celu — podsumował Heydrich — jeśli podejrzenia naszych służb o aktywności polskiego wywiadu potwierdzą się, nie można dłużej tolerować jego agentów — powiódł wzrokiem po siedzących przy stole mężczyznach, jakby ich wszystkich

obciążał niepowodzeniem w walce z wrogą agenturą. — Schellenberg, cóż z pańską tajną bronią?

— Wypaliła, pierwsze efekty, jakie przyniosła, potwierdzają, że nasze nadzieje związane z nową agentką były w pełni uzasadnione.

— Uwierzę panu, jeśli będę otrzymywał stałe informacje pochodzące ze Sztabu Głównego Armii Polskiej — ostudził jego zapał. — Oberführer Nebe, a jak pańscy kryminaliści?

— Zgodnie z rozkazem zostało przygotowanych kilkanaście grup — pośpieszył z odpowiedzią szef Urzędu V — mogą być użyte bezpośrednio do wykonania zadań terrorystycznych na obcym terenie, bądź do akcji specjalnych na naszym.

— A Ukraińcy? — Heydrich swojego kolejnego pytania nie połączył z żadnym nazwiskiem.

— Pierwsze grupy zostały już przeszkolone, gotowe są w każdej chwili zaczynać, jeśli tylko podamy im odpowiednie hasło — tym razem udzielił wyjaśnienia szef Urzędu VI Brigadeführer Jost.

— Wynika z tego, że wszyscy panowie macie wyznaczone zadania w omawianym temacie — Heydrich rozejrzał się po sali — aha, Standartenführer Ohlendorf, pan zapewne by mi nie wybaczył, gdybym go pozostawił bez zajęcia.

— Mam nadzieję, że mi pan nie zrobi tej przykrości — roześmiał się tamten.

— Opracuje pan, wspólnie z kimś z Ministerstwa Propagandy, plan nasilenia antypolskiej kampanii w prasie i radio, jeszcze dziś postaram się porozmawiać z doktorem Goebbelsem.

Ohlendorf tylko skłonił głowę na znak, że przyjmuje do wiadomości decyzje swojego szefa.

— Ja także jestem bez przydziału — przypomniał o swojej osobie oficer, który się spóźnił.

— Będzie pan, Mehlhorn, koordynatorem wszystkich naszych przedsięwzięć i zadba o to, by się ze sobą harmonijnie zazębiały — objaśnił Heydrich.

— Zadał mu łamigłówkę — mruknął do Josta Schellenberg — okaże się nie lada zuchem, jeśli nie połamie sobie na niej zębów, albo i gnatów.

— Tak więc, panowie, spotykamy się wkrótce ponownie i wówczas skrupulatnie was rozliczę z tego, co otrzymaliście do wykonania — mówił Heydrich. — Nasze gremium ma pozostać ściśle tajne, tym bardziej że wyprzedzamy oficjalne działania w związku ze sprawą polską. Führer wpierw chce rozwiązać problem Czech i Słowacji, ale jest to kwestia najbliższych tygodni, a może i dni. Latem zabierzemy się za Polskę, nie mamy innego wyjścia. Stoi na przeszkodzie narodowym interesom Rzeszy, leży na drodze naszego rozwoju, kierującej się nieuchronnie na wschód. Ponadto więzi pod swym panowaniem milion i więcej Niemców, neguje ich ludzkie prawa, czego nie możemy ścierpieć na dłuższą metę. Na dziś wszystko, dziękuję panom.

Kiedy Heydrich dotarł do swego gabinetu, niezwłocznie prosił adiutanta.

— Chciałbym w najbliższym czasie porozmawiać z dwójką naszych ludzi. Oto ich nazwiska — Obersturmführer Germann i Sturmbannführer Naujocks.

— Mają się zgłosić razem? — zapytał rzeczowo adiutant.

— Nie, osobno. Naujocks, potem Germann, albo wpierw Germann.

— Wpisać ich nazwiska na listę oczekujących na rozmowę?

— Nie, te dwa nazwiska nigdzie nie powinny figurować. Osobiście ich pan zawiadomi i przywiezie tam, gdzie panu wskażę — zastanawiał się przez chwilę — a może na teren przystani w Grünau? Odbędą się tam wkrótce wio-

senne regaty, prawda? — Adiutant potwierdził. — A zatem z Germannem spotkam się w Grünau, a z Naujocksem, jeszcze zobaczymy.

Marzec 1939, Berlin

— Dobry wieczór panie majorze, proszę zdementować nowinę, która mnie szczerze zmartwiła — Pawlikowi zastąpił drogę mężczyzna w sportowym ubraniu w kratę. Przywitali się odchodząc w głąb korytarza ekskluzywnego klubu jeździeckiego, w którym nastąpiło ich spotkanie — niech pan zaprzeczy, że pańska misja w Berlinie dobiega końca — mówił dalej trzymając majora pod ramię.

— Bardzo mi przykro, ale to prawda, Leonie Matwiejewiczu — odpowiedział. — Nie uważa pan, że sześć i pół roku to wystarczająco długi okres pracy za granicą?

— Nie uważam, bo będzie mi pana brakowało — energicznie zaprzeczył. — Czy zamierza pan zaraz opuścić klub?

— Tak, mam umówione spotkanie.

— Szkoda, bo chętnie bym z panem porozmawiał.

— Nic straconego, panie kapitanie, pozostanę w Berlinie jeszcze przez kilka dni — zapewnił go Pawlik.

— Mogę pana odprowadzić? Właśnie wróciłem z małej przechadzki po ogrodzie, aby coś przekąsić w restauracji klubowej, ale z panem jeszcze raz chętnie się przejdę.

Podeszli razem do szatni. Pawlik był również w cywilu, podobnie jak i jego towarzysz, attaché wojskowy radzieckiej ambasady w stolicy III Rzeszy.

— Niestety, nie dysponuję dziś czasem, proszę mi wybaczyć, ale proponuję spotkanie jutro lub w innym wygodnym dla pana terminie — sumitował się major.

— Jedno drugiemu nie przeszkadza, a mnie wystarczy parę minut. — Wyszli na taras rozciągający się przed

głównym wejściem, a następnie szerokimi schodami na ścieżkę z czerwonego żwiru.

— Nie chciałem z panem rozmawiać w budynku — zaczął kapitan po chwili przerwy — ponieważ wciąż przebąkują o nowych, doskonalszych środkach podsłuchowych, które stosuje pan Heydrich, po co ma je na nas wypróbować. Los Czechosłowacji został definitywnie przesądzony, jak pan się domyśla, ksiądz Tiso ogłosił oderwanie się Słowacji od Republiki, co oznacza zarazem jej koniec. Jak w tej sytuacji postąpią rządy Francji i Wielkiej Brytanii? Ile warte będą podpisy Hitlera i Mussoliniego złożone pod układem monachijskim? A jeśli Niemcy zechcą wziąć pod opiekę — ostatnie słowa wypowiedział ze szczególnym akcentem — resztę, która ocalała z pogromu Czechosłowacji, a więc Pragę, Brno, morawską Ostrawę pod pretekstem zapewnienia im ochrony przed czerwonymi, a faktycznie by przejąć kontrolę nad czeskim przemysłem?

— Roztacza pan niewesołą wizję, ale nie można wykluczyć takiego rozwoju wydarzeń — zgodził się Pawlik.

— Wówczas okaże się, że my mieliśmy rację apelując latem ubiegłego roku o stworzenie koalicji antyhitlerowskiej — zaczął kapitan, ale widząc grymas na twarzy swego rozmówcy pośpiesznie dodał — zresztą, co było już się nie wróci, zajmijmy się raczej rzeczywistością. Wraca pan do kraju, niech pan wykorzysta swoje stosunki i znajomości w najwyższych sferach, aby ostrzec przed zagrażającym wam niebezpieczeństwem, jeśli podziela pan mój pogląd, że po Czechosłowacji przyjdzie nieuchronnie kolej na was. Dzięki przejęciu kontroli nad Słowacją, Niemcy otoczyły Polskę z trzech stron, z północy — z Prus Wschodnich i Pomorza, z zachodu, a teraz również i z południa.

— Czy pan mnie nie przecenia, Leonie Matwiejewiczu? Jestem tylko majorem — w głosie Pawlika przebijała jakby nieuchwytna nuta goryczy.

— Już ja wiem co mówię — zaprzeczył tamten — pan dużo może, przepraszam, że sprawę stawiam prosto, nie

dyplomatycznie, ale ze mnie taki dyplomata — machnął ręką — przysłali, to i swoje robię, ale myśleć swoje nikt mnie nie zdoła oduczyć, a do kogo nabrałem sympatii i zaufania, jak do pana, powiem, co mam na sercu. Lubię Polaków. Opowiadałem już panu, że od nich nabierałem rewolucyjnego doświadczenia. Martwię się o pański naród.

— Dziękuję za te serdeczne słowa — Pawlik ogarnął ciepłym spojrzeniem kroczącego obok, niepozornie wyglądającego mężczyznę.

— A teraz chcę się wypowiedzieć jako przedstawiciel mojego państwa — mówił dalej kapitan. — Związek Radziecki nadal nie traci nadziei na zmianę stanowiska Polski w kwestii niemieckiego zagrożenia i stworzenia wspólnego antyhitlerowskiego frontu. O ile mi wiadomo, pozytywnego stanowiska Polski w tej sprawie oczekuje również Francja, a pora chyba najwyższa, bo śmiertelne niebezpieczeństwo w oczy wam zagląda.

— Nie mam żadnych uprawnień, aby wchodzić z panem w układy, jestem lojalnym obywatelem mojego kraju, urzędnikiem państwowym, do tego oficerem. Więcej panu nic nie mogę powiedzieć — Pawlik mówił wolno, jakby z ociąganiem.

— Niczego też od pana nie oczekuję poza wysłuchaniem mnie — zapewnił go kapitan. — Niech pan ma na uwadze moje słowa, przyjacielu, a na pożegnalnym spotkaniu poczęstuję pana oryginalną ukraińską gorzałką z pieprzem, którą otrzymałem wczoraj wprost z Kijowa.

— Przyjmuję zaproszenie, Leonie Matwiejewiczu — Pawlik wyciągnął rękę na pożegnanie.

— Jeszcze jedno — tamten mu ją przytrzymał — jak mogliście dopuścić do utraty tak wspaniałego agenta, jakim był rotmistrz Sosnowski? Zachodzę w głowę i nie mogę tego pojąć.

— A dlaczego dopuściliście do utraty takiego wojskowego jak Tuchaczewski? — major wypalił bez zastanowienia.

— Celny strzał — roześmiał się jego rozmówca. — Wy-

szliśmy zatem na remis, ale gra się chyba jeszcze nie zakończyła?

— Wysłuchałem pana w najwyższym skupieniu i dziękuję za szczerość — Pawlik się skłonił.

— Do zobaczenia, majorze, na spotkaniu zakrapianym gorzałką z pieprzem — oddał mu ukłon i odszedł.

Major zerknął na zegarek i przyśpieszył kroku. Na postoju taksówek nie było żadnego samochodu. Stał przez pewien czas niezdecydowany i kiedy już miał zamiar wyruszyć w dalszą drogę pieszo, nadjechała ciemna limuzyna. Wsiadł do niej niezwłocznie podając kierowcy adres, pod który miał go zawieźć. Jechali blisko godzinę na odległe przedmieście. Pawlik wysiadł w zacisznej uliczce willowej, a kiedy samochód odjechał, zawrócił, oddalając się szybko od miejsca, w którym wysiadł. Minął jedną przecznicę, drugą, skręcił w trzecią, zatrzymując się przy furtce ukrytej wśród rosnącego bujnie bluszczu. Włożył rękę między żelazne pręty przekręcając klucz tkwiący od wewnątrz. Wszedł na ścieżkę pogrążoną w mroku, wysoki parkan i gęsta zieleń zasłaniały ją od światła padającego z ulicznej lampy. Dopiero nad drzwiami frontowymi okazałego piętrowego domu położonego w głębi ogrodu paliła się matowa żarówka pod kloszem w kształcie kielicha. Nacisnął dwa razy mosiężny guzik dzwonka, dobrze widoczny obok połyskującej tabliczki z nazwiskiem właściciela czy lokatora posesji. Usłyszał stuk zbliżających się kroków, potem drzwi otwarły się ukazując niewieścią postać. Wpuściła go bez słowa do środka. Poruszał się pewnie, chociaż na korytarzu było ciemno, tylko jasna smuga padała przez uchylone drzwi jednego z pokoi. Zdjął płaszcz i poprzedzany przez kobietę wkroczył do obszernego salonu. Czekał, aż kobieta wskaże mu miejsce obok siebie na kanapie, dopiero wówczas usiadł.

— Myślałam, że już nie przyjdziesz — odezwała się pierwsza.

— Przepraszam za spóźnienie, ale tyle spraw do załatwienia mi się spiętrzyło przed wyjazdem.

— Więc to postanowienie — powiedziała to takim głosem, że nie miał odwagi spojrzeć jej w oczy. Przez chwilę milczeli.

— Wiem, co mi powiesz, że to nie ma najmniejszego sensu, tyle nas dzieli — zdecydowała się przerwać denerwującą ciszę.

— W istocie rzeczy tak jest, że... — potwierdził zbyt skwapliwie i urwał wpół zdania czując niezręczność tego, co powiedział.

— Mogło przynajmniej zostać tak, jak było, nikt ci przecież nie kazał wracać — stwierdziła po krótkiej pauzie.

— Tak, to prawda, sam poprosiłem, by mnie odwołano — przyznał — uczyniłem to ze względu na ciebie, nie mam prawa cię narażać, Eryko.

— Ale ja cię nie prosiłam o roztaczanie nade mną matczynej opieki — podniosła głos, zabrzmiały w nim niemal histeryczne tony.

— Dobrze wiesz, kim jestem i jakie mnie czekają zadania, są krańcowo sprzeczne z tym, co można nazwać interesem Niemiec.

— Nie interesuje mnie to! — prawie krzyknęła.

— Nieprawda Eryko, teraz tak mówisz, pod wpływem emocji, ale gdybym cię wciągnął w orbitę moich spraw, nie wybaczyłabyś mi nigdy. Jesteś Niemką, a ja Polakiem — starał się mówić spokojnie, dobierając słowa.

— Władku — rzuciła mu się na szyję ze szlochem — mogłeś mnie tam zabrać, do twojej Polski.

— Wiesz, że to niemożliwe. Wybacz, jeśli zabrzmi sztucznie to, co powiem, ale dziś nie pora na osobiste sprawy, po powrocie do kraju pochłonie mnie bez reszty służba, wykluczając wszystko, co ma cokolwiek wspólnego z życiem prywatnym — mówił trzymając ją w ramionach i gładząc długie, puszyste włosy. Czuł jak cała drży. — Wyrządziłbym ci wielką krzywdę wyrywając ze środowi-

ska, w którym się wychowałaś, z otoczenia, do którego przywykłaś, przenosząc w obcy, obawiam się, że niechętny ci świat. Ciebie bym unieszczęśliwił, zarazem przekreślając wszystko, co jest dla mnie najważniejsze, nie mógłbym przecież pozostać w służbie.

— Wyjechalibyśmy gdzieś razem, choćby do Szwajcarii, mam tam daleką, ale bardzo mi życzliwą ciotkę — ożywiła się podnosząc głowę z jego ramienia.

— Sama nie wierzysz w to, co mówisz. Żądasz ode mnie, abym zdezerterował, teraz, kiedy jestem najbardziej potrzebny swemu krajowi? — patrzał jej z bliska w oczy. — Wyobrażasz sobie mnie koło ciebie, człowieka przepełnionego poczuciem winy, niegodnego, aby innym w twarz spojrzeć?

— Więc mam się pogodzić z utratą ciebie? — znów podniosła głos.

— Może kiedyś jeszcze się spotkamy, ale wpierw musimy przez to przejść, to, co nas czeka, będzie próbą trwałości naszego uczucia, okrutną próbą, musimy jej się poddać, nie mamy innego wyjścia — głos mu lekko zadrżał, natychmiast się jednak opanował. „Jeszcze tego brakuje, bym się rozkleił" — pomyślał z irytacją.

— Uważasz, że nie obejdzie się bez tego najgorszego? — zapytała go spokojnie, jakby opanowała wzruszenie.

— Tak właśnie uważam.

— Może jednak Hitler nie zdecyduje się na wojnę, jeśli będziecie zachowywać się stanowczo — odwróciła się od niego, ukradkiem ocierając oczy.

— Nic go nie powstrzyma.

— Nie wierzysz zachodnim mocarstwom, że dotrzymują swych zobowiązań?

— Wierzę, po Czechosłowacji nie mają innego wyjścia i dlatego rozpęta się europejska, a może i światowa zawierucha, jeśli przystąpi do niej po stronie Niemiec Japonia.

— Nie ma szans na kompromis? A jeśli sam Gdańsk zdołałby zadowolić Hitlera?

— Nie zadowoli, gdyż on nie chce Gdańska, Śląska, korytarza przez Pomorze i czegoś tam jeszcze, on chce wojny, przebiera do niej nogami jak klacz, która nie może doczekać się ogiera. Wybacz, Eryko, to trywialne porównanie, nic innego nie przyszło mi w tej chwili do głowy.

— A zatem, co z nami będzie? — powiedziała to jakoś cicho, niezbyt wyraźnie.

— Jeśli nasza miłość wytrzyma tę próbę... — zawiesił głos.

— Chciałabym coś dla ciebie zrobić, gdybym się przypadkiem czegoś dowiedziała.

— Wykluczone, pod żadnym pozorem nie pozwolę ci się mieszać do moich spraw — powiedział nieustępliwie.

— Tego mi nie zabronisz — wybuchła — gdyby Tomasz znalazł się w niebezpieczeństwie, przyjdę mu z pomocą, on nas z sobą poznał i błogosławię tę chwilę, chociaż przeminęła zwiewna i ulotna, zanim zdążyłam rozsmakować się w naszym uczuciu. Nie czujesz się zgorszony tym, co powiedziałam? Dobrze wychowana panna z wyższych sfer głosi pochwałę występnej miłości! Nie wstydzę się jej, chwile, które z tobą przeżyłam, jakże krótkie i okrutnie przerwane, zaliczać będę zawsze do najpiękniejszych w mym życiu. I jeszcze dodam, że nie przestanę na ciebie czekać, gdy wyjdziemy cało z tej nawałnicy, która, jak powiadasz, z pewnością wkrótce się rozpęta. Więcej o tym nie mówmy, ani o rozstaniu, należysz teraz do mnie, aż do jutra, nikt się tu nie zjawi przed obiadem.

Marzec 1939, Berlin

— Nie zgadnie pan, Schellenberg, na co mam dziś ochotę — głos wszechwładnego szefa Urzędu Bezpieczeństwa zabrzmiał zagadkowo. Jego podkomendny zmarszczył brwi, co miało oznaczać, że pogrąża się w intensywnych rozmyślaniach.

— Jeśli mam być szczery, to nic konkretnego nie przychodzi mi do głowy — powiedział po krótkim namyśle.

— Wobec tego niech pan przyjmie do wiadomości, że pragnę na dwadzieścia cztery godziny zapomnieć o tym wszystkim, co mnie otacza i w ogóle o naszej służbie. Dokonaliśmy wielkiej rzeczy, Schellenberg, i należy nam się chyba chwila wytchnienia — nie czekając na odpowiedź swego rozmówcy dodał — czy byłby pan skłonny mi towarzyszyć w prywatnej przechadzce po miłych sercu przybytkach?

— Z całą przyjemnością, Herr Gruppenführer — Schellenberg skłonił głowę ruchem wyrażającym głęboki szacunek.

— Ma pan jakieś interesujące propozycje?

— Właściwie tylko jedną.

— Słucham, niech pan się nie krępuje.

— „Salon Kitty".

W odpowiedzi Heydrich wybuchnął głośnym śmiechem:

— A to dobre! Czy mamy podsłuchiwać samych siebie? Nie po to chyba zorganizowaliśmy ten luksusowy burdel, aby zastawić na nas samych pułapkę — nie przestawał się śmiać. — Słyszał pan, że ostatnio zarejestrowano na płytach pobyt w salonie Reichsführera, który chciał się osobiście przekonać, jak funkcjonuje instytucja skłaniająca do rewelacyjnych wynurzeń swych kochliwych klientów. Trafił właśnie na jego biurko szczegółowy raport o wyczynach w „Salonie Kitty" zięcia Mussoliniego. To, co wyprawiał do swoich nadobnych partnerek pan minister Ciano, przechodziło ludzkie pojęcie i nawet Reichsführera, zahartowanego w czytaniu pikantnych meldunków o popisach różnych osobistości, przyprawiało o wypieki.

— Nam to nie grozi — oświadczył rozbawiony Schellenberg — osobiście dopilnuję, by został wyłączony dopływ prądu do głównego zasilacza urządzeń podsłuchowych i sprawę będzie można uznać za załatwioną.

— Bardzo proste i logiczne rozwiązanie — pochwalił

Heydrich — a sam pomysł odwiedzin naszego salonu uważam również za niezwykły, dawno tam nie byłem, podobno wzbogacili znacznie zestaw trunków.

— Panienek też, proszę mi wierzyć — Schellenberg ściszył głos przybierając konfidencjonalny ton.

— Czuję, że jest pan tam częstym gościem — Heydrich się cieszył jak z udanej psoty.

— Tylko służbowo — zastrzegł się jego rozmówca — ktoś przecież musi dopilnować interesu.

Obaj jednocześnie się roześmiali.

— Herr Gruppenführer, przy telefonie Parteigenosse Henlein — w drzwiach pojawił się bezszelestnie wyciągnięty jak struna adiutant.

— Świetnie, proszę niezwłocznie przełączyć rozmowę do mojego gabinetu — wstał z fotela ruszając w głąb obszernego pomieszczenia, gdzie stało pod oknem biurko. Jeden z kilku tkwiących na lśniącym blacie telefonów wydał odgłos przypominający pobekiwanie owcy.

— Halo! Tak, to ja — zgłosił się podnosząc słuchawkę — dzień dobry Henlein, chciałem panu złożyć serdeczne gratulacje z powodu kompleksowego rozwiązania problemu czeskiego. Oczywiście, że Słowacy pomogli, ksiądz Tiso spisał się znakomicie, to prawda, ale najbardziej zasłużyli się nasi chłopcy, pańscy i moi — słuchał przez chwilę — to bardzo miło z pańskiej strony, dziękuję za zaproszenie ale w tej chwili nie mogę pana odwiedzić. Zdaję sobie sprawę, jak pięknie jest w marcu w górach, śnieg i słońce, ale pilne zajęcia zatrzymują mnie. Wybiera się pan na zapowiedzianą wizytę? Wkrótce? Pamięta pan o naszej umowie? Dziękuję, że mogę na panu polegać. Do zobaczenia, Henlein, u mnie w Berlinie, mam interesującą propozycję spędzenia mile czasu.

— Oczywiście w „Salonie Kitty" — dodał Schellenberg kiedy Heydrich odłożył słuchawkę.

— To pański wpływ, jeszcze trochę i zaproszę Führera — chyba zaraz pożałował tych słów, bo chrząknął pochy

jając się nad papierami rozłożonymi na biurku. Jego gość siedział przez chwilę w milczeniu, po czym podniósł się i przybierając zasadniczą postawę zapytał:

— Czy mogę się odmeldować, Herr Gruppenführer?

— Tak — odpowiedział nie podnosząc oczu znad papierów, dopiero gdy tamten otwierał drzwi, dodał — za pół godziny proszę na mnie czekać w sekretariacie. Odwiedzimy starą, kochaną Kitty.

Przy szatni czekał na nich nominalny właściciel nocnego lokalu, który faktycznie był funkcjonariuszem SD i pobierał pensję w Urzędzie Bezpieczeństwa Rzeszy.

— Jaką niespodziankę pan nam dziś szykuje? — przywitał go pytaniem Heydrich.

— Byle nie taką, jaką zgotował pan hrabiemu Ciano — uzupełnił swego szefa Schellenberg.

— Jakżebym śmiał — tamten przestępował z nogi na nogę zmieszany.

— Gdzie pan nas zaprowadzi? — Gruppenführer zerknął do lustra wyrównując swoje gładko uczesane włosy.

— Chciałbym wpierw pokazać album zawierający zdjęcia naszych nowych nabytków — wskazywał im drogę zgięty w niskim ukłonie.

— To może być ciekawe — zarechotał Heydrich. Gospodarz powiódł ich do dużego salonu zalanego światłem padającym z lamp zawieszonych na ścianach, ozdobionych jedwabnymi abażurami w ciemnokrwistym odcieniu. Identycznej barwy były tapety, którymi wyłożono ściany salonu, oraz obicia miękkich mebli, kanap i foteli. Pokój był niemal pusty, jedynie w samym kącie przy oknie siedziała para, sporej tuszy mężczyzna w surducie i młoda kobieta w białej toalecie odcinającej się wyraźnie od wnętrza amarantowego pokoju. Obaj przybysze, w cywilnych ubraniach, w które zdążyli się przebrać po drodze z biura do „Salonu Kitty", skłonili się podążając w ślad za swoim przewodniem. Rozsunął kotarę zastępującą drzwi i wprowadził ich

do wąskiego korytarzyka. Zamykał się lustrem, które w bocznej ramie miało niewidoczny na pierwszy rzut oka przycisk. Kiedy gospodarz go uruchomił, rama wraz z lustrem odskoczyła w głąb, ukazując niewielkie wnętrze przypominające damski buduar.

— Oto nasze ślicznotki — podsunął Heydrichowi album oprawny w jasnobrązową skórę.

— Kim jest ta blondynka? — wskazał palcem jedno ze zdjęć.

— Szwedka, miała ponoć u swych stóp cały męski Sztokholm.

— Powinna być w pańskim typie, nieprawdaż, Schellenberg? Podobna do mojej żony — zabrzmiało to dwuznacznie, wprawiając w zakłopotanie zapytanego, który w odpowiedzi jedynie chrząknął. — A ta druga, jakby przeciwstawienie Szwedki, ciemna, ognista, niczym Cyganka.

— Uchowaj Boże — pośpiesznie zaprzeczył gospodarz — Hiszpanka z dobrego domu, jej przodkowie spokrewnieni byli z Izabelą Katalońską.

— Odpowiada mi — zawołał Gruppenführer — gdzie pan ją ma?

— Niestety — tamten się zająknął — obie dopiero się zjawiły w Berlinie i przechodzą aklimatyzację.

— Czy może być lepszy sposób na adaptowanie się do nowych warunków, niż nasze towarzystwo? — Heydrich uniósł lewą brew z wyrazem najwyższego zdumienia. — Schellenberg, niech pan potwierdzi na co nas stać, wprowadzanie w życie panienek z dobrego domu to nasza specjalność!

— W samej rzeczy — potwierdził wywołany.

— No więc — nacisnął zdecydowanie pulchnego mężczynę z nieszczęśliwą miną.

— Zgodnie z przyjętą zasadą daliśmy im parę groszy i wolną rękę do jutra.

— Błąd, niewybaczalny błąd — uniósł się Heydrich —

gdzie je możemy odnaleźć? Postawię na nogi policję berlińską.

— Nie będzie potrzebna — wystraszył się nie na żarty gospodarz — niewykluczone, że o tej porze zastaniemy je w hotelu.

— Schellenberg — zwrócił się do swego podkomendnego, który od chwili poczynienia przez Heydricha aluzji na temat swojej żony stracił wyraźnie humor i ochotę do rozmowy — pojedziecie obaj niezwłocznie do tego hotelu i przywieziecie panienki, mam dziś ochotę się zabawić — ostatnie słowa wymówił z naciskiem. — Jak się pan dobrze spisze, pozostawię panu pierwszeństwo wyboru partnerki, choć nie ukrywam, że wpadła mi w oko utytułowana Hiszpanka.

Gospodarz, zanim wyszedł, zaoferował Heydrichowi damskie towarzystwo, ale ten kategorycznie odmówił.

— Sam poszukam sobie jakiegoś ustronnego miejsca i wypiję za powodzenie waszej misji. Urządził pan drugi bar, jak to zalecałem? — zwrócił się do niego z pytaniem.

— Nawet dwa, oprócz głównego — pospieszył z odpowiedzią.

— Sprawdzę ich walory.

Wrócił do czerwonego gabinetu, w którym w międzyczasie nieco się zaroiło, oprócz trzech par zajętych sobą, starsza matrona wygrywała na pianinie sentymentalne melodie, druga, niewiele młodsza, zawodziła jakąś piosenkę. Wyszedł czym prędzej na korytarz wdrapując się na piętro. Zaraz na wprost schodów natknął się na otwarte szeroko drzwi. Dochodziły zza nich skoczne dźwięki. Zajrzał do środka. Za ladą królował mężczyzna w aksamitnym smokingu, który na widok wchodzącego złożył mu głęboki ukłon. Patefon ustawiony na ladzie umilkł jak na zawołanie.

— Czym mogę służyć? — zdjął z półeczki kieliszek na wysokiej nóżce.

— Ma pan francuski koniak? — zapytał go.

— Oczywiście — zamienił kieliszek na pękaty, wsparty na krótkiej nóżce pucharek, sięgając po jedną z wielu butelek ustawionych rzędem na najwyższej półce. Heydrich rozejrzał się. Obok, przy ladzie, siedziała dziewczyna, jedną ręką podpierała podbródek, w drugiej trzymała szklankę z wpuszczoną do niej słomką.

— Niech mi pan da dwa kieliszki koniaku — zdecydował się nagle. Kiedy barman mu je podał, ujął w palce i podszedł do dziewczyny, stawiając jeden z nich przed nią.

— Pani pozwoli? — skłonił się.

— A skąd pan wie, czy mam na cokolwiek ochotę?

— Nie zwykłem się pytać, jeśli ja na coś mam — usiadł koło niej na jednym z wolnych stołków.

— Zaraz widać, że pan to gruba ryba — nie wyrażała się zbyt wytwornie, ale była ładna. — Jak tylko zobaczyłam barmana zginającego się w ukłonie, pomyślałam sobie, że trzęsie przed panem portkami.

— Domyślna jesteś i podobasz mi się — podsunął jej kieliszek, który wychyliła do dna.

— Jeśli już mamy się zabawić, to proszę powtórzyć.

Przywołał barmana, który napełnił opróżniony kieliszek. Wypiła i zakrztusiła się.

— Widać wpadło ci nie do tej dziurki — roześmiał się. — Mam na ciebie coraz bardziej ochotę.

— Wszystko będzie okay, ale teraz na chwilę pana opuszczę — zsunęła się ze stołka zabierając się do odejścia.

— Tylko pamiętaj, dziecino, że czekam na ciebie, a przede mną się nie ukryjesz, znajdę cię chociażby pod ziemią.

— Nie wątpię — mruknęła — ma pan to wypisane na twarzy, wrócę najdalej za kwadrans.

— Mam płyty z najnowszymi nagraniami — powiedział barman podsuwając Heydrichowi znów pełny kieliszek.

— Pewnie tego Żyda Gershwina — parsknął Gruppenführer — kiedy tu wchodziłem, obiło mi się coś o uszy.

— Niekoniecznie — odpowiedź barmana można było sobie różnie tłumaczyć.

— Niech pan zagra — zgodził się łaskawie. Kiedy zabrzmiały pierwsze dźwięki fokstrota, rozejrzał się zatrzymując wzrok na mężczyźnie, który właśnie wszedł do baru i zajął fotel pod ścianą. Heydrich ujął dwoma palcami kieliszek kierując się w stronę drugiego wolnego fotela. Usiadł odwrócony do mężczyzny bokiem i poruszał rytmicznie nogą do taktu melodii rozbrzmiewającej z patefonu.

— Będę pana wkrótce potrzebował. — Na te słowa siedzący obok Heydricha mężczyzna, którego twarz ukryta była w cieniu, natychmiast zareagował.

— Jestem do dyspozycji, Herr Gruppenführer.

— Nie powiedziano panu, że tu nie ma stopni?

— Od tej chwili będę o tym pamiętał.

— Pierwszy raz pan tutaj?

— Ale mam nadzieję, że nie ostatni.

— Podoba mi się pan, niewykluczone, że będzie pan potrzebny do grubszej roboty, po której albo pan wyfrunie w górę, albo spadnie w dół, ale o interesach porozmawiamy gdzie indziej, może jutro, albo za tydzień, jest pan gotów?

— Kiedykolwiek i gdziekolwiek.

Do baru wkroczyła wpierw dziewczyna, z którą przed chwilą Heydrich prowadził pogawędkę, a zaraz za nią zajrzał Schellenberg z miną zdobywcy.

— Czy może mi pan zrobić przysługę, Naujocks, i zająć się tą panią, czekają na mnie, niestety, inne zajęcia — Heydrich zwrócił się do siedzącego obok mężczyzny, wskazując głową wchodzącą.

— Z przyjemnością, jest w moim typie — odpowiedział tamten bez chwili zastanowienia.

— Niech pan czeka na sygnał — Heydrich wstał z fotela kierując się ku wyjściu.

— Poprosiłem panów ze względu na wydarzenia najwyższej wagi, jakie miały miejsce w ostatnich dniach. — Mężczyzna w mundurze generalskim, który powiedział te słowa, powiódł wzrokiem po gromadce oficerów zajmujących miejsca przy stolikach rozstawionych w niewielkiej salce. — Pierwsze nie jest dla nikogo tajemnicą i wiąże się ściśle z wkroczeniem wojsk niemieckich do Czech i na Morawy, drugie natomiast wymaga zachowania całkowitej tajemnicy. Otóż Rzesza Niemiecka zgłosiła oficjalnie kanałem dyplomatycznym roszczenia pod naszym adresem dotyczące Gdańska, korytarza przez Pomorze i przyłączenia się Polski do paktu antykominternowskiego. Nie jesteśmy zainteresowani rozgłaszaniem bezzasadnych żądań niemieckich wierząc, że nasze zdecydowane, negatywne stanowisko poskutkuje jak zimny prysznic na rozpalone głowy. Byliśmy świadomi zagrożenia niemieckiego, ale nie spodziewaliśmy się, że objawi się tak rychło. Niewielkim pocieszeniem jest fakt, że MSZ popełniło analogiczny błąd. No cóż, dali się oszukać nawet tacy wytrawni dyplomaci, jak ambasador Lipski czy konsul w Lipsku Chiczewski. Również nasz attaché w Berlinie, doświadczony pracownik wywiadu podpułkownik Szymański zasugerował się, że ruchy wojsk związane są z manewrami wiosennymi wermachtu. Tymczasem pomaszerował wprost na Pragę. Jednocześnie sformułowano pod naszym adresem kategoryczne żądania terytorialne i polityczne. Przyznaję, że stanowią dla nas zaskoczenie. Wódz Naczelny podjął odpowiednie decyzje, między innymi wzmocnienia zachodniej granicy w drodze częściowej mobilizacji. Rozpoczęły się przygotowania obronne w dowództwach i sztabach poszczególnych armii. Zadania wyznaczył im osobiście marszałek Rydz-Śmigły, ja jako szef Sztabu Głównego będę się zajmował ich bieżącą kontrolą. Oddział II podejmie niezwłocznie obserwację wszelkich ruchów wojsk niemieckich, zwłaszcza jednostek pancernych

i lotniczych. Przy okazji przedstawiam panom nowego szefa II Oddziału, pułkownika dyplomowanego Józefa Smoleńskiego — od jednego ze stolików podniósł się barczysty oficer i sztywno się ukłonił. — Rozpoznanie sił potencjalnego przeciwnika, jego zamiarów strategicznych, to aktualnie najważniejsza sprawa. Jestem pewien, że II Oddział poradzi sobie z nią, podobnie jak z tyloma innymi trudnymi zadaniami w przeszłości.

— Panie generale Stachiewicz, czy mogę o coś zapytać? — zabrał głos przedstawiony przed chwilą pułkownik.

— Proszę bardzo.

— Czy ja czegoś nie przeoczyłem przejmując swoje obowiązki, oddział ma szczegółowy plan działania na wypadek agresji ze wschodu, natomiast...

— Nie przeoczył pan, co nie oznacza, że nie istnieje analogiczny plan, powiedzmy zachodni, wymaga tylko pewnych uściśleń. Porozmawiamy na ten temat bezpośrednio po zakończeniu narady.

— Rozumiem — pułkownik usiadł z powrotem na krześle.

Generał rozejrzał się jakby oczekując dalszych pytań.

— Fakty, o których nadmieniłem, nakładają na nas obowiązek podjęcia niezwłocznych przygotowań do odparcia agresji, ale same w sobie jeszcze niczego nie przesądzają. Nadal podtrzymuję to, co powiedziałem w waszym gronie jesienią ubiegłego roku, że Hitler znajduje się pod różnymi wpływami: sił zdecydowanie nam nieprzychylnych, prących do wojny i bardziej pojednawczych. Ścierają się ze sobą, walczą o wpływy. Która z nich zwycięży, nie sposób przewidzieć. Musimy po prostu zrobić wszystko, aby się dobrze przygotować na wypadek wojny z Niemcami, ale broń Boże nie wspierać berlińskich jastrzębi, nie dać im do ręki argumentów, na które być może niecierpliwie czekają. Jestem całkowicie zgodny z kolegami z MSZ, aby nie drażnić Niemców.

Do sali wszedł oficer z kartką papieru, którą podał generałowi. Ten zerknął na nią przelotnie, po czym oświadczył:

— Zrobimy teraz przerwę, po której szefowie oddziałów oraz ekspozytur trzeciej i czwartej przedstawią swój punkt widzenia w omawianej kwestii.

Druga część konferencji rozpoczęła się z poważnym opóźnieniem, z uwagi na przedłużającą się nieobecność generała Stachiewicza wezwanego do Naczelnego Wodza. Dopiero wieczorem szef sztabu wrócił do swego gabinetu. Połączył się telefonicznie z żoną, po czym zabrał się do przeglądania najpilniejszych meldunków, które napłynęły w ciągu dnia. W pewnym momencie drzwi bezszelestnie się uchyliły i w progu stanął adiutant. Zachęcony przez generała podszedł do biurka.

— Czy pan major Pawlik ma nadal czekać? — zapytał.

— Prosić, niezwłocznie prosić — Stachiewicz się ożywił. Po chwili rozmawiali siedząc przy stoliku, na którym adiutant ustawił dwie filiżanki z kawą.

— Przyznam się panu, majorze, że czuję się zmęczony dzisiejszym dniem — generał przejechał dłonią po czole.

— Może moja wizyta nie jest w porę? — zatroszczył się Pawlik.

— Skądże — Stachiewicz pospiesznie zaprzeczył — w końcu to ja pana tu ściągnąłem z Krakowa.

— Właśnie, panie generale, pozwolę sobie zauważyć... — major wiercił się niespokojnie na krześle, jakby wyjawienie czegoś przychodziło mu z wielkim trudem.

— Że był pan zaskoczony zaproszeniem na dzisiejszą konferencję zamiast pańskiego bezpośredniego przełożonego? — wpadł mu w słowo. — Otrzymał akurat inne pilne zadanie.

— Ja bardzo sobie cenię wyróżnienie, jakie mnie spotkało, ale zarazem i współpracę z moim szefem, którą dopiero rozpoczynam i nie chciałbym zaraz na wstępie narazić jej na szwank.

— Wypowiada się pan zawile, jak przystało na długoletniego dyplomatę, ja natomiast odpowiem krótko: nie pora na towarzyski kontredans, gdy zagląda nam w oczy śmiertelne niebezpieczeństwo. Tymczasem mam dla pana zadanie specjalne, nikt się do niego nie nadaje lepiej od pana — dodał widząc, że jego rozmówca zamierza coś powiedzieć. — Będzie pan działał na pograniczu, powiedzmy w rejonie wpływów armii „Kraków", z kim pan chce utrzymać kontakt tutaj, w centrali? Oczywiście będę informowany na bieżąco o wszystkich pana poczynaniach, ale z uwagi na nawał pracy potrzebny jest jeszcze łącznik między mną i panem, na wszelki wypadek. Wchodzi w grę ktoś doświadczony w służbie wywiadowczej i jeśli to możliwe, pański przyjaciel, powiedzmy dobry znajomy — poprawił się. — A więc kto?

— Może podpułkownik Poganowski? — odpowiedział po chwili namysłu Powlik.

— Doskonała kandydatura — ucieszył się Stachiewicz. — Prawdziwie szczera, słowiańska natura i kawalerzysta na schwał, ale w naszym fachu człowiek również sprawdzony, zgadzam się. Może pan ma ochotę na coś mocniejszego do kawy?

— Dziękuję, jest już późno, a pan generał zmęczony, nie chciałbym zabierać czasu — sumitował się major.

— Wygłaszając zagajenie na dzisiejszej konferencji — Stachiewicz pominął jego słowa rozparłszy się wygodnie w fotelu — odniosłem wrażenie, że nie jest pan zaskoczony rozwojem wydarzeń, czyż nie tak? — lustrował go baczným spojrzeniem.

— Prawdę mówiąc przewidywałem niektóre z nich — odparł tamten nie speszony.

— Kiedyś, jeśli nam się nie powiedzie, nie wybaczą nam naszej krótkowzroczności — generał wpatrywał się teraz w jakiś punkt ponad głową majora — wypełnialiśmy przecież testament Józefa Piłsudskiego, którego zasług poniesionych dla odrodzenia niepodległego bytu Polski nie ne-

gują nawet jego najwięksi oponenci. Polityka zagraniczna państwa, którą w ostatnich latach zwykło się wiązać z osobą ministra Becka, była również niczym innym jak realizacją duchowej spuścizny „Dziadka". Myśmy po prostu byli wierni ślubowaniu złożonemu nad trumną marszałka, a w tej chwili z rozpaczą w sercu spoglądamy na swoje dzieło, jeśli oczywiście dojdzie do tego najgorszego. Nadal pan uważa, że Niemcy są gotowi wywołać wojnę, jeśli nie ugniemy się pod ich presją?

— Jestem głęboko przekonany, że nic ich od tego nie odwiedzie, nawet udzielone nam gwarancje zachodnich sojuszników i możliwość wybuchu konfliktu europejskiego — major zachował grzeczny, ale stanowczy ton.

— Meldunki, które właśnie odebrałem, potwierdzają pańskie słowa. A mimo to czy nie jesteście w błędzie? — generał użył liczby mnogiej mając widać na uwadze również innych zwolenników poglądów wyrażanych przez majora. — A jeśli okaże się, że Hitler stosuje metodę napinania struny do granic jej wytrzymałości, a właściwie naszej wytrzymałości psychicznej? A zastawszy nas nieugiętych, zarazem zaś spokojnych i nie dających się ponieść emocjom, wycofa się?

— W podobnym duchu przekazuje instrukcje Ministerstwo Spraw Zagranicznych swoim podwładnym, nie podzielam zawartych w nich poglądów, ponieważ utrudniają nam pracę.

— Co pan ma na myśli? — zainteresował się generał.

— Chociażby wstręty czynione nam przy werbunku współpracowników wśród naszych rodaków zamieszkałych na terenie Rzeszy — odpowiedział major.

— O ile wiem, nie respektowaliście zbytnio zaleceń MSZ — roześmiał się Stachiewicz.

— Podobnie rzecz się miała jeśli chodzi o wykorzystanie kanałów wywiadowczych byłej armii naszego południowego sąsiada. Torpedowano próby nawiązywania kontaktów z oficerami wywiadu czeskiego.

— Osobiście byłem temu przeciwny — nieoczekiwanie ostro zareagował generał. — Nie dalej, jak parę dni temu, udzieliłem nagany pułkownikowi Zakrzewskiemu, naszemu attaché w Bukareszcie, za samowolne poszukiwanie współpracy z Czechami. W jednym państwie nie może istnieć kilka polityk zagranicznych — przerwał, a ponieważ Pawlik się nie odzywał, zagadnął go wręcz — jest pan innego zdania, panie majorze?

— Wydaje mi się, że nie trzeba zaraz zmieniać polityki państwa, aby wykorzystać taki czy inny kontakt lub przejąć jakiegoś agenta — mówił wolno, jakby z ociąganiem.

— Słucham pana — zachęcił go gospodarz.

— Od oficerów czeskich, którzy chroniąc się przed niemiecką inwazją dotarli do Krakowa, otrzymaliśmy w tych dniach szereg cennych wskazówek, nie widzę nic uwłaczającego w tym, aby z nich skorzystać. Raport w tej sprawie skierowaliśmy z pułkownikiem Zdunem bezpośrednio na pańskie ręce.

— Na temat naszego szyfru dyplomatycznego, przechwyconego ponoć przez Niemców? Tak, czytałem, sprawa zostanie potraktowana z najwyższą powagą — potwierdził generał. — Czy nie uważa pan, że pułkownik Poganowski winien się nią również zająć? Byłby to dla niego chrzest bojowy w temacie, który wam wspólnie zlecam.

— Jeśli mamy ze sobą ściśle współpracować, to rzeczywiście pomysł przedni — przytaknął major.

— Pamięta pan ostrzeżenie pod moim adresem dotyczące prowokacji na wzór zorganizowanych przez Niemców w czasie ubiegłorocznego kryzysu sudeckiego? — zapytał go. — Przewidywał pan możliwość powtórzenia ich na naszym pograniczu.

— Nadal podtrzymuję to, co powiedziałem — Pawlik zapewnił generała.

— Otóż razem z Poganowskim postaracie się pokrzyżować Niemcom plany, oczywiście nie sami, mając do dyspozycji cały nasz aparat, siatkę wywiadowczą i kontrwywiad.

/

Wykorzysta pan swoje bogate doświadczenie, kilkuletni pobyt w Rzeszy, do opracowania naszej strategii. Musimy być przygotowani na wypadek podjęcia przez Niemców tego typu działań dywersyjnych jak w Sudetach.

— Jestem zaszczycony pańskim zaufaniem, nie wiem tylko, czy podołam — zastrzegł się major.

— Ależ oczywiście, powiedziałem już, że otrzyma pan odpowiednie wsparcie — uspokoił go generał. — Co zaś się tyczy naszych nieszczęsnych pobratymców z południa, spieszę pana uspokoić, że nie odrzucam poważnych ofert, w związku z czym odpowiedziałem pozytywnie na propozycję spotkania się z przedstawicielem kierownictwa II Oddziału Armii Czechosłowackiej, który schronił się w naszym kraju. Nie mogę jednak pozwolić, by kontakty takie rodziły się spontanicznie, wbrew naszej ogólnej polityce niezadrażniania i tak już napiętych stosunków z III Rzeszą.

— Rozumiem, jestem głęboko zobowiązany za te słowa — major zareagował spontanicznie, lecz zawstydził się rychło swych słów, bo chrząknął zmieszany, ale Stachiewicz przyszedł mu z pomocą uśmiechnąwszy się nieznacznie.

— Dziękuję panu za rozmowę, a jutro zapraszam ponownie do siebie, już razem z pułkownikiem Poganowskim. Zamierzam zaproponować któremuś z was pilny wyjazd do Pragi, pan wie, że likwidujemy naszą ambasadę.

— Domyślam się, jeśli uległo likwidacji państwo, przy którym działała...

— Otóż to, warto się rozejrzeć na miejscu, dopóki jeszcze personel w komplecie, nie uważa pan? — indagował majora generał.

— Z pewnością, lepiej będzie jednak, gdy uda się tam pułkownik Poganowski, jestem zbyt dobrze znany Niemcom, aby moje nagłe pojawienie się w Pradze nie zwróciło ich uwagi.

— Słusznie, widzę, że przystąpił pan już do realizacji powierzonego zadania, rozumując kategoriami operacyjnymi.

Do zobaczenia jutro, być może poproszę również na konferencję pułkownika Smoleńskiego. Będziemy wtedy w gronie kompetentnych osób do podjęcia niezbędnych decyzji.

Marzec 1939, Berlin

— Czego tam szukasz, kochanie? Ja jestem tu, w twoim łóżku.

W odpowiedzi Naujocks machnął ręką jakby się opędzał od natrętnego owada i tkwił dalej za firanką zerkając przez okno na niezbyt ruchliwą ulicę. Wpadł mu w oko mężczyzna w okrągłej czapce pracownika znanej berlińskiej firmy trudniącej się dostawą towarów do domu, który zachowywał się jakoś dziwnie. Rozmawiał przez chwilę z pokojówką, która wyszła z willi stojącej naprzeciwko, ale nieustannie zerkał w stronę okien mieszkania, gdzie wynajmowała pokój dziewczyna poznana poprzedniego wieczoru w „Salonie Kitty". Sylwetka owego posłańca wydała mu się podejrzana. Szerokie bary rozpychały ceratową kapotę, stał w rozkroku jak bokser oczekujący na swego przeciwnika w ringu.

— Słuchaj Helga, podejdź do mnie i zerknij na tego typa, tam w dole. — Z ociąganiem, pomrukując coś niezbyt przychylnego pod nosem zbliżyła się z narzuconą na nagie plecy kołdrą. — Widziałaś go tu kiedyś?

— Nigdy, zazwyczaj zjawiał się wysuszony staruszek miał czasami do pomocy kilkunastoletniego wyrostka, widocznie firma ma nowego posłańca.

— Tylko która, ze śmiechu byś się nie pozbierała, gdybyś wiedziała co to za firma — parsknął odchodząc od okna.

— W coś ty się wplątał? — zaniepokoiła się. — A może cię poszukują?

— Posłuchaj, laleczko, znasz się na swoim fachu aż serce

rośnie, dlatego licz na mnie również w przyszłości, ale moim się nie interesuj, zapomnij, że mnie w ogóle na oczy widziałaś, nie wiesz kim jestem, poderwałem cię, a potem poszliśmy razem do ciebie i kiedy się obudziłaś, już się ulotniłem, zrozumiałaś? — ujął ją dwoma palcami pod brodę.

— Tak źle z tobą? — była wystraszona nie na żarty.

— Bynajmniej, ale póki co, zastosuj się do tego, co powiedziałem — zaczął się pospiesznie ubierać.

— A jak się nazywasz? — zainteresowała się — No, przynajmniej jak ci na imię? — poprawiła się widząc jego minę.

— Konrad, jeśli ci na tym zależy. Bywasz często w „Salonie Kitty"?

— Codziennie, chyba, że ktoś się mną zajmie na dłużej, liczyłam na ciebie — wypomniała mu.

— Nic straconego, laleczko, wyzwoliłaś we mnie taką głębię uczuć, że z pewnością się jeszcze zjawię, a na razie zapamiętaj sobie dobrze moje słowa. Czy z tego domu jest jeszcze inne wyjście? — zapytał zawiązując krawat.

— Właściwie nie, chyba żeby... — zawahała się.

— Co chyba — przynaglił ją.

— Wyskocz z okna w sieni do ogrodu na tyłach naszego domu, tylko że właściciel ma psy, które spuszcza z łańcucha, ale po zmierzchu — poprawiła się.

— A teraz świeci jasno słońce, miejmy więc nadzieję, że ich nie spuścił, do zobaczenia laleczko, wspominaj mnie równie dobrze jak ja ciebie— wykonał ruch jakby zamierzał jej zasalutować i wyszedł, a ona ziewnąwszy wróciła do łóżka rozciągając się wygodnie.

Helmuth Naujocks, zsuwając się ostrożnie po murze do ogrodu zastanawiał się, jaki cel miało nasłanie mu opiekuna, bo nie miał wątpliwości, że rzekomy posłaniec był funkcjonariuszem SD albo gestapo. Czyżby stał się nagle tak cenny dla samego Gruppenführera? Po co kazał mu się wpierw stawić w „Salonie Kitty", a potem zamieniwszy zaledwie kilka słów naraił dziewczynę, którą wtedy po raz

pierwszy zobaczył na oczy? Nawiasem mówiąc, jeszcze nie widział Heydricha w tak szampańskim nastroju. Wkrótce się upił wyśpiewując w barze sprośne piosenki. Naujocks wolał nie być zbyt długo świadkiem pijackich popisów swego szefa, przed którym czuł wielki respekt. Helga wynajmowała pokój na sąsiedniej ulicy. Wymknęli się niepostrzeżenie z baru opuszczając rychło lokal. Obudziwszy się rano podszedł wiedziony niezawodnym instynktem do okna i wówczas od razu zwrócił uwagę na mężczyznę myszkującego po ulicy. Na wszelki wypadek postanowił niezwłocznie opuścić przytulne gniazdko Helgi, chociaż dziewczyna wybitnie przypadła mu do gustu. Był akurat sam, tak się bowiem złożyło, że po ostatniej przygodzie nie znalazł sobie stałej partnerki i Helga trafiła mu się w samą porę. Miał ochotę pozostać z nią dłużej, ale wobec tej nieprzewidzianej okoliczności... Pochłonięty rozmyślaniami przemknął nie zauważony przez ogród. Na końcu, w samym rogu, znajdowała się drewniana szopa przylegająca do żelaznego parkanu. Wspiął się zwinnie na dach szopy i stwierdziwszy, że nie ma w pobliżu nikogo, zeskoczył na chodnik. Co też teraz porabia Reinhard Heydrich, czy rzeczywiście aż tak bardzo interesuje się jego skromną osobą? Jaką mu szykuje niespodziankę? Co knuje?

Gdyby wiedział, odetchnąłby z pewnością z ulgą, a może i wrócił do rozkosznie przeciągającej się w pościeli Helgi. Gruppenführer kontynuował bowiem rozpoczętą jeszcze poprzedniego dnia prywatną przechadzkę po miłych sercu przybytkach, pozbywszy się jedynie towarzystwa Schellenberga, który okazał się nie dość wytrwały jak na gust swego przełożonego. Heldze zaś złożył wizytę funkcjonariusz Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy, z którym już miała widać wcześniej do czynienia, bo zachowywał się jak stary dobry znajomy.

— Jak to, nie wiesz kim był twój gość, ani kiedy się ulotnił? A swoje obowiązki znasz? — nagabywał ją dość bezceremonialnie.

— A co, może miałam go wylegitymować albo przywiązać za nogę? — wybuchnęła ze złością — żeby mnie ugryzł? Szczerzył kły jak nie przymierzając ty, już ja się znam na takich gagatkach, wszyscy jesteście po jednych pieniądzach...

— Uspokój się, Helga, złość piękności szkodzi — wyraźnie spuścił z tonu usiłując ją udobruchać. — Będziesz miała z nim częściej do czynienia, nie powiesz mi, że ci się nie spodobał, chłopak jak się patrzy, do rzeczy.

— Biegać za nim ani myślę — burknęła z nadąsaną miną.

— Sam się zjawi, do takiej dziewczyny — usiłował ująć ją pod brodę, ale odtrąciła mu rękę — wówczas jednak będziesz miała oczy lepiej otwarte i uszy, języka w gębie też nie zapomnisz, musisz o nim wszystko wiedzieć: co robi, co mówi i co myśli. Przecież to potrafisz, prawda Helga? Jesteś najlepszą z naszych dziewczyn. Dostaniesz ekstra premię.

— Phi, takie grosze — wydęła pogardliwie wargi — w porównaniu z tym, co zarabiają te zagraniczne wydry w naszym salonie.

— Nic się nie martw, prześcigniesz, je. Przyniosłem coś ze sobą — wyjął butelkę z kieszeni płaszcza — nie zaprosisz, żebym się rozgościł?

— O nie, jeśli będę miała teraz stałego narzeczonego, to nic z tego, fora ze dwora — natarła na niego ciałem pchając go ku wyjściu.

Kiedy Heydrich w trzy dni później wrócił do biura z podróży inspekcyjnej w teren, jak została usprawiedliwiona jego nieobecność, zadziwił wszystkich dobrym samopoczuciem i energią. Niezwłocznie zwołał na naradę szefów poszczególnych urzędów i wyższych funkcjonariuszy, tych samych, którzy brali udział w tajnej konferencji poświęconej przygotowaniom do antypolskich wystąpień.

— Moi panowie — oświadczył tytułem zagajenia — mam dla was miłą nowinę, Führer zaakceptował przedstawiony mu przeze mnie plan działania naszego sztabu. Tym samym możemy się uznać za ciało legalne, obdarzone specjalnymi posłannictwami w służbie Wielkich Niemiec, którego cele i zadania muszą pozostać okryte ścisłą tajemnicą. Czy w związku z tym macie panowie jakieś pytania?

— Czy nasz sztab przyjmie dla siebie jakiś kryptonim? — doktor Six był jak zwykle dokładny i skrupulatny.

— Nie ma o czym mówić, przecież już go ma — zaskoczył wszystkich Schellenberg — oczywiście „sztab Heydricha", przepraszam, Gruppenführer, za bezpośrednią formę, ale tak lepiej pasuje, pod tym kryptonimem przejdzie do historii biorąc pod uwagę ciężar gatunkowy podjętych spraw.

Niejeden z obecnych na sali pozazdrościł, błyskotliwemu autorowi wypowiedzi, która, sądząc po minie Heydricha, sprawiła mu przyjemność. Jego twarz rozjaśnił nawet uśmiech, ale tylko na chwilę, po czym znów zagościła na niej chłodna wyniosłość, która tak onieśmielała jego rozmówców, nie mówiąc o podwładnych.

— Moi panowie, aspekt historyczny zagadnienia pozostawmy przyszłym pokoleniom, nas obowiązuje rzetelne wywiązanie się z nałożonych zadań i całkowita tajemnica pod groźbą utraty głowy — słowa te zabrzmiały złowrogo wśród całkowitej ciszy. — Sztab będzie funkcjonował pod moim osobistym kierownictwem, pozostanie jednak bezimienny, gdyby się musiał zebrać w czasie mej nieobecności, zastępować mnie będzie doktor Best. A propos, czy zastosował pan już uzgodnioną metodę selekcji potrzebnych nam informacji?

— Tak jest, jest bardzo prosta i ułatwiająca pracę, zwłaszcza terenowym pracownikom — potwierdził szef Urzędu I — gromadzimy je według sześciu haseł: Niemcy w Polsce, Polacy w Niemczech, instytucje niemieckie

w Polsce, instytucje polskie w Niemczech, rejestr miejscowości i rzeczy.

— Jak przebiegają prace nad sporządzeniem kartotek? — spytał Heydrich.

— Są zaawansowane, biorąc pod uwagę ogrom przedsięwzięcia.

— Spożytkujemy je należycie — skomentował słowa swego zastępcy — element polski w Rzeszy poddamy ścisłej inwigilacji, likwidując w zarodku wszelkie przejawy buntu, natomiast element niemiecki w Polsce wciągniemy do szerokiej współpracy, między innymi do służby pomocniczej naszych oddziałów i grup operacyjnych postępujących wraz z wermachtem w głąb terytorium przeciwnika. Komu pan zlecił, Müller, opracowanie planu działania sił policyjnych i SD na przyszłych terenach okupowanych w Polsce? — zwrócił się do szefa gestapo.

— Kierownikom placówek położonych najbliżej polskiej granicy we Wrocławiu, Legnicy, Frankfurcie nad Odrą i Opolu.

— A nasze ekspozytury, doktorze Six?

— Pierwsze sprawozdania nadeszły ze wszystkich czterech, które zaangażowaliśmy do tej akcji, a mianowicie z nadrejonu Wschód z Berlina, z Północnego Wschodu z Królewca, z Północy ze Szczecina i z Południowego Wschodu z Wrocławia. Postanowiłem również zainteresować nadrejon w Düsseldorfie zachowaniem się Polaków zamieszkałych w zagłębiu nadreńsko-westfalskim i zatrudnionych głównie w górnictwie.

— Bardzo dobry pomysł — pochwalił go Heydrich. — A teraz, panowie, przechodzimy do najbardziej tajnej części naszego posiedzenia. Pozwolę sobie odczytać panom jedno zdanie ze studium wydziału operacyjnego naczelnego dowództwa wermachtu, opracowanego w czasie kryzysu sudeckiego w ubiegłym roku: „ze względu na ewentualne następstwa takiego postępowania, nie wchodzi w grę operacja zaczepna bez odpowiedniego pretekstu i bez wystar-

czającego uzasadnienia politycznego". Zważcie panowie, wermacht sformułował zadanie, które nam przypadło do realizacji. Tak było w Sudetach i tak będzie teraz, kiedy konflikt z Polską wchodzi w decydującą fazę. Żądamy Gdańska, który winien niezwłocznie wrócić do Rzeszy, kończąc tym samym żywot karykaturalnego tworu, jakim było Wolne Miasto pod międzynarodową kuratelą, oraz eksterytorialnego połączenia Rzeszy z Prusami Wschodnimi przez polskie Pomorze, zagrabione nam w rezultacie postanowień bezprawnego układu wersalskiego. Podkreślam, na razie, ponieważ mamy pełne prawo upomnieć się również o inne ziemie z niemieckim rodowodem, a także należne traktowanie naszych rodaków zamieszkałych w Polsce. Nasze słuszne ze wszech miar i historycznie uzasadnione żądania spotkały się jednak z wrogim przyjęciem Polaków, którzy odpowiedzieli wzmożonymi przygotowaniami wojennymi i nasileniem antyniemieckiej propagandy. Sprawa jest więc jasna. Damy Führerowi dowód polskiej zuchwałości i nieposzanowania prawa o zasięgu międzynarodowym. Rozpętamy taką kampanię, jakiej jeszcze świat nie widział, nie zawahamy się przed żadnym środkiem prowadzącym nas do celu, którym jest zdobycie przestrzeni życiowej na wschodzie. Jeśli kiedyś ktoś połączy nasze działania z moim nazwiskiem, sprawi mi z pewnością satysfakcję, ale dziś jestem tylko jednym z was, jednym z tysięcy bezimiennych oddanych bez reszty sprawie Wielkich Niemiec funkcjonariuszy naszej służby, których nie przypadkiem Führer obdarzył zaszczytnym hasłem: „Esesowcze, twoim honorem jest wierność". Myślę, że potwierdzimy czynem słuszność tej maksymy, właśnie teraz, gdy ważą się losy naszej ojczyzny, a może i świata, prawda panowie? — rozległ się aprobujący szmer. — Panowie, myślę, że wyraziłem się jasno, trzeba przycisnąć pedał gazu, mamy coraz mniej czasu, a coraz więcej obowiązków.

Bezpośrednio po zakończeniu narady poprosił do siebie Schellenberga.

— Coś mi nietęgo wyglądasz? — zagadnął go od progu. — Czyżbyś się niewłaściwie prowadził, niezgodnie z naszymi zasadami moralnymi?

— Jest pan w doskonałym humorze, Herr Gruppenführer, co mnie niezmiernie cieszy — gość nie speszył się kpiącym tonem Heydricha.

— Słuchaj, Walter, jeśli już popełniłem taką lekkomyślność i wypiłem z tobą bruderszaft, nie mam w zwyczaju go cofać — powiedział świdrując wzrokiem stojącego przed nim na baczność mężczyznę — oczywiście w stosunkach służbowych obowiązują pewne zasady, ale kiedy jesteśmy sami, daj spokój z oficjalną formą. Teraz, kiedy już wyjaśniliśmy sobie pewne sprawy, chciałbym cię zapytać, co słychać u twojej Maty Hari?

— Właśnie przekazała rewelacyjną informację o tajnym spotkaniu wyższych oficerów polskiego wywiadu i kontrwywiadu z szefem Sztabu Głównego generałem Stachiewiczem.

— Oni też nie zasypiają gruszek w popiele — roześmiał się nerwowo Heydrich. — A będziemy znać nieco szczegółów z tego spotkania?

— Otrzymamy dokładną relację.

— To bardzo dobrze, chciałbym ją mieć jak najszybciej na biurku.

— Oczywiście — zapewnił Schellenberg. — Czy nazwisko Pawlik, major Władysław Pawlik, coś ci mówi?

— Pracował w polskiej ambasadzie, wrócił do kraju — jego rozmówca był jak zwykle dobrze poinformowany — wytrawny agent, niestety, nie udało nam się go na niczym przyłapać.

— Wielka szkoda, wiele bym za to dał, żebyśmy go mieli teraz pod kluczem.

— Zagraża twojej Macie Hari?

Schellenberg z uznaniem spojrzał na swego szefa.

— Domyślny jesteś, ale tak źle jeszcze nie jest.

— W razie czego nic straconego — stwierdził Heydrich

— mamy długie ręce, możemy go dosięgnąć nawet po drugiej stronie granicznego kordonu, gdyby stał się niebezpieczny.

— Warto się nad tym zastanowić — z całą powagą odpowiedział Schellenberg.

Kwiecień 1939, Katowice

— Jestem kapitan Paleczny — młody mężczyzna w jasnopopielatym ubraniu, który wszedł do pokoju, zamknął wpierw za sobą drzwi, zanim się przedstawił.

— Czekałem na pana, Władysław Pawlik — wyciągnął do niego rękę.

— Ja znam pana majora — pochwalił się tamten.

— Tak? — Pawlik uważnie taksował go wzrokiem.

— Byłem adiutantem generała Sadowskiego, gdy przed dwoma laty, przyjechał pan do Katowic z Berlina — wyjaśnił kapitan.

— Rzeczywiście, teraz sobie pana przypominam — major się ożywił — proszę usiąść.

— Nie zostało nam zbyt wiele czasu do umówionego spotkania — Paleczny nie kwapił się do zajęcia miejsca.

— Ma pan samochód czy weźmiemy taksówkę? Generał, mam nadzieję, nie zmienił swej siedziby?

— Nie, a kierowca czeka w wozie przed hotelem.

— Chodźmy wobec tego na chwilę do baru, o tej porze zwykłem wypijać filiżankę mocnej kawy, jeśli pan byłby uprzejmy towarzyszyć mi przy tym zajęciu, będę zobowiązany — major, który był również po cywilnemu, wskazał kapitanowi drogę.

Niewielu ludzi kręciło się w hotelowym holu, podobnie jak i w restauracji. W barze nie było żywej duszy, usiedli przy stoliku na końcu wąskiego pomieszczenia, a wkrótce potem boy hotelowy przyniósł na tacy duży dzbanek z kawą i mniejszy ze śmietaną oraz dwie filiżanki.

— Jak długo pan pracuje w katowickiej ekspozyturze II Oddziału? — zagadnął kapitana.

— Wkrótce po pańskiej wizycie u generała zostałem do niej odkomenderowany — objaśnił Paleczny.

— Domyśla się pan, w jakim celu do was przyjechałem?

— O ile mi wiadomo będziemy mieli częstsze kontakty, taką wiadomość przywiózł generał z ostatniego pobytu w Sztabie Głównym — kapitan uniósł w górę filiżankę z parującą kawą.

— Chciałem porozmawiać w gronie wszystkich oficerów waszej placówki o niemieckiej dywersji.

— Mamy z nią stale do czynienia, nie dalej jak parę dni temu w tym hotelu nakryliśmy agenta Abwehry, który przyjechał z instrukcjami dla miejscowych Niemców na temat rozwijania działalności szpiegowskiej.

— Dobry więc sobie hotel wybrałem — roześmiał się major — oprócz Abwehry będziecie mieli wkrótce do czynienia z ludźmi Himmlera i Heydricha.

— Jesteśmy tego świadomi.

Rozmawiali jeszcze przez chwilę zanim opuścili bar udając się do samochodu.

— Dwa lata, odkąd nie widzieliśmy się, a tyle zmian — generał Jan Sadowski powitał wylewnie majora na progu swego gabinetu — i kto by przypuszczał, że spotkamy się razem na pierwszej linii, jeśli można tak powiedzieć.

— W całej rozciągłości można — potwierdził major podchodząc do mapy zajmującej całą jedną ścianę.

— Ogląda pan obszar oddany mi pod opiekę?

— Dopiero w takim powiększeniu widać, jak bardzo zawiła i pogmatwana jest linia graniczna, zwłaszcza na Górnym Śląsku, obsadzić ją szczelnie i dokładnie byłoby wręcz niemożliwe.

— A jednak będziemy musieli to zrobić, naturalnie wojskiem, w przeciwnym razie zamienią nam pogranicze w pie-

kło, czego już mamy oznaki, informacje napływające od naszych agentów zapowiadają rychłe nasilenie akcji terrorystycznych — tkwili nadal przed mapą wpatrzeni w pstrokaciznę znaków i linii różnych barw zazębiających się, a nawet nachodzących na siebie — najważniejsze, że w Warszawie zaczynają coś rozumieć, bo do niedawna... — generał tylko machnął ręką.

— Mój przyjazd jest tego najlepszym potwierdzeniem — zapewnił go major.

— Bardzo się ucieszyłem, kiedy przekazano mi wiadomość, zapowiedziałem pana wojewodzie Grażyńskiemu, wie pan dlaczego? Po pierwsze, nie mamy między sobą tajemnic, tak zostało uzgodnione w centrali, po drugie, wojewoda jest tarczą dla naszych przygotowań obronnych. Zna pan opinię lansowaną przez różne wysokie osobistości w Warszawie, żeby broń Boże nie drażnić Niemców?

— Odczułem dotkliwie ich skutki na własnej skórze — roześmiał się z ironią major.

— Grażyński jest całkiem odmiennego zdania i uważa, że Niemcy mają respekt wyłącznie przed silnym i stanowczym partnerem, stąd ustawiczne kłopoty, jakich mu przysparza minister Beck, dający nad wyraz łatwo posłuch skargom niemieckiego ambasadora. Po każdej bardziej zdecydowanej akcji miejscowych władz przeciwko antypolskim wystąpieniom tutejszej mniejszości, Moltke lata do Becka z interwencją, a ten z kolei urządza piekło Grażyńskiemu, który sobie niewiele z tego robi. Cieszy się poważaniem premiera, ale przede wszystkim marszałka, pan rozumie, co to oznacza?

— Oczywiście.

— Jeśli chcemy pokrzyżować Niemcom plany, a przynajmniej maksymalnie ograniczyć ich zamiary powtórzenia Sudetów na śląskim pograniczu, nie możemy działać w rękawiczkach, tarcza ochronna dla naszych poczynań stworzona przez wojewodę nie jest więc bez znaczenia, praw-

da? — Major ponownie potwierdził. — Jak długo zamierza pan u nas zostać?

— To będzie zależało od kilku czynników, jeszcze dziś chciałbym porozmawiać z personelem ekspozytury „dwójki" o czekających nas wspólnie zadaniach, następnie zapoznać się z terenem — major wykonał gest w kierunku mapy — interesują mnie zwłaszcza rejony przygraniczne, jeśli pan był uprzejmy zaanonsować mnie wojewodzie, z przyjemnością go odwiedzę, porozmawiam również z wieloma innymi ludźmi, być może wybiorę się też w góry.

— Widzę, że chce pan pracowicie spędzić czas.

Do gabinetu wszedł kapitan Paleczny.

— Pozwolę sobie zameldować, że jest pilny telefon do majora Pawlika z Warszawy, dzwoni podpułkownik Poganowski.

— Czy pan generał pozwoli, że odbędę z nim rozmowę? — zapytał major.

— Ma się rozumieć — podnieśli się równocześnie z foteli. Paleczny zniknął za drzwiami i niemal w tej samej chwili zabrzęczał na biurku telefon.

— Niezwłocznie po powrocie do Warszawy rozpocząłem poszukiwania — poznał głos przyjaciela. — Kiedy mi powiedziano w Krakowie, że wyjechałeś do Katowic, zapuściłem żurawia głębiej na południe z pomyślnym, jak się okazuje, rezultatem — cieszył się jak dziecko.

— Nie żałowałeś sobie pobytu nad Wełtawą — major uczynił aluzję do wydłużonej w czasie podróży podpułkownika.

— Tak mnie witasz? — tamten udał oburzenie — żebyś wiedział, ile spraw załatwiłem, musiałem wyskoczyć na kilka dni do Budapesztu i Bukaresztu, będę miał ci wiele do opowiedzenia, ale, ale, nie zgadniesz kogo spotkałem w Pradze — odczekał chwilę, ale Pawlik nie kwapił się z odgadywaniem — twoją uroczą partnerkę z karnawałowego balu w kasynie oficerskim, pamiętasz? W lutym, kiedy przyjechałeś do Warszawy, jeszcze wówczas z Berlina.

— Tak — przypomnienie tajemniczej Karoliny wprawiło go w dziwny stan podniecenia i niczym nie uzasadnionego niepokoju — wkrótce zjawię się w stolicy, wówczas wszystko mi dokładnie opowiesz.

— Ponadto przekazano mi pilny meldunek z Bydgoszczy od Konrada, uzyskali coś ciekowego, po naszej myśli!

— To ważna wiadomość, porozumiej się osobiście z Konradem, powiedz mu, że jestem gotów udać się do niego niezwłocznie, jeśli ma coś naprawdę rewelacyjnego, zadzwonię do ciebie powiedzmy za godzinę, wystarczy ci? Albo on mnie tu odszuka telefonicznie.

Po tych słowach się rozłączyli.

Pawlik rychło zmienił plany. Odbywszy jedynie odprawę z gronem oficerów kontrwywiadu, wrócił we wczesnych godzinach popołudniowych do hotelu po swoje rzeczy. Postanowił jeszcze tego dnia udać się pośpiesznym pociągiem na Pomorze. Wystarczył mu jeden rzut oka do wnętrza walizki, by się zorientować, że miał nieproszonego gościa. Zazwyczaj tak układał rzeczy, żeby poznać, czy ktoś mu w nich nie grzebał. Pod tym względem nigdy się nie mylił. Aby się upewnić zajrzał jeszcze do szafy, w której powiesił płaszcz wkładając w charakterystyczny sposób jedwabną apaszkę do kieszeni. Tkwiła na swoim miejscu, ale tylko pozornie. Pawlika nie mogło to zmylić, teraz już wiedział na pewno, że ktoś myszkował w pokoju pod jego nieobecność. Mimo woli namacał pistolet ukryty pod marynarką rozejrzawszy się uważnie dookoła. Podszedł do drzwi i otworzył je, wyjrzał na korytarz. Nie było żywej duszy. Wrócił kierując się w stronę nocnego stolika przy łóżku, na którym stał aparat telefoniczny. Już wyciągnął rękę po słuchawkę, ale po namyśle ją cofnął.

— Gdzie, do kogo dzwonić — pomyślał. — Jeśli mają kogoś w hotelu, nie trzeba ich płoszyć. Wystarczy, jeśli uprzedzę Palecznego, kiedy przyjedzie po mnie. Niech wezmą hotel pod dokładną obserwację, widać nie przypadkiem zatrzymał się w nim agent Abwehry.

Powróciło wspomnienie Karoliny, a jednocześnie przyszła mu do głowy myśl, od której poczuł wypieki na policzkach. „Nie, to niemożliwe, to czysta fantazja" — usiłował ją odpędzić, ale nie opuszczała go wprawiając w coraz większe podniecenie.

Kwiecień 1939, Berlin

— Jak długo to jeszcze potrwa, moi panowie — niewysoki, szczupły pan o siwych włosach i ogorzałej twarzy wprost miotał się po swoim gabinecie. — Nabieram obrzydzenia do własnej osoby. Podobnie było podczas kryzysu sudeckiego w ubiegłym roku, a następnie przed zaborem Czech i Moraw. Oburzaliśmy się na Führera, odgrażaliśmy się mu, aby następnie pędzić samochodem w kolumnie niedaleko jego wozu, gdy pozując na wyzwoliciela mknął przez Sudety.

Mężczyzna, który mówił te słowa, był admirałem i szefem Abwehry, czyli wywiadu i kontrwywiadu hitlerowskiego wermachtu, a nazywał się Wilhelm Canaris.

— Teraz sprawa jest dalece poważniejsza, jeśli uderzymy na Polskę, wyniknie konflikt europejski — odpowiedział mu jeden z dwóch mężczyzn znajdujących się w pokoju, pułkownik Franz Oster, szef sztabu Abwehry. Oprócz niego brał udział w rozmowie podpułkownik Helmuth Groscurt, również bliski współpracownik i zaufany admirała. — A my nie jesteśmy należycie przygotowani do wojny i przegramy ją z kretesem.

— Co robić, co robić! — szef Abwehry cały dygotał z podniecenia.

— Wyciągnąć z ukrycia plan, który opracowaliśmy w najdrobniejszych szczegółach jeszcze latem ubiegłego roku i wprowadzić go w czyn. Helmuth — Oster wskazał na Groscurta — rozmawiał niedawno z Halderem, sztab ge-

neralny nie ma najmniejszej ochoty poprzeć nowego szaleństwa Hitlera.

— Halder, sztab generalny, dodaj jeszcze Brauchitsch — przerwał mu ze złością przełożony — wszyscy oni najchętniej wykonaliby robotę cudzymi rękami, aby swoich broń Boże nie pobrudzić. Tymczasem jeśli nadal będziemy zaniedbywać swoje obowiązki, SD całkiem wyeliminuje nas z gry. Znacie panowie zarzuty Führera, że Polacy bezczelnie buszują nam pod nosem i wiedzą o nas coraz więcej? — nagła zmiana nastroju admirała nie zaskoczyła jego podwładnych, znali kapryśny charakter swego szefa.

— Niestety, nie mieliśmy ostatnio olśniewających sukcesów — przyznał pojednawczo Groscurt — ale SD również nie — uprzedził Canarisa, który już otwierał usta, żeby zapewne coś zjadliwego powiedzieć — faktem jest zarazem, że pan Heydrich coś knuje, utworzył nawet specjalny sztab złożony z najbliższych współpracowników, jego działalność otoczona jest szczelną tajemnicą.

— Mam jednak niepłonną nadzieję, że nie dość szczelną dla nas — wpadł mu w słowa admirał.

— Coś niecoś dowiedzieliśmy się, chodzi oczywiście o Polskę ale całe to przedstawienie, które się szykuje, wierna kopia hecy urządzonej w ubiegłym roku w Sudetach pod zaszczytnym patronatem samego Himmlera i bezpośrednim kierownictwem Henleina, przy naszym również udziale, nie wymaga tajnego sztabu — objaśniał cierpliwie Groscurt. — Wiadomo, że przygotowania do akcji dywersyjnych na polskim terenie potoczyły się utartym korytem, można właściwie uznać, że się już zaczęły, a więc...

— Ten drań knuje coś specjalnego — Canaris znów nie wytrzymał przerywając tamtemu — z myślą, aby nas przed Führerem upokorzyć i wykazać wyższość swoich oprawców. Tyle to i ja jestem w stanie wydedukować bez waszych służb i skautowskich podchodów.

— Chwilę cierpliwości szefie, niech pan wysłucha do

końca, co ma do powiedzenia Helmuth — wsparł kolegę szef sztabu Abwehry.

— Zachodzi pytanie, dlaczego Gruppenführer zastosował tak daleko idące środki ostrożności? Przed kim pragnie gruntownie ukryć swoje zamiary? Przed Polakami? Nadto starań. Przed nami? Z pewnością. A może jeszcze przed kimś? A jeśli ta prywatna wojenka ma mu zaskarbić łaski Führera i wywieść na stołek Reichsführera?

— Ponosi pana fantazja — parsknął Canaris — nie jest pan w stanie poprzeć swego twierdzenia przekonywającymi dowodami.

— Wystarczy, gdyby udało się zasiać w duszy Himmlera ziarno niewiary w lojalność pierwszego zastępcy — do dyskusji włączył się Oster — Reichsführer pozostawia wolną rękę Heydrichowi, ale wątpię, czy byłby zachwycony, gdyby się dowiedział, że nadużywa jego zaufania dla własnych celów.

— Proponujecie mi niebezpieczną grę — odpowiedział po chwili Canaris — łatwo w niej przegrać wysoką stawkę.

— Ale wygrać można wszystko, pozbycie się bowiem najgroźniejszego rywala zmienia radykalnie naszą sytuację — nie omieszkał stwierdzić Groscurt.

— Sytuację możemy poprawić również poprzez wzmożoną aktywność i sukcesy w walce z polskim wywiadem. Jeśli przedłożę Führerowi raport, w którym będzie czarno na białym wyliczone, ilu zdemaskowaliśmy polskich szpiegów, a jakie z kolei cenne informacje uzyskali agenci Abwehry w Polsce, naszej pozycji nie zagrożą intrygi panów spod znaku trupiej czaszki. Należy ponownie wziąć pod lupę całe pogranicze i Prusy Wschodnie, ludzie Heydricha wpadli ponoć na trop polskiej siatki działającej nam pod nosem, a co na to my, panowie? Mamy się im bezczynnie przyglądać? Trzeba postawić na nogi wszystkie nasze agendy, zwłaszcza na terenach przylegających do polskiego korytarza, tropić i węszyć nieustannie. — Przerwał, wodząc po nich wzrokiem, i dodał: — Waszą sugestię na temat wybujałych ambicji Gruppenführera wezmę pod uwagę.

Kwiecień 1939, stacja graniczna na Pomorzu

Pociąg z przeraźliwym sykiem pary zbierał się do odjazdu. Był późny wieczór, na peronie, oprócz zawiadowcy z latarką w ręku, znajdował się jeszcze jeden mężczyzna w cywilnym ubraniu.

— Możesz być spokojny, Hans. Jak długo tu jestem, a wkrótce minie dziesięć lat, odkąd mnie zesłali do tej dziury latem dwudziestego dziewiątego roku, nie zauważyłem jeszcze nic podejrzanego — mówił kolejarz do cywila.

— Znasz stare przysłowie: strzeżonego pan Bóg strzeże? Ostatnio zrobili się u nas bardzo nerwowi, nie dalej jak wczoraj przyjechało ze Słupska dwóch oficerów Abwehry, wypytywali o wagony pocztowe w składach pociągów jadących przez Pomorze do Gdańska i Prus Wschodnich.

— Niech sami się zjawią i sprawdzą, czy wszystko w porządku — żachnął się kolejarz — jeśli nam nie wierzą. Widziałeś zamki, plomby? Kto jest w stanie je naruszyć tak, żeby nie zostawić śladu?

Zawiadowca oraz jego kompan z posterunku policji w sąsiednim miasteczku byliby szczerze zdziwieni, gdyby mogli wzrokiem przeniknąć ciemności, w których znikał odjeżdżający pociąg. Ujrzeliby bowiem sylwetkę przylegającą płasko do drzwi pocztowego wagonu. Skradający się w mroku człowiek skoczył do pociągu będącego w pełnym biegu niczym cyrkowy akrobata, przez chwilę szamotał się z drzwiami, po czym nic sobie nie robiąc z plomb i zamka otworzył je wślizgując się do środka wagonu. Opuścił go w ten sam sposób, gdy pociąg był mniej więcej w połowie drogi, którą przemierzał przez polskie Pomorze do Malborka znajdującego się po stronie niemieckiej, a pieczęcie i plomby były znów na swoim miejscu wyglądając jak nietknięte. Na mężczyznę czekał w leśnej przecince samochód, który go zawiózł do położonego niedaleko budynku, stojącego samotnie w sadzie. Nie wysiedli z samochodu, dopóki nie minęli bramy otworzonej im przez kogoś nie-

widocznego w mroku. Zajechali na podwórze na tyłach domu, zatrzymując się przed wejściem. Zeszli do piwnicy po kamiennych schodkach opadających stromo w dół. W środku płonęło jaskrawe światło, ale zamalowane na ciemno okienka nie przepuszczały ani odrobiny na zewnątrz.

— Co tam dziś ciekawego? — zapytał barczysty brunet w samej koszuli.

— Kasetka, chyba z dokumentami, bo w środku szeleszczą papiery, a ponadto jakiś dziwny przyrząd podobny do celownika — odpowiedział mężczyzna.

— A urzędowych przesyłek sporo?

— Nawet nie.

— Kasetką zajmie się kasiarz przysłany nam przez komisarza Żbikowskiego, podobno specjalista w swym zawodzie — odpowiedział brunet. Był oficerem bydgoskiej ekspozytury Oddziału II Sztabu Głównego, która od dłuższego czasu skrupulatnie kontrolowała pocztę, a zwłaszcza przesyłki wojskowe przechodzące tranzytem z Rzeszy do Gdańska i Prus Wschodnich. Specjalnie przeszkoleni agenci na trasie przejazdu przez „korytarz" wyrzucali z wagonów pocztowych w wyznaczonych miejscach zapieczętowane worki z listami, a także paczki, co do których istniało podejrzenie, że zawierają broń lub sprzęt wojskowy. W ciągu kilku godzin przeglądano ich zawartość, korespondencję oraz dokumenty o istotnym znaczeniu fotografowano, po czym przesyłki doprowadzano do stanu pierwotnego, plombowano i umieszczano ponownie w wagonach pocztowych jadących do Rzeszy lub z powrotem, w zależności od przeznaczenia. Akcja opatrzona kryptonimem „Wózek" dostarczała mnóstwo ciekawych materiałów, jednym z nich zainteresowała się niezwłocznie centrala „dwójki", gdy tylko szef placówki kontrwywiadu w Bydgoszczy zadzwonił do Warszawy.

Nazajutrz wczesnym rankiem z pociągu w stolicy Pomorza wysiadł major Pawlik. Oczekiwano go.

— Przerzucono członków tak zwanego Legionu Sudeckiego Henleina do Prus Wschodnich — oświadczył mu oficer w randze kapitana, gdy dotarli do siedziby ekspozytury. — Z przechwyconych dokumentów wynika, że legionistów należy się spodziewać również w innych rejonach graniczących z Poznańskiem czy Górnym Śląskiem.

— Jeszcze coś? — zapytał rzeczowo major.

— Zdołaliśmy prawdopodobnie ustalić łącznika między centralą SD a agenturą zlokalizowaną w naszym kraju. W Berlinie przywiązują do jej działalności wielką wagę.

— To bardzo ważna wiadomość. A jakieś szczegóły dotyczące tego łącznika? — major był wyraźnie poruszony.

— Mamy jego kryptonim i miejsca prawdopodobnych spotkań w Sopocie i na naszym wybrzeżu.

— Interesujące, a może byśmy również wzięli w nich udział?

Maj 1939, Berlin

— No, więc jak, Naujocks, będziemy się w to razem bawić? — Heydrich, który przemierzał gabinet długimi krokami, zatrzymał się nagle przed swym rozmówcą stojącym nieruchomo i wyprostowanym jakby kij połknął. — Dziwi pana moje pytanie? Mogę przecież wydać rozkaz, a pańskim obowiązkiem jest go wykonać, ale ja chcę, żeby to była pańska osobista decyzja, podjęta przy pełnej świadomości ryzyka, które pan poniesie.

— Jestem do pańskiej dyspozycji, chociaż wciąż nie wiem, w co się mamy bawić — Naujocks mówiąc te słowa nawet nie drgnął.

— Na wszystko przyjdzie czas, à propos zabawy, jak się sprawuje Helga? Podobno nazbyt często jest nieobecna w salonie, czyżby pan był aż tak wymagający? — Gruppenführer uśmiechnął się.

— Jeśli to również należy do zadania, które mam otrzymać, wymagać od niej będę jeszcze więcej i uczynię to z przyjemnością.

Heydrich obserwował Naujocksa przez chwilę w milczeniu.

— Podoba mi się pan, Sturmbannführer — powiedział wreszcie. — Jestem pewien, że dokonałem właściwego wyboru i niech pan przestanie sterczeć jak słup soli, tylko zajmie jeden z foteli. Wypijemy za pomyślność zadania, które zdecydowałem się panu powierzyć — ruszył pierwszy zachęcając gestem swego gościa.

— Wciąż o nim nic nie wiem — tamten pozwolił sobie na uwagę zanim usiadł.

— Jest na złamanie karku i na zapalenie płuc, uprzedzam, dlatego nie będę panu miał za złe, jeśli pan się wycofa i zapomni o naszej rozmowie — Heydrich, który zajął fotel naprzeciwko, już się nie uśmiechał wpatrując się uważnym, a nawet surowym wzrokiem w Naujocksa. — Tak gruntownie zapomni, że jeśli pana obudzą nawet w środku nocy i zadadzą znienacka pytanie, niczego nie wyduszą. Daję panu tę szansę, wypijemy koniak — sam nalał do kieliszków z butelki stojącej na odgradzającym ich stoliku — a potem się rozstaniemy, na brak zajęcia pan nie narzeka?

— Herr Gruppenführer, zdecydowałem się w ciemno, proszę dysponować moją osobą — zabrzmiało to nieco sztucznie, ale Heydrich dobrze przyjął słowa podwładnego. Zaraz się rozpogodził, widocznie nie był pewny jego odpowiedzi.

— O ile wiem, zlecono panu pewne zadanie do wykonania? — nie nawiązał jednak wprost do deklaracji Naujocksa.

— Drobnostka — zbagatelizował je Naujocks — lada dzień będę gotowy.

— To dobrze, ale Brigadeführer Jost informował mnie, że zamierza pana wkrótce wysłać do Belgii i Holandii tro-

pem zagranicznej ekspozytury KPD — mówił dalej Heydrich.

— Wspominał mi o tym, ale nie podał konkretnego terminu.

— Bardzo mi zależy, aby pan dotarł do naszych niepoprawnych Rotkämperów i dowiedział się, co też knują najlepszego, ale najpóźniej do piętnastego lipca musi pan wszystkie swoje sprawy definitywnie załatwić, aby potem już być do mojej wyłącznej dyspozycji, jasne?

— Tak jest — skwapliwie zapewnił Sturmbannführer.

— Wracając do istoty sprawy — Heydrich rozciągał słowa, jakby ważył każde z nich — domyślił się pan zapewne, jako człowiek inteligenty i bystry — położył nacisk na oba przymiotniki — że pańskie zadanie dotyczyć będzie Polski, nie ma bowiem innej ważniejszej sprawy dla Rzeszy, jak rychłe rozwiązanie problemu polskiego w interesie i dla dobra narodu niemieckiego. Przeprowadzi więc pan na pograniczu akcję specjalną o szczególnym znaczeniu w całej rozgrywce, którą nasza służba podjęła i realizuje z rozkazu Führera, a nazwałbym ją polską rozgrywką. Kiedy i gdzie, dowie się pan w odpowiedniej porze, na razie dam panu do przestudiowania plik dokumentów obrazujących nasze działania zamierzone i podjęte w związku z tak zwanym kryzysem sudeckim z ubiegłego roku. Przestudiuje pan je bardzo uważnie, a potem się spotkamy, powiedzmy za miesiąc. Za powodzenie pańskiej akcji — uniósł kieliszek, ale zaledwie umoczył usta w krwistym płynie, Naujocks wypił nalany koniak.

— Dziękuję za zaufanie — poruszył się w fotelu, jakby oczekując zakończenia rozmowy.

— Jeszcze jedno, rozejrzy się pan w międzyczasie za ludźmi, będzie panu potrzebnych może pięciu, albo i siedmiu współpracowników.

— Z naszego grona? — zapytał Sturmbannführer.

— Tak, spośród naszej służby, co najmniej jeden powinien znać dobrze język polski, jeden albo i dwóch znać się

na technice, umiejętność prowadzenia samochodów też wchodzi w grę. I całkowita dyskrecja, muszą trzymać język za zębami.

— To zrozumiałe.

— A co by pan powiedział na Knochena? — dodał po dłuższym zastanowieniu.

— Willy Knochena z Urzędu V? — z głosu Naujocksa przebijało szczere zdziwienie.

— Tego samego — potwierdził zapytany.

— Przecież miał brata w KPD, który nie wiadomo czy szczerze zmienił poglądy?

— To należy sprawdzić, a w ogóle mam wątpliwości, czy powinno się ponosić konsekwencje za poglądy krewnych, nawet bliskich.

— Proszę mi wybaczyć, Herr Gruppenführer, ale jestem zaskoczony pańskimi słowami, jeśli zadanie, które otrzymam, ma charakter szczególny, również jego wykonawcy, tak mi się przynajmniej wydaje, winni być szczególnie troskliwie dobrani — wpatrywał się uważnie w swego przełożonego.

— A może dlatego — bąknął pod nosem podnosząc się z fotela. Podszedł do okna, jakby zamierzał je otworzyć, ale nie zrobił tego. Odwrócił się w stronę Naujocksa, który również wstał. — Niech pan spocznie, rozmyślam właśnie intensywnie, a wówczas trudno mi usiedzieć na miejscu. A Walter Unsslep? Unterscharführer, przecież pan go dobrze zna?

— Pan wybaczy — Naujocks lekko się żachnął — ale z jak najgorszej strony, byłem członkiem komisji dyscyplinarnej, która robiła mu sprawę za nadużycia.

— No właśnie, jak zwał tak zwał, ale znajomy — Heydrich się roześmiał, po czym zapadła cisza.

— Czy mogę zdobyć się na śmiałość i zadać panu pytanie? — przerwał ją Naujocks — sposób doboru moich przyszłych współpracowników budzić musi wątpliwość, czyżby i na mnie ciążyły nie znane mi grzechy, gorączkowo bo-

wiem bilansuję mój żywot i nie znajduję w nim nic takiego, co stawiałoby mnie w jednym szeregu z wymienionymi.

— Ależ proszę nie myśleć w tak niedorzeczny sposób — zareagował żywo Heydrich — pana to nie dotyczy, pańscy podkomendni natomiast, przyznaję, winni być dobrani pod pewnym kątem.

— Nie jestem tchórzem, niełatwo mnie spłoszyć, ale gorliwość Helgi, a zwłaszcza jej troskliwych opiekunów wywołała u mnie, powiedzmy, pewną podejrzliwość.

— To nie ma z tamtym nic wspólnego, ja po prostu wyznaję zasadę, żeby wiedzieć jak najwięcej o kimś wybranym, jak to było w pańskim przypadku, jak żyje, co porabia, o czym gaworzy sobie w wolnych chwilach, a nawet w łóżku — znów się roześmiał — pańskie obawy są więc nieuzasadnione, personel zaś to zupełnie coś innego.

— Rozumiem, Gruppenführer, dobiorę go według pańskich wskazówek. Czy dochodzenie dyscyplinarne wobec Gerstenheimera zostało zakończone?

— Tego posądzonego o homoseksualizm? Pojętny jest pan, Naujocks — Heydrich wrócił na swój fotel. — Nie zostało nawet wszczęte, ponieważ raport w jego sprawie leży wciąż u mnie na biurku. Sądzę, że go schowam jeszcze głębiej, a pan z nim porozmawia i zorientuje się, co jest wart. Jeśli na tyle zyska w pańskich oczach, że okaże się przydatny do planowanej akcji, raport nie musi ujrzeć światła dziennego, przynajmniej na razie — poprawił się.

— Bardzo dziękuję, Gruppenführer, za szczerość, za pozostałymi kandydatami rozejrzę się możliwie szybko.

— Nie pali się, ma pan czas do piętnastego lipca. W ogóle nie należy się spieszyć, ta akcja musi się udać, zależy od niej zbyt wiele, również nasz los i pański awans, dlaczego nie miałby pan zostać Gruppenführerem? — zaskoczony Naujocks drgnął nerwowo zmieniając pozycję. Heydrich doszedł widać do wniosku, że nieco przesadził w roztaczaniu wizji zawrotnej kariery przed swym podkomend-

nym, bo zaraz dodał: — Pod warunkiem, że wszystko przebiegnie po naszej myśli.

— Marzenia też są coś warte, ponadto uskrzydlają człowieka — odpowiedział Naujocks. — Gotów jestem dla nich ponieść największe nawet ryzyko.

— Brawo, od razu widać, że ma pan rycerską krew w żyłach, jak przystało na potomka kawalerów mieczowych, pańska rodzina, o ile się nie mylę, wywodzi się z Kurlandii? — Naujocks potwierdził. — Ja też lubię pomarzyć, ale jestem jeszcze bardziej kontent, gdy marzenia przybierają rzeczywisty kształt.

— Podzielam pański pogląd, Herr Gruppenführer — pośpiesznie zapewnił Sturmbannführer.

W duchu zaś sobie pomyślał: „jeśli ja mam otrzymać za to zadanie szlify generalskie, to czego spodziewa się po nim Heydrich?"

Gruppenführer zaś, gdy tylko rozstał się z Naujocksem, wezwał do siebie swego zaufanego adiutanta Hauptsturmführera Neumanna.

— Nie spuszczać go z oczu dniem ani nocą — oświadczył kategorycznym tonem — nawet kiedy wyjedzie za granicę, do Belgii i Holandii, muszę znać każdy jego krok.

— Tak jest! — Neumann wyprężył się służbiście.

— Czy Germann udał się już w misji specjalnej do Polski? — indagował go dalej Heydrich.

— Ma bardzo trudne zadanie, nie pozbawione ryzyka.

— O to mi właśnie chodzi, tylko na niebezpiecznej robocie mogę ich obu sprawdzić — wykrzyknął szef SD. — Ja muszę wiedzieć, który jest lepszy: Naujocks czy Germann! I jeszcze jedno, proszę przypomnieć Schellenbergowi, że nie mam wciąż odpowiedzi na moje ponaglenie w sprawie, nad którą zleciłem mu bezpośredni nadzór. Zaczynam tracić cierpliwość!

Lipiec 1939, Jastrzębia Góra

— Możesz mi wreszcie wyjaśnić, jaki jest cel całej tej zabawy? Bardzo mi się tu podoba — nie przeczę, ale kiedy sobie uświadomię, ile czeka na nas pracy! — powiedział podpułkownik Poganowski do majora Pawlika.

Siedzieli na tarasie piętrowej willi pod kolorowym parasolem, a przed nimi roztaczał się urzekający widok na morze, częściowo zasłonięte przez drzewa, rosnące gęsto w ogrodzie. Mimo znacznej odległości od plaży położonej w dole, dochodził do nich przytłumiony gwar głosów, przez które czasem przebijał się jakiś okrzyk lub nawoływanie sprzedawców lodów czy napojów orzeźwiających.

— Nie wmówisz mi chyba, że te twoje poderzenia mają jakiekolwiek racjonalne podstawy, wkrótce miną trzy miesiące, odkąd uganiasz się za senną zjawą będącą wytworem twojej bujnej wyobraźni, wybacz mi te słowa, ale zawsze wobec ciebie byłem szczery — Poganowski pociągnął przez słomkę łyk oranżady — w Krakowie omal życiem nie przypłaciłeś swojego wścibstwa.

— To mnie utwierdziło w przekonaniu, że jestem na właściwym tropie, chociaż niekoniecznie muszę nim do czegoś, a raczej do kogoś dojść — Pawlik w koszulce z krótkim rękawem i jasnych spodniach ułożył się wygodnie w leżaku, który przesunął w cień padający z rozpiętego szeroko parasola.

— Wiesz, podziwiam cię. Z jednej strony narażasz się przyszłemu generałowi, który ci nie wybaczy, jeśli się zorientuje, że podejrzewałeś jego najmilszą, z drugiej pchasz się prosto w lwią paszczę niepomny ostrzeżenia, jakim była zbłąkana kula na krakowskiej strzelnicy, która akurat wybrała sobie za cel twoją głowę, muskając ci włosy — wywodził Poganowski, który pokrzepiwszy się oranżadą porzucił trzcinowy fotel i rozciągnął się na kocu. Białe slipy odcinały się na tle złocistej opalenizny, był potężnie zbudowany i o wiele wyższy od swego przyjaciela.

— A może poczucie zagrożenia działa na mnie tak dopingująco? — odpowiedział mu Pawlik. — Czuję się jednocześnie myśliwym i ściganą zwierzyną.

— Szalony jesteś — burknął podpułkownik przewracając się na brzuch.

— Jak się zapatrujesz na morską kąpiel, Stachu? — zainteresował tym pytaniem Poganowskiego, bo niezwłocznie podniósł się na rękach.

— A nasza konspiracja przed panną Łubieńską?

— Postanowiłem zmienić taktykę. Jeśli wszystkie dotychczasowe metody zawiodły: dyskretna obserwacja, zastawianie kunsztownych pułapek, ruszam do szturmu korzystając z faktu, że wybranek Karoliny ją opuścił, co najmniej na dwa dni, jak zdołaliśmy ustalić. Po prostu spróbuję ją poderwać udając spragnionego słońca i morskiej wody urlopowicza, który zawitał do Jastrzębiej Góry, najmodniejszej w tym sezonie miejscowości nad naszym Bałtykiem. Będzie to dla niej nielicha niespodzianka, dobrze wie, z kim ma do czynienia, jeśli jeszcze inspirowała tych, którzy chcieli się mnie pozbyć, tym większa. Być może popadnie w panikę, albo popełni jakiś błąd, jest mi zresztą wszystko jedno, jak postąpi, dłużej nie zamierzam tkwić bezczynnie i czekać aż się coś stanie.

— Brawo Władziu, podobasz mi się, z przyjemnością wezmę udział w tym przedsięwzięciu, nawet gdyby mi przyszło pojedynkować się z tym kandydatem na generała, narzeczonym nadobnej Karoliny — zawołał podpułkownik zrywając się na równe nogi.

— Pamiętasz treść przechwyconego ostatnio meldunku firmowanego przez berlińską centralę SD? Wyrażała skrajne zniecierpliwienie zwłoką w nawiązaniu bezpośredniego kontaktu z agenturą działającą w naszym kraju i zapowiedź przyjazdu łącznika w celu wyjaśnienia całej sprawy. Jadąc za Karoliną do Jastrzębiej Góry byłem pewien, że jestem bliski celu, do którego tak uparcie mimo niepowodzeń dążę. Tymczasem minął tydzień i nic się nie wy-

darzyło. Kiedy otrzymałem dziś wiadomość, że panna Łubieńska została sama, postanowiłem przystąpić do działania stawiając wszystko na jedną kartę.

— Zbieram ręczniki i co tam jeszcze, po czym wyruszamy na plażę, a ty przy okazji na łowy, będę za ciebie zaciskał kciuki — Poganowski aż zatarł ręce z zadowolenia na myśl o czekających ich emocjach.

Kąpiel i wędrówka długim pasmem wybrzeża nie dały rezultatu. Pawlik postanowił wrócić na główny deptak, przy którym znajdował się reprezentacyjny obiekt Jastrzębiej Góry — hotel „Bałtyk". Zatrzymała się w nim Karolina. Usiadł na najbliższej ławce i udając pogrążonego w lekturze gazety, którą trzymał w ręku, dyskretnie obserwował hotelowe wejście. Zbliżała się pora obiadowa i wielu ludzi przechodziło alejką, przy której stała jego ławka, kierując się w stronę rozległego tarasu przylegającego do hotelu.

Po Karolinie nie było śladu. Kiedy zniechęcony zamierzał podnieść się z ławki, nieoczekiwanie ujrzał ją w odległości kilku kroków. Serce zabiło mu mocniej. Zdecydowanym ruchem odłożył gazetę. Zobaczyła go od razu. Miała ten sam wyraz oczu, jak wtedy, gdy spotkali się po raz pierwszy w warszawskim kasynie oficerskim. Malowało się w nich jawne przerażenie, nie mógł się mylić, był zbyt dobrym psychologiem.

— Moje uszanowanie — złożył jej głęboki ukłon udając, że niczego nie zauważył.

— Cóż za niespodzianka! — zawołała siląc się na swobodę. — Wymarzone miejsce na romantyczne spotkanie, prawda, panie majorze?

— Tak pani przypuszcza? — całując jej dłoń usiłował jednocześnie zajrzeć w oczy, by w nich odszukać ślad niedawnego wzburzenia, ale uśmiechała się promiennie.

— Mam nadzieję, że tym razem nie pogardzi pan moim zaproszeniem?...

Jej słowa zaskoczyły go.

— Czyżbym się ośmielił kiedykolwiek pogardzić? — zdziwił się.

— Dałam panu numer mojego telefonu w Warszawie, nie zadzwonił pan — w głosie jej zabrzmiała wymówka.

— Musiałem nagle wyjechać.

— Ale wkrótce pan wrócił.

— Jest pani dobrze poinformowana — wydało mu się, że się zmieszała, ale zaraz pokryła stan swego ducha śmiechem.

— Czy to wypada, aby dobrze wychowana panna ujawniała swoje zainteresowanie mężczyzną?

— Któremu z tego powodu jest bardzo miło — ukłonił się znów szarmancko.

— A jakie mężczyzna ma propozycje?

— Jest na pani rozkazy, we dnie i w nocy.

— O, to brzmi więcej niż zachęcająco. Na długo pan przyjechał do Jastrzębiej Góry?

— W tej chwili zależy to tylko od pani.

— Coraz lepiej, panie majorze.

— Nie uwierzyłbym swemu szczęściu, gdyby się okazało że ma pani dla mnie czas.

— Proszę wobec tego uwierzyć, że jeszcze dzisiaj go znajdę. Czy może pan mnie teraz odprowadzić do hotelu? — rozmawiali stojąc przy ławce, na której uprzednio siedział Pawlik.

— Z prawdziwą przyjemnością.

Ruszyli wolnym krokiem w stronę pobliskiego budynku.

— Wybieram się z towarzystwem na dancing do Jastarni, gdyby pan znalazł czas i oczywiście ochotę — uśmiechnęła się do niego obiecująco — otwarto tam nowy, elegancki lokal. Mój wakacyjny partner musiał mnie chwilowo opuścić, skorzystałam więc z uprzejmości znajomych aby spędzić z nimi wspólnie wieczór, będzie mi bardzo miło, jeśli pan się z nami wybierze.

— Jestem w towarzystwie przyjaciela — zastrzegł się.

— Zapraszam go również w imieniu własnym i znajo

nych — dotarli już do schodów prowadzących na hotelowy taras. — Proponuję spotkanie o ósmej w holu obok recepcji, zamówimy dwie taksówki.

— Mam tu samochód.

— Doskonale, wobec tego do zobaczenia — pożegnali się przed wejściem do hotelu. Major postanowił niezwłocznie odszukać współtowarzysza, którego pozostawił na plaży. Nie było go ani tam, ani w pensjonacie, w którym zajmowali pokój. Samochód jednak tkwił na swoim miejscu, co stanowiło niezawodny znak, że podpułkownik Poganowski znajduje się gdzieś niedaleko. Pawlik postanowił odwiedzić restauracje i kawiarnie, których na szczęście nie było w Jastrzębiej Górze zbyt wiele. Przyjaciela odnalazł już w drugim z rzędu lokalu. Posilał się w towarzystwie pulchnej blondynki.

— Ależ ja się ciebie naszukałem! — tymi słowami powitał Poganowskiego.

— To mój kolega, a to pani Ala — podpułkownik dokonał prezentacji. — A co się stało?

— Mamy zaproszenie na dancing do Jastarni — odpowiedział mu. — Myślę, że pani Ala dotrzyma nam towarzystwa?

— Z prawdziwą przyjemnością, słyszałam, że w Jastarni gra świetna orkiestra.

— Moja znajoma też tak twierdzi, wiesz Stachu, to Karolina Łubieńska — Pawlik zwrócił się do swego przyjaciela, który pokiwał ze zrozumieniem głową.

— A więc spotkaliście się w końcu.

— To musi być jakaś wielce romantyczna historia — dopytywała się pani Ala — proszę mi ją koniecznie opowiedzieć.

— Arcyromantyczna — z kpiącym uśmiechem dodał Poganowski — proponuję jednak, by pani nie zdradzała się nawet jednym słowem wybrance serca mego przyjaciela, że rozmawialiśmy na jej temat, jeśli nie chce pani narazić na szwank rozkwitającego uczucia.

— Ależ panie Stanisławie, jak pan mnie może posądzić o coś podobnego — oburzyła się blondynka — nie puszczę nawet pary z ust.

— Jaką stosujemy taktykę? — zapytał Poganowski, kiedy zostali sami po odprowadzeniu pani Ali do pensjonatu, w którym mieszkała.

— Bawimy się — Pawlik wzruszył ramionami — mam nadzieję, że twoja partnerka nie pozwoli ci się nudzić, sądząc po jej ruchliwości.

— No wiesz, czyżbyś był zazdrosny? — Poganowski się roześmiał — tak długo cię nie było, co miałem począć z wolnym czasem? Spędzać go samotnie? Nawet nie wiem, jak to się stało, że nawiązaliśmy rozmowę z Alą.

— Nic nie szkodzi, może to i lepiej, że ją mamy z sobą, będziemy wyglądali bardziej naturalnie — stwierdził Pawlik.

— A jak z obstawą? Zabieramy ją również do Jastarni?

— Nie sądzisz, że nas dwóch to aż nadto na jedną kobietę? — odpowiedział mu pytaniem Pawlik. — Sprawdziłem, że jest tam czynny telefon przez całą dobę, a w razie czego postawimy na nogi naszą ekspozyturę w Gdyni. I tak są w ustawicznym pogotowiu.

Panna Karolina oczekiwała ich w towarzystwie małżeństwa w średnim wieku. Przywitali się wymieniając zdawkowe grzeczności, po czym cała trójka wsiadła do taksówki. Pawlik zaś z przyjacielem i jego partnerką ruszyli za nimi. Samochód prowadził Stanisław. Wpierw jechali nadmorską szosą, potem minęli Władysławowo skręcając na Hel. Cel ich podróży znajdował się na uboczu od głównej drogi, niemal nad samym morzem. Piętrowy budynek na niewielkim wzniesieniu rozbrzmiewał skocznymi dźwiękami fokstrota, gdy wysiadali z wozów. Znajomy Karoliny,

który przedstawił się jako właściciel fabryki gotowej konfekcji i bielizny w Łodzi, zabrał wszystkie panie ze sobą, natomiast obaj oficerowie pozostali przy samochodzie zastanawiając się nad przyczyną podejrzanych stuków rozlegających się podczas jazdy w silniku. Zjawił się natychmiast portier, czuwający przy drzwiach wejściowych, z ofertą pomocy.

— W ciągu kilkunastu minut mogę ściągnąć mego siostrzeńca, który zna się na motorach, naprawia i konserwuje łodzie rybackie w całej okolicy — oświadczył.

— To niezły pomysł — zgodził się Stanisław — ale jak się zjawi, proszę mnie poprosić, chciałbym z nim porozmawiać.

Wręczył mu kluczyki od samochodu zapalając papierosa.

— Wiesz Władziu, nie przestaje mnie nękać myśl, że amant panny Łubieńskiej lada chwila wykryje nasze knowania — mówił Poganowski, gdy wkroczyli do obszernego holu, w którym mieściła się szatnia — a wówczas gotów narobić niebywałego piekła i polecieć do Stachiewicza, albo i samego ministra.

— Postanowiłem jednak zaryzykować — odpowiedział mu Pawlik.

Z holu przeszli wprost do sali restauracyjnej. Właśnie skończyła grać orkiestra i pary opuszczały krąg taneczny, wokół którego rozstawiono stoliki, podobnie jak na balkonie. Prowadziły nań marmurowe schody zasłane czerwonym chodnikiem. Zamówiony stolik, a właściwie dwa zestawione ze sobą, znajdowały się przy samej balustradzie. W dole roztaczał się widok na orkiestrę i parkiet podświetlany od dołu przez kolorowe żarówki. Gdy rozległy się pierwsze dźwięki muzyki, na sali przygasły lampy stwarzając intymny nastrój, pogłębiony przez dyskretne światło lampek zapalających się samoczynnie przy stolikach. Panie z głośno wyrażaną ulgą powitały obu mężczyzn. Major usiadł obok Karoliny.

— Poważny defekt? — zapytała go swym charaktery-

stycznym głosem, gdy reszta towarzystwa wymieniała dość chaotycznie uwagi na temat zamówionego menu. Stanisław niezwłocznie wniósł pewne poprawki, z których najważniejsza dotyczyła czystej wódki.

— Miejmy nadzieję, że nie — major odpowiedział pannie Łubieńskiej — zaoferowano nam pomoc, podobno doskonałego fachowca.

— To świetnie — ucieszyła się — odniosłam wrażenie, że bardzo się pan tym przejął.

— Ależ to drobiazg, niezdolny zakłócić miłego wieczoru dzięki pani towarzystwu — pod wpływem nieoczekiwanego impulsu ujął jej rękę. Nie cofnęła jej.

— Myślałam często o panu — powiedziała tak cicho, że tylko on usłyszał.

— Może pójdziemy zatańczyć? — chciał tym zaproszeniem pokryć ogarniającą go rozterkę. A jeśli rzeczywiście niesłusznie podejrzewał tę subtelną, śliczną pannę, tylko dlatego, że dostrzegł w jej oczach niepokój? Równie dobrze mogło mu się wydawać, a jeśli wywarł na niej korzystne wrażenie, które usiłowała przed sobą ukryć w obawie, że rodzące się uczucie skomplikuje jej wygodny i beztroski żywot? Zdołał zebrać o niej wystarczająco dużo faktów, aby się przekonać, że jak na przedstawicielkę swojej sfery żyła raczej skromnie u boku ojca, średnio zamożnego właściciela ziemskiego. We wczesnej młodości przeżyła ogromny wstrząs, gdy pewien młody człowiek uchodzący za jej narzeczonego zginął w tragicznym wypadku. Zamknęła się potem w sobie, unikała życia towarzyskiego, przebywając najczęściej na wsi. Czasem wybierała się z ojcem na zawody jeździeckie, między innymi do Berlina. Dopiero jesienią ubiegłego roku opuściła swe dobrowolne zesłanie za sprawą wojskowego dyplomaty, z którym podróżowała po Europie południowo-wschodniej, zatrzymując się na dłużej w Pradze. Pułkownik przedwcześnie postradał żonę, był bezdzietny i zapowiadano mu rychłą, zawrotną karierę. Spotkanie z Karoliną na zabawie karnawałowej w ka-

synie zbiegło się z podejrzeniem, że niemiecka agentura znalazła dojście do największych sekretów wojskowych, łącznie z rozszyfrowaniem tajnego kodu dyplomatycznego. Na jej trop wpadli polscy agenci działający w Rzeszy, major Pawlik był tym, który wiadomość o tej sprawie przywiózł pierwszy do Warszawy. Zainteresowanie panną Łubieńską przyszło nieoczekiwanie i nim się połapał, zabrnął tak daleko, że nie mógł się już wycofać. Na szczęście podpułkownik Poganowski, duch opiekuńczy majora, przydzielony mu przez samego szefa sztabu, dał się namówić do współpracy, chociaż czynił to bez przekonania. Opis starań podjętych przez Pawlika w ciągu tych niespełna trzech miesięcy w sprawie Karoliny mógłby wypełnić spory tom, nie przyniosły one jednak żadnych efektów.

I tak się rzecz miała aż do dzisiejszego wieczoru. Tańczyli, bawili się beztrosko. Para łódzkich fabrykantów okazała się bardzo sympatyczna, starszy pan opowiadał pocieszne dykteryjki, od których zrywali boki ze śmiechu. Stanisław z blondynką wprost z parkietu wymknęli się do baru ukrytego na zapleczu głównej sali na parterze.

— A może byśmy też odwiedzili to ustronne miejsce? — zaproponował major swej partnerce, gdy orkiestra przestała grać.

— Pod warunkiem, że znajdzie się pianista, który nam coś zagra. Pamięta pan melodię z baru w oficerskim kasynie?

— Nie ma szczęścia bez miłości — zanucił jej do ucha. Znajdowali się na środku tanecznego kręgu, który powoli opuszczały pary.

— A więc pamiętasz, Władku? — powiedziała mu nieoczekiwanie po imieniu przytulając się do ramienia, które jej podał. Serce zabiło mu mocniej, a jednocześnie nasiliły się wyrzuty sumienia. Nagle wyczuł, że coś się z Karoliną dzieje nadzwyczajnego, zesztywniała cała zatrzymując się w miejscu. Byli już blisko drzwi prowadzących na wąski korytarz, na końcu którego mieścił się bar. Wzrok

majora przykuła sylwetka mężczyzny opartego plecami o framugę. Twarz miał prawie niewidoczną w cieniu, jaki rzucała kolumna podpierająca balkon, ale Pawlik nie miał wątpliwości, że się w nich intensywnie wpatruje. Postanowił podejść do niego bliżej i w tym celu pociągnął za sobą delikatnie dziewczynę. Wyraźnie mu się opierała nadal cała napięta.

— Przepraszam, ale zakręciło mi się w głowie, gdyby pan był tak uprzejmy i odprowadził mnie do stolika — odwróciła się tyłem do nieznajomego, wykonując gest ręką, jakby chciała przetrzeć oczy. Nie miał innego wyjścia, jak pójść z nią akurat w odwrotnym kierunku, niż zamierzał. Będąc już przy schodach prowadzących na balkon odwrócił się dyskretnie, by ujrzeć, jak tajemniczy mężczyzna znika w korytarzyku prowadzącym do baru. Przy stoliku zastali obie pary, tym razem Stanisław zabawiał całe towarzystwo opowiadając jakąś wesołą historię.

— Czy pani byłaby uprzejma wyjść ze mną na chwilę? — Karolina zwróciła się do starszej pani.

— Oczywiście moja droga, a stało się coś? Wygląda pani mizernie — zaniepokoiła się.

— To chwilowe, zaraz mi przejdzie, chciałam sobie tylko przemyć twarz zimną wodą — uspokoiła ją.

Wyszły, a major poczuł napływające znów napięcie i niepokój.

— Nie przejmuj się, to z pewnością nic groźnego — głos przyjaciela docierał do niego jakby z wielkiego oddalenia.

— Cóż za satysfakcja dla męskiej ambicji, aby taką dziewczynie w głowie zawrócić — wtórowała mu ze śmiechem partnerka Stanisława. Do rozmowy włączył się fabrykant proponując spełnienie toastu za pomyślność Karoliny.

— Wybaczcie, że zejdę na dół — Pawlik zdecydował się w jednej chwili.

— Zostawiłam Karolinę na tarasie, chciała przez chwilę być sama, pooddychać morskim powietrzem i popatrzeć

na gwiazdy — objaśniła majora nie pytana żona fabrykanta, gdy się mijali na schodach — ale sądzę, że pańskie towarzystwo będzie jej miłe.

W holu majora zatrzymał portier.

— Siostrzeniec wszystko sprawdził i znalazł poluzowany gwint, dokręcił go — mówił pospiesznie dostrzegłszy widać zniecierpliwienie na twarzy majora.

— Dobrze, za chwilę wrócę, to uregulujemy rachunek — wreszcie się od niego uwolnił.

Wyszedł przed budynek rozglądając się uważnie wokół, w stanie najwyższego podniecenia. Na tarasie, oświetlonym przez długi rząd lamp zawieszonych na ścianie budynku zwróconej w stronę łagodnie szemrzącego morza nie było nikogo. Stąpając ostrożnie na palcach krył się w cieniu, aby pozostać niezauważony. Nagle dotarły do niego strzępy rozmowy prowadzonej gdzieś niedaleko. Rozejrzał się uważnie. Dochodziła z mroku poza zasięgiem światła padającego z lamp umieszczonych na budynku i ustawionych na tarasie. Przywołał w pamięci obraz otoczenia lokalu, gdy je zobaczył w świetle dziennym zaraz po przyjeździe. Tam, skąd docierały do niego pojedyncze słowa, biegła aleja, przy której stały ławki. Opuścił pośpiesznie taras i zachowując jak największą ostrożność zakradł się możliwie najbliżej miejsca, gdzie spodziewał się znaleźć dziewczynę. To był jej charakterystyczny głos.

— Jeszcze raz powtarzam, że to nie ma najmniejszego sensu, a ryzyko jest ogromne — mówiła.

— Jeśli pani nie daje znaku życia, jak inaczej miałem postąpić? — odpowiedział niewidoczny w mroku mężczyzna.

— Na wszystko przyjdzie czas, a teraz muszę pana pożegnać — poruszyło się coś w ciemnościach.

— Proszę pamiętać, że czekamy najwyżej tydzień.

Pawlik wycofał się pośpiesznie na schody prowadzące do głównego wejścia. W szeroko otwartych drzwiach zauwa-

żył portiera, a obok niego młodego człowieka w kraciastej koszuli.

— To właśnie mój siostrzeniec — przedstawił go portier wychodząc majorowi naprzeciwko.

— Niech pan poprosi od stolika mojego przyjaciela, a my pójdziemy obejrzeć samochód — ujął pod ramię młodzieńca i wyprowadził na plac przed budynek.

— Jest w najlepszym porządku — zapewniał po drodze chłopak. — Niech pan zwróci uwagę na tę maszynę, pierwszorzędna, znam się na tym, ale jej właściciel nie ma pojęcia o zasadach ruchu drogowego, zaparkował ją w poprzek — dodał wskazując ciemną sylwetkę auta ustawionego równolegle do budynku.

— Nie wie pan, kto nim przyjechał? — zagadnął jakby od niechcenia major.

— A taki jeden facet z ponurą gębą. Obserwowałem go naprawiając wasz pojazd, kręcił się, węszył jakby nie przymierzając szukał tego, czego nie zgubił, chciałem mu już powiedzieć coś do słuchu na temat parkowania, ale stryj nie pozwala mi zaczepiać gości, tamten ulotnił się ponadto jak kamfora. Zdaje się, że nadchodzi — zawołał wskazując palcem.

— Chodź pan tu — major pociągnął zaskoczonego chłopca za samochód — i ani słowa dopóki nie zorientujemy się, co ten ptaszek zamierza.

— Pan z policji? — szepnął jeszcze, ale Pawlik położył wymownym ruchem palec na ustach.

Mężczyzna wsiadł do samochodu zapalając światła, zaraz potem zawarczał uruchomiony silnik.

— Jesteśmy razem z panią Alą — wyrósł przy nich Poganowski razem z blondynką uwieszoną u jego ramienia.

— Jeszcze tylko tego brakowało — wyrwało się majorowi wzbudzając niezadowolenie przyjaciela.

— A co w tym złego — zaczął, ale Pawlik nie pozwolił mu skończyć, bo samochód przed nim drgnął wykonując zwrot w kierunku drogi biegnącej poniżej budynku.

— Wsiadajcie zaraz do wozu i jedźcie za tamtym — wskazał ręką w stronę widocznej jak na dłoni w świetle stojących gęsto lamp maszyny, toczącej się wolno i podskakującej na nierównościach polnej ścieżki schodzącej do drogi — ja muszę wiedzieć co to za gagatek i dokąd zmierza, weź ze sobą tego młodego człowieka, przyda ci się, i panią Alę również, nie wzbudzicie przynajmniej podejrzenia, naszym biesiadnikom powiem, że ulotniliście się po angielsku i bardzo przepraszacie.

— Co to ma znaczyć, nie rozumiem — pani Ala przenosiła wzrok z jednego oficera na drugiego, malowało się w nim bezbrzeżne zdumienie.

— Stasiu pani wszystko wyjaśni, ale teraz już nie zwlekajcie, bo wam gotów czmychnąć.

Tamten samochód stoczył się już ze wzniesienia skręcając w lewo i zakłócając ciemność nocy smugami światła. Major wepchnął ich do wozu sadowiąc przy kierownicy siostrzeńca portiera, który sprawiał wrażenie ogromnie podnieconego niespodziewaną przygodą.

— Zawiadomię kierownika ekspozytury gdańskiej, żeby uprzedził placówki graniczne, zwłaszcza najbliższą w kierunku Sopotu — rzekł do Poganowskiego siedzącego wraz z panią Alą w tyle wozu.

Major stał przez chwilę spoglądając w ślad za odjeżdżającym samochodem, a następnie zawrócił do lokalu. W holu przywitał go usłużny portier.

— Czy mój siostrzeniec poszedł do domu?

— Pojechał z przyjacielem coś załatwić, wkrótce wróci. Gdzie tu jest telefon?

— W biurze właściciela, obok baru.

Major pospieszył we wskazanym kierunku, ale drzwi do pokoju zastał zamknięte. Zwrócił się więc do barmana.

— Czy pan nie wie jak się dostać do środka? Potrzebuję pilnie zadzwonić.

— Zaraz poproszę starszego kelnera — barman zniknął

na zapleczu, a wkrótce pojawił się mężczyzna w średnim wieku w smokingu, razem weszli do biura.

— Jak się stąd połączyć z Gdynią? Jestem majorem Wojska Polskiego, to sprawa wagi państwowej — Pawlik pokazał tamtemu legitymację. Starszy kelner sięgnął bez słowa po słuchawkę zamawiając podany mu numer. Połączenie nastąpiło bardzo szybko.

— Mieszkanie kapitana Sendera? Tu mówi major Pawlik, najmocniej panią przepraszam, że dzwonię o tej porze — zaczął, kiedy domyślny mężczyzna zostawił go samego w pokoju — Zygmunt? Trzeba postawić w stan pogotowia placówki graniczne i patrole ruchome. Podam ci numer samochodu, ustalisz tożsamość jego kierowcy. Najprawdopodobniej zamierza przekroczyć granicę z Wolnym Miastem od strony Władysławowa. Zrobicie też mu zdjęcie, oczywiście z fotografii w paszporcie, jedzie za nim pułkownik Poganowski, wszystko ci wytłumaczy, resztę sam zrobię, jak przyjadę do Gdyni, mam tu jeszcze coś do załatwienia. Trzymaj się.

Odłożył słuchawkę wychodząc na korytarz. W wejściu do baru stał mężczyzna, który umożliwił mu telefoniczną rozmowę.

— Pan rozumie, że w tej sprawie obowiązuje całkowita dyskrecja — powiedział mu niegłośno, tamten skinął ze zrozumieniem głowę. — A może pan ma ochotę na kieliszek koniaku, bo ja się z przyjemnością napiję.

— Dlaczego nie, jeśli mogłem się przysłużyć słusznej sprawie, jestem szczerym patriotą — pospieszył z zapewnieniem. Usiedli na wysokich stołkach przy końcu długiej i lśniącej lady, obok głośno zachowującej się pary.

— My tu pana wszędzie szukamy, a pan proszę bardzo gości sobie w barze, do tego sam — stał przed nim fabrykant z Łodzi w towarzystwie Karoliny.

— Spotkałem przyjaciela z młodych lat — Pawlik wskazał na siedzącego obok niego mężczyznę, — który jest za-

rządzającym w tym lokalu i od słowa do słowa wstąpiliśmy na jednego do jego biura.

— A potem drugiego postanowiliśmy wypić już w barze — starszy kelner od razu wszedł w rolę wyznaczoną mu przez majora. — Zróbcie mi państwo przyjemność przyjmując zaproszenie na lampkę koniaku — skinął ręką, barman zaczął pospiesznie ustawiać kieliszki na ladzie.

— Pan wybaczy, ale wydaje mi się, że powinniśmy już wrócić do stolika — zaoponowała Karolina — nie wypada dłużej pozostawiać pańskiej małżonki samej — zwróciła się do fabrykanta, poparł ją major.

— A gdzież podział się pański przyjaciel? Zniknął razem ze swoją partnerką — indagował majora właściciel fabryki konfekcji.

— Zastanawiałem się właśnie jak państwu wytłumaczyć, że rozstali się z nami iście po angielsku, prosząc mnie o usprawiedliwienie ich — kiedy to mówił, czuł na sobie uważny wzrok Karoliny, starał się więc być swobodny, uśmiechnął się też przepraszająco — może to niezbyt właściwa forma pożegnania, ale tak im wypadło.

— Przyznam się, że dla mnie zaskakująca, staram się jednak być pobłażliwy i wyrozumiały — powiedział starszy pan — widocznie takie czasy nastały.

— Szukałeś mnie naprawdę. Martwiłeś się? — szepnęła mu na ucho, kiedy wspinali się po schodach na balkon.

— Mało mi serce nie pękło — odszepnął, muskając jej policzek.

— Zapraszam cię jutro na śniadanie do kawiarni hotelu „Bałtyk", oczywiście niezbyt wcześnie, powiedzmy o jedenastej — zastrzegła się.

— Nie możemy tego śniadania rozpocząć jeszcze dziś, powiedzmy od spóźnionej kolacji? — wykorzystując, że starzy pan pośpieszył pierwszy do swojej żony, przytrzymał za łokieć Karolinę.

W odpowiedzi tylko się roześmiała i pogroziła mu pal-

cem. Było już dobrze po północy i pierwsze pary zaczęły opuszczać lokal. Wkrótce poszli ich śladem wracając taksówką do Jastrzębiej Góry.

Lipiec 1939, Berlin

— Panowie, świadectwem ogromnej wagi zadania, które nam powierzono, jest fakt, że zebraliśmy się w moim prywatnym mieszkaniu — Heydrich umilkł, jakby chcąc podkreślić doniosłe znaczenie wypowiedzi. — Wszystko, o czym będziemy tu dzisiaj mówić, podlega najściślejszej tajemnicy. Oficjalny cel naszego spotkania to uczczenie piętnastej rocznicy mojej nominacji oficerskiej, dziękuję przy okazji za złożone mi wcześniej życzenia. Podczas kolacji na którą panów zapraszam, pozwolę sobie powrócić myślą do pięknych chwil z młodych lat spędzonych w marynarce wojennej, ale teraz zajmijmy się rzeczywistością. Jak się orientujecie, już się zagotowało na naszym pograniczu z Polską. To jest jednak dopiero początek, preludium tego co czeka krnąbrnych i butnych Polaków. My im wysmażymy pasztet, od którego dostaną czkawki. Doktorze Best co ma pan nam do zakomunikowania?

— Zakończenie pierwszej fazy przygotowań do podjęcia operacji „Himmler" i „Tannenberg" — Brigadeführer podderwał się z krzesła.

— Proszę siedzieć — powstrzymał go Heydrich — a panom należy się krótkie wyjaśnienie. Führer zaakceptował kryptonimy, którymi oznaczyliśmy dwa nasze kluczowe przedsięwzięcia: „Tannenberg" dla przyszłej działalności grup operacyjnych policji i służby bezpieczeństwa postępujących za frontem w głąb terytorium wroga i zajmujących się unieszkodliwianiem wszelkich elementów stanowiących zagrożenie naszych interesów, na cześć zwycięskiej bitwy stoczonej przez Hindenburga i Ludendorffa

z Rosjanami w 1914 roku: „Himmler" dla akcji mających udowodnić światu perfidne i agresywne oblicze Polaków, na cześć Reichsführera. A teraz słuchamy doktorze Six.

— Pozwolę sobie zameldować, że jest gotowych pięć grup operacyjnych związanych terytorialnie z zasięgiem działania pięciu armii wermachtu na wypadek zbrojnego wystąpienia przeciwko Polsce.

— Znakomicie — pochwalił go Heydrich — czy zapewniono im niezbędne wyposażenie techniczne, zwłaszcza transport, środki łączności, specjalne uzbrojenie?

— Sturmbannführer Rauff gromadzi potrzebne na ten cel środki — odpowiedział Standartenführer Six.

— Na jakim pan jest etapie? — Gruppenführer zwrócił się do niepozornie wyglądającego mężczyzny w cywilnym ubraniu, jak wszyscy uczestnicy spotkania.

— W ciągu dwóch tygodni będę gotowy.

— Jak przedstawia się sprawa obiektów, które mogłyby się stać przedmiotem naszego zainteresowania? — pytanie nie miało adresata, ale zgłosił się niezwłocznie Brigadeführer Jost.

— Z kilku tysięcy obiektów należących do naszych organizacji czy instytucji działających na terenie Polski, a także do osób cywilnych, wytypowaliśmy dwieście trzydzieści trzy wchodzące w grę jako miejsca naszych akcji.

— Za dużo — przerwał mu Heydrich — pan ode mnie wymaga, abym zapoznał się z taką ilością szkół, lokali organizacyjnych Volksbundu, redakcji czy kościołów, nie mówiąc o fabrykach, domach mieszkalnych lub gospodarstwach rolnych, bo i takie obiekty, jak sądzę, macie również na swojej liście?

— Dokonamy następnej selekcji, Herr Gruppenführer — zapewnił go referent.

— Mam nadzieję, byle szybko, bo grunt nam się pali pod nogami — Heydrich bębnił palcami po stole.

— Pragnę zauważyć, że wciąż nie mamy pełnomocnika dla operacji „Himmler" na Gdańsk, jeśli zdecydujemy się

ją również tam usytuować — wtrącił się Ohlendorf — nie muszę chyba uzasadniać, jakie znaczenie z uwagi na europejską opinię publiczną, będzie miał każdy udokumentowany akt polskiego terroru w tym mieście.

— Ma pan jakiś konkretny wniosek? — gospodarz narady nie grzeszył tego dnia cierpliwością.

— Skierować niezwłocznie do Gdańska Sturmbannführera Veesenmayera, który tak dobrze spisał się w Słowacji. Ma jeszcze jeden atut nie do odparcia, że jest formalnie pracownikiem Ministerstwa Spraw Zagranicznych i będzie mu łatwiej znaleźć wspólny język z Wysokim Komisarzem Ligi Narodów dla Wolnego Miasta.

— Już niedługi jego żywot — warknął Gruppenführer — ale wniosek aprobuję, porozmawiam w sprawie Veesenmayera z ministrem Ribbentropem. A pan, Sturmbannführer Schellenberg, co nam szykuje na deser? — zwrócił się do przystojnego bruneta w eleganckim wizytowym garniturze, który ukrył się za rozłożystą palmą i wygodnie usadowiony w miękkim fotelu palił cygaro.

— Polskie przygotowania wojenne ruszyły pełną parą, znamy dokładnie dyspozycje wydane poszczególnym armiom i związkom taktycznym. Wszystko wskazuje na to że przeciwnik jest zdecydowany przeciwstawić się zbrojnie naszym słusznym i uzasadnionym racjom historycznym oraz moralnym — wywołany mężczyzna mówił wolno, jakby od niechcenia.

— Mam jednak nadzieję, że przygotowania te są niec spóźnione — roześmiał się sucho gospodarz. — Muszę w tym miejscu wyrazić uznanie dla Sturmbannführera, uzyskane przez niego informacje są bezbłędne i dokładne jak najbardziej precyzyjny, szwajcarski zegarek. Wiemy, co się dzieje w polskim Sztabie Głównym, nie tylko co robią, ale i co myślą polscy stratedzy. To się nazywa dobra robota brawo Schellenberg!

Posypały się oklaski, w odpowiedzi na co przystojny oficer SD podniósł się z fotela składając ukłon.

— Nasz kontrwywiad mógłby wziąć przykład z kolegów z wywiadu — dodał Heydrich bezosobowo, ale wszyscy wiedzieli do kogo skierowane były te słowa. Szef gestapo, Müller, chrząknął zakłopotany, po czym powiedział:

— Pułapka zastawiona, zwierzyna powinna w nią lada chwila wpaść.

— Słyszę to już od tylu dni, że przestałem wierzyć w skuteczność tej pułapki, a tymczasem polski agent nadal bezczelnie działa pod naszym bokiem.

— Jeszcze trochę cierpliwości, Gruppenführer — Müllera poparł doktor Six — a będzie nagrodzona, zapewniam pana, jednym strzałem upolujemy dwie sztuki, i to jakie!

— Panowie, mamy połowę lipca, do końca miesiąca przygotowania do akcji „Himmler" muszą być zakończone, objęte nią obiekty po stronie polskiej wytypowane, a także — zrobił pauzę dla zwiększenia efektu swoich słów — po naszej stronie, to będzie to nowe, oryginalne w tej akcji, różniące ją od zrealizowanej również przez nas w ubiegłym roku w Sudetach. Przygotowania do akcji „Tannenberg" również kończymy definitywnie w ciągu dwóch tygodni. Panowie, więcej nie chcę słyszeć o polityce ani o wojnie. Kto da dobry przykład? Schellenberg, pan z całą pewnością ma co opowiadać, ciesząc się takim powodzeniem u dam! A może pan, doktorze Best?

— Służę anegdotami z myśliwskiego repertuaru.

— Przepraszam doktorze, ale to nie nasza specjalność, my polujemy na ludzi — Heydrich roześmiał się głośno, wszyscy mu zawtórowali.

Lipiec 1939, Warszawa

— Tego pan nie może ode mnie żądać — pułkownik gwałtownie się żachnął w sposób nie licujący z jego dobrodusznym wyrazem twarzy.

— A od kogo, pytam się, jeśli nie od szefa II Oddziału Sztabu Głównego i mojego bezpośredniego przełożonego? major Pawlik nie zraził się reakcją swego rozmówcy. — Czy miałem pana pominąć i udać się wprost do szefa sztabu, a może do naczelnego wodza?

— Przecież to czyste szaleństwo — tamten wymachiwał rękami, jakby chciał się przed czymś zasłonić albo odparować zdradziecki cios — czy pan sobie w ogóle zdaje sprawę z tego, co mi pan proponuje?

— Panie pułkowniku — major starał się nad sobą panować — sam sobie nie wierzyłem, póki nie zebrałem dowodów. Zna pan plon naszej ostatniej wyprawy z podpułkownikiem Poganowskim na wybrzeże? Pozostaje jedynie nadać oficjalnie bieg sprawie.

— Czy pan wie, że nominacja tego pana na generała została już zatwierdzona? I jak ja mam tej sprawie nadać bieg? Może pan to sobie wyobrazić? — w głosie pułkownika więcej już było teraz bezradności niż złości.

— Mogę — major ani myślał mu przyznać rację. — SS-Obersturmführer Hans Germann zidentyfikowany. To panu nie wystarczy? Raport w tej sprawie musi trafić niezwłocznie na biurko generała Stachiewicza, nie ma chwili do stracenia, nie możemy dłużej tolerować bezczelnej agentki pod naszym bokiem, która dzięki swemu naiwnemu narzeczonemu, pan wie, że zakochani nie grzeszą zwykle mądrością, ma dostęp do sekretnych spraw naszej armii.

— Tak, w samej rzeczy — pułkownik sprawiał wrażenie kompletnie przygnębionego. — Ależ to będzie piekło, jak my je przeżyjemy? — jęknął. — A jeśli mimo pańskich dowodów nie zdołamy jej udowodnić winy?

— Wszystko zależy od pośpiechu i precyzji działania — odpowiedział mu major — Germann w najbliższym czasie wróci do Polski, a wówczas dokonamy aresztowania. Zanim to jednak nastąpi musimy posiadać w ręku niezbite dowody szpiegowskiej działalności panny Łubieńskiej, której prawdopodobnie znajdziemy w jej warszawskim apar-

mencie, albo w wiejskiej rezydencji ojca. Aby je odszukać musimy uzyskać oficjalną akceptację naszych działań, przede wszystkim należy powiadomić narzeczonego Karoliny, bardzo mi przykro, jeśli to pański znajomy, znam jego życiorys, wiem, że wielce zasłużony dla sprawy odzyskania niepodległości, legionista i żołnierz wojny wyzwoleńczej.

— To mój przyjaciel — westchnął pułkownik — ale fakt ten nie ma w tej chwili żadnego znaczenia. Niech pan mi powie majorze, dlaczego nie zatrzymaliście tego Germanna na przejściu granicznym do Sopotu?

— Byłby to przedwczesny krok i mógłby pogrzebać całą sprawę, sam pan przed chwilą wyraził wątpliwość, czy zebrane dowody będą dostatecznie przekonywające. Dla nas wystarczą, ale chodzi jeszcze o kogoś, pan rozumie...

Początek sierpnia 1939, Berlin

— Ja muszę niezwłocznie zobaczyć się z pułkownikiem Szymańskim — w głosie kobiety, która niemal siłą wtargnęła do holu ambasady polskiej, brzmiały histeryczne tony. Mężczyzna, który jej otworzył drzwi, usiłował wyjaśnić, że godziny urzędowania dawno minęły, ale nie chciała o tym nawet słyszeć.

— Pan chyba znał majora Pawlika? Oto jego wizytówka na dowód, że nie jestem kimś obcym i mam sprawę nie cierpiącą zwłoki. Pan pułkownik Szymański z pewnością pana pochwali, jeśli mi pan pomoże nawiązać z nim kontakt — po jej zdesperowanym obliczu widać było, że nie ustąpi.

Mężczyzna wahał się jeszcze przez chwilę, a następnie zaprowadził ją do niewielkiego saloniku spełniającego rolę poczekalni. Zwabiony głośną rozmową prowadzoną po niemiecku zjawił się jeszcze jeden pracownik ambasady. Po wyjaśnieniu sprawy zapewnił kobietę, że spróbuje porozu-

mieć się z attaché wojskowym i wyszedł zostawiając ją w saloniku. Usiadła na kanapie i zapaliwszy papierosa wpatrywała się w okno, za którym zapadał dość wcześnie jak na tę porę roku zmierzch.

Podpułkownik Szymański zjawił się w ciągu kwadransa i przywitawszy się z młodą kobietą zabrał ją do swojego gabinetu.

— Należy ratować Tomasza — powiedziała bez wstępów, kiedy zamknęły się za nimi drzwi pokoju — wprawdzie Władek zabronił mi kategorycznie mieszać się do jego spraw, ale ja nie mogę patrzeć bezczynnie na niebezpieczeństwo, które zawisło nad głową waszego człowieka. Tomasza znanego również jako Żorżyk, ufa mi pan teraz?

— Nie bardzo wiem co pani odpowiedzieć — attaché taksował ją uważnie wzrokiem.

— Bo też nie trzeba nic mówić tylko działać, przecież pan mnie zna, proszę nie udawać i dobrze pan wie, co mnie łączyło z Władkiem, to znaczy z majorem Pawlikiem — mówiła z wielką żarliwością patrząc swemu rozmówcy prosto w oczy. — Tomasz był naszym serdecznym przyjacielem, postanowiłam uczynić wszystko, aby mu pomóc. Do kogo więc miałam z tym przyjść, jak nie do pana?. Z pewnością ma pan ochotę zapytać, skąd pochodzą moje informacje? To nie jest ważne, tym bardziej, że zgodnie z wolą Władka nie zamierzam wam oferować swoich usług, ani cokolwiek więcej uczynić poza tym jednym. Niestety, nie posiadam adresu Tomasza, wiem tylko tyle, że mieszka we Wrocławiu, a to stanowczo za mało na tak duże miasto... Proszę spowodować, aby niezwłocznie zniknął, najlepiej byłoby dla niego, gdyby przekroczył granicę jeszcze dziś w nocy, wy macie już na to swoje sposoby. Ci co go szukają, nie dadzą za wygraną, dopóki nie przetrząsną każdego skrawka ziemi.

Wydaje mi się, że powiedziałam wszystko, co miałam panu do powiedzenia. Żegnam pana i proszę nie starać się mnie odszukać, wyjeżdżam zresztą wkrótce za granicę —

podała mu rękę, którą ucałował i nie zatrzymywana przez niego ruszyła ku drzwiom. Odprowadził ją do samego wyjścia.

— Słyszał pan, co mi zakomunikowała? — zapytał mężczyznę, który pojawił się w tym momencie w holu.

— Owszem — potwierdził tamten.

— I co pan na to?

— Nie zlekceważyłbym jej informacji, jeśli pan rzeczywiście ją zna.

— Owszem, wiem kim jest, ma na imię Eryka, a nazwisko, no cóż, należy do liczących się w berlińskiej śmietance towarzyskiej — podpułkownik zamyślił się — wydaje mi się, że Tomasz winien zmienić powietrze, a być może i zniknąć z Rzeszy, przynajmniej na jakiś czas, tym bardziej, że były już i inne sygnały. Wobec tego podamy mu hasło najwyższego zagrożenia, a pan uda się niezwłocznie samochodem w umówione miejsce i zabierze go. Czy nasz stary, poczciwy Rudi wraz ze swoją taksówką nadaje się do tego zadania?

— Jak najbardziej, jest całkowicie pewny, ostatnio nie angażowaliśmy go do żadnej roboty.

— Wobec tego w drogę, poruczniku, a ja się zajmę przekazaniem Tomaszowi hasła.

Podpułkownik Szymański nie zmrużył oka tej nocy. Tomasz nie zgłaszał się pod numerem telefonicznym w swoim wrocławskim mieszkaniu. Porucznik, wysłany, aby z nim nawiązał kontakt, zjawił się dopiero nazajutrz z rana. Wystarczyło na niego spojrzeć, aby wyczytać z twarzy, że nie przynosi dobrych wiadomości. Szymański powstrzymał się od pytania, chociaż mu się cisnęło na usta i czekał, aż sam wyjawi rezultaty swej podróży.

— Spóźniliśmy się, panie pułkowniku — powiedział z ponurą miną — Tomasza zabrali niemal na moich oczach. Ponieważ w rezerwowym lokalu go nie było, postanowiłem udać się do właściwego mieszkania. Dobrze, że zostawiłem taksówkę na sąsiedniej ulicy, bo urządzili kocioł. Na szczę-

ście ma się jeszcze intuicję. W sąsiedztwie jest bar czynny całą noc, głównie dla motorniczych i konduktorów wrocławskich tramwajów zjeżdżających do położonej tuż obok zajezdni. Wstąpiłem tam i podsłuchałem, jak dwóch mężczyzn wielce zaaferowanych szeptało o obławie z udziałem całej kohorty gestapowców na pobliski budynek, która dopiero co się zakończyła. Nie może być wątpliwości, kogo szukali.

— Co dzisiaj mamy? Sobotę pierwszą w miesiącu, o rany! Tomasz odbierał przesyłkę od „Komiwojażera". Jeśli wpadnie w niemieckie ręce, możemy utracić jeszcze jednego niezwykle cennego współpracownika.

Początek sierpnia 1939, Warszawa

— Panowie, oto garść meldunków na temat akcji dywersyjnych i terrorystycznych podjętych tylko w jednym dniu, wczoraj — szef Sztabu Głównego generał Stachiewicz podniósł spory plik gęsto zapisanych kartek, które leżały przed nim na stole — sytuacja zaostrza się z dnia na dzień, ba, z godziny na godzinę, nie możemy tolerować rosnącej wciąż bezczelności i agresywności Niemców. Oficerowie zajmujący się wyłącznie tym zagadnieniem twierdzą, że należy się spodziewać jeszcze bardziej perfidnych i wyrafinowanych metod, które hitlerowcy zastosują w tej walce psychologicznej. Bo jest to przede wszystkim wojna nerwów, o czym należy pamiętać w gronie kadry kierowniczej naszego kontrwywiadu, podobnie jak w ubiegłym roku w czasie kryzysu sudeckiego, gdy miała na celu zmiękczenie Czechów. Ale my nie jesteśmy Czechami i prowokacje bojówek ze swastyką w herbie spotkają się z naszą godną odpowiedzią. Panie majorze — zwrócił się do Pawlika — czy pan może dorzucić garść szczegółów na temat tego, co nas jeszcze czeka w przyszłości?

— Działania przeciwnika koordynują wywiady wojskowy i polityczny, przy czym mamy do czynienia ze swoistą rywalizacją, kto zrealizuje więcej akcji przeciw nam wymierzonych — referował wywołany — jednocześnie od kilku miesięcy działa specjalny sztab powołany przez Gruppenführera Heydricha, który formalnie zajmuje się również całą tą antypolską hecą, ale w gruncie rzeczy programuje przedsięwzięcia wybiegające poza utarte i już wypróbowane metody w tej wojnie nerwów, jak to, co dzieje się na pograniczu, nazwał pan generał Stachiewicz. Najprawdopodobniej chodzi o prowokacje mające udowodnić światu nasze niecne oblicze i agresywną postawę wobec bogobojnych i poczciwych Niemiaszków. Podobne kuglarskie sztuczki zastosowali ludzie Heydricha w Sudetach jesienią zeszłego roku, zanim podpisano układ monachijski. A więc napady na własne obiekty, lokale organizacji mniejszości niemieckiej, szkoły, a być może i prywatne posiadłości ludzi liczących się w swoim otoczeniu. Niewykluczone są również tego rodzaju akcje na swoim terytorium, które by stanowiły dla opinii światowej przekonywające świadectwo agresywnych zamiarów Polaków. Można przecież na miejsce „zbrodni" ściągnąć zagranicznych dziennikarzy, nadać radiowe sprawozdanie, nakręcić filmy, które by następnie wyświetlano w kinach. Tak można z grubsza scharakteryzować cele owego sztabu Heydricha, oczywiście nie da się wykluczyć, że zajmuje się jeszcze czymś innym, ale nas w tej chwili interesuje akcja dywersyjna na terytorium Polski, a być może i Rzeszy. Znać te cele to jeszcze nie wszystko, aczkolwiek uzyskać informację o tajnym sztabie Heydricha było nie lada sztuką i nasz wywiad po niemieckiej stronie zasługuje na słowa najwyższego uznania. Pozostaje sprawa najważniejsza: jak zapobiec hitlerowskim łajdactwom, jak sparaliżować zamierzone prowokacje? W dalszej części narady pozwolę sobie przedstawić panom garść wniosków i spostrzeżeń, do jakich doszliśmy analizując temat, który zaprząta dziś naszą

uwagę, być może przydadzą się do zwalczania niemieckich akcji terrorystycznych, do zapobiegania im oraz do likwidacji w zarodku.

Do niewielkiej salki konferencyjnej goszczącej około pół setki oficerów reprezentujących centrale oraz terenowe ekspozytury II Oddziału wsunął się wojskowy z kartką papieru złożoną we czworo. Widząc przemawiającego majora zatrzymał się tuż za progiem niezdecydowany.

— Coś pilnego, panie poruczniku? — zapytał go generał Stachiewicz korzystając z pauzy w wywodzie referenta.

— Tak, do pana majora Pawlika — odpowiedział porucznik.

— Proszę doręczyć — zadysponował generał. — Może są jakieś pytania? — zwrócił się do zebranych, umożliwiając majorowi zapoznanie się z treścią meldunku. Brzmiała następująco:

„Osobnik, którego zdjęcie rozesłano do placówek granicznych, przekroczył dziś granicę w województwie poznańskim. Jest samochodem, kieruje się na południe".

— A więc Germann wrócił — odetchnął major z ulgą. Jeszcze w trakcie narady nadeszła z Berlina fatalna wiadomość o aresztowaniu długoletniego rezydenta „dwójki" we Wrocławiu. Generał Stachiewicz zarządził niezwłocznie przerwę prosząc do siebie pułkownika Smoleńskiego oraz parę przyjaciół: Poganowskiego i Pawlika.

— Co panowie proponujecie w tej sytuacji? — zapytał ich szef Sztabu Głównego.

— Wydaje mi się, że w związku z zaistniałymi wydarzeniami poszukiwania panny Łubieńskiej należy... hm — Smoleński chrząknął jakby zawstydzony tym, co zamierzał powiedzieć.

— Energicznie zintensyfikować — podpowiedział Stachiewicz.

— Proponuję równocześnie z zatrzymaniem Karoliny przeprowadzić rewizję w posiadłości ojca, a także w mieszkaniu jej narzeczonego — oświadczył Poganowski.

— Biorę to na siebie, łącznie z rozmową z pułkownikiem — stwierdził z ponurą miną generał.

— Trzeba uprzedzić informatorów Tomasza, wpadka powinna się na nim zakończyć — dodał Pawlik.

7–9 sierpnia 1939, śląskie pogranicze Rzeszy

7 sierpnia. SS-Sturmbannführer doktor Emanuel Schäfer, szef opolskiej placówki gestapo, jak codziennie z rana przeglądał meldunki. Nagle zadzwonił telefon.

— Łączę Berlin — zgłosił się dyżurny, kiedy podniósł słuchawkę.

— Tu Hauptsturmführer Neumann — Schäfer mimo woli wyprostował się, to był adiutant samego Heydricha — proszę być jutro o szesnastej własnym samochodem, bez kierowcy, na lotnisku polowym w Prudniku.

— Tak jest — nie zadawał zbędnych pytań.

— Sprawa wagi państwowej, należy ją zachować w całkowitej tajemnicy, aha, jeszcze jedno, włoży pan cywilne ubranie i żadnej asysty, nikt nie powinien wiedzieć kto i po co przyleci z Berlina. Wszystko jasne?

— Najzupełniej, dziękuję za zaufanie.

— Życzę powodzenia.

8 sierpnia. Po kilkunastu minutach oczekiwania Schäfer usłyszał wpierw odległy, potem systematycznie narastający warkot silnika. Po chwili na prudnickim lotnisku wylądował samolot typu ju-52. Szef opolskiego gestapo opuścił samochód podchodząc bliżej. Z maszyny, gdy już zatrzymała się, wysiadło trzech mężczyzn w cywilu. Pierwszym był Heydrich, drugim Otto Hellwig, Obersturmbannführer, komendant szkoły policji bezpieczeństwa w Berlinie-Charlottenburgu, trzecim adiutant, z którym rozmawiał telefonicz-

nie. Gruppenführer kładąc teczkę i płaszcz na skrzydle samolotu wziął konfidencjonalnie pod ramię Schäfera i odszedłszy z nim kilka kroków powiedział:

— Führer potrzebuje pretekstu do rozpoczęcia wojny z Polską — szef opolskiego gestapo musiał mieć nieliche zdumienie wypisane na twarzy, bo Heydrich roześmiał się po swojemu, niegłośno, dodawszy — niech pan będzie spokojny, nie oczekujemy, aby pan go dostarczył, natomiast weźmie pan udział w historycznym wydarzeniu. Gdzie możemy zjeść kolację, porozmawiać i przenocować? Jutro czeka nas mnóstwo pracy, przejedziemy się wzdłuż granicy z Polską, chcę zobaczyć to i owo.

— Jest takie jedno miejsce, najbardziej chyba odpowiednie, Dom Górnośląski w Gliwicach, można tam dobrze zjeść i posłuchać muzyki, ma też wygodne pokoje gościnne — objaśnił Schäfer.

— To świetny pomysł, znam ten hotel — pochwalił go Gruppenführer — wobec tego jedźmy.

Okazało się, że Dom Górnośląski nie narzekał na brak gości. Aby załatwić pokoje, Schäfer musiał zadzwonić do jego właściciela. Heydrich, występujący w charakterze berlińskiego przemysłowca, otrzymał dla siebie pokój, Hellwig, Schäfer i Neumann zamieszkali razem.

W restauracji było gwarnie i rojnie. Zajęli stolik wciśnięty w sam róg głównej sali, dodatkowo osłonięty przed ciekawskimi spojrzeniami drewnianą ścianką. Gruppenführer był w świetnym humorze, pokpiwał łagodnie z niezbyt lotnego Hellwiga, nie wspominając ani słowem o celu wyprawy na wschodnie rubieże Rzeszy. Schäfer siedział jak na szpilkach nie mogąc się doczekać, kiedy wreszcie pozna zamiary swego przełożonego. Po deserze, przy czarnej kawie, do której szef służby bezpieczeństwa łaskawie zamówił po kieliszku koniaku, przeszedł wreszcie do rzeczy:

— Potrzebujemy dwóch obiektów w niedalekim sąsiedztwie granicy, na które zostanie skierowany atak z terytorium Polski. Oczywiście my go sfingujemy, ale w taki

sposób, żeby cały świat uwierzył, że to Polacy nas napadli. Pańskim zadaniem, jako jednoczesnego zwierzchnika policji granicznej, będzie wycofanie tuż przed rozpoczęciem akcji posterunków stałych czy patroli ruchomych, aby nie dopuścić do niepotrzebnych komplikacji. Teraz już pan wie, o co chodzi? Jutro z rana podczas wizji lokalnej omówimy wszystkie szczegóły, na dzisiaj wystarczy, posłuchamy sobie muzyki, popatrzymy na tańczące pary i pójdziemy grzecznie do łóżek. Pobudka skoro świt.

— Czy termin akcji jest przynajmniej w przybliżeniu wiadomy? — zapytał gospodarz.

— Od jutra za tydzień należy być w pogotowiu każdego dnia — zabrzmiała odpowiedź. Schäfer wreszcie pojął, dlaczego niedawno podporządkowano mu straż graniczną.

9 sierpnia. O świcie nie wyjechali, nie opuścili nawet łóżek. Na śniadaniu byli jednak jako jedni z pierwszych hotelowych gości. Tym samym samochodem, który ich tu przywiózł, prowadzonym przez Schäfera, wyruszyli trasą prowadzącą wzdłuż granicy. Adiutant Gruppenführera, siedzący z przodu obok kierowcy, miał wypisaną marszrutę jazdy w notesie. Wiodła wpierw do wioski Stodoły położonej w strefie granicznej pomiędzy Gliwicami i Raciborzem. Ominęli ostatnie zabudowania kierując się do oddalonego od nich znacznie budynku komory celnej.

— Budowa została ukończona w czerwcu — informował swego przełożonego kierownik placówki gestapo w Opolu, kiedy zatrzymali się i wysiedli z samochodu. Heydrich uważnie lustrował okolicę porównując ją ze szczegółową mapą rozłożoną na masce samochodu. Granica biegła tu szczerym polem i była oznaczona rozciągniętym drutem.

Dalej rozciągał się potężny kompleks leśny. W tym miejscu polskie terytorium wdzierało się w obszar niemiecki głębokim, ale wąskim klinem, ponad którym można było swobodnie ostrzeliwać własną komorę celną, bez koniecz-

ności przekroczenia granicy. Ponadto miejsce, w którym znajdowała się niemiecka placówka graniczna, oddzielało od wioski spore wzniesienie, dające gwarancję, że jej mieszkańcy nie zobaczą, co dzieje się na terenie komory i wokół niej. Co najwyżej mogli usłyszeć, zakładając jednak, że akcja zaplanowana została na noc, a przynajmniej po zmierzchu, należało przypuszczać, iż nikt nie wychyli nosa, nawet na odgłos piekielnej strzelaniny. Z kolei polski urząd celny położony również nad samą granicą oddalony był znacznie od najbliższej wioski Chwałęcice, której ludność miałaby trudności z rozeznaniem sytuacji, gdyby tam się coś wydarzyło, nie mówiąc już o sprowadzeniu załodze rychłej odsieczy.

— To miejsce mi całkowicie odpowiada — tymi słowami Heydrich zakończył wizytację okolicy.

Ze Stodół udali się do Byczyny w powiecie kluczborskim. Tu granicę stanowiła rzeka Prosna, wijąca się wśród podmokłych łąk. Do doliny nadrzecznej przylegał las.

— Właśnie z niego rozpoczniemy akcję, bez naruszania terytorium polskiego, co zawsze niesie z sobą ryzyko przypadkowej kolizji z patrolem czy nawet pojedynczym wartownikiem, która ujawniając przedwcześnie operację narazić ją może na fiasko — Gruppenführer akceptował również i tę propozycję. Na obszarze długości co najmniej trzech kilometrów nie było żadnych osad z wyjątkiem młyna nad Prosną po stronie polskiej, należącego jednak do Niemców.

— Po przestudiowaniu każdego szczegółu wydaje mi się, że obie akcje nie powinny napotkać na żadne przeszkody — oświadczył Heydrich przy pożegnaniu z Schäferem przed wejściem na pokład samolotu — potrzebni będą tylko odpowiednio dobrani chłopcy, na Stodoły w sile kompanii, na Byczynę wystarczy pluton.

— Nie ma co dłużej grać tej komedii, Germann, wiemy o panu wszystko, a przynajmniej dostatecznie wiele, aby uzyskać wyrok skazujący za nielegalne przekroczenie granicy pod fałszywym nazwiskiem — Pawlik przybrał dobrotliwy ton uśmiechając się kpiąco.

— Jestem Lothar Jürgen Barth, radca Ministerstwa Spraw Zagranicznych, odpowiecie za pogwałcenie dyplomatycznego statutu — siedzący przed nim mężczyzna zachowywał się butnie.

— Nieprawda, nazywa się pan Hans Germann, SS-Obersturmführer i referent Wydziału II zapisany pod numerem 212, oto pański wizerunek w galowym mundurze zaczerpnięty z waszych źródeł, wystarczy panu? Jeśli nie, służymy także innymi dowodami — biorący również udział w rozmowie kapitan Paleczny uczynił ruch jakby zamierzał podnieść się z krzesła, ale major go powstrzymał gestem ręki. Germann milczał z ponurą miną.

— Upieranie się nic nie da — strofował go łagodnie Pawlik nie przestając się uśmiechać. — Przecież to nie pierwsza wyprawa do nas pod przybranym nazwiskiem. Georg Hasel, mówi coś panu? Nic? A to ciekawe. Występował pan pod nim na początku lipca, a może podać panu numer rejestracyjny mercedesa, którym wybrał się pan na wycieczkę po Helu?

Mężczyzna poruszył się niespokojnie.

— Widzę, że zaczyna pan pojmować swoją sytuację i konsekwencje, jakie panu grożą za szpiegowską robotę?

— Ja jestem Lothar Jürgen Barth — tamten prawie wrzasnął — żądam obecności przedstawiciela naszej ambasady, bez niego nie powiem ani słowa.

— A materiały zawierające tajne informacje o charakterze wojskowym, które pan miał przy sobie? W jaki spo-

sób wszedł pan w ich posiadanie? — kapitan odpowiedział mu równie ostrym tonem.

— Zostały mi podrzucone — warknął. — Nic więcej ze mnie nie wydobędziecie.

— Pożyjemy, zobaczymy — mówił po swojemu, spokojnie major. — Teraz wróci pan do swojej celi, aby w spokoju ducha przemyśleć to, co panu powiedziałem. Wkrótce znów się zobaczymy.

— Twarda sztuka, ale my go zmiękczymy — z przekonaniem w głosie stwierdził Paleczny, gdy zostali sami — nawiasem mówiąc nie sądziłem, że nam tak łatwo wpadnie w sidła.

— Niestety, zbyt łatwo — westchnął major — a raczej zbyt szybko.

— Nie rozumiem — młody oficer był szczerze zdziwiony.

— Brakuje nam drugiego, nie mniej ważnego ogniwa tej sprawy, chyba że podpułkownik Poganowski zdoła dziś nadrobić to, co nam się wczoraj nie powiodło — Pawlik, widząc po minie Palecznego, że nadal nie pojmuje o co chodził, dodał — informatorka Germanna po prostu się nie zjawiła w umówionym miejscu, wobec czego dzielny Obersturmführer pośpieszył na najbliższy punkt graniczny, aby czmychnąć do Rzeszy. Nie mogliśmy mu na to pozwolić, w najgorszym razie możemy go skazać za przekroczenie granicy pod fałszywym nazwiskiem i posiadanie zabronionych prawem dokumentów.

Tego samego dnia w godzinach popołudniowych podpułkownik Poganowski połączył się z majorem Pawlikiem.

— Jakie wiadomości? — zapytał bez wstępu major.

— Niestety, nasza znajoma przepadła jak kamień w wodę — brzmiała odpowiedź.

— Dotarliście wszędzie, gdzie tylko można było oczekiwać jej śladu? — upewnił się.

— Wszędzie, poszukiwania zresztą nadal trwają.

— Trzeba iść na całego, zamelduj się niezwłocznie u na-

szego szefa i zaproponuj w moim imieniu rozesłanie listów gończych, może nas naprowadzą na kryjówkę Karoliny, jeśli jest jeszcze w kraju.

— Wszystkie przejścia graniczne zostały uprzedzone.

— Interesuje mnie tylko jedno, czy się zorientowała, że jest śledzona, czy też ją ktoś uprzedził, ale kto? Co słychać u jej utytułowanego tatusia?

— Wszystko w porządku, zajmuje się konikami i kontroluje ekonomów w swoim majątku. Jeszcze się nie połapał co się dzieje wokół jego córki, kiedy się dowie, gotów nam przysporzyć kłopotów, chwali się zażyłą znajomością z prezydentem Mościckim.

— Tym gorzej dla niego.

— Jak znam naszego szefa, pójdzie z twoją propozycją wyżej, sam nie zadecyduje, rozumiesz co to znaczy — zdjęcia tak uroczej, do tego z dobrego domu panny w każdym posterunku policji?

— Niech pójdzie nawet do Pana Boga, byleby załatwił co trzeba.

— A może byś do niego sam zadzwonił? — widać było, że Poganowski nie ma ochoty wyręczyć przyjaciela w niewdzięcznym zajęciu.

— Chętnie, ale tylko po to, by mu oświadczyć, że pomijam drogę służbową i melduję się u generała Stachiewicza, oczywiście gdybyś sobie sam z nim nie poradził.

— Dobrze, spróbuję — powiedział podpułkownik bez przekonania.

— Czy w sprawie Tomasza jest coś nowego? — indagował dalej Pawlik.

— Systematycznie ponawiamy to pytanie, ale ambasada w Berlinie niezmiennie odpowiada, że nic. Nie udało im się dotąd nawiązać kontaktu z władzami policyjnymi, aby uzyskać potwierdzenie o zatrzymaniu Tomasza.

— Teraz, po aresztowaniu przez nas Germanna przypuszczam, że staną się rozmowniejsi — stwierdził major.

— Oby tak było — westchnął Poganowski.

— Poinformuj mnie o wyniku rozmowy z pułkownikiem Smoleńskim.

Bezpośrednio po zakończeniu telefonicznej rozmowy major poprosił do siebie kapitana Palecznego.

— „Komiwojażer" wciąż się nie odzywa? — zapytał go.

— Nie, uruchomiliśmy specjalnego łącznika, który ma za zadanie odszukać go za wszelką cenę na terenie Rzeszy. Stwierdziliśmy natomiast, że zapowiedział powrót do domu pod koniec miesiąca. Niestety, nie informuje domowników o trasach swych podróży, my z kolei nie możemy się kręcić po jego rodzinnej miejscowości. To mała dziura, wszyscy o wszystkich wiedzą, zaglądają sobie niemal do garnków.

— Tak, oczywiście — przytaknął Pawlik — w każdym razie niczego nie wolno zaniedbać, aby ostrzec „Komiwojażera" i to w porę. Aha, jeszcze jedno, dobrze byłoby sprawdzić, czy niemiecka policja nie ma na oku jego domu, nie mamy wciąż pewności, czy znaleźli u Tomasza jakiś ślad, który by ich zaprowadził do „Komiwojażera".

10 sierpnia, Berlin, Obersalzberg

— Czy to aby pewne? — Heydrich podniósł wzrok znad papierów, które miał rozłożone na biurku i świdrował uważnym spojrzeniem stojącego przed nim na baczność adiutanta.

— Potwierdzone ponad wszelką wątpliwość.

— A co na to Schellenberg? — głos Gruppenführera nabierał coraz ostrzejszych tonów.

— Przygotowuje raport w tej sprawie.

— Do diabła z raportem, tyle Germannowi pomoże, ile umarłemu kadzidło.

— Pozwalam sobie zauważyć, że Obersturmführer jeszcze żyje — nieśmiało bąknął Neumann.

— Ale dla mnie już się nie liczy. Czy przynajmniej Naujocks wrócił cało ze swojej wyprawy?

— W jak najlepszej formie.

— Jutro z nim porozmawiam.

Tego samego dnia późnym wieczorem, prywatna rezydencja Hitlera.

Kiedy adiutant zameldował przybycie spóźnionych gości, Ewa Braun nie kryła niezadowolenia:

— Czy to nie przesada, aby nawet o tej porze zajmować się sprawami służbowymi? — nie omieszkała zauważyć.

— Przybywają specjalnie z Berlina w sprawie wagi państwowej — wyjaśnił gospodarz. Po chwili witał się z parą najbliższych współpracowników, Himmlerem i Heydrichem.

— Przywieźliśmy ze sobą plany dwóch przedsięwzięć, które winny ujawnić światu agresywne oblicze Polaków, ziejących zwierzęcą nienawiścią do nas, Niemców — zagaił Reichsführer.

— Jeśli zyskają pańskie uznanie, mein Führer, przystąpimy niezwłocznie do ich wykonania — uzupełnił Heydrich.

— Tego mi właśnie potrzeba — Hitler nerwowo zatarł ręce — aby już nikt nie mógł mi przeszkodzić w wywołaniu sprawiedliwej wojny w interesie Wielkich Niemiec. Polacy nie sprawią nam chyba zawodu i nie podniosą przedwcześnie rąk do góry, jak to uczynili Czesi? — upewnił się myszkując rozbieganym wzrokiem po twarzach przybyszy.

— Nie ma o tym mowy, Polacy zdecydowani są stawić nam zbrojny opór — uspokoił go Himmler.

— To świetnie, to wspaniale — klasnął z uciechy w dłonie — pokażcie mi wasze plany, przyjrzę im się z ciekawością. Przewidujecie ich wykonanie we własnym zakresie?

— Wymaga tego konieczność zachowania ścisłej tajemnicy — zapewnił go Himmler — w jednym tylko detalu potrzebne będzie współdziałanie Abwehry.

— A jednak nie obędzie się bez wiecznie wystraszonego admirała — roześmiał się Hitler — gotów umrzeć na atak serca, kiedy dowie się, jaki mu szykujecie pasztet.

— Rzecz w tym, aby się nie dowiedział, wystarczy jedno pańskie słowo. Jeśli my go poprosimy o przysługę, będzie chciał z nas wyciągnąć całą prawdę — dodał Reichsführer.

— O co chodzi, moi panowie? — zainteresował się Führer.

— O polskie mundury wojskowe, potrzebujemy ich dwieście, a na wszelki wypadek trzysta. Nie jesteśmy w stanie uszyć tak wielu w tak krótkim czasie. Abwehra zaś ma ich pod dostatkiem.

— Canaris nie zada panu zbędnych pytań, mein Führer — uzupełnił swego szefa Heydrich.

— To cwany lis, domyśli się.

— Ale po fakcie, wtedy to już nie będzie miało żadnego znaczenia — wyraził swoją opinię Himmler.

— Załatwię to. Napijecie się gorącego mleka? Dobrze robi na zmęczenie, a czeka was przecież jeszcze droga powrotna. To są szkice tej akcji? — zapytał wskazując na plik papierów, które Heydrich wyciągnął z teczki. Gruppenführer potwierdził i wszyscy trzej pochylili się nad nimi.

11—12 sierpnia, Berlin Fuschl

W kwaterze głównej SD przy ulicy Wilhelmstrasse 102, w godzinach przedpołudniowych została wyznaczona konferencja „sztabu Heydricha". Tuż przed jej rozpoczęciem wizytę w gabinecie Gruppenführera złożył koordynator operacji, Oberführer SS doktor Herbert Mehlhorn, obda-

rzony przez samego Heydricha przydomkiem „doradcy z wątpliwościami" z racji krytycznych i niezależnych poglądów.

— Pan wybaczy, że będę jak zwykle szczery i przedstawię mój punkt widzenia na proponowaną operację, której mam być niejako szefem sztabu — powiedział po przywitaniu się ze swym przełożonym, który tak nieoczekiwanie przywrócił Mehlhorna do łask po dwuletnim „wygnaniu", spędzanym zresztą w luksusowych warunkach, w eleganckich hotelach, goszczony i fetowany przez niemiecką mniejszość i sympatyzujące z nią faszyzujące kręgi w Stanach Zjednoczonych, Kanadzie oraz innych państwach południowej części kontynentu.

— Na to liczę, panie doktorze — zapewnił go Heydrich, ale nie zabrzmiało to przekonywająco. Gruppenführer, ilekroć stykał się z tym człowiekiem, czuł przed nim mimo woli respekt, co go bardziej irytowało, niż kontrowersyjne sądy „doradcy z wątpliwościami". Doszedł jednak do wniosku, że właśnie Mehlhorn ze swoimi umiejętnościami organizacyjnymi i nieprzeciętną inteligencją jest człowiekiem zdolnym pokierować tak delikatnym przedsięwzięciem.

— Herr Gruppenführer — tamten zaczął bardzo uroczyście powodując jeszcze większe napięcie u swego rozmówcy — studiowałem przedstawiony mi plan operacji przez cały wczorajszy dzień, rozmyślałem nad nim i w nocy. Byłbym wobec pana nieszczery, gdybym nie zwrócił uwagi na fakt, że jego realizacja oznacza wzięcie na siebie odpowiedzialności, której ze względu na duży prestiż Niemiec za granicą, w obliczu historii nie wolno nam przyjąć. Polaków można sprowokować do wystąpień przeciw nam innymi metodami, czynią to z niezłym powodzeniem agendy wermachtu oraz różne organizacje paramilitarne, gdybyśmy zjednoczyli nasze wysiłki z działaniami Abwehry, skutek byłby ten sam, bez narażania się na ryzyko międzynarodowego

skandalu — w tym momencie referent niewątpliwie „nadepnął na odcisk" Gruppenführerowi, który poruszył się niecierpliwie, ale pozwolił jeszcze przez chwilę mówić swemu gościowi, spoglądając na niego coraz mniej przychylnym wzrokiem. Zastanawiał się z pewnością, jak Mehlhorn zareagowałby na jego specjalne przedsięwzięcie, które ukrył troskliwie przed wścibskimi oczyma i chował w zanadrzu jak bombę zegarową o ogromnej mocy.

— To jest rozkaz Führera, wobec którego jakiekolwiek wątpliwości są bez znaczenia — wpadł w pewnym momencie wpół zdania swemu rozmówcy, który stracił wątek, ale na krótko, bo po chwili znów zaczął:

— Pragnę zauważyć, że akcja zakrojona na tak szeroką skalę, z udziałem tak wielkiej liczby uczestników, nie da się ukryć, musi prędzej czy później wyjść na światło dzienne okrywając nas hańbą w opinii światowej.

— Niech pan sobie daruje te wielkie słowa — Heydrich był coraz bardziej zniecierpliwiony.

— Uważałem za swój obowiązek ostrzec pana — Mehlhorn nie ustępował.

— Przyjmuję ostrzeżenie do wiadomości, ale akcja „Himmler" będzie zrealizowana. Pan natomiast nie może nią kierować, w tym punkcie jestem z panem zgodny — zabrzmiało to zaskakująco, ponieważ Mehlhorn nie złożył jeszcze rezygnacji.

— Wobec tego jestem również zwolniony z konferencji, którą pan na dziś zawołał? — zapytał.

— O nie, nie zrezygnuję z pana tak łatwo, powierzam panu rolę sztabowego doradcy, pańskim zadaniem będzie zapobiec zacięciu się machiny, którą wkrótce puszczę w ruch, tak Mehlhorn, puszczę i nikt mi w tym nie przeszkodzi.

— Czy moje zastrzeżenia mogę powtórzyć na konferencji?

— Oczywiście, przecież u nas jest demokracja — Heydrich roześmiał się głośno.

W jakiś czas potem, w tym samym budynku, zebrali się na sali konferencyjnej znani już z wcześniejszych spotkań członkowie „sztabu Heydricha" oraz dowódcy oddziałów, które miały przystąpić do wykonania akcji „Himmler": Obersturmbannführer Otto Hellwig, Standartenführer doktor Hans Trummler — komendant szkoły policji granicznej w Pretzsch nad Łabą oraz Oberführer doktor Otto Rasch, były szef placówki gestapo w Linzu, odkomenderowany do centrali w Berlinie. Po zagajeniu konferencji przez jej gospodarza, Mehlhorn wobec całego gremium powtórzył swoje wątpliwości. Heydrich nie zareagował na nie ani słowem. Wobec tego Mehlhorn wręczył mu maszynopis.

— Tu jest obszerne uzasadnienie mojego stanowiska — powiedział.

— Zostanie dołączone do pańskich akt — odpowiedź Gruppenführera zabrzmiała groźnie. Wstał z krzesła podchodząc do mapy rozwieszonej na ścianie. — Pora przejść do sprawy — zaczął odwróciwszy się twarzą do zebranych. — Otóż polska jednostka Hellwiga — na przymiotniku polska położył szczególny nacisk — wyruszy o wyznaczonej porze z miejsca zgrupowania w lesie rudzkim i przekroczy potok Ruda, a następnie granicę, by już z terytorium Polski ostrzelać budynek naszego urzędu celnego w Stodołach. Na ogień ten odpowie znacznie silniejszym, ale tak skierowanym, by uniknąć strat własnych, nasza wartownicza kompania, która tymczasem zajmie pozycje na wzniesieniu, na północ od wspomnianego budynku w Stodołach. Dowództwo nad tą kompanią obejmie doktor Trummler. Słuchaczy jego szkoły uzupełniają specjalnie przeszkoleni esesmani, ubrani w mundury policji granicznej. Na tym nie kończy się zadanie Obersturmbannführera Hellwiga. W trakcie akcji musi opanować polski urząd celny i stamtąd zaalarmować nieprzyjacielski garnizon w Rybniku. Gdyby na granicy przypadkiem znalazły się jakieś patrole polskie, należy je obłożyć z dwóch stron ogniem i zepchnąć na na-

szą stronę, gdzie zostaną wzięte do niewoli przez stojące w pogotowiu jednostki policyjne.

Podobny przebieg z grubsza rzecz ujmując winna mieć operacja w Byczynie, z tym tylko, że musi uwzględnić inne ukształtowanie terenu, brak siedzib ludzkich w dużym promieniu, poza leśniczówką położoną centralnie i młynem w dalszej odległości. Oba obiekty zamieszkują rodziny naszych ziomków, którzy winni następnie spełnić rolę koronnych świadków zbójeckiej napaści Polaków na terytorium niemieckie. Dowództwo nad oddziałem, który wejdzie do akcji, obejmie doktor Rasch. Zastanawiamy się jedynie, czy jego chłopców ubrać w polskie mundury wojskowe, czy też uniformy noszone przez członków Związku Byłych Powstańców Śląskich, zachowujących się nie od dziś bardzo agresywnie w stosunku do naszych rodaków. Nasi ludzie w mundurach powstańczych byliby jeszcze bardziej wiarygodni dla opinii publicznej. Czy panowie macie pytania odnośnie do meritum sprawy i zasadności samych operacji? Jeśli nie, to przejdziemy do omawiania ich szczegółów.

Zanim rozpoczęła się druga część konferencji, Heydrich podał do wiadomości obowiązujące od tej chwili hasła przedsięwzięcia „Himmler". „Mały głuszec" oznaczał postawienie w stan alarmu oddziałów operacyjnych w Byczynie i Stodołach, „Duży głuszec" zajęcie pozycji wyjściowych, wreszcie „Agata" — przystąpienie grup dowodzonych przez Hellwiga i Rascha do działania.

Wkrótce po zakończeniu narady do sekretariatu Heydricha wkroczył Sturmbannführer Alfred Helmuth Naujocks w pełnej gali. Na czarnym mundurze połyskiwały złowrogo trupie czaszki i odznaka przyznana za wzorową służbę.

— Gruppenführer pana zaraz przyjmie — poinformował go adiutant. — Czy ma pan ze sobą raport z pańskiego wyjazdu za granicę? — zapytał.

— Tak jest.

W tym momencie zabrzęczał jeden z aparatów stojących na biurku i adiutant wprowadził Naujocksa do gabinetu.

Dział Zbiorów Ogólnych

— Czy pan jest gotów? — zapytał od progu Gruppenführer. — Ludzie wybrani?

— Według rozkazu — zameldował.

— Niech pan posłucha — zaczął Heydrich kiedy usiedli — pojedziecie wkrótce do Gliwic, zadanie, o którym mowa, dotyczy miejscowej radiostacji. Czy przestudiował pan materiały dotyczące naszych działań w Sudetach?

— Bardzo dokładnie — zapewnił Sturmbannführer.

— Znalazł pan w nich przedsięwzięcie opatrzone kryptonimem „jodełka", zaplanowane, ale nie zrealizowane?

— Miało pańską adnotację, zapoznałem się więc z jego opisem szczególnie uważnie.

— Powtórzy je pan w Gliwicach o wyznaczonej porze w dostosowaniu do tamtejszych warunków, jasne?

— Całkowicie.

— Na miejscu w Gliwicach nie wolno wam się z nikim kontaktować, a już pod żadnym pozorem z władzami, ani posiadać przy sobie żadnych dokumentów świadczących o przynależności do SD czy SS. Jesteście grupą kupców, którzy przyjechali na Śląsk w celu zawarcia kontraktu na dostawy węgla i stali. Tak będą opiewać wasze papiery. Zadba pan już o to, by pańscy ludzie zastosowali się do tych wymagań. A teraz co do samej akcji, musi być przeprowadzona w ten sposób, aby władze, a także miejscowa ludność i wreszcie opinia publiczna zareagowały na nią normalnie, to znaczy jak na polską agresję dokonaną w głębi niemieckiego terytorium. Hasło do jej rozpoczęcia podam panu osobiście, brzmi: „Babcia umarła". Poza mną wchodzi w grę tylko jedna osoba, która będzie się z panem kontaktowała, jeśli zajdzie taka potrzeba: Heinrich Müller. Być może nawet zjawi się u pana w Gliwicach. Ale na razie o pańskim zadaniu wiemy tylko my dwaj i... Pan Bóg — dodał po krótkiej pauzie. — Natomiast pańscy ludzie dowiedzą się, o co chodzi, dopiero na dwanaście godzin przed wkroczeniem do akcji.

— Ośmielam się zauważyć, że to trochę za mało czasu do poczynienia niezbędnych przygotowań — oświadczył Naujocks — ponadto wcześniej muszę się zapoznać z miejscem akcji, sam nie dokonam dokładnej penetracji terenu.

— Otrzyma pan wszystkie niezbędne dane, szkice i mapy terenowe — przerwał mu Heydrich. Przez chwilę obaj milczeli. — No dobrze, zgadzam się, żeby jeden członek grupy był wtajemniczony wcześniej, ma pan już kogoś upatrzonego? — dodał.

— Najbardziej pasuje mi do tej roli Runge — odpowiedział po namyśle zapytany.

— W porządku. Dojdzie jeszcze jeden człowiek do pańskiej grupy, spośród personelu radiostacji, niejaki Nawroth, członek SS, godny zaufania. Wie ode mnie o co chodzi, będzie panu służył pomocą techniczną, oto telefon, pod którym go pan znajdzie. Wystarczy mu powiedzieć, że przybywa pan od Reinharda, a przy spotkaniu pokaże ten oto znaczek — wyjął z kieszeni niewielką metalową blaszkę wręczając Naujocksowi. Była na niej swastyka oplecio-na stylizowanym monogramem Gruppenführera. — Wybrałem wam wygodną kwaterę w Gliwicach, sam z niej ostatnio skorzystałem, nie mogąc się nachwalić smacznego jedzenia i miękkiego łóżka. Aż się prosiło żeby zaprosić do nich urocze dziewczęta. Niestety, żadnych swawoli się nie przewiduje, Naujocks, przynajmniej do czasu zakończenia akcji. A hasło pan pamięta?

— Babcia umarła — wypalił bez zastanowienia zapytany.

Tego samego dnia w godzinach popołudniowych Hitler przyjął Wysokiego Komisarza Ligi Narodów w Wolnym Mieście Gdańsku, profesora Carla Jacoba Burckhardta.

— Jeżeli jakiś nowy incydent zajdzie w Gdańsku lub gdziekolwiek indziej na naszym terytorium, spadnę jak błyskawica na Polaków całą potęgą mego mechanicznego

uzbrojenia, o którym oni nie mają najmniejszego pojęcia, za kilka dni Polska przestanie istnieć, rozumie pan? — wódz III Rzeszy mówił podniesionym głosem wyczyniając dziwne łamańce dłońmi, które mu wyraźnie drżały.

— Bardzo przepraszam, panie kanclerzu, ale jestem zmuszony zauważyć, iż oznacza to ogólną wojnę europejską — Burckhardt starał się zachować spokój, ale widać było, że jest w najwyższym stopniu zdenerwowany.

— Bardzo dobrze, wiem o tym — w głosie gospodarza narastał gniew — ale jeżeli muszę wszcząć tę wojnę, to wolę ją wywołać dziś, niż jutro.

12 sierpnia. Przebywający w Niemczech włoski minister spraw zagranicznych Ciano, którego Duce specjalnie tam wysłał, aby ostudził gorące głowy kierowniczych osobistości III Rzeszy, po zjedzeniu obiadu w eleganckim hotelu Österreichischer Hof z Ribbentropem, udał się do jego prywatnej rezydencji w Fuschl.

— Uważam, że Anglia i Francja zachowają neutralność, nawet gdy zdecydowanie naciśniemy Polskę — powiedział podczas spaceru gospodarz do zięcia Mussoliniego — założy się pan? Jeśli ja wygram, ofiaruje mi pan obraz włoski, jeśli pan, oddam zbiór broni antycznej, zgoda?

— Cóż za makabryczny pomysł — żachnął się Ciano.

— Ale neutralność Zachodu oznacza szansę na ocalenie pokoju, bo my Polaków musimy przycisnąć, nie mamy innego wyjścia, ich bezczelność przechodzi wszelkie granice wytrzymałości, żeby pan wiedział, co nam jeszcze chowają w zanadrzu!

— Skąd mam wiedzieć? — odparł niemal niegrzecznie włoski minister zniechęconym głosem.

— Ale nasz wywiad wie — roześmiał się nie zrażony jego zachowaniem Niemiec.

— Niech pan mi powie, Ribbentrop, czego wy właściwie chcecie? Gdańska czy „korytarza"?

— Chcemy więcej — odpowiedział tamten wbijając w swego gościa zimne spojrzenie, podobne do wzroku lalki z muzeum figur woskowych. — Chcemy wojny!

13–15 sierpnia

13 sierpnia, gabinet Canarisa:

— Nie mogę wprost uwierzyć, że pan się na to nabrał — admirał nie krył irytacji — pan, taki doświadczony oficer wywiadu, gościem „Salonu Kitty"!

— Ja to zrobiłem celowo, drogi Wilhelmie, z całą premedytacją — odpowiedź gościa pogłębiła konsternację szefa Abwehry — plotąc niestworzone rzeczy, aby panowie z trupimi czaszkami na czapkach przekazali komu należy informacje z pierwszego źródła o wątpliwej sile bojowej włoskiej armii, która w ogóle nie jest przygotowana do ewentualnych działań wojennych. Do kogo jak do kogo, ale do szefa wywiadu tej armii można chyba mieć zaufanie?

— Pan rzeczywiście tak postąpił? — Canaris zupełnie innym wzrokiem spojrzał na admirała Laisa, kierującego tajną służbą marynarki włoskiej.

— Żeby pan mnie słyszał w „buduarze rozkwitłej miłości", jak się ponoć nazywa jedno z bardziej intymnych pomieszczeń sławnego salonu pana Heydricha — mówił dalej tamten — nie zamykałem ust, jak nakręcona katarynka, opowiadając jedno i to samo w kółko pewnej laleczce, która wkrótce miała dosyć mojego towarzystwa i omal nie dostała mdłości. Sądzę, że Hitler zaraz następnego dnia otrzymał meldunek wyrażający przekonanie, ba, pewność, że nie przyłączymy się do Niemiec, jeśli rozpętają w ciągu najbliższego roku wojnę!

— Pomysł niezły, zgadzam się, ale Hitlera nie jest w stanie nic powstrzymać — Canaris jednak sceptycznie oceniał skutki starań kolegi po fachu — czy pan wie, jakie sza-

lone pomysły rodzą się w głowach najbliższych doradców Führera?

— Myślałem, że pan do nich również należy — zdziwił się gość.

— Mój Boże — westchnął Canaris — nie wiem, czy poczytywać sobie za zaszczyt czy ujmę, ale nie kręcę się w gronie satelitów Führera.

— Zależy jak spojrzeć na to zagadnienie — filozoficznie zauważył Włoch.

— Słyszał pan o mnożących się incydentach na pograniczu z Polską? — zapytał Canaris, a kiedy tamten przytaknął, dodał — czy pan wie, że nie tylko nieustannie naruszamy i to z bronią w ręku terytorium sąsiada, ale zamierzamy upozorować polskie zamachy na naszym terenie wzorując się na doświadczeniach z ubiegłego roku, zdobytych podczas kryzysu sudeckiego? Nagle skoszarowano kilkuset zuchów Henleina wywożąc ich do Prus Wschodnich oraz na Pomorze, nad samą polską granicę, właśnie do tych celów.

— To bardzo perfidne i niepokojące pociągnięcia — zgodził się włoski admirał.

— Gdyby tak można uprzedzić kanałem pańskiego wywiadu zachodnie mocarstwa, co knują siepacze Himmlera i Heydricha...

— To się da zrobić , ale nie uważa pan, że strona polska też o tym winna wiedzieć? — odpowiedział po namyśle.

— Proszę wybaczyć, ale pan nie może ode mnie wymagać jawnej zdrady — Canaris nadął się jak indor, a blade zazwyczaj policzki gwałtownie się zaróżowiły — jestem niemieckim żołnierzem.

— Drogi Konradzie — Włoch roześmiał się jak z dobrego dowcipu — jeśli mamy pokrzyżować plany temu podrzędnemu malarzowi z manierami alfonsiaka, nie możemy się krygować niczym dziewczę, co to chciałoby a boi się...

Canaris skrzywił się po tych słowach jeszcze bardziej, ale nic nie odpowiedział.

— Niech pan nie spodziewa się zbyt dużo po zachodnich mocarstwach jeśli chodzi o Polskę, w gruncie rzeczy obchodzi ich tyle, co zeszłoroczny śnieg — kontynuował gość rozpoczętą myśl.

13 sierpnia, godziny przedpołudniowe. Biuro komendanta szkoły szermierki SS w Bernau pod Berlinem, Sturmbannführera Karla Hoffmanna. Zameldował się dowódca straży.

— Na teren szkoły weszli dwaj oficerowie SS i myszkują po kątach nie raczywszy się nawet przedstawić — oświadczył.

— A z was co za dyżurny na służbie? Nie wiecie, jak w takich przypadkach postąpić? — ofuknął go Hoffmann i złapawszy czapkę wybiegł z pokoju. Nieproszonych gości odnalazł w sali gimnastycznej, służącej również jako rezerwowy obiekt dla zawodów szermierczych. Znał obu oficerów. Jednym z nich był Standartenführer doktor Trummler, drugim Obersturmbannführer Hellwig. Hoffmann, niższy stopniem, zameldował się przybyszom, po czym nie omieszkał zauważyć:

— Z punktu widzenia obowiązującego w naszej służbie regulaminu byłoby z pewnością właściwiej, gdyby panowie po przekroczeniu bramy szkoły zgłosili się wpierw u mnie.

— Słusznie — przyznał mu rację Trummler — jesteśmy pod wrażeniem zadania, które nam powierzył Gruppenführer Heydrich, z jego też polecenia dokonujemy wizji lokalnej pańskiego obiektu.

— Byłem osobiście przekonany, że został pan uprzedzony o naszym przyjeździe — uzupełnił swego towarzysza Hellwig. — My nie jesteśmy upoważnieni do udzielania wyjaśnień na temat tego, co ma nastąpić w szkole.

Hoffmann był zaintrygowany sekretną misją dwóch wysokich funkcjonariuszy SD. Rąbka tajemnicy uchyliła dopiero rozmowa telefoniczna, jaką przeprowadził z komendantem szermierczego centrum w Bernau adiutant Heydricha.

14 sierpnia rano. To samo biuro. Telefon z Berlina:

— Tu Neumann, informuję pana, Hoffmann, że Gruppenführer zaakceptował wyniki inspekcji, którą w pańskiej szkole przeprowadzili Trummler i Hellwig.

— Nie wiedziałem, że to była inspekcja — nie odmówił sobie złośliwej uwagi komendant szkoły.

— Na osobistą sugestię szefa, pan wie, jak wysoko ceni pańską szkołę, uważa się za jej wychowanka — adiutant miał na myśli zamiłowanie Heydricha do szermierki, którą uprawiał między innymi w Bernau.

— Raczej za wychowawcę — poprawił Hoffmann, mile połechtany komplementami pod adresem placówki, którą kierował.

— Spotkał pana wielki zaszczyt, w najbliższym czasie zjawi się u was oddział SS do specjalnych zadań. Jego pobyt i szkolenie, któremu zostanie intensywnie poddany, należy zachować w całkowitej tajemnicy. Niech pan się nie zdziwi, jeśli nasi chłopcy będą mówić, a nawet śpiewać po polsku.

— Ja się już niczemu nie dziwię — odpowiedział adiutantowi Hoffmann — chciałbym jedynie wiedzieć, co będzie wchodziło w zakres moich obowiązków?

— Zatroszczenie się o zakwaterowanie i wyżywienie dla około dwustu—trzystu osób plus kilkunastu członków kadry.

— Rozumiem, że należy niezwłocznie opróżnić obiekt.

— Tak jest, pozostawiając tylko niezbędny personel, który zostanie indywidualnie zaprzysiężony.

— Kiedy mogę się spodziewać gości?

— Najdalej za dwa dni przybędzie kadra złożona z oficerów SS oraz niższych dowódców szkół w Pretzsch i Charottenburgu, na czele ich stoją wczorajsi pańscy goście.

— Rozumiem, to wszystko, co pan ma mi do zakomunikowania?

— Na razie wszystko, niech pan rozpocznie niezwłocznie przygotowania do przyjęcia gości. Życzę powodzenia.

14 sierpnia. Biuro szefa placówki gestapo w Opolu, Emanuela Schäfera. Dyżurnemu zameldowało się kilku mężczyzn w cywilu przedstawiając się jako ekipa specjalistów do spraw łączności Głównego Urzędu Bezpieczeństwa.

— Mamy polecenie zainstalować bezpośrednie połączenie z biurem Gruppenführera Heydricha — poinformował jeden z nich zaskoczonego Schäfera, który jeszcze wówczas nie miał pojęcia o tym, że to u niego przewidziano siedzibę sztabu kierującego bezpośrednio operacją „Himmler". Wyjaśnił mu to Mehlhorn, przybyły do Opola tego samego dnia w godzinach wieczornych — sztabowy „doradca z wątpliwościami" wymienionej wyżej operacji, wtajemniczając jednocześnie w jej szczegóły.

— Moim zadaniem jest czuwanie stąd, z Opola nad organizacyjnym przygotowaniem incydentów granicznych w Byczynie i Stodołach, tak będziemy odtąd nazywali obie akcje — oświadczył przy kolacji szefowi opolskiej placówki gestapo oraz jego zastępcy, którym był Obersturmführer SS, radca rządowy doktor Joachim Deumling — będę kontrolował przygotowania, za które są odpowiedzialni dowódcy obu jednostek przeznaczonych do wykonania zadań w ramach operacji „Himmler". Chciałbym się teraz zapoznać ze szczegółami topograficznymi miejsc mających być terenem naszych działań i w oparciu o poczynione ustalenia wydam odpowiednie decyzje.

15 sierpnia. To samo biuro. Oprócz specjalnej linii telefonicznej łączącej placówkę gestapo w Opolu z siedzibą Heydricha w Berlinie, zainstalowano bezpośrednie połączenie dalekopisowe. Odpowiadali za nie dwaj skrupulatnie wpierw sprawdzeni urzędnicy policji kryminalnej pełniący na przemian dyżury. Zostali zaprzysiężeni, że zachowają w ścisłej tajemnicy wszystko, co wiąże się z informacjami przepływającymi obsługiwaną przez nich linią między Opolem i Berlinem.

— Noty teleksowe z biura Heydricha kierowane będą na moje nazwisko — oświadczył przed powrotem do Berlina Mehlhorn. — W razie mej nieobecności upoważniony do ich odbioru jest pan, doktorze Schäfer. Ja wkrótce wrócę, zamierzam bowiem być waszym częstym gościem, z racji lokalizacji w Opolu centralnego punktu dowodzenia operacją „Himmler". Drugi równoległy ośrodek dyspozycyjny koordynujący działania jednostek bojowych założymy w Gliwicach, najprawdopodobniej w komisariacie policji granicznej.

Tego samego dnia w późnych godzinach popołudniowych dwa samochody osobowe zmierzające szosą od strony Opola w kierunku Gliwic skręciły w pewnym momencie na leśną drogę. Ujechały jeszcze kilkadziesiąt metrów zatrzymując się w miejscu, w którym wysokie drzewa zasłaniały je skutecznie przed oczyma ciekawskich z szosy. W każdym z wozów siedziało trzech mężczyzn ubranych po cywilnemu. Pierwszy wysiadł Helmuth Naujocks. Miał na sobie marynarkę w kratę i spodnie, poniżej kolan wpuszczone w białe skarpety.

— Panowie — powiedział, kiedy pozostali mężczyźni skupili się wokół niego — celem naszej podróży są Gliwice, zamieszkamy w eleganckim hotelu i będziemy udawać berlińskich kupców i drobnych przemysłowców, którzy przyjechali na Śląsk podpisać kontrakty na dostawę węgla i żelaza. Oczywiście nasze zadanie jest całkiem inne, jak się domyślacie, zabawimy się w kowboi, kiedy i gdzie, dowiecie się w swoim czasie. Jestem Helmuth, i to powinno wam wystarczyć, każdy ma dowód wystawiony na konkretne imię i nazwisko, które należy sobie dobrze zakarbować w pamięci. Od tej chwili posługujecie się nimi nawet w tym gronie, jeśli przypadkiem któryś z was znał kogoś wcześniej, niech o tym zapomni. Teraz nazywa się inaczej. Po wykonaniu zadania rozstaniemy się i natychmiast za-

trzemy w pamięci wszelki po sobie ślad. Nie ma, nie było, gdy ponownie ktoś się z kimś spotka, potraktuje go jak człowieka, którego zobaczył po raz pierwszy na oczy. Ten epizod, nazwijmy go gliwickim, nie istniał w waszym życiu. Wykreślamy go zanim się wydarzył, przysięgaliście, że o nim zapomnicie.

— Przysięgaliśmy — powtórzyli chórem.

— To jest mój zastępca — Naujocks wskazał na rosłego blondyna. Miał na sobie nieco przyciasne ubranie, niczym z młodszego brata. — W razie czego jesteście mu winni bezwzględne posłuszeństwo, jak mnie samemu. Na miejscu stosujecie się ściśle do moich poleceń, nie wolno zrobić nawet jednego kroku bez uzgodnienia ze mną, żadnych kontaktów na własną rękę. Będę wam na bieżąco ustalał plan zajęć, nie wykluczam kina, jeśli przedłuży się czas oczekiwania na hasło, które zostanie mi przekazane z odpowiednim wyprzedzeniem samego terminu akcji. To na razie wszystko. Są pytania?

Ponieważ nie było, Naujocks zarządził powrót do samochodów.

15 sierpnia, siedziba generała Sadowskiego w Katowicach.

— Gwarantuję powodzenie akcji, panie majorze, nie ma żadnego ryzyka — młody oficer, chociaż starał się mówić spokojnie, nie mógł ukryć podniecenia.

— A jeśli konsul nie będzie miał w samochodzie „trefnej" przesyłki, albo w ostatniej chwili zrezygnuje z przewiezienia do Katowic specjalisty od mokrej roboty? Pan sobie wyobraża, co nas czeka ze strony MSZ? — Pawlik był zdecydowany przyłapać na gorącym uczynku zachowującego się coraz bezczelniej wobec władz polskich konsula III Rzeszy w Katowicach. Chciał się jednak upewnić, że jego kolega ma niezbite dowody przestępczej działalności niemieckiego dyplomaty.

— Ja bym zaryzykował — poparł kapitana Palecznego przysłuchujący się dotąd w milczeniu generał Sadowski.

— Konsul jest tak pewny siebie po ostatnich, niestety udanych, interwencjach ambasadora Rzeszy w Warszawie Moltkego u ministra Becka, że ani mu przez myśl nie przejdzie możliwość rewizji jego samochodu na przejściu granicznym między Bytomiem i Katowicami — przekonywał z pasją kapitan — nasz rezydent bytomski jeszcze dotąd nie chybił, dlaczego więc mamy mu i tym razem nie zaufać? A jeśli konsul spróbuje przemycić poszukiwaną przez wszystkie nasze agendy, żandarmerię, policję tajną i mundurową, pannę Łubieńską?

— Ponosi pana fantazja — Pawlik ostudził zapał kapitana, sam jednak nie mógł się pozbyć natrętnej myśli powracającej nieustannie: „A może jednak?" — Dobrze, zgadzam się — dodał.

— Uprzedzimy wojewodę o naszych zamiarach, ma ostatnio ciągłe kłopoty z Warszawą, która mu zarzuca zbyt twardy kurs wobec niemieckiej mniejszości. Sam premier udzielił mu reprymendy. Powinien zatem wiedzieć, jaką niespodziankę szykujemy konsulowi — podsumował dyskusję generał.

16–21 sierpnia

16 sierpnia. Kwatera Główna Hitlera. Po wysłuchaniu meldunku Canarisa o bieżącej pracy Abwehry ze szczególnym uwzględnieniem działalności wymierzonej przeciw Polsce, nastąpiła krótka wymiana zdań. Führer nie miał ochoty jej przedłużać. Kiedy admirał zabierał się do odejścia, padły nieoczekiwanie słowa:

— SD będzie miało do pana pewną prośbę, bodajże w sprawie polskiego uzbrojenia i umundurowania. Proszę ją spełnić, ma związek ze sprawą o znaczeniu kluczowym

dla Rzeszy i nie dąsać się, że pan się nią bezpośrednio nie zajmuje. Roboty będzie dosyć dla pańskich ludzi i chłopców Heydricha. Musi pan przyznać, że zrobili ogromny postęp w robocie wywiadowczej, a przecież nie tak jeszcze dawno startowali od zera, podczas gdy Abwehra pod pańskim kierownictwem sięga bogatymi tradycjami nie tylko do armii cesarskiej, ale i niezwyciężonych hufców Fryderyka Wielkiego. Życzę sobie, abyście z Heydrichem ściśle i owocnie współpracowali, dla chwały Wielkich Niemiec.

17 sierpnia. Gabinet Canarisa. Zjawił się Brigadeführer Heinz Jost z Głównego Urzędu SD.

— Przyszedłem, aby uzgodnić przekazanie nam mundurów, broni i w ogóle całego wyposażenia, jakie mają polscy żołnierze — wyjawił powód swego przybycia.

— Byłem pewien, że wpierw dojdzie do spotkania na szczeblu kierownictw naszej centrali i waszego urzędu — admirał rozmyślał gorączkowo, jak się pozbyć niepożądanego gościa, ale nic nie przychodziło mu do głowy.

— Gruppenführer upoważnił mnie do zakomunikowania panu, że w najbliższych dniach będzie do pańskiej dyspozycji, ale obecnie jest zaabsorbowany pilną pracą. Konferuje wciąż z Reichsführerem, składają często wizyty Führerowi — to już wyglądało jak szantaż. Canaris, który z natury nie był zbyt bojowy, teraz poczuł się jeszcze bardziej zmieszany.

— Oczywiście wydam odpowiednie polecenia, ale to nie będzie takie proste, skompletować pełne wyposażenie, o ilu ludzi chodzi? — zapytał swego gościa.

— Około dwustu, partie mundurów i broni chcielibyśmy odebrać w ciągu dwóch, najdalej trzech dni, wynika to z harmonogramu ustalonego na najwyższym szczeblu, który musi być bezwzględnie dotrzymany.

Tegoż dnia w gabinecie szefa sztabu wermachtu, generała Wilhelma Keitla.

— Cóż ja panu mogę poradzić, Canaris, rozkaz Führera jest wyraźny — brzmiała odpowiedź generała na wątpliwości wyrażone przez admirała, czy Abwehra winna maczać palce w brudnych machinacjach oprawców spod znaku trupiej czaszki.

— Wiadomo, do czego mogą im być potrzebne takie akcesoria, z całą pewnością nie do teatralnego spektaklu ani gier wojennych na dorocznych manewrach — rozwodził się szef Abwehry. — Gdy się skompromitują, o co znów nie będzie tak trudno tym panom, którzy brak doświadczenia i wyobraźni nadrabiają bezczelnością i bezprzykładną brutalnością, wyniknie międzynarodowy skandal, który i nas nie oszczędzi. Jeśli przypadkiem im się powiedzie — mogą zachwiać naszą pozycję, co nie leży w interesie armii, nie mówiąc już o konsekwencjach szerszej natury. Przecież to nic innego, jak woda na młyn zwolenników wywołania konfliktu zbrojnego z Polską, który tym razem nie rozejdzie się po kościach, jak to było w przypadku Austrii, Czechosłowacji, nie mówiąc już o Kłajpedzie. Przecież my nie jesteśmy przygotowani do kampanii wojennej trwającej dłużej, niż trzy tygodnie! Na litość boską, niech pan coś doradzi, jak mam uniknąć przyłożenia ręki do podpalenia Europy, a może i świata?

— No cóż, jakiej rady pan ode mnie oczekuje? I tak źle i tak niedobrze. Niech pan po prostu oświadczy Heydrichowi, że nie posiada pan polskich mundurów — po słowach Keitla szef Abwehry uznał za bezcelową dalszą dyskusję. Nie mógł udzielić tak niedorzecznej odpowiedzi zwierzchnikowi policji i służby bezpieczeństwa, w sytuacji gdy powszechnie było wiadomo, że Abwehra takie mundury oraz broń używaną przez polskie wojsko posiada. Występowali w nich wielokrotnie jej agenci, podejmując działania dywersyjne na terenie Polski.

Tego samego dnia podczas roboczej odprawy „sztabu Heydricha", bez udziału Gruppenführera, którego zastępował doktor Best. Po omówieniu bieżących spraw o głos poprosił Oberführer Heinrich Müller.

— Ponawiam moją propozycję — powiedział — aby rozważyć możliwość pozostawienia na miejscu naszych akcji odpowiednio spreparowanych trupów więźniów obozów koncentracyjnych.

Kiedy ją zgłosił na poprzednim posiedzeniu sztabu, podniósł się ogólny szmer dezaprobaty i więcej do niej nie wracano. Tym razem po słowach szefa gestapo zapanowała cisza. Mehlhorn wykonał ruch, jakby chciał coś powiedzieć, ale ubiegł go prowadzący konferencję.

— Jak pan to sobie wyobraża praktycznie? — zapytał, a uczestnicy spotkania popatrzyli po sobie. Doktor Best był tym, który onegdaj najbardziej ostentacyjnie żachnął się na pomysł Müllera. Zrozumieli, że musiał otrzymać w międzyczasie instrukcje Heydricha, aby odnieść się przychylnie do sprawy „konserw", jak ktoś nazwał zwłoki więźniów mających „udawać" polskich żołnierzy lub członków paramilitarnej organizacji byłych powstańców śląskich. Mehlhorn poszedł w swych przypuszczeniach jeszcze dalej, dzieląc się nimi z siedzącym obok Schellenbergiem. Uważał, że sprawa została z góry ukartowana, pomysł zaś z „konserwami" wyszedł od Heydricha, który tylko się posłużył pozbawionym skrupułów i cynicznym Oberführerem.

— Zobowiązuję się wybrać odpowiednie egzemplarze, szczególnie niebezpiecznych przestępców politycznych, których żywot dla dobra Rzeszy nie powinien i tak być zbyt długi. Uczynię to w sposób nie rzucający się w oczy, za pośrednictwem wydziałów politycznych obozowych komend, obsadzonych przez moich funkcjonariuszy. Mają w swym ręku całą kartotekę, nadzorują śledztwa w specjalnych przypadkach. A to będą wyłącznie przypadki specjalne.

— Wydaje mi się, że sprawa została przedstawiona

w sposób logiczny i przekonywający — doktor Best nie dopuścił do dyskusji, rozstrzygając praktycznie o dalszych losach projektu Müllera. — Proponuję upoważnić Oberführera do podjęcia odpowiednich kroków dla przeprowadzenia akcji.

Nikt się nie sprzeciwił. Müller z zadowolonym wyrazem twarzy kiwnął głową na znak, że przyjmuje na siebie zaszczytne zadanie „dla dobra III Rzeszy".

18 sierpnia. Szkoła Szermierki SS w Bernau. Z samego rana zajechały ciężarówki przywożące osiemdziesięciu esesmanów ubranych po cywilnemu. Przywitał ich Oberscharführer SS i starszy asystent policji kryminalnej Georg Kernbach, odkomenderowany z placówki gestapo w Opolu.

— Proszę oddać wszystkie przedmioty osobiste, bieliznę, odzież, dokumenty, wszelkiego rodzaju zapiski, obrączki ślubne oraz inną biżuterię — poinformował przybyłych jeszcze na placu szkolnym. Kiedy przebrani w drelichowe ubrania pozbawione wszelkich odznak i dystynkcji zebrali się w sali treningowej, przemówił do nich w imieniu dowództwa oddziału Otto Hellwig:

— Z tą chwilą zostały zawieszone wszelkie wasze kontakty ze światem zewnętrznym — oświadczył — obowiązuje was ścisły zakaz opuszczania terenu szkoły. Listy będą cenzurowane, wolno pisać nie częściej, niż raz na dwa tygodnie. Pierwszą korespondencję przyjmiemy nie wcześniej, jak po niedzieli. Zanotujcie kryptoadres, pod który rodziny mogą do was kierować swoje przesyłki: „Potter und Mühl, Berlin". Szkolenie będzie się na razie odbywało w tej sali, natomiast gdy otrzymacie uniformy straży granicznej, przeniesiemy je na wolne powietrze. Zbyt blisko przebiega stąd autostrada i droga dla pieszych. I jeszcze jedno: rozmawiać między sobą wyłącznie po polsku. Kto zna polskie piosenki, niech podniesie rękę. Nie krępujcie się, nikt wam tego nie poczyta za złe. — Wpierw nieśmia-

ło, potem coraz więcej z obecnych unosiło ręce w górę. — To już lepiej — pochwalił ich Hellwig — a kto zna regulamin polskiego wojska, zasady musztry, sposób pozdrawiania przełożonych?

Zgłosiło się kilku spośród obecnych.

— Będziecie służyć swym kolegom za instruktorów, a naukę polskich piosenek rozpoczniecie od zaraz. Pierwszą chcę usłyszeć dzisiaj po obiedzie, na który zbierzecie się o czternastej w jadalni przy kantynie.

— Pozwolę sobie zameldować, że z inicjatywy Sturmbannführera Schäfera uczyliśmy się polskich piosenek żołnierskich w ciągu minionych trzech dni, odkąd nas skoszarowano pod Opolem — pochwalił się jeden z obecnych na sali.

— Bardzo dobrze, taką naukę stawiam na pierwszym miejscu — zareagował Hellwig.

Tego samego dnia podczas wieczornej odprawy kierownictwa oddziału do specjalnych poruczeń w Bernau.

— To jest wciąż mało — denerwował się komendant zgrupowania Trummler — niecałe dwieście chłopa!

— Uruchomiliśmy telefony, dalekopisy, terenowe placówki gestapo i policji, a nawet specjalnych kurierów, by odszukać członków SS władających językiem polskim — tłumaczył się Hellwig.

— Należy sięgnąć również do funkcjonariuszy policji — zadecydował Trummler — odpowiednio ich wpierw sprawdziwszy. I jeszcze jedno, oni wyglądają zbyt teutońsko, trzeba, by się upodobnili do polskich żołnierzy służby zawodowej, zapuszczając brody i baczki, część z nich natomiast ostrzyżemy całkiem krótko, na rekrutów.

18 sierpnia. Siedziba katowickiej ekspozytury „dwójki". Właśnie szyfrant skończył odczytywanie świeżo nadeszłego

meldunku. Podekscytowany jego treścią złapał kartkę papieru i pobiegł do pokoju oficera dyżurnego.

— Rozumie pan coś z tego? Niemcy, do tego esesmani, śpiewają polskie piosenki: „Jak to na wojence ładnie", „Przybyli ułani pod okienko" i „Przy piechocie fajno jest" — wołał od progu.

— Niech pan pozwoli — kapitan zerknął na zapisany gęsto świstek — skoszarowani pod Opolem w sile kilkadziesiąt chłopa, ciekawe, zawiadomię niezwłocznie majora Pawlika, czyżby jego przypuszczenia miały się tak rychło sprawdzić?

19 sierpnia. Na dziedziniec berlińskiej centrali Abwehry zajechały dwie ciężarówki z przyczepami, kryte brezentem. Z szoferki wyskoczył starszy feldfebel Kutschke.

— Czeka na was już od dłuższego czasu jeden taki czarny i wścieka się, pułkownik Lahousen usiłuje go jakoś udobruchać — dyżurny poinformował przybyłego feldfebla.

— Melduję swój przyjazd z Wrocławia, trzysta kompletów umundurowania i wyposażenia polskich żołnierzy oraz podoficerów — zgłosił się w kancelarii na pierwszym piętrze.

— Nareszcie — pułkownik, który był kierownikiem II sekcji wydziału zagranicznego Abwehry, odetchnął z ulgą. Z fotela podniósł się mężczyzna — to Hauptsturmführer Ratz — przedstawił go feldfeblowi — zabierze cały ładunek wraz z samochodami. Gdzie pan ma swoich ludzi?

— Zaraz po nich zadzwonię, będą w ciągu piętnastu minut — zapewnił esesman.

20 sierpnia. Dom Górnośląski w Gliwicach.

Naujocks, siedząc w swym hotelowym pokoju, rozpamię-

tywał po raz nie wiadomo który każdy szczegół terenu gdzie miał przeprowadzić akcję. Znał układ zabudowań, rozmieszczenie poszczególnych obiektów, a nawet drzew. Wiedział, ile jest kroków od wejścia w prawo i w lewo.

Przemierzył interesującą go okolicę pod pretekstem rozbudowy radiostacji, którą miała zrealizować w niedalekiej przyszłości jego firma. Tak przynajmniej opiewały dokumenty, w które go wyposażono. Otwierały mu drogę do radiowych pomieszczeń, umożliwiły bezpieczne poruszanie się po strzeżonym terenie. Piątkę swych kompanów zostawiał na wiele godzin w pokojach. Nudzili się piekielnie dzieląc czas między karty i pokrzepianie się piwem. Przed pójściem na spoczynek Naujocks zgodził się, aby wypili po jednym głębszym. Sam zszedł do recepcji by upewnić się, że nie było do niego telefonu z Berlina. Potem udał się na sąsiednią ulicę, gdzie wynajęli garaż, wstawiając do niego dwa samochody, którymi przyjechali z Berlina. Stały na swoim miejscu. Wrócił zaglądając do hotelowej restauracji, z której dochodziły dźwięki modnego tanga. Zastanawiał się, czy nie napić się koniaku, ale ostatecznie poprzestał na piwie.

„To wszystko z nerwów — pomyślał — zżera mnie oczekiwanie, jak rdza niekonserwowaną blachę, a telefon jak na złość milczy. Poczekam jeszcze dzień i sam zadzwonię do Heydricha. Czy długo można jeszcze tak siedzieć bezczynnie, jak na rozżarzonych węglach?" Przypomniał sobie słowa Gruppenführera, kiedy podał mu numer bezpośredniego telefonu, który stał na jego biurku.

— Użyje go pan wyłącznie w ostateczności, dotąd zna go jedynie pewna subtelna szatynka, która właśnie podbiła moje serce, a teraz pan. Po zakończeniu akcji oddam mój numer zakładowi pogrzebowemu — roześmiał się.

— Mam nadzieję, że nie skorzystam z jego usług — Naujocks zdobył się na dowcip, który zabrzmiał jednak dość ponuro. Heydrich zakończył pożegnalne spotkanie z Naujocksem słowami:

— Udaje się więc pan na akcję, której teren leży niedaleko Gliwic, w pobliżu polskiej granicy. Od jej powodzenia zależy bardzo dużo, być może losy Rzeszy, albo i całej Europy. O naszych losach nie ma potrzeby wspominać. Niech pan ma to na względzie. Jest pan moją tajną bronią.

Miał to na względzie rozkładając przed sobą po powrocie do hotelu mapę przedmieścia Gliwic, z radiostacją zaznaczoną czerwoną obwódką. Określenie użyte przez Gruppenführera nie było zbyt ścisłe. Radiostacja położona była wprawdzie niedaleko miasta, dokładnie na północny zachód od Gliwic, na odcinku między szosą tarnogórską a autostradą Rzeszy. W jej sąsiedztwie znajdowało się szereg większych lub mniejszych osiedli, głównie parterowe i jednopiętrowe domy w ogrodach. Do granicy nie było jednak wcale tak blisko. Wprawdzie w pewnym miejscu podchodziła na 5 kilometrów do obiektu zainteresowań Naujocksa, ale terenem otwartym, lasy występowały dopiero koło Zabrza. Przejście więc tędy uzbrojonej grupy z polskiej strony terenem pilnie strzeżonym, najeżonym bunkrami i gęstą siecią posterunków granicznych, zakrawało na fantazję. Znacznie większa możliwość nielegalnego przebycia granicy istniała na pokrytym lasem odcinku od strony Tarnowskich Gór — odległość jednak powiększała się do 13 kilometrów, przy tym w linii powietrznej. Faktycznie oznaczało to dużo więcej. Przebycie takiej drogi przez uzbrojony oddział było możliwe tylko w nocy, napad na radiostację został wyznaczony na godzinę dwudziestą. Nie wchodziło więc w grę posłużenie się polskimi mundurami wojskowymi ani uniformami powstańców śląskich. Mogli się zjawić jedynie w cywilnych ubraniach i, pozostawiwszy samochody w niedalekiej odległości od radiostacji, dokonać napadu używając broni krótkiej. Ale jak się zabezpieczyć przed przypadkową wpadką? Cały teren był nasycony wermachtem i różnymi formacjami pomocniczymi. A jeśli nadzieją się na zbytnio gorliwych przechod-

niów w mundurach, albo po prostu ciekawskich, pragnących przekonać się, co kilku dość podejrzanie wyglądających mężczyzn zamierza porabiać na terenie zamkniętego obiektu, niedostępnego dla nieupoważnionych cywilów? — łamał sobie głowę nad różnymi nieprzewidzianymi wariantami zamierzonej akcji, nie mając nawet z kim podzielić się swoimi wątpliwościami. Runge znał tylko część prawdy.

„Kiedy powinienem wtajemniczyć ludzi w zadanie, które mają wraz ze mną wykonać? — zastanowił się — chyba już czas najwyższy."

Powtarzał to sobie po kilka razy dziennie, wciąż się nie mogąc zdecydować. Dlatego nie oglądając się na konsekwencje, postanowił zadzwonić do Heydricha.

21 sierpnia. Z inspekcji terenu, gdzie miały się rozegrać wydarzenia zaplanowane w ramach akcji „Himmler", wrócił też do swej opolskiej kwatery Oberführer Mehlhorn, przywożąc ze sobą stos zapisanych karteluszków i szkiców terenowych. Zamierzał je dokładnie przestudiować i do rana sporządzić szczegółowy raport, który postanowił zawieźć nazajutrz Heydrichowi do Berlina. Po drodze z rejonów przygranicznych wstąpił do komisariatu policji w Gliwicach, aby sprawdzić stan przygotowań do wypełnienia przez tę placówkę roli siedziby sztabu, kierującego działaniami jednostek bojowych. Dysponował już połączeniem dalekopisowym z Berlinem. Stałe połączenia telefoniczne z posterunkami żandarmerii w miejscowościach, w których przewidziano zakwaterowanie oddziałów Trummlera i Rascha tuż przed akcją, dopiero instalowano. Mehlhorn wytknął w raporcie opóźnienie działalności łącznościowców. Był jak zwykle skrupulatny i dokładny, wyczuwając jednak narastającą niechęć Heydricha do swojej osoby, cechy te, wyróżniające go wśród współtowarzyszy służby, zamierzał jeszcze raz potwierdzić.

„Nic nie może mi ujść uwagi — przyrzekł sobie solennie — aby Gruppenführer nie znalazł najmniejszej nawet szczeliny w moich wywodach. Muszą być logiczne i ściśle do siebie przystawać, jak bloki kamienne w piramidzie Cheopsa."

Tego samego dnia, obóz koncentracyjny w Sachsenhausen. Do pisarza obozowego zadzwonił szef raportu, polecając mu przyprowadzenie z komend roboczych czterech więźniów i odstawienie ich do głównej bramy. Pisarz sprawdził podane numery na liście więźniów, byli to sami polityczni, dwóch komunistów, jeden socjalista, jeden związkowiec, dwaj pochodzili z Hamburga, pozostali z Wuppertalu i Straussbergu koło Berlina. W tym momencie do pokoju weszli: kierownik wydziału politycznego w obozie i pewien Untersturmführer z papierami w ręku.

— Przyszliśmy z polecenia Oberführera Müllera po więźniów — powiedział kierownik wydziału.

— Muszą to być nie lada ptaszki, jeśli się nimi interesuje sam szef gestapo — zauważył pisarz.

— Trzeba ich ustawić twarzami do drutów w takich odstępach, żeby nie mogli się ze sobą porozumiewać — dodał Untersturmführer. — Jak się nadadzą, zostaną do czasu opuszczenia obozu zamknięci w pojedynczych celach.

22 sierpnia

Głos Hitlera nabrzmiewał coraz bardziej fanatycznymi tonami. Im dłużej mówił, tym więcej namiętnych akcentów nabierało jego wystąpienie do zebranych na sali wyższych oficerów. W końcu głos Führera stał się już zupełnie twardy, niecierpliwy i agresywny. Wkrótce nie było ani jednego z jego słuchaczy, który by nie zrozumiał, że człowiek

ten pali za sobą ostatnie mosty, że przemawia ktoś, kto ma już tylko jedną wolę i jedną decyzję — wojnę z Polską...

Canaris poszukał wzrokiem Haldera, który zjawił się w głównej kwaterze Hitlera w Obersalzberg, podobnie jak inni wyżsi dowódcy. Śmiesznie wyglądał w jasnej, nieco chyba przykrótkiej marynarce i muszce w granatowe grochy. Ale rozkaz wodza był wyraźny: stawić się po cywilnemu w dniu 22 sierpnia o godzinie dwunastej. Dotyczył wszystkich odpowiedzialnych generałów i admirałów z wojsk lądowych, powietrznych i marynarki.

— Zwołałem panów, aby wam przedstawić obraz sytuacji politycznej, ukazać poszczególne jej elementy, na których opiera się moja decyzja działania — kilkudziesięciu mężczyzn, którzy zasiedli w pięciu rzędach krzeseł w wielkiej sali Berghofu, rezydencji Führera w Obersalzbergu, wpatrywało się w mówcę. Początkowo spotkanie przewidziane było na tarasie, z którego roztaczał się przepiękny widok, ale ponieważ zanosiło się na burzę, zebrani przeszli do zamkniętego pomieszczenia.

— Jutro zostanie ustalony termin rozpoczęcia kampanii przeciw Polsce, wojna stanie się faktem w taki czy inny sposób — mówił dalej Hitler unosząc się wkrótce ponownie. Jego słowa nadlatywały jak ciosy: Nie dopuszczać litości do serc. Postępować brutalnie. Osiemdziesiąt milionów ludzi niemieckich musi otrzymać to, co im się należy.

Canaris jak zahipnotyzowany wpatrywał się w Haldera, z którym razem przyjechali z Berlina, wbrew poleceniu, że należy dotrzeć na miejsce indywidualnie. Wymieniali między sobą uwagi na temat tego, co ich czeka, admirał był pełen najczarniejszych myśli. Teraz chciał dać znać generałowi, że jego przypuszczenia potwierdziły się.

— Podam propagandowy powód do rozpoczęcia wojny, obojętne, czy będzie to powód wiarygodny, czy nie. Zwycięzcy nikt nie będzie pytał, czy mówił prawdę — mówca tokował jak w transie. Wreszcie przerwał wyczerpany i spoglądał przez chwilę na zgromadzonych przed nim woj-

skowych, po czym wypowiedział swoją ostatnią kwestię: — Spełniłem swój obowiązek, teraz wy spełnijcie, co do was należy.

Żaden z obecnych nie poruszył się, wszyscy siedzieli jak skamieniali. Nie odezwał się ani jeden głos protestu przeciw wojennej mowie wodza, nikt nie zakwestionował tej gmatwaniny myśli złożonych ze złudzeń, megalomanii i pędu do samozniszczenia.

Gdy wojskowi rozchodzili się, niewielu z nich wiedziało, że propagandowy pretekst miał już swych wykonawców, którzy czekali na hasło, by go dostarczyć Führerowi. Właściwie tylko Keitel i Halder, zaangażowani w sprawę polskich mundurów, czegoś się domyślali, nieco więcej wiedział Canaris, zdołał już wywęszyć przeznaczenie wojskowego ekwipunku, na który zgłosił zapotrzebowanie Heydrich. Jednak i on nie miał pojęcia o wyprawie grupy Naujocksa do Gliwic, pozostała ona całkowitą tajemnicą nawet dla ludzi znających największe sekrety III Rzeszy, do których zaliczał się bez wątpienia szef Abwehry. Opuszczał Berghof autentycznie przerażony. Przemówienie Hitlera rozwiało ostatnie złudzenia, jakie mógł jeszcze żywić co do jego polityki, wiarę w umiejętność elastycznego podejścia do spraw i przewidywania przyszłości. Admirał wiedział teraz z całą pewnością, że wojna jest nieunikniona.

Tego samego dnia Naujocks zdecydował się skorzystać z sekretnego numeru telefonu stojącego na biurku Heydricha. Milczał po południu i przed wieczorem. Wracając ze spaceru po mieście, przed udaniem się na spoczynek, machinalnie zamówił ponownie rozmowę z Berlinem nie wierząc, że uzyska połączenie. Wtem zadzwonił aparat w recepcji i mężczyzna pełniący dyżur zaprosił go do kabiny. Z drżeniem serca złapał za słuchawkę.

— To ja — zgłosił się. — Chciałem zapytać, czy nie mo-

żemy wrócić do Berlina, właściwie załatwiliśmy wszystkie sprawy handlowe.

— O nie, mój drogi — rozmówca po drugiej stronie przewodu mówił wolno, jakby z ociąganiem — to zostało dziś przesądzone, jutro, no powiedzmy pojutrze, macie być w pełnej gotowości do wykonania zadania.

— Chyba, że tak — Naujocks odczuł narastające podniecenie — ma pan zmieniony głos, przemęczenie?

— A pan siódmy zmysł, zadzwonił pan w momencie, gdy wchodziłem do gabinetu, nie zdążyłem jeszcze położyć teczki na biurku. Skąd pan u licha mógł wiedzieć, że wróciłem właśnie z podróży?

— Właśnie ten siódmy zmysł, czyli intuicja — roześmiał się Naujocks.

— Wobec tego powodzenia i niech pan pamięta; pojutrze i we wszystkie następne dni w każdej chwili bądźcie gotowi.

Naujocks nie wychodził z kabiny jeszcze przez chwilę po zakończeniu rozmowy. Potem, zamiast do windy, skierował się do restauracji, w której zaczynał się właśnie program nocny. Orkiestra zawodziła tęsknego bluesa, na parkiecie kilka ciasno splecionych par poruszało się rytmicznie. Większość stolików była zajęta. Skierował się do baru, gdzie zobaczył Rungego siedzącego między dwoma dziewczynami. Opowiadał im coś zabawnego, bo wybuchały głośnym śmiechem. Zaszedł ich od tyłu dotykając niemal ramieniem swego towarzysza. Ten się nie speszył jego widokiem.

— Mój kolega — przedstawił Naujocksa — lubi panienki, podobnie jak ja — mrugnął do blondynki ze śmiesznymi dołeczkami na zaróżowionych policzkach. — Jeden głębszy dobrze mi robi na sen.

— A co jeszcze panu dobrze robi? — dopytywała się.

— Niestety, dzisiaj nie mogę zażyć tego drugiego lekarstwa — nachylił się nisko nad jej uchem — mam period — powiedział to szeptem, ale tak donośnym, że wszy-

scy słyszeli. Zwolnił się właśnie stołek barowy obok drugiej sąsiadki Rungego i zajął go Naujocks. Dziewczyna miała śniadą cerę i ogromne, czarne oczy. Spodobała mu się od pierwszego wejrzenia.

— Często pani tu bywa? — zagadnął ją.

— Od czasu do czasu. Moja koleżanka ma znajomego barmana — odpowiedziała.

— Moglibyśmy się kiedyś zabawić — powiedział to jakby od niechcenia.

— Ale dzisiaj nie, bo nie uprzedziłam w domu — zastrzegła się dziewczyna.

— Trzeba będzie nad tym pomyśleć — powiedział głośno — a jak pani na imię?

— Hedwig.

— Za ponowne spotkanie — ujął kieliszek z wódką, którą w międzyczasie zamówił Runge. Odstawił go po wypiciu — Helmuth jestem. Gdzie panią można znaleźć?

— Przez Gerdę — odpowiedziała. — Pański kolega wie, jak to zrobić.

— Wobec tego do widzenia — zaczął się żegnać.

— Gerda, chciałabym już pójść — zwróciła się do przyjaciółki.

— Gdzie ci się spieszy — tamta nie przejawiała ochoty opuszczenia lokalu.

— Niestety, na mnie też pora — Runge zrozumiał znaczące spojrzenie Naujocksa, bo zsunął się ze stołka.

— No wie pan — Gerda nie kryła swego rozczarowania.

— Umówiliśmy się z pani koleżanką na całonocne spotkanie w najbliższych dniach — oświadczeniem Naujocksa najbardziej zaskoczony wydał się Runge. — Zamów dziewczętom taksówkę.

— My mieszkamy niedaleko — zaoponowała Hedwig, ale nie dał jej skończyć:

— Nie szkodzi, przynajmniej mama będzie się krócej martwić. Czekam na ciebie w moim pokoju — zwrócił się do Rungego żegnając się z dziewczętami.

— Nie wyjeżdżamy? — to były jego pierwsze słowa, gdy zjawił się po chwili w pokoju Naujocksa.

— Wręcz przeciwnie — odpowiedział mu — w związku z czym najwyższa pora, bym wtajemniczył ludzi w zadanie, które mamy do wykonania. Jutro wybieramy się na wycieczkę, na miejsce akcji a potem gdzieś do lasu.

— A z tymi dziewczynami mówiłeś poważnie?

— Jak najbardziej, ale dopiero po wykonaniu zadania, zabawimy się na sto dwa, jeśli się nam powiedzie, w co ani przez chwilę nie wątpię.

Również tego dnia, zabudowania pałacowe w Koszęcinie.

— Nie pozwalam! To gwałt! Wniosę skargę, do samego premiera napiszę, to jest łamanie elementarnych praw obywatelskich — starszy pan w aksamitnej bonżurce poczerwieniał ze złości, aż mu wypadł z oka monokl i śmiesznie się kołysał na złotym łańcuszku zwisającym z kieszonki na piersi.

— Dlaczego pan się denerwuje, nie znając nawet celu naszej wizyty? — kapitan Paleczny zachował całkowity spokój, a nawet się uśmiechał. Mimo protestów gospodarza wtargnęli do pałacowej sieni, rozległej i wysoko sklepionej w kształcie łuku. Wiodły z niej szerokie drewniane schody na piętro, ukryte za pomalowaną czarno balustradą, tworzącą coś w rodzaju balkonu i odcinającą się wyraźnie od białej ściany.

— Jaki by nie był ten cel, oznacza najście na dom i naruszenie rodzinnego spokoju — złościł się starszy pan.

— A jeśli przyszliśmy, aby ocalić ten pański rodzinny spokój? — zapytał kapitan, za którego plecami tłoczyło się jeszcze kilku wojskowych.

— Co to ma znaczyć? — zainteresował się, ale rychło dodał: — Ja sobie nie życzę, byście ingerowali w moje życie prywatne.

— Proszę wydać dyspozycje, aby nas zaprowadzono do

pałacowych piwnic, najlepiej będzie, jeśli pan tam pójdzie z nami.

— Po co? Stare wino przynosi służba, ilekroć przyjdzie mi na nie ochota. Pan też może otrzymać jakąś butelczynę bez nachodzenia piwnic, do tego ze zbrojnym orszakiem.

— Panie hrabio, nie mam nic przeciwko szklance dobrego wina, ale potem — kapitan Palecznу nie speszył się ironicznym tonem swego rozmówcy, tak jak wcześniej napastliwym wybuchem — wpierw jednak musimy coś ustalić i po to zmuszeni jesteśmy zapuścić się w głąb pańskich podziemi. To naprawdę nie jest szykana w stosunku do pana, Niemca, lojalnego obywatela Rzeczypospolitej. Najlepszy zaś sposób, aby się przekonać, że nie naszliśmy pańskiego domu bez uzasadnionego powodu, to pójść razem z nami. Jeśli znajdziemy to, czego szukamy, i tak będzie pan musiał się pofatygować na miejsce.

— Skłonny jestem zadośćuczynić pańskiej prośbie, chociażby dlatego, by być świadkiem rozczarowania, które pana nieuchronnie czeka — mówił już normalnym tonem.

Zaraz kogoś przywołał i całą gromadą wyruszyli we wskazanym przez kapitana kierunku. Wśród wojskowych, których z sobą przyprowadził, znajdowali się saperzy wyposażeni w urządzenia do wykrywania min. Na ich widok hrabia znów się uniósł i trwało jakiś czas, zanim oficer zdołał go uspokoić.

— Panowie sądzą, że tu naprawdę mogło się coś wydarzyć bez mojej wiedzy? — nie był przekonany argumentacją Palecznego.

— Jeszcze się nic nie wydarzyło, ale z całą pewnością miało się wydarzyć, proszę poczekać na plon naszych poszukiwań.

Pierwsze minuty nie przyniosły żadnych rezultatów ku nie skrywanej satysfakcji gospodarza. Mniej więcej po półgodzinie odezwał się przyrząd przyniesiony przez żołnierzy. Za sterta równo pociętych klocków przeznaczonych do kuchni znaleziono dużej mocy bombę. W sąsiednim schow-

ku, sprytnie zamaskowanym za węglem, jeszcze jedną. Żołnierze przystąpili do rozładowywania śmiercionośnych ładunków, kapitan zaś z wstrząśniętym do żywego hrabią udali się do jego gabinetu.

— Nie mogę w to uwierzyć, to jakieś straszliwe nieporozumienie — agresywny ton zamienił na płaczliwy — komu by zależało na zainstalowaniu czegoś podobnego właśnie u mnie? Zatrudnionym ludziom się dobrze powodzi, nieźle zarabiają, żyją przyzwoicie, więc o co chodzi?

— Panie hrabio, pora, aby postawić kropkę nad „i". Nie zrobił tego żaden z pańskich ludzi, ani jakaś organizacja terrorystyczna dybiąca na życie przedstawicieli wyższych sfer. Padł pan po prostu ofiarą prowokacji organizowanych ostatnio na wielką skalę, czyta pan przecież o nich? Na szczęście nasz wywiad nieźle pracuje i zdołał przechwycić odpowiednie informacje. Stąd i nasza wizyta.

— Czyżby pan myślał o... — gospodarz urwał wpół zdania, jakby nie miał odwagi wypowiedzieć do końca tego, co zamierzał.

— Tak, właśnie to miałem na myśli — dokończył za niego kapitan. — Pańscy rodacy posuwają się do tego rodzaju perfidnych metod, z których jednej omal nie wypróbowano na panu, to znaczy na pańskiej siedzibie rodowej. Oczywiście później zwalonoby wszystko na nas, prześladujących bestialsko uczciwych i lojalnych wobec kraju, w którym mieszkają, Niemców.

— Bredzi pan — hrabia znów podniósł głos, ale kapitan tym razem odezwał się nie mniej energicznie:

— Myślę, że po rozmontowaniu bomb znajdą się dowody potwierdzające moje słowa.

Dowody nie podlegały dyskusji, bomby były niemieckiej produkcji, odkryte znaki fabryczne określały wyraźnie ich rodowód. Siła wybuchu mogła spowodować nawet zawalenie się budynku. Zanim Paleczny i jego ludzie opuścili pałac w Koszęcinie, gospodarz zaniemógł i nie wyszedł ich

pożegnać. W jego zastępstwie honory domu czyniła żona, dostojna matrona ubrana po staroświecku.

— Zapewne pan pojmuje, dlaczego mąż jest niedysponowany — zaczęła, kiedy usiedli przy stoliku wykładanym masą perłową — to prawdziwy cios dla niego, dotąd nie może uwierzyć.

— Nie dziwię się — zgodził się kapitan — myśmy również byli zaskoczeni otrzymaną informacją, jak się okazało, była prawdziwa. Po doświadczeniu ze szkołą mniejszościową w Katowicach, przestaliśmy się czemukolwiek dziwić.

— A co tam się wydarzyło? — pozornie obojętnym głosem zapytała hrabina.

— Właśnie nic, bo zdołaliśmy w porę rozładować bomby.

Przez chwilę w salonie panowało milczenie.

— To straszne — hrabina pierwsza przerwała ciszę. — Dokąd zmierza ten oszalały świat? Jesteśmy Niemcami i ubolewaliśmy nad przyznaniem Śląska Polsce, ale nie mieliśmy dotąd powodów do narzekania na wasze władze. Nie zajmowaliśmy się zresztą z mężem polityką, aż tu... Dlaczego akurat nas to miało spotkać? — zawiesiła głos.

— A może dlatego? — odpowiedział.

23 sierpnia

Szkoła szermierki w Bernau. Odbyły się już zajęcia w polskich mundurach, które każdy z „kursantów" otrzymał porządnie ułożone w worku, razem z innym ekwipunkiem. Dla odmiany oddział pod dowództwem Oberführera Rascha został wyposażony w bryczesy i cywilne marynarki, różnego kroju i koloru. Spodnie niektórzy zachowali czarne z esesowskich uniformów, innym wręczono zielone i szare. Był to tak zwany strój „zbójecki", który miał imitować noszącą się na poły cywilnie polską samoobronę, funkcjonującą w sierpniu praktycznie wzdłuż całego pogranicza

z Rzeszą. Najlepiej zorganizowana i najliczniejsza była na Śląsku, z udziałem wielu byłych powstańców. Po zakończeniu zajęć ich uczestnicy zgłaszali się kolejno do kancelarii w celu podpisania deklaracji zobowiązującej do zachowania pobytu w szkole w całkowitej tajemnicy.

— To już druga deklaracja, którą mamy podpisać — mruknął pod nosem Unterscharführer Grzimek w umywalni, gdzie pod strumieniem wody zmywali brud i pot, pozostałość intensywnych ćwiczeń.

— A my nawet nie wiemy, gdzie i kiedy wejdziemy do akcji — dorzucił asystent policji kryminalnej Noske.

— Jakie to ma znaczenie w sytuacji, kiedy wszyscy jesteśmy przeznaczeni do nieba — zarechotał gruby esesman z Pomorza.

— Jak to do nieba? — zaniepokoił się Noske.

— Nie rozumiesz? Jesteśmy „Himmelkomando", skazani na zagładę.

W pomieszczeniu zapadła cisza przerywana jedynie pluskiem wody. Gruby esesman widać się wystraszył, że za dużo powiedział, bo ukrył się pod prysznicem.

W kancelarii każdy z „kursantów", niezależnie od pełnionej funkcji i posiadanego stopnia, otrzymał do podpisania kartkę, na której złowrogo brzmiało wydrukowane zdanie: „W razie niezachowania tajemnicy winnemu grozi kara śmierci, a całej jego rodzinie eksterminacja".

Tego samego dnia Naujocks wybrał się po raz pierwszy wraz z całą grupą na wizję lokalną terenu przyszłej akcji. Zatrzymali się na szosie tarnogórskiej w pobliżu posesji, w której mieszkał emerytowany asesor górniczy Zitzmann. Wychodził często na spacer ze swoim psem i zapamiętał sylwetkę Naujocksa kręcącego się w okolicy od kilku dni. Tym razem zjawił się w asyście pięciu mężczyzn dwoma samochodami, które pozostawili na pustym placu zasłoniętym częściowo drzewami. Zaintrygowało to radcę, dyskret-

nie udał się za nimi, aby bez trudu zorientować się, że interesuje ich radiostacja. Krążyli wokół niej, obserwowali budynki, wydawało mu się, że odmierzali odległość krokami. Doświadczeni pracownicy służby bezpieczeństwa dali się wywieść w pole niepozornie prezentującemu się starszemu panu, który wędrując bez pośpiechu z pieskiem i zatrzymując się często, aby swemu czworonożnemu przyjacielowi umożliwić załatwienie naturalnej potrzeby, bacznie ich obserwował.

Po powrocie do hotelu zrekapitulowali zebrane fakty. Teren radiostacji, otoczony drucianą siatką dwumetrowej wysokości opatrzoną kolczastym drutem, obejmował budynek stacyjny, wieżę antenową i dwa bloki mieszkalne. Właściwy gmach radiostacji miał dwa wejścia. Jedno, od strony południowej, prowadziło bezpośrednio do studia, przez drugie od strony północnej, blisko głównej bramy, wchodziło się do maszynowni. Kiedy przyjechali do Gliwic, radiostacja nie miała ochrony policyjnej. Jedyny strażnik pilnował głównej bramy. Począwszy od dwudziestego sierpnia obiekt otrzymał straż spośród członków tak zwanej ochrony poczty — złożoną z dwunastu ludzi, dyżurowali na przemian. Bramę radiostacji dokładnie zamknięto. Dostać się do obiektu można było jedynie przez furtkę, której teraz strzegł strażnik. Wprowadzał i wyprowadzał przychodzących. Ponadto teren radiostacji stale patrolowało jeszcze dwóch ludzi.

— Jak więc widzicie, w tym stanie rzeczy nie ma mowy o wtargnięciu do środka bez wywołania strzelaniny — stwierdził na zakończenie Naujocks — muszą zdjąć ochronę i przywrócić stan sprzed dwudziestego sierpnia.

— Ale w jaki sposób? Przy tym napięciu naszych stosunków z Polską? — zdziwił się Runge.

— Zajmie się tym nasz opiekun, czyli „anioł stróż" z Berlina. Po południu wybierzemy się na wycieczkę do lasu, odbędziemy pierwszą próbę z rozdziałem ról między nas wszystkich — odpowiedział mu szef grupy.

23 sierpnia z samego rana odbyła się odprawa wyższych oficerów Abwehry. Podczas niej wygłosił przemówienie admirał Canaris. Było typowe dla jego chwiejnej postawy, która powodowała, że pomawiano go o podwójną osobowość à la dr Jekyll i mr Hyde. Jednocześnie organizował narodowosocjalistyczną piątą kolumnę stosując na użytek strategii Hitlera morderczą broń sabotażu, dywersji, skrytej infiltracji, a zarazem tolerował konspirację przeciw brunatnemu reżimowi i czynnie w niej uczestniczył.

Teraz też wypuściwszy swe grupy terrorystyczne przeciw Polsce, stanowiące forpocztę wojny, miał wciąż nadzieję w ostatniej chwili jej zapobiec. Między innymi przez pokrzyżowanie planów Heydricha. Ale przemówienie na wspomnianej naradzie było w całości dowodem pełnej lojalności wobec wodza III Rzeszy:

— Führer uważa, że możliwości rozwiązania problemów wschodnich dla Niemiec są teraz korzystne. Moment do uderzenia właśnie nadszedł. Koncentracja wojsk nad granicami Polski zdecydowana i w znacznym stopniu przeprowadzona. Brak tylko rozkazu do rozpoczęcia działań — zakończył swoje wystąpienie admirał.

— Kiedy należy go się spodziewać? — jedyne pytanie zadał podpułkownik Erwin Lahousen, szef oddziału II Abwehry.

— W każdej chwili — brzmiała odpowiedź.

Jeszcze tego samego dnia Canaris otrzymał od generała Keitla zaszyfrowaną depeszę. Odczytał ją w gronie najbliższych współpracowników.

— Zechciejcie panowie zapamiętać tę datę, a dokładny czas — zerknął na zegarek — mamy godzinę 16.04. Oto treść depeszy: „Podaję do wiadomości rozkaz Führera: dniem Y jest 26.8.39" — kiedy umilkł, nikt się nie odezwał ani jednym słowem.

W tym samym mniej więcej czasie Heydrich debatował ze swoim sztabem nad realizacją powierzonych mu zadań.

— Nie dajemy Polakom ani chwili wytchnienia, każdej nocy płonie pogranicze — powiedział w pewnej chwili — pora jednak zastosować drugi wariant naszej kampanii, zgodnie z założeniami operacji „Himmler". Zacytuję panom jedno zdanie z komentarza, który nadało dziś radio Berlin: „agresywna Polska nasyła uzbrojone bandy na teren walczącej o utrzymanie pokoju Rzeszy". Naszym zadaniem jest udowodnić, że komentarz ma pełne pokrycie w rzeczywistości.

Na zakończenie debaty Heydrich przekazał hasło „Mały głuszec" Trummlerowi i Raschowi, odpowiedzialnym za akcje w Stodołach i w Byczynie. Oznaczało postawienie w stan pogotowia oddziałów wyznaczonych do wykonania operacji „Himmler". Gruppenführer nie kwapił się natomiast do powiadomienia Naujocksa. Dopiero późnym wieczorem, gdy został sam w gabinecie, polecił połączyć się telefonicznie z Domem Górnośląskim w Gliwicach. Czekał niespełna kwadrans. Dyżurnemu recepcjoniście podał nazwisko, pod którym zameldowany był w hotelu Helmuth Naujocks.

— Babka umarła — oświadczył, gdy w słuchawce rozległ się głos Sturmbannführera — pogrzeb dwudziestego piątego o dwudziestej.

24 sierpnia

Od samego rana w Bernau wszyscy byli gotowi do drogi. Zajechały ciężarówki, do których wsiadało po kilkunastu ludzi razem z ekwipunkiem zawierającym polskie mundury lub cywilne ubrania w zależności od przydziału do jednego czy drugiego oddziału, oraz broń, którą każdy zabierał ze sobą. Przed wyruszeniem dowódcy jeszcze raz przypomnieli członkom wyprawy o obowiązku zachowania ścisłej tajemnicy. Pierwszym etapem był Wrocław, tam

odebrano prowiant, następnym Opole. Tu kolumna rozdzieliła się, oddział Rascha wyruszył na północny wschód, gdzie była położona Byczyna, natomiast Trummler ze swoimi ludźmi pojechał do Bytomia, gdzie zostali zakwaterowani w dawnych koszarach ułanów. Późnym wieczorem polecono im się przedzierzgnąć w polskich żołnierzy i wyjaśniono cel operacji na polsko-niemieckiej granicy koło Stodół. Następnie zostali przewiezieni w bezpośrednie sąsiedztwo akcji. Trummler, Hellwig i reszta kadry skorzystali z gościny na zamku księcia Hohenlohe-Oehringen, w Sławięcicach, zaś członkowie oddziału zajęli salę miejscowej gospody.

— Nada pan, Hellwig, kurierem meldunek do Mehlhorna podpisany moim kryptonimem — zadysponował Trummler — następującej treści: „Krawiec do Ślusarza. Dotarliśmy szczęśliwie, zakwaterowaliśmy się w gospodzie". A pan, Kernbach — zwrócił się do dowódcy jednego z plutonów — obsadzi strażami wszystkie wyjścia z budynku, tak by nawet mysz się nie prześlizgnęła. Obowiązuje zakaz opuszczania sali, nawet za potrzebą, zorganizujecie wiadra, a już nie daj Boże, żeby ktoś zajrzał do izby z wyszynkiem. Żadnych kontaktów z ludnością, tym bardziej, że tu nie brakuje Polaków. Oczywiście nie wolno wysyłać korespondencji, zachowywać się należy cicho, przez cały jutrzejszy dzień będziecie na suchym prowiancie.

Oddział Rascha zatrzymał się przed gospodą niejakiego Wyricha w Byczynie. Część ludzi wdrapała się po drabinie na strych przeznaczony do suszenia siana. Reszta odjechała do pobliskiego browaru, gdzie na dziedzińcu otoczonym wysokim murem postawiono ciężarówki. Pozostali członkowie oddziału zakwaterowani zostali na strychach browaru i stajni. Dowództwo skorzystało z pomieszczeń gospody, którą w międzyczasie zamknięto, a drzwi i okiennice szczelnie zaryglowano.

Tego dnia w Opolu Oberführer Mehlhorn, koordynator całej operacji, spotkał się z generałem Rudolfem Kaempfe, dowódcą 31 dywizji piechoty działającej w składzie XVI korpusu pancernego. Z upoważnienia dowódcy 10 armii wermachtu, której oddziały miały nacierać w tym rejonie, omówił z Oberführerem rolę wojska w zamierzonej operacji „Himmler".

— Otrzymaliśmy rozkaz z OKW, aby nawiązać z panem kontakt — oświadczył generał po przywitaniu się — jak również dyspozycję zachowania naszych wspólnych ustaleń w całkowitym sekrecie.

— Bardzo się cieszę — Mehlhornowi spadł kamień z serca, zastanawiał się właśnie, jak powiedzieć swemu gościowi, że akcja otoczona jest ścisłą tajemnicą, czując respekt przed wyższym rangą, do tego generałem.

— Chodzi nam o to, by ustalić nadgraniczne rejony wolne w jutrzejszym dniu od wojska — powiedział rozkładając mapę — konkretnie w pobliżu Stodół i Byczyny.

— W pierwszym przypadku utrzymanie naszych oddziałów z dala od granicy na kilka, jak sądzę, godzin, nie nastręczy większych trudności, gdyż w tym rejonie — generał pokazał palcem Stodoły — przewidujemy niewielkie tylko ruchy wojsk, nie ujawnię tajemnicy, bo ją pan z pewnością zna, że zamierzamy obejść polski okręg przemysłowy, aby go zająć nie zniszczony. To jest rozkaz Führera. Muszę natomiast pana uprzedzić, że nasz plan operacyjny wyzwolił aktywność miejscowej jednostki straży granicznej. Jej dowódca, jak mi wiadomo, powołał do służby rezerwistów z całego powiatu i sformowaną w ten sposób kompanią obsadził umocnienia i zapory właśnie na interesującym pana odcinku niedaleko Stodół.

— Dziękuję za informację, sami zajmiemy się strażą graniczną — odpowiedział mu Mehlhorn. — A jeśli chodzi o Byczynę?

— Zobowiązujemy się powstrzymać pierwszy rzut natarcia, który jutro miał zająć wyjściowe pozycje, powiedzmy

do... — generał zawiesił głos oczekując, że rozmówca podpowie mu stosowną godzinę.

— Do drugiej po północy — Oberführer nie zastanawiał się nad odpowiedzią.

— Trochę późno — skrzywił się lekko jego gość.

— Kierujemy się intencją uniknięcia ewentualnej kolizji, nie wolno nam dopuścić do przelania bratniej krwi.

— Tak, rozumiem, będę musiał udać się niezwłocznie do sztabu grupy armii „Południe", jak pan się zapewne orientuje, wasze przedsięwzięcie styka się z zasięgiem działania dwóch jej armii. Stodoły znajdują się na terenie podległym 14 armii generała Lista, a Byczyna 10 armii generała Reichenau. Stąd konieczność uzgodnienia tych spraw w sztabie, tym bardziej, że należy przestrzegać pełnej dyskrecji.

— Będę panu zobowiązany. Na chwałę wielkich Niemiec. Heil Hitler. — Mehlhorn podniósł rękę w faszystowskim pozdrowieniu. Generał zrewanżował mu się przyłożeniem dłoni okrytej skórzaną rękawiczką, mimo upalnego przedpołudnia, do czapki, którą wpierw włożył na głowę.

Oberführer po jego wyjściu udał się do gabinetu Schäfera. Należało niezwłocznie wysłać kogoś do Stodół w celu wyjaśnienia roli, jaką straż graniczna winna spełniać w trakcie realizacji zadania przez oddział Trummlera, a także porozumieć się z głównym urzędem celnym mieszczącym się w Gliwicach, aby spowodować opuszczenie przez podległych mu funkcjonariuszy placówki w Stodołach.

Również w Opolu spotkali się tego dnia szef gestapo Müller, który urządził tu sobie wygodną kwaterę, z Naujocksem. „Anioł stróż" z Berlina miał zabezpieczyć Naujocksowi teren działania, sparaliżować ochronę radiostacji, odwrócić skutecznie uwagę gliwickiej policji i innych formacji pomocniczych od miejsc akcji oraz udzielić pomocy

w wielu innych istotnych sprawach, warunkujących jej powodzenie.

— Dysponuję kilkunastoma wyselekcjonowanymi przestępcami, ubierzemy ich w polskie mundury, broń a nawet damy im polskie książeczki żołdu, pieniądze i papierosy. Wybierze pan sobie jednego lub dwóch, których następnie po zaaplikowaniu śmiercionośnej dawki podrzucimy na miejsce akcji, podziurawicie ich dodatkowo kulami — szczerzył zęby w uśmiechu, od którego Naujocks czuł ciarki przebiegające mu po plecach.

— Proszę mi wybaczyć, ale nie reflektuję na „konserwy" w polskich mundurach. Wszystko sprawdziłem i przeprowadziłem dokładną kalkulację. Jest to po prostu niemożliwe, aby umundurowani napastnicy z bronią w ręku zdołali w biały dzień przeniknąć tak daleko w głąb naszego terytorium, pozostając niezauważeni dla gęsto rozstawionych posterunków straży granicznej, policji, w ostatnich dniach również wojska, nie mówiąc o ruchomych patrolach. Wystąpić możemy jedynie w charakterze cywilnej bandy, która przedostała się lasami od strony Tarnowskich Gór udając w mieście normalnych przechodniów, ewentualnie została uzupełniona sympatykami rekrutującymi się spośród gliwickich Polaków.

— Dobrze, „konserwy" będą w cywilu — zgodził się Müller — z odpowiednimi dokumentami czy innymi dowodami tożsamości, które będziemy mogli następnie pokazać dziennikarzom jako świadectwo polskiej agresji.

— Tak, jednego cywila możemy przyjąć — Naujocks nie zamierzał z nim dłużej na ten temat dyskutować, miał inne, ważniejsze sprawy do omówienia z „aniołem stróżem", jak chociażby wycofanie z terenu radiostacji straży pocztowej i ograniczenie częstotliwości patroli, ostatnio wciąż defilujących tarnogórką szosą i zagłębiających się w sąsiednie uliczki, wśród których był zlokalizowany cel ich wyprawy. Przystąpił więc do zreferowania swoich kłopotów. Szef gestapo słuchał z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

Tego samego dnia w Ministerstwie Spraw Zagranicznych w Warszawie.

— Jak pan widzi, panie ministrze, zdołaliśmy zapobiec kilku poważnym prowokacjom hitlerowskim — generał Stachiewicz wyjął z teczki kilkustronicowy dokument opatrzony na samej górze napisem „ściśle tajne" i wręczył siedzącemu przed nim mężczyźnie — pan sobie zdaje sprawę z tego, jaką wrzawę podnieśliby Niemcy, gdyby wyleciał w powietrze pałac ich rodaka w Koszęcinie, czy katowicki kościół ewangelicki, do tego pełen wiernych? Nie omieszkaliby nas obarczyć winą za ewentualne ofiary przed całym światem.

— Rzeczywiście, pańskim służbom należą się słowa najwyższego uznania— przyznał łaskawie Beck — niemniej goebbelsowska propaganda i tak nas nieustannie obarcza przeróżnymi przestępstwami.

— Czyni to na wyrost — zareagował żywo generał — nie dalej jak wczoraj wrocławskie radio podało wiadomość o bestialskim pobiciu przez polskich bojówkarzy Bogu ducha winnego, nikomu nie wadzącego niemieckiego rolnika, pędzącego spokojny żywot, bodajże w powiecie lublinieckim, tyle, że o dzień wcześniej niż zaplanowano ów mający nas pogrążyć incydent. Zajęliśmy się niezwłocznie sprawą nadając jej odpowiedni rozgłos, dzisiaj gośćmi owego rolnika są zagraniczni dziennikarze akredytowani w Warszawie, jak więc pan widzi, nie tylko dbamy o skuteczne paraliżowanie hitlerowskich zakusów, ale również o nasze dobre imię na arenie międzynarodowej.

— Doceniam te wysiłki, pragnę zarazem przypomnieć o umowie, którą zawarliśmy za akceptacją pana marszałka: nie drażnić Niemców, nie dawać im argumentów, które mogliby przeciwko nam wykorzystać — generał słuchając tego pomyślał, że Beck znów wsiadł na swego konia — à propos, ambasador Moltke bezustannie upomina się o pewnego urzędnika Ministerstwa Spraw Zagranicznych, którego przetrzymuje bezprawnie nasz kontrwywiad.

— Informowałem pana, że to funkcjonariusz SD, który przybył do Polski pod fałszywym nazwiskiem na spotkanie z agentem. Nawet nie wnikając w jego szpiegowski proceder, możemy go skazać za nielegalne przekroczenie granicy i świadome wprowadzenie władzy w błąd — wyjaśniał cierpliwie Stachiewicz.

— Pan rozumie, ale w tej sytuacji może byłoby lepiej — Beck mówił to jakoś niepewnie, zacinając się, świadom, że władze wojskowe postąpiły zgodnie z prawem.

— Jeśli już mamy pójść na ustępstwa, to tylko w formie zamiany, Niemcy ujęli jednego z naszych rezydentów na terenie Rzeszy, chętnie go wymienimy za tego pana — w tym momencie drzwi się uchyliły i stanął w nich mężczyzna. Widząc grymas niezadowolenia na twarzy ministra czym prędzej się ukłonił mówiąc:

— Przyjechał oficer ze Sztabu Głównego z informacją. Twierdzi, że jest nie cierpiąca zwłoki.

— Pan wybaczy — generał zwrócił się do Becka, który był gospodarzem spotkania. Rozmowa toczyła się w niewielkim saloniku na zapleczu gabinetu ministra. Nowo przybyły ponownie otworzył drzwi ukazując oficera z dystynkcjami kapitana, który wręczył Stachiewiczowi zalakowaną kopertę. Rozerwał ją pospiesznie wyjmując ze środka kartkę papieru, z którą podszedł do okna. Obaj mężczyźni — cywil i wojskowy — opuścili w międzyczasie pokój. Generał przebiegł wzrokiem tekst trzymany w ręku, po czym odwrócił się twarzą do ministra.

— Co nowego? — ten nie wytrzymał odzywając się pierwszy.

— Wszystko na to wskazuje, że w najbliższych dniach, a może nawet jutro będziemy mieli wojnę — odpowiedział generał. — Niemcy podciągają wojska nad samą granicę, tak się spieszą, że przestali się nawet specjalnie z tym kryć.

25 sierpnia

Z samego rana zarządzona została blokada obozu w Sachsenhausen. Oznaczała, że z tą chwilą żadnemu więźniowi nie wolno przebywać poza obrębem baraków. W jakiś czas potem na teren obozu zajechały cztery samochody osobowe kierując się w stronę budynku z pojedynczymi celami. Wysiedli z nich cywile i esesmani, a naprzeciwko im wyszli komendant i kierownik wydziału politycznego.

— „Konserwy" gotowe? — człowiek, który zadał to pytanie, był samym szefem gestapo.

— Wszystko w porządku — zapewnił Müllera kierownik.

Już razem udali się do biura komendanta. Mniej więcej pół godziny później w pomieszczeniu pisarza obozowego zabrzmiał dzwonek z izby blokowego przy bramie. Na sygnał ten zobowiązany był wyjść niezwłocznie tak zwany goniec, aby otworzyć bramę. Ponieważ nikogo poza pisarzem nie było, wybiegł sam, chociaż obowiązywał go zakaz poruszania się po obozie. Do bramy dotarł równocześnie z nadjeżdżającymi samochodami, tymi samymi, które niedawno ją przekraczały. Teraz wracały. Kiedy na chwilę się zatrzymały, pisarz zauważył na tylnych siedzeniach więźniów, mieli skrępowane ręce. Obok nich siedzieli umundurowani funkcjonariusze gestapo.

— Skreślić ich z ewidencji obozowej z adnotacją „w transporcie" — powiedział komendant do pisarza, kiedy auta odjechały.

Tegoż ranka u dowódcy jednostki straży granicznej, obejmującej swym zasięgiem również Stodoły, zjawił się Obersturmbannführer Hellwig.

— Wycofa pan drugi pluton swojej kompanii znad granicy, ponieważ ja ze swoim oddziałem obejmuję służbę na tym odcinku — powiedział po przywitaniu się.

— Pan wybaczy, ale nie otrzymałem dyspozycji w sprawie przekazania podległego mi odcinka granicznego formacji SS — odpowiedział oficer.

— Oto rozkaz na piśmie — przybysz wręczył mu papier złożony we czworo.

— Chciałbym jeszcze zadzwonić do mego zwierzchnika — Hellwig, chociaż zaczynał się niecierpliwić, nie okazał tego po sobie — taką mam instrukcję — dodał tamten tytułem usprawiedliwienia. Bardzo szybko otrzymał połączenie z dowództwem, które potwierdziło wiadomość przyniesioną przez Obersturmbannführera.

W tym samym czasie Mehlhorn wspólnie z Raschem i Trummlerem doszli do porozumienia, że nie można dłużej trzymać esesmanów przeznaczonych do wykonania operacji „Tannenberg" w niewiedzy.

— Trzeba ich oficjalnie poinformować o zadaniu, które im przypadło i wyjaśnić, że mają sfingować napady na terytorium niemieckie. Dostąpią zaszczytu oddania pierwszych strzałów w tej wojnie. Muszą zarazem pamiętać, że nadal obowiązuje ich tajemnica Rzeszy, nigdy nikomu nie wolno im ujawnić, w czym brali udział, pod groźbą utraty życia. W czasie akcji mają oddawać strzały w powietrze — objaśniał swoich współpracowników Mehlhorn — bez wątpienia trudniejsze zadanie ma doktor Rasch, gdyż okolice leśniczówki Byczyna nasycone są naszym wojskiem. Wprawdzie rozmawiałem z generałem wermachtu w tej sprawie i przyrzekł nasze wspólne uzgodnienia przekazać do sztabu 10 Armii, ale wszystkiego nie da się przewidzieć, dlatego doktorze — zwrócił się bezpośrednio do Rascha — należy uprzedzić swoich podkomendnych, jak mają się zachować, gdyby zostali zatrzymani przez wojskowe patrole, które jakimś sposobem znalazłyby się w strefie naszego działania. Nie wykluczam pochwycenia pojedynczych członków pańskiego oddziału a także rozproszenia, ludzie mu-

szą wiedzieć, jak w takiej sytuacji postąpić. Do dyspozycji jest kilka tras wiodących przez granicę, prowadzą zaś do tego samego celu.

— Co uczynimy z rodziną leśniczego? — zapytał Rasch.

— Mam tu jego dokumenty, jest członkiem SS i z tej racji zasługuje na zaufanie, po prostu pan go wtajemniczy, będzie jednym z uczestników akcji. Można mu natomiast dyskretnie doradzić, by żonę na noc odesłał do Byczyny — zadecydował Mehlhorn. — Problem Stodół rozwiązany? — to pytanie skierował do Trummlera.

— Hellwig dzwonił, że tak, proponuje ponadto, by centrala w Gliwicach wezwała do siebie kierownika urzędu celnego wraz z podległymi urzędnikami, zatrzymując ich następnie u siebie pod jakimś pretekstem.

— To dobry pomysł, akceptuję — zgodził się Oberführer.

Od samego rana przygotowywał się intensywnie do wykonania zadania również Naujocks. Jego anioł stróż — Müller zadbał, aby w chwili ataku radiostacja została pozbawiona uzbrojonej straży. Ochrona pocztowa miała zostać w godzinach popołudniowych wycofana, zaś jednostka SD, która ją zastępowała, odpowiednio się spóźnić. W tej sytuacji sześciu uzbrojonych ludzi stawało naprzeciw trzech pracowników przebywających na dyżurze w studio i w maszynowni.

— To przyzwoita propozycja — wywodził szef operacji do swoich podkomendnych — gwarantująca powodzenie, zwłaszcza że tamci nie będą uzbrojeni. Działamy w uzgodniony sposób: jeden z nas pilnuje pracowników radiostacji, których umieścimy w izolowanej od świata zewnętrznego piwnicy, drugi drzwi frontowych, pozostała czwórka załatwia zasadnicze zadanie: nadanie przez radio apelu do Polaków zamieszkujących przygraniczne tereny o udział w zbrojnym wystąpieniu przeciwko Rzeszy. Po wygłoszeniu go w języku polskim, o co już zadba Stanisław —

zwrócił się do barczystego szatyna — wycofujemy się zgodnie z ustalonym wcześniej planem.

Ludzie Naujocksa, odkąd nadeszło oczekiwane hasło od Heydricha, nie opuszczali swych pokoi. Obiad zjedli około południa, po czym człowiek odpowiedzialny za transport w towarzystwie Sturmbannführera udał się do wynajętego garażu, by sprawdzić stan pojazdów. Był bez zastrzeżeń. Naujocks dopilnował, by jego podwładny wrócił do hotelu, po czym wyszedł na małą przechadzkę. Ruch na ulicy panował duży, wracały dzieci ze szkoły, kobiety niosły siatki ze sprawunkami.

„Ludzie niczego się nie domyślają, nie mają nawet zielonego pojęcia o tym, co się stanie za ileś tam godzin" — pomyślał. Sprawdził zegarek. Do umówionego spotkania pozostało mu parę minut. Przyspieszył kroku. Skręcił w boczną uliczkę, potem na skwer. Z daleka zobaczył mężczyznę siedzącego na ławce z gazetą w ręku. To był jego dodatkowy atut w tej grze, siódmy uczestnik akcji miał mu zdać dokładną relację z tego, co aktualnie dzieje się w radiostacji oraz udzielić wyjaśnień i wskazówek.

W godzinach przedpołudniowych tegoż dnia na komisariat policji zgłosił się były asesor górniczy Zitzmann z pieskiem, którego niósł na rękach.

— Często wychodzę na spacery z moim ukochanym Renne — przytulił twarz do poczciwie wyglądającego kundla, a dwaj policjanci pełniący właśnie dyżur popatrzyli na siebie znacząco, jakby chcąc się podtrzymać wzajemnie na duchu w oczekiwaniu na dłuższy wywód gościa — ich trasa z reguły wiedzie obok zabudowań radiostacji, Renne znajduje tam tyle ciekawych miejsc dla swoich poszukiwań — pogłaskał go.

— Ale co pan zauważył ciekawego w pobliżu radiostacji? — starszy rangą funkcjonariusz wiedział, jak rozma-

wiać z takimi petentami i spróbował go naprowadzić na właściwy temat.

— Tak, właśnie wokół niej zauważyłem kręcących się podejrzanych osobników, wczoraj była ich cała gromada, pomyślałem więc sobie, że jako lojalny obywatel winienem przyjść do was.

— I słusznie pan uczynił — pochwalił go policjant.

— Bo widzicie panowie, ja jestem byłym żołnierzem, nad Marną się biłem podczas pierwszej wojny i od razu poznam wojskowych, chociażby nie wiem jak się dziwacznie wystroili. Na tych przy radiostacji tak wisiały te cywilne łachy, jak szmaty na kijach, a jeśli to polscy terroryści i chcą wysadzić w powietrze nasze wspaniałe radio Gliwice? — dokończył złowieszczo brzmiącym szeptem.

— Zajmiemy się tym, zapewniam pana solennie — starszy rangą odprowadził Zitzmanna aż na korytarz.

— Co z tym zrobimy? — rzucił pytanie kiedy wrócił — trzeba chyba napisać raport, czasy są tak niespokojne.

— Wiesz co, ja myślę, żeby o wszystkim opowiedzieć temu czarnemu, co do nas zagląda od kilku dni. Wczoraj słyszałem, jak mówił do zastępcy komendanta, że ochronę radiostacji od straży pocztowej przejmują oni, czyli SD — odpowiedział jego towarzysz.

— Ale komendant też o tym powinien wiedzieć.

— Na pewno, najważniejsi są jednak teraz ci z SS i SD.

Te same godziny przedpołudniowe, tyle że na zamku w Sławięcicach, w którym obradowało już teraz permanentnie robocze kierownictwo operacji „Tannenberg", oczekując w każdej chwili hasła do działania.

— Koledzy, tu przy stole, gdzie teraz siedzimy, robi się kawałek historii — powiedział w pewnym momencie Hellwig. — To my jako pierwsi wkroczymy na terytorium Polski wchodząc do akcji na obszarze Śląska.

— Musimy ją zakończyć najdalej między drugą i trzecią w nocy — uzupełnił Trummler — na czwartą trzydzieści w dniu jutrzejszym ustalony został termin ataku naszych wojsk. Trzeba go odpowiednio wyprzedzić.

Dyżurny zameldował pojawienie się specjalnego kuriera na motocyklu. W zaklejonym i opatrzonym lakową pieczęcią liście zaadresowanym do Trummlera znajdowało się jedno zdanie: „Mały głuszec, wielkiego głuszca oczekiwać wieczorem. Ślusarz". Trummler wiedział, że pod kryptonimem „Ślusarz" krył się Mehlhorn. O treści listu zawiadomił niezwłocznie swych bezpośrednich współpracowników.

— Wyruszamy po nadejściu kolejnego hasła — stwierdził. — Plandeki ciężarówek należy szczelnie zasznurować, tak aby do wnętrza nie mógł zajrzeć nikt obcy. W czasie drogi ludziom siedzącym w środku nie wolno rozmawiać ani wyglądać na zewnątrz.

— Czyli obowiązuje ta sama instrukcja, jak podczas wyprawy z Bernau tutaj? — upewnił się Rasch. Trummler potwierdził.

— Panowie, jeszcze raz przypominam z grubsza założenia naszego planu: po przebraniu się w polskie mundury lub w stroje imitujące przynależność do polskich formacji paramilitarnych, na hasło przystępujecie do akcji. Robicie dużo hałasu, wykrzykujecie polskie rozkazy, mogą być przekleństwa. Głośno złorzeczycie Niemcom, miotacie wyzwiska. W momencie szczytowym pozorowanej walki, również na hasło, przystępuje do działania druga grupa przebrana w mundury naszej straży granicznej i bierze „Polaków" do niewoli. To jest bardzo ważny, rzekłbym newralgiczny punkt całego przedsięwzięcia. Chłopcy udający Polaków, jak tylko zobaczą strażników, muszą natychmiast rzucić broń i zebrać się razem, aby nie ponieść przy okazji szwanku. Odjeżdżamy z terenu działań identycznie, jak do niego dotrzemy, samochodami ciężarowymi. W tym samym czasie nad granicę podciągnięty zostanie pierwszy rzut wermachtu, aby przystąpił o wyznaczonej

porze do frontalnego natarcia. Sami widzicie, ile w tym się kryje niebezpieczeństw...

— Przemyśleliśmy wszystko dokładnie i obgadaliśmy każdy szczegół — zapewnił Trummlera Rasch.

Jeszcze przed zapadnięciem zmierzchu nadeszło następne hasło „Wielki głuszec", wyprowadzając oddziały z kryjówek. W międzyczasie ruszyło za nimi w pogoń następne: „Operacja »Himmler« odwołana". Co się wydarzyło?

Kancelaria Rzeszy. Hitler, który już dwa dni wcześniej wydał rozkaz zaatakowania Polski, oczekiwał najświeższych wiadomości o zachowaniu się jej zachodnich sojuszników na wypadek agresji. Mussolini sprawił mu ostatecznie zawód informując w godzinach popołudniowych, że Włochy nie mogą przystąpić do wojny po stronie Rzeszy, są bowiem do niej zupełnie nieprzygotowane. Przed godziną osiemnastą spadł następny cios. Zadzwonił Ribbentrop. Wódz był bliski załamania nerwowego usłyszawszy, że Anglia zawarła właśnie pakt wojskowy z Polską. Dłuższą chwilę tkwił bez ruchu, niezdolny do podjęcia jakiejkolwiek decyzji. Wreszcie wezwał do siebie szefa OKW generała pułkownika Keitla.

— Natychmiast wszystko wstrzymać, muszę mieć czas na pertraktacje — krzyknął.

Była dokładnie 18.30. Keitel pomyślał, że się przesłyszał, wymarsz oddziału wermachtu dobiegał końca, zatrzymanie tak ogromnej machiny wojennej puszczonej w ruch wydawało się całkowicie nierealne. Stały za nią 2 miliony ludzi. A jednak generał niezmiennie posłuszny swemu Führerowi spróbował wykonać to, co było na zdrowy rozum po prostu niemożliwe. Wydał rozkaz dowódcy armii lądowej: „Z powodu zmienionej sytuacji politycznej o godzinie 20.30 wstrzymać rozpoczętą już operację »Weiss«".

Zaistniało coś niesamowitego, trudnego do opisania. Wermacht sprawiał wrażenie pośpiesznego pociągu wpuszczo-

nego nagle na ślepy tor i zmuszonego do nagłego zatrzymania się.

Heydrich dowiedział się o decyzji Hitlera znacznie później od szefa OKW, rzucając się do telefonów i dalekopisów, by odwołać operację „Himmler". W tym samym momencie dotarł do niego meldunek nadany bezpośrednio przez Hellwiga, że właśnie przystępuje do operacji „Himmler". Heydrich w najwyższym zdenerwowaniu zaczął osobiście wystukiwać depeszę do Mehlhorna. Koordynator i „doradca z wątpliwościami" siedział właśnie w pomieszczeniu, gdzie znajdował się dalekopis i oniemiał przeczytawszy pierwsze słowa nadane przez Gruppenführera: „Chybaście tam powariowali". W chwilę potem wszystko było jasne, Hellwig pomylił hasło „Wielki głuszec" z „Agatą" i przedwcześnie wyruszył na akcję. Mehlhorn wypadł jak oszalały na podwórze i złapawszy kuriera z motocyklem pchnął go w ślad za oddziałem niezbyt rozgarniętego, jak się okazało, Obersturmbannführera, by go niezwłocznie zawrócił z drogi. Motocyklista pędził na złamanie karku, by dopaść ludzi Hellwiga już na terytorium Polski. Zaskoczenie tego ostatniego było ogromne. Zarządził odwrót wywołując spontaniczną reakcję swoich ludzi, którzy pomieśli tumult wołając: „zdrada, sprzedali nas", a ktoś nawet wystrzelił. Hellwigowi z najwyższym trudem udało się opanować sytuację i wycofać na teren Niemiec, gdzie zatrzymał oddział nakazując mu przygotowanie się do walki z polskim wojskiem, gdyby spróbowano ich ścigać. O aktualnej sytuacji podległej mu grupy skreślił kilka słów na kartce wysyłając meldunek tym samym kurierem Mehlhornowi. Ten, kiedy go otrzymał wpadł we wściekłość, na ogół obcą jego flegmatycznemu usposobieniu.

— Czegoś podobnego świat nie widział — zawołał do swych współpracowników — słuchajcie, Hellwig donosi, że zajął pozycję obronną i wydał swoim esesmanom rozkaz otwarcia ognia do nadciągających podobno jego śladem w stronę granicy nieprzyjacielskich patroli. Czy może być

większy absurd: kazał naszym ludziom przebranym w polskie mundury strzelać do prawdziwych Polaków, ponadto wysyłając dla mnie wiadomość użył bloku meldunkowego SS, który by go natychmiast zdradził w razie schwytania przez wroga — mówiąc te słowa pisał już rozkaz nakazujący Hellwigowi w formie kategorycznej niezwłoczne opuszczenie zajętej pozycji nadgranicznej i wycofanie się do miejsca uprzedniego zakwaterowania. Jednocześnie zawiadomił Trummlera, aby osobiście dopilnował jak najszybciej ewakuacji grupy Hellwiga z zagrożonego terenu. Trummler dowodził grupą esesmanów przebranych za funkcjonariuszy straży granicznej, którzy mieli wziąć do niewoli „Polaków". Okazało się jednak, że Hellwig, któremu po otrzymaniu pisemnego rozkazu Mehlhorna wreszcie zaczęło się nieco rozjaśniać pod czaszką, rozpoczął właśnie odwrót natykając się w zaroślach na oddział Trummlera.

— No to ładnego narobiłeś pan gówna — powiedział mu bez ogródek dowódca rzekomej straży granicznej.

Na skraju wsi nastąpiło jeszcze jedno nieoczekiwane spotkanie z kolumną samochodów stojących rzędem wzdłuż drogi. Oficerów SS wracających w ponurym nastroju z wyprawy, która zakończyła się kompletnym fiaskiem, powitał niski, korpulentny mężczyzna. To był Gestapo-Müller, wycofywał się również z placu niedoszłego boju — wraz ze swymi „konserwami" ukrytymi we wnętrzu limuzyny.

— Widzimy się dziś już po raz drugi — powiedział do Sturmbannführera Karla Hoffmanna, który pełnił aktualnie funkcję zastępcy Hellwiga. Teraz dopiero Hoffmann przypomniał sobie, że prowadząc na akcję kolumnę „polskiego wojska", kiedy skręcił w leśną przesiekę, ujrzał ze zdumieniem kilka czarnych, eleganckich wozów stojących jeden za drugim.

— Skąd się wzięły takie maszyny w tym głuchym pustkowiu? — wykrzyknął siedzący obok niego w pierwszej ciężarówce kierowca. Miały okna szczelnie zasłonięte firan

kami, które uniemożliwiały zajrzenie do wnętrza wozów. Z pierwszej wysiadł oficer SS w polowym mundurze.

— Muszą się tam kryć jakieś grube ryby. Może to sam Führer przyjechał i będą nas filmować? — snuł domysły szofer, aż Hoffmann kazał mu się zamknąć i rozglądać bacznie na wszystkie strony, by nie wpakować się na któreś z drzew rosnących po obu stronach niezbyt szerokiego traktu leśnego. Oficer SS stojący przy samochodach dawał im bowiem znaki, by się nie zatrzymywali, tylko jechali dalej. Wkrótce sznur aut zniknął im z oczu. Zapadł zresztą zmierzch i wszystko wokół spowiły w krótkim czasie nieprzeniknione ciemności. Na miejscu pochłonęły ich inne zajęcia, Hellwig, którego rozpierała energia, pokrzykiwał wydając wciąż nowe polecenia, aż Hoffmann uznał za stosowne przypomnieć mu o obowiązku zachowania całkowitej ciszy. Od budynku celnego, który miał być celem ataku, oddzielało ich nie więcej niż 500 metrów. Ponieważ do podanego terminu rozpoczęcia akcji było jeszcze sporo czasu, uzgodnili czas na zegarkach i nakazali ludziom rozłożyć się w zaroślach.

— Widział pan te samochody, Hellwig? — szepnął Hoffmann na ucho, a kiedy ten potwierdził, dodał — to tajny człon naszej akcji, nie domyśla się pan? „Konserwy".

O tej samej mniej więcej porze Naujocks zamierzał opuścić pokój, by zejść do samochodów, które punktualnie za dwadzieścia dwudziesta miały podjechać pod hotel, gdy zadzwonił telefon.

— Babcia nie umarła, akcja odwołana — usłyszał głos Heydricha i z wrażenia nie mógł wymówić nawet słowa, aż rozmówca po drugiej stronie kabla przywołał go powtórzonym dwukrotnie „hallo".

— Jestem, zrozumiałem, babcia nie umarła — odpowiedział wreszcie.

— Całe szczęście — wykrzyknął Gruppenführer — do usłyszenia jutro.

— Czy możemy wracać? — z nieśmiałą nadzieją w sercu zapytał Naujocks. Miał już serdecznie dosyć, po dziurki w nosie, siedzenia w nadgranicznym, prowincjonalnym miasteczku, jakim były Gliwice w porównaniu z berlińską metropolią.

— Mowy nie ma. Czekać — odpowiedź pozbawiła go zrodzonych nagle nadziei.

Był już późny wieczór, kiedy Heydrich otrzymał wreszcie pożądaną wiadomość o wycofaniu się oddziału Hellwiga w bezpieczne miejsce. Wcześniej uczynił to Rasch ze swymi ludźmi i Müller z „konserwami". Ponieważ Naujocksa uprzedził osobiście, wydało mu się, że ma powody do satysfakcji. Zaprosił swój „sztab" na kieliszek koniaku, usiłując rozruszać niemrawe i zachowujące się bardziej niż zwykle powściągliwie towarzystwo, jakby przeczuwające, że jeszcze coś niekorzystnego się wydarzy. Tymczasem „koordynator" Mehlhorn, który również obradował w kwaterze swego sztabu roboczego operacji „Himmler", miał już konkretne powody do zmartwienia: zawiódł kompletnie Hellwig, system łączności funkcjonował źle, a do tego doszła szokująca wiadomość o zniszczeniu urzędu celnego w Chwałęcicach, znajdującego się w najbliższym sąsiedztwie analogicznej niemieckiej placówki w Hochlinden (niemiecka nazwa Stodół) przez nie rozpoznany oddział dywersyjny. Z tegoż polskiego urzędu Hellwig miał zatelefonować do dowództwa garnizonu w Rybniku i sprowokować je do wysłania jednostek wojskowych nad granicę, gdzie czekały oddziały niemieckie, by je wciągnąć w regularną bitwę. Tymczasem budynek ten został poważnie zniszczony, połączenie telefoniczne zerwane, wielotygodniowa, o ile nie wielomiesięczna praca licznego grona pod wodzą Heydricha poszła więc na marne.

Zgoła inne nastroje panowały owego wieczoru i nocy w konkurencyjnej dla „firmy" Gruppenführera centrali Abwehry. W gabinecie Canarisa widać było same tryumfujące twarze.

— Nie tylko został uratowany pokój, ale i zrujnowana reputacja Hitlera — skomentował wiadomość o odwołaniu przez wodza marszu na Polskę radca Hans von Dohnanyi, szara eminencja Abwehry, pozostający od 25 sierpnia w bezpośredniej dyspozycji admirała.

— Tego nam było potrzeba — uzupełnił go szef sztabu Abwehry pułkownik Oster — aby poderwać ślepą wiarę naszych kolegów wojskowych w nieomylność Führera. Najwyższy dowódca, który tak rozstrzygający rozkaz, jak decyzję o wojnie czy pokoju, odwołuje w ciągu paru godzin, kompromituje się całkowicie w oczach podkomendnych.

— Z tego ciosu nie podniesie się prędko. Pokój uratowany na wiele lat — Canaris wierzył w tym momencie szczerze, że Rzesza została zabezpieczona ostatecznie przed szalonymi pomysłami „pokojowego malarza bez krzty inteligencji i wyobraźni", jak określił Hitlera. Ogólną radość zakłóciło pojawienie się podpułkownika Lahousena.

— Nie wszystkie oddziały Abwehry wysłane na terytorium Polski jako forpoczty regularnych wojsk, wróciły dotąd do swoich baz — meldował — urwała się łączność radiowa z grupą porucznika Albrechta Herznera, który miał obsadzić tunel pod Przełęczą Jabłonkowską, jeden z ważniejszych punktów komunikacji kolejowej w południowej Polsce. W tej sytuacji obawiam się, że nie będziemy w stanie odwołać wydanego mu rozkazu.

— Najbliższa jednostka wojskowa niech wyśle do niego, specjalnych gońców, zwiadowców, czy kogo znajdzie pod ręką — zaproponował Oster, a szef Abwehry się zgodził.

Mehlhorn, zdając sobie sprawę, co go czeka ze strony niechętnego mu Heydricha za niedociągnięcia, które ujawniły się w czasie akcji, przystąpił od samego rana do intensywnego śledztwa w sprawie napadu na polski urząd celny w Chwałęcicach. Okazało się, że tuż przed świtem na terytorium polskie wdarła się grupa około 20 mężczyzn, ubranych na pół po cywilnemu, a na pół po wojskowemu, z bronią w ręku i granatami, która zaatakowała wspomnianą komorę celną. Znajdowało się w niej kilku polskich urzędników, którzy ratowali się ucieczką, gdy budynek znalazł się pod silnym ogniem napastników. Najwięcej szkód wyrządziły granaty. Po dokonaniu dzieła zniszczenia grupa wycofała się na stronę niemiecką.

— Przecież to jawny sabotaż naszych przedsięwzięć — skomentował przedstawione mu już w godzinach przedpołudniowych wyniki wstępnego dochodzenia.

— Komu zależało na storpedowaniu tak drobiazgowo zaplanowanej akcji? Bo przecież to nie mógł być przypadek — pytanie, które zadał towarzyszący Mehlhornowi od rana w służbowych zajęciach doktor Schäfer, pozostało bez odpowiedzi. Obaj dobrze wiedzieli, że tylko jedna instytucja mogła wchodzić w grę: wywiad wojskowy kierowany przez Canarisa, który podobnie jak i dowództwo wermachtu z coraz większym niepokojem i niechęcią obserwował konkurencyjne poczynania SD, wpierw przeciw Czechosłowacji, następnie Polsce. Wiedzieć, a udowodnić winę, to były jednak dwie różne rzeczy.

Tymczasem rankiem 26 sierpnia podpułkownik Lahousen natrafił wreszcie na ślad zagubionego w Beskidach oddziału porucznika Herznera. Kapitan Ernst zu Eickern ze sztabu budowlanego wermachtu rezydującego w miejscowości Czadca zameldował, że z kierunku Przełęczy Jabłonkow-

skiej dochodzi silny ogień karabinowy. Lahousen skojarzył go z działalnością wspomnianego oddziału.

O godzinie 11.45 przyczółek Abwehry w Stregau nawiązał w końcu kontakt z zagubioną grupą nadsyłając do centrali następujący meldunek: „Porucznik Herzner jeszcze w Polsce. Tunel w porządku. Dwóch rannych."

Jak się potem okazało, Herzner wysłał do swojego dowództwa już parę godzin wcześniej wiadomość, która następnie miała się okazać pierwszym meldunkiem drugiej wojny światowej. Brzmiał on następująco: „26.8.39 o 3.55 ze starszym szeregowym Jungiem i 12 ludźmi KOJ (Kampforganisation Jablunka) zajęto dworzec Mosty. Straty: 1 ranny. Atak obsady tunelu na dworzec odparty. Na rozkaz dowódcy 7 dywizji Mosty ewakuowano i o godzinie wpół do siódmej przebito się przez góry do Słowacji tracąc dwóch jeńców".

Canaris, który w nerwowym podnieceniu śledził losy oddziału Herznera, zoskoczony został dyspozycją wydaną przez Keitla, zanim jeszcze odebrano ostatni meldunek porucznika, żeby KO Jablunka pozostała „na razie" w Polsce.

— Czy to ma oznaczać, że wojna nie została ostatecznie odwołana? — zapytał swych najbliższych współpracowników, z którymi zaledwie przed paru godzinami fetował prestiżową porażkę Hitlera.

— Obawiam się, że nie zamierza zrezygnować ze swych planów — przyznał von Dohnanyi — powinien jednak teraz napotkać bardziej zdecydowany sprzeciw sfer wojskowych.

— Jest coś nowego — powiedział Oster, który wyszedł do sekretariatu, aby zaraz wrócić z kartką w ręku — wrocławska ekspozytura Głównego Urzędu SD wdrożyła śledztwo w sprawie akcji na polski urząd celny w Chwałęcicach, twierdząc, że pokrzyżowała im plany niezwykle ważnych przedsięwzięć z punktu widzenia interesów państwowych Rzeszy.

— Mam nadzieję — odburknął admirał.

— Jednocześnie nas obwinia tym niewydarzonym wypadem, twierdząc, że ludzie, którzy zniszczyli wymienioną komorę celną, działali na zlecenie wywiadu wermachtu — kontynuował pułkownik.

— Niczego nam nie udowodnią — Canaris wydął pogardliwie wargi.

— Znaleźli sobie już kozła ofiarnego i na niego kierują cały ogień: szefa naszej placówki we Wrocławiu, który im podpadł jeszcze w ubiegłym roku w Sudetach, a ostatnio ponoć nie kwapił się z wydaniem „czarnym" polskich mundurów wojskowych.

— Należy kapitana Dinglera otoczyć troskliwą opieką, aby mu nawet włos z głowy nie spadł, w razie czego zwrócę się do Himmlera — głos admirała zabrzmiał stanowczo.

— To bym właśnie sugerował — poparł go Oster. — Uświadomienie Reichsführerowi, że Heydrich jest zbyt samodzielny, jak sądzę, nie wprawiłoby go w zachwyt.

— Myślę nad tym Hans, intensywnie myślę — odpowiedział Canaris szefowi swego sztabu.

Tego samego dnia w późnych godzinach popołudniowych miał miejsce finał akcji Herznera. Dowódca niemieckiej 7 dywizji stacjonującej w tym rejonie, generał Eugen Odt, przeprosił za „pożałowania godny incydent" dowódcę polskiej 21 dywizji piechoty górskiej generała Józefa Kustronia. Winą obciążył swego podwładnego nazywając go wobec polskiej strony „niepoczytalnym osobnikiem". Tymczasem wzięci do niewoli członkowie grupy dywersyjnej dowodzonej przez pechowego porucznika twierdzili, że wykonywali specjalne zadanie zlecone im przez zwierzchników w związku z wybuchem wojny polsko-niemieckiej. Jeńcy zostali wydani stronie niemieckiej.

W Warszawie w godzinach popołudniowych miała miejsce odprawa kierowniczej kadry II oddziału Sztabu Głów-

nego, poświęcona aktualnej sytuacji, z udziałem przedstawicieli terenowych ekspozytur oraz poszczególnych armii.

— Sami teraz widzicie, że tylko stanowczość wobec bezczelnych żądań i prowokacji oraz zachowanie zimnej krwi jest w stanie powstrzymać Niemcy. To prawdziwa wojna nerwów, Hitler napina naszą odporność psychiczną jak cięciwę łuku do granic wytrzymałości, a widząc naszą niezłomną, nieulękłą postawę spuszcza z tonu, cofa się — wystąpienie szefa II oddziału korespondowało z euforią, jaka zapanowała wśród polskich kół rządowych po odstąpieniu Führera od zamiaru wywołania wojny. Wywiad, dzięki licznej i dobrze pracującej siatce doświadczonych agentów oraz rewelacyjnej „Enigmie" — maszynie skonstruowanej w celu przechwytywania szyfrów, znał ustalony przez samego wodza III Rzeszy termin rozpoczęcia agresji: 26 sierpnia o świcie. Odwołanie wydanych już rozkazów uznano za wielki sukces polskiej polityki zagranicznej i wewnętrznej. Symbolem pierwszej były alianse z zachodnimi mocarstwami — Anglią i Francją, drugiej — zachowanie zimnej krwi w obliczu prowokacyjnie zachowującej się mniejszości niemieckiej oraz przymykanie oczu na mnożące się incydenty graniczne. Z tryumfalnym niemal brzmieniem wystąpienia pułkownika Smoleńskiego polemizowali niektórzy oficerowie reprezentujący zachodnie rubieże Rzeczypospolitej, między innymi podpułkownik Zdon, szef II oddziału armii „Kraków".

— Obawiam się, że to tylko zwłoka, chwilowa zwłoka a nie prolongata na czas dłuższy planów wojennych — powiedział. — Ta masa ludzi i sprzętu nie może pozostać zbyt długo bezczynna, zgodnie z tezą, że nagromadzona w nadmiarze broń w końcu sama zacznie strzelać. Machina została puszczona w ruch, propagandowa i militarna. Jej zacięcie się spowodowały względy taktyczne, nie strategiczne. Być może czegoś Niemcy nie byli jeszcze pewni, coś chcieli sprawdzić, ale cel pozostał ten sam: udowodnić, że traktat wersalski był jednym wielkim nieporozumieniem

w odniesieniu do odrodzenia się Polski również, a może przede wszystkim. Przy okazji „spalili" sobie akcje dywersyjne, które miały być przeciw nam obrócone, prawdopodobnie jedna z nich planowana była na pograniczu w powiecie rybnickim. Zauważono tam osobników w naszych mundurach z całą pewnością nie będących żołnierzami Wojska Polskiego. Przynajmniej już wiemy, czego się spodziewać, chociaż muszę panom powiedzieć, że nie była to dla nas niespodzianka. Mamy do czynienia z tego rodzaju prowokacjami, podobnie jak koledzy odpowiedzialni za tereny przygraniczne w innych stronach kraju, nie sposób jednak przewidzieć wszystkie ruchy przeciwnika, ustalić miejsce i czas zaplanowanych akcji, aby im następnie skutecznie przeciwdziałać.

27 sierpnia

W głównej kwaterze SD zebrał się tego dnia sztab Heydricha oraz wezwani do Berlina Mehlhorn, Trummler, Hellwig i Rasch.

— To jest jedno wielkie partactwo — zagaił nie bawiąc się w dyplomację Gruppenführer — a już sposób przeprowadzenia akcji pod Stodołami zakrawa na skandal — niedwuznacznie pił do Hellwiga, który poczerwieniał jak burak. — Ciekaw jestem niezmiernie, co też panowie będziecie mieli do powiedzenia — używał liczby mnogiej, ale wpatrywał się z marsową miną w Obersturmbannführera, który pod jego spojrzeniem wił się jak piskorz.

— Pragnę zauważyć, że zaszło pewne nieporozumienie — nie wytrzymał zabierając głos — ale nikt nie poniósł szwanku.

Wypadło to fatalnie, czego nie omieszkał natychmiast wykorzystać Heydrich:

— Jeżeli pan nie ma nic do powiedzenia, Hellwig, to lepiej już milczeć. Zwalniam pana z tą chwilą z udziału w operacji „Himmler". Chciałbym jeszcze tylko się dowiedzieć, dlaczego pan wyruszył na miejsce akcji przed otrzymaniem drugiego hasła?

Skonfundowany winowajca milczał, wybałuszając jedynie oczy. Przyszedł mu natomiast w sukurs Mehlhorn.

— Błąd wynikł z niewłaściwej interpretacji treści podanego hasła, otóż zaznaczyłem w nim, że wieczorem nadejdzie następne, a Obersturmbannführer potraktował je zbyt dosłownie i wyruszył na miejsce akcji wraz z zapadnięciem zmierzchu.

— To wyraźne nadużycie uprawnień z pańskiej strony — głos Gruppenführera wydawał się ostry jak brzytwa. — Zastrzegłem sobie kategorycznie wyłączność do przekazywania poszczególnych haseł oddziałom realizującym operację „Himmler". A już w żadnym wypadku nie wolno było łączyć dwóch w jednym rozkazie.

— Po słowach „Mały głuszec" zapowiedział pan, że „Dużego" należy się spodziewać mniej więcej o dwudziestej — spokojnie wyjaśnił Mehlhorn.

— Ale wcześniejszych ustaleń nie zmieniłem, czyli miał pan zachować tę informację dla siebie, podwładnym podać zaś tylko pierwsze hasło — Mehlhorn chciał mu odpowiedzieć, ale Heydrich nie dopuścił go już do słowa mówiąc — myślę, że my nie znajdziemy wspólnego języka, rezygnuję z pańskich usług, od zaraz.

— Nareszcie odegrał się na swoim adwersarzu — szepnął Schellenbergowi do ucha doktor Six, z którym znów siedzieli ramię w ramię.

— Więc do tego potrzebna była funkcja „koordynatora z wątpliwościami", którą w dowód wyjątkowego uznania, jak publicznie ogłosił, dla zasług Mehlhorna, oficjalnie go obdarzył, aby następnie również publicznie pognębić wykazując całkowitą nieprzydatność Oberführera w służbie

operacyjnej, chytre co? — skomentował również szeptem uwagę swego sąsiada Schellenberg.

Tego samego dnia, kilka godzin później, w gabinecie Heydricha. Obecny był tylko szef gestapo.

— W sumie nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło — Gruppenführer przechadzał się nerwowo po pokoju zerkając od czasu do czasu na siedzącego w fotelu z pogodną, zadowoloną z siebie miną Müllera, jakby szukał u niego potwierdzenia swego optymizmu. — Pan sobie wyobraża jakiego ci głupcy nawarzyliby nam piwa, gdyby naprawdę doszło do realizacji operacji „Himmler"? Całe szczęście, że uległa zwłoce, pozwoli nam to dokonać istotnych usprawnień oraz zmian personalnych. Przyjmuje pan rolę Mehlhorna, koordynatora wszystkich akcji?

— Przyjmuję — odpowiedział flegmatycznie szef gestapo.

— Jakie ma pan propozycje odnośnie do samego planu operacji?

— Po pierwsze wydaje mi się, że zaangażowaliśmy za dużo ludzi i stąd zakradł się bałagan, niezależnie od potknięć organizacyjnych i fatalnej łączności — mówił wolno, z namysłem cedząc słowa — po drugie w ogóle nie ma sensu zapuszczać się na terytorium polskie, zwłaszcza teraz, gdy budynek celny w Chwałęcicach nie nadaje się do niczego i nie można z niego wezwać na pomoc polskiego wojska z Rybnika. Ponadto granica tworzy w tym miejscu takie przedziwne meandry, że poprzez wbijające się wąskim klinem w obszar Rzeszy terytorium polskie można nie tylko ostrzelać, ale dosłownie zbombardować własną placówkę w Stodołach, położoną przecież w niedalekiej odległości i widoczną jak na dłoni na otwartej przestrzeni. Dokonamy w nim następnie dzieła zniszczenia zostawiając na miejscu „konserwy" jako widoczny dowód napaści Polaków, a potem się wycofamy. Cała akcja, od początku do końca, nie powinna przekroczyć 20—25 minut.

— Wydaje mi się, że to są sensowne propozycje — Heydrich zgodził się ze swoim rozmówcą.

— Jeśli pan je akceptuje, to wyruszam jutro na Śląsk. Komu zaproponować miejsce po Hellwigu? — miał gotową kandydaturę, ale wolał nie wyręczać Gruppenführera, on bardzo tego nie lubił.

— A co by pan powiedział o Hoffmannie?

— Nie mam nic przeciwko — odpowiedział, chociaż osobiście wolał Schäfera.

— Niech pan wobec tego leci na Śląsk, najlepiej prosto do Gliwic, spotka się pan z Naujocksem i podtrzyma go na duchu. Przybyło panu zadań w porównaniu z tym, co miał Mehlhorn. On nie był powiadomiony o ekipie rezydującej w Domu Górnośląskim i czającej się do skoku na radiostację.

— Jakoś sobie poradzę, przecież pan i tak nie zamierza żadnego z tych trzech przedsięwzięć wypuścić z ręki, pozostanę więc jedynie pańskim najbliższym pomocnikiem jako szefa całej operacji — odpowiedział Müller.

— Ma pan rację — roześmiał się niegłośno Heydrich — to są moje dzieci, jakżebym miał je opuścić.

— Przytrze pan wreszcie nosa temu przemądrzałemu Canarisowi? — Müller zmienił temat.

— Myślę, że jego faworyta, kapitana Denglera udało nam się zapędzić w kozi róg, dziś miał go admirał wezwać do Berlina na oficjalne przesłuchanie, jutro poinformuje mnie o uzyskanych wynikach. Teraz ja jestem w natarciu, drogi Heinrichu, a on czmycha przede mną jak zając, kluczący, by zmylić pogoń. Ale mu się to nie uda.

— Radziłbym jednak zachować ostrożność, to cwany lis.

— Trzymam go w saku i już nie wypuszczę. Führer się dowie, kto torpeduje nasze zamiary, służące sprawie Wielkich Niemiec. Niech mi pan powie — Heydrich dodał po krótkiej pauzie — jak długo może potrwać zwłoka w realizacji głównego celu, który postawił przed nami Führer?

— Kilka dni, a już najwyżej tydzień — tym razem jego gość nie wahał się ani nie cedził słów — machina poszła w ruch i nie może być dłużej powstrzymywana przed nabraniem pełnych obrotów.

— Ja uważam podobnie, ale zawsze to przyjemniej usłyszeć, że ktoś taki jak pan podziela mój pogląd. Wobec tego mam jeszcze jedno pytanie w poufnej kwestii. Z Warszawy dotarła wiadomość o sugestii wymiany Germanna na oficera wywiadu rezydującego we Wrocławiu, którego pan niedawno zwinął.

— Wymienić — odparł bez namysłu Müller.

— Nic już z niego nie wydusimy? — upewnił się Heydrich.

— Jak się znam na robocie, a chyba pan nie zaprzeczy, że się znam — roześmiał się tamten — to nic. Dwóch informatorów polskiego rezydenta zdołaliśmy ujawnić po stemplach na znaczkach pocztowych, którymi były opatrzone listy przechwycone już po aresztowaniu rezydenta. Treść oczywiście zaszyfrowana, ale potrafiliśmy ją prawidłowo odczytać. Jeden z agentów popełnił samobójstwo, gdy usiłowaliśmy go zatrzymać, drugi natomiast jest miękki jak wosk, zrobię z nim wszystko, co zechcę, i wydaje mi się, że będzie nam jeszcze użyteczny. Aktualnie zastawiamy pułapkę na trzeciego, który ma taki zawód, że ustawicznie zmienia miejsce pobytu. Lada chwila wpadnie nam w ręce. Sam rezydent nie wydaje się skłonny do zwierzeń, nawet przyciśnięty do granic wytrzymałości nie puścił pary z gęby. Przychodzi teraz do siebie po takiej próbie zmiękczenia go. Następnej może nie przetrzymać, a szkoda byłoby utracić Germanna, nie wątpię bowiem, że Polaków stać na rewanż.

— Niewiele brakowało, a odbilibyśmy go siłą ruszając w dniu wczorajszym na Polskę — zauważył Heydrich.

— Osobiście uważam, że nie ma potrzeby ryzykować, lepiej wymienić. Kiedy faktycznie ruszymy, należy umieścić tego pana z Wrocławia, bodajże porucznika szwoleże-

rów, na naszej liście specjalnej jako szczególnie groźnego osobnika dla interesów państwa i postarać się, aby ponownie jak najrychlej znalazł się za kratkami. Wtedy spotka go zasłużona kara — Müller skończył swój wywód.

— To chciałem właśnie wiedzieć, dziękuję panu.

Jeszcze jednego gościa przyjął tego dnia. Był nim Walter Schellenberg.

— Piwo, którego nawarzyłeś, powinieneś sam wypić — powiedział Heydrich z kwaśną miną — gdyby mi nie zależało na Germannie, pozostawiłbym sprawę swemu biegowi, ale w tej sytuacji udasz się do Ministerstwa Spraw Zagranicznych i przekażesz komu trzeba wiadomość, że jesteśmy skłonni dokonać wymiany.

— Tak jest, pozwolę sobie jednak zauważyć, że miałem nosa sugerując likwidację majora Pawlika, on to bowiem wszedł nam przede wszystkim w paradę.

— Skąd ta pewność, czyżby twoja Mata Hari przywiozła taką wiadomość? A można wiedzieć, gdzie się teraz znajduje? Chętnie bym ją poznał, chociaż tak niefortunnie zakończyła swoją świetnie zapowiadającą się karierę.

— Muszę cię rozczarować, ponieważ ją znasz, przebywa zaś aktualnie w Szwecji, z której, jeśli zajdzie potrzeba, w każdej chwili może przybyć do nas — oświadczył Schellenberg swemu szefowi. — Wydaje mi się jednak, że będziemy mieli obecnie co innego na głowie, a Mata Hari, jak ją nazywasz, wróci w swoim czasie na scenę, wpierw jednak zajmijmy Kraków, Łódź i Warszawę.

— Coś mi się wydaje, że jesteś o nią zazdrosny — roześmiał się Gruppenführer. — Nie zapomniałeś, że dziś niedziela? A może wybierasz się gdzieś, aby uciec od codziennych trosk? „Salon Kitty" nie byłby właściwym do tego celu miejscem?

— Jeśli już, to na basen albo do lasu, żeby odetchnąć świeżym powietrzem — odpowiedział Schellenberg. — A może to ostatnia niedziela pokoju?

— Czyżbyś był aż takim pacyfistą? — pokpiwał z niego szef bezpieczeństwa Rzeszy.

— Może nie aż takim, ale czasem po prostu zwyczajnym człowiekiem, który nie musi wyłącznie tęsknić za zapachem prochu i swądem spalenizny po bombardowaniu.

Heydrich nie odpowiedział na ostatnie słowa swego podwładnego, może dlatego, że zadzwonił jeden z telefonów stojących na jego biurku.

28 sierpnia

Z samego rana Karl Hoffmann, zgodnie z poleceniem, jakie jeszcze poprzedniego dnia dotarło do niego ze „sztabu Heydricha", o wyznaczonej porze zajechał na gliwickie lotnisko. Właśnie wylądował na nim niewielki, jednomotorowy samolot. Zatoczył koło, stanął, śmigło się wciąż obracało. Maszyna zasłaniała schodki, po których ktoś z niej wysiadł. Dopiero, kiedy przybysz wyszedł zza samolotu, Hoffmann go poznał. To był szef gestapo — Müller. Czym prędzej więc opuścił samochód podchodząc do Oberführera. Zameldował się, ten przyglądał mu się przez chwilę w milczeniu, potem zapytał:

— Przyjechałem, aby bezpośrednio pokierować operacją „Himmler". Czy chce pan objąć po Hellwigu dowództwo jednostki mającej wejść do akcji w rejonie Stodół?

— Jeśli to rozkaz, podporządkuję się — brzmiała odpowiedź.

— Wobec tego usiądźmy gdzieś tutaj — szef gestapo zaproponował murawę lotniska — do naszej akcji zakradło się zbyt dużo błędów, musimy je obecnie wyeliminować. Przede wszystkim łączność. Lecę stąd do Opola, aby na nowo ustalić i sprawdzić cały system wzajemnych połączeń i kanałów przekazujących informacje. Jeśli chodzi

o pańskie zadanie, nie uważa pan, że można je wykonać mniejszym składem osobowym oddziału?

— Owszem, pełniąc uprzednio funkcję zastępcy Hellwiga proponowałem nawet zmniejszenie liczebności grupy — potwierdził Hoffmann.

— Warunki terenowe akcji w Stodołach też nie zostały dostatecznie wzięte pod uwagę. Pojedzie pan jeszcze dziś na miejsce i osobiście zbada cały obszar, na którym będziemy się poruszali, a jutro zamelduje się u mnie w Opolu, powiedzmy w południe, z gotową koncepcją.

— Teren znam, przemierzyłem go wzdłuż i wszerz, jestem gotów przedłożyć odpowiednie wnioski nawet za kilka godzin.

— Bardzo się cieszę, czekam wobec tego na pana jutro rano — wrócił do maszyny, której silnik wkrótce zawarczał, śmigło zaczęło się kręcić wpierw wolno, potem coraz szybciej. Samolot zatoczył łuk śmiesznie podskakując na trawiastej nawierzchni szybowcowego lotniska, następnie poderwał się w górę i odleciał. Hoffmann obserwował, jak malał w oczach, aż został z niego drobny, połyskujący metalicznie punkcik, który wkrótce również rozpłynął się na bezchmurnym, barwy idealnego błękitu niebie. Dzień zapowiadał się upalny jak niemal wszystkie tego wyjątkowo hojnego w słoneczną pogodę sierpnia. Hoffmann sprawdził aktualny czas na zegarku i postanowił niezwłocznie pojechać na miejsce skoszarowania ludzi, za których i tak ponosił odpowiedzialność pod nieobecność Hellwiga, od czasu gdy ten udał się jeszcze w dniu 26 sierpnia w godzinach popołudniowych do Berlina i dotąd nie wrócił. Podobnie jak i Mehlhorn. W jego zastępstwie noty dalekopisowe kierowane do centrali i do komisariatu policji granicznej w Gliwicach, gdzie mieli rezerwowy punkt kontaktowy, podpisywał Sturmbannführer Schäfer, kierownik opolskiej placówki gestapo. Hoffmann z ciężkim sercem wsiadał do samochodu. Miał po prostu tremę przed powierzonym mu zadaniem, a w pamięci los swego poprzednika.

Tego samego dnia w siedzibie ekspozytury „dwójki" w Katowicach.

— Jaki więc masz bilans ostatniego weekendu? — zapytał podpułkownik Poganowski swego przyjaciela.

— Tylko z soboty na niedzielę w rejonie działania grupy operacyjnej „Śląsk" generała Sadowskiego ujęto na gorącym uczynku trzydziestu kilku osobników z bronią w ręku i materiałami wybuchowymi — odpowiedział major Pawlik. — Cóż z tego, kiedy dzisiaj najprawdopodobniej większość z nich zostanie zwolniona na skutek interwencji ministra Becka u wojewody Grażyńskiego.

— Tak więc kontredans zgodnie z zasadą „wishful thinking" w naszej polityce wobec Niemiec trwa nadal — skomentował słowa majora zgryźliwą uwagą Poganowski.

— Na to by wyglądało.

— Co tam masz jeszcze ciekawego?

— Udaremnienie kolejnych prób prowokacji, tym razem zamachu na redakcję niemieckiego pisma „Der Aufbruch", wydawanego pod auspicjami senatora Wiesnera w Bielsku, oraz na siedzibę rodową Ballenstremów — odpowiedział Pawlik.

— Która to już z rzędu? — zamyślił się Poganowski. — Piętnasta czy szesnasta?

— Zależy jak liczyć: czy tylko te, którym udało się zapobiec, czy też te, które im się powiodły. Zastanawia mnie natomiast wciąż wydarzenie z nocy 25 na 26 sierpnia w rejonie Chwałęcic, gdzie jakaś hitlerowska banda terrorystyczna napadła na nasz budynek celny poważnie go uszkadzając. W tym samym miejscu parę godzin wcześniej zauważono dywersantów w naszych mundurach, wydaje mi się, że szykowano tam grubszą hecę albo... — zawiesił znacząco głos.

— Dokończ, jeśli już zacząłeś — zniecierpliwił się podpułkownik.

— Weszły sobie w paradę dwie rywalizujące ze sobą instytucje: Abwehra i SD, niesnaski i nieporozumienia mię-

dzy nimi wciąż wynikające nie są od dawna dla nas tajemnicę. Gdybyśmy jeszcze umieli je odpowiednio wykorzystać...

— Mrzonki — sceptycznie pokiwał głową podpułkownik — niemniej chciałbym wiedzieć, co nam jeszcze chowają w zanadrzu.

Do pokoju wszedł porucznik w hełmie, z bronią u boku.

— Pilna wiadomość ze sztabu armii — wręczył zalakowaną kopertę Poganowskiemu, po czym zasalutował i wyszedł.

— A słowo ciałem się stało! — wykrzyknął podpułkownik przeczytawszy treść kartki, którą wyjął z koperty — pełne pogotowie po drugiej stronie granicy obowiązuje od trzydziestego sierpnia godzina zero.

— Potwierdzają się więc nasze obawy, że była to jedynie krótka zwłoka, a nie rezygnacja Hitlera z agresywnych planów — dodał Pawlik.

— Zadzwońmy do centrali — zaproponował Poganowski — a swoją drogą chciałbym widzieć minę pułkownika. Pamiętasz, z jakim zapałem przekonywał nas jeszcze dwa dni temu, że Führer tylko straszy i wystarczą z naszej strony mocne nerwy!

Połączenie otrzymali niemal natychmiast, szef „dwójki" na pytanie, jak ocenia sytuację, odpowiedział:

— Jutro w Warszawie i w całym kraju zostanie ogłoszona powszechna mobilizacja, wystarczy?

— Tak, wszystko jasne — zgodził się Poganowski.

— Panie pułkowniku — do rozmowy włączył się Pawlik — jaka ostatecznie decyzja zapadła w sprawie Germanna?

— Niemcy akceptują jego wymianę na Tomasza i naciskają, żeby się dokonała jak najszybciej.

— Nie dziwię się, wobec takiego rozwoju wydarzeń.

— Zaproponujemy ją pojutrze.

— A może zażądać również wydania nam „Komiwojaże-

ra"? — major zwrócił się do swego towarzysza po zakończeniu telefonicznej rozmowy.

— Przecież nadal nic nie wiemy o jego losie — wyraził wątpliwość Poganowski.

— Wobec milczenia, które zachowuje, należy przypuszczać, a właściwie mieć pewność, że wpadł również w sidła gestapo — wywodził Pawlik.

— Nie zapominaj, że „Komiwojażer" jest obywatelem niemieckim i właściwie nie mamy podstaw do roztaczania nad nim kurateli.

— Jeśli Niemcom tak bardzo zależy na Germannie, a wszystko na to wskazuje...

— A skąd wiesz, czy jednak mają „Komiwojażera"? Do tej pory nie dokonali najścia na jego dom, a przecież po aresztowaniu wywróciliby do góry nogami zabudowania. Żądając wydania naszego agenta, naprowadzilibyśmy ich na jego trop.

— Też prawda — zgodził się po namyśle major — coś mi się jednak zdaje, że są na nim od dawna, a przynajmniej od czasu ujęcia Tomasza.

Do pokoju znów się wsunął dyżurny oficer.

— Stało się coś? — zagadnął Pawlik, widząc napięcie rysujące się na twarzy młodego oficera.

— Wybuchła bomba na dworcu kolejowym w Tarnowie, mnóstwo ofiar śmiertelnych, w tym kobiety i dzieci — zacinał się ze zdenerwowania.

— Masz odpowiedź na zadane mi niedawno pytanie: „czego możemy się po nich spodziewać". Wszystkiego najgorszego — major zwrócił się do Poganowskiego.

— Dranie! — zdołał jedynie wycedzić przez zaciśnięte zęby.

29 sierpnia

Szosa łącząca Opole z Gliwicami. Samochód osobowy sunący w kierunku zachodnim nagle zwolnił, aby po chwili skręcić w głąb lasu, który rósł gęsto po obu stronach drogi. Podniesiona w górę bariera pomalowana w biało-czarne pasy zachęcała do skorzystania z leśnego traktu, pełnego wyboi i nierówności, szerokiego jednak na tyle by pomieścić auto, które posuwało się wolno naprzód, podskakując jakby je podrzucała w górę jakaś mocarna siła. Na szczęście po kilku minutach takiej jazdy, przypominającej ostatni etap choroby świętego Wita, oczom mężczyzny siedzącego za kierownicą ukazała się niewielka polana zalana jasnym światłem. Na skraju, częściowo osłonięta przed promieniami słonecznymi, stała elegancka maszyna marki Mercedes, obok na trawie siedziało dwóch mężczyzn. Zdjęli marynarki, zawinęli rękawy u koszuli. Jeden z nich trzymał w ręku butelkę z piwem, którą podniósł w górę gestem powitania.

— Jak się pan miewa, Naujocks — powiedział do przybysza zapraszając, by zajął obok niego miejsce. Jego towarzysz wstał otrzepując spodnie, do których przyczepiły się jakieś źdźbła trawy.

— Jeśli pan pozwoli, Herr Oberführer, pojadę po benzynę do Strzelec — powiedział wkładając marynarkę i poprawiając kolbę pistoletu, która wychyliła się z jej wewnętrznej kieszeni.

— Dobrze, ale wróć za godzinę — zgodził się Müller, bo on to był we własnej osobie. Naujocksowi, kiedy go obserwował kątem oka, przypominał znajomego rzeźnika z lat dzieciństwa, czerwoną, poczciwą twarzą i kropelkami potu na łysinie, tłustymi, krótkimi rękami, którymi ustawicznie wymachiwał i zawiniętymi rękawami białej koszuli. „Przecież to jest rzeźnik, pierwszy rzeźnik Rzeszy" — naszła go myśl, ale natychmiast ją odpędził wystraszony swą śmiałością. Sam chyba też nie najlepiej prezentował się

w cywilnym ubraniu i ktoś zobaczywszy go w kusej, sportowej marynarce i pogniecionych spodniach, równie dobrze mógł powiedzieć o nim: „Fryzjer, dobrze, jeśli nie hycel!"

— Zapoznałem się dokładnie z pańskim harmonogramem zajęć w wypadku zgonu babki i muszę z żalem stwierdzić, że mnie nie zachwycił — mówił wolno, jakby od niechcenia, ale Naujocks pod wpływem jego słów sprężył się stając się znów skupiony i uważny. Zerknął na rozłożony wokół Müllera na trawie spory plik papierów. — Ja jestem dokładny i chcę wszystko wiedzieć od początku do końca, tymczasem dostrzegam w nim jeszcze pewne niejasności.

— Jestem do dyspozycji — Naujocks zdobył się jedynie na taką odpowiedź.

— Ma pan tekst wystąpienia, które wygłosicie przez radio? — Zapytany wyjął z kieszeni złożoną we czworo kartkę papieru. — Z tłumaczeniem? — Sturmbannführer potwierdził. Podał mu jeszcze jedną.

— Zbyt drętwy, za mało patriotycznych nutek, Polacy lubią emocje, im trzeba grać na uczuciach. Jutro pan otrzyma nowy tekst — powiedział po przeczytaniu wręczonych mu karteluszków — a ten, co będzie go czytał, zna przynajmniej język polski?

— Lepiej niż niemiecki — zapewnił swego rozmówcę Naujocks.

— Przepychanka z personelem też nie jest dostatecznie jasno określona, zadbam, aby nie mieli broni, ale wy nie będziecie się z nimi zbytnio cackać, zrozumiane? Kilka kopniaków im nie zaszkodzi. Kogo pan przeznaczył do pilnowania pracowników radiostacji? — szef operacji gliwickiej wymienił nazwisko esesmana, a Müller zaczął grzebać w szarej teczce. Okazało się, że miał w niej ankiety personalne z przypiętymi doń zdjęciami. Naujocks rozpoznał wśród nich członków swej grupy. Szef gestapo wyjął następnie portfel z kieszeni spodni i czegoś w nim szukał.

Jego towarzysz dostrzegł kątem oka, że zdjęcia, ale nie wypadało mu się nachylić bliżej, aby zobaczyć, kogo przedstawia. Müller porównał je z innym, które wyjął z tekturowej teczki, a potem powiedział:

— Postawi pan kogo innego na straży.

— Przecież my już wszystko przećwiczyliśmy w najdrobniejszych szczegółach, każdy zna na pamięć wyznaczone zadania, teraz je zmieniać?

— Macie dość czasu, aby od nowa potrenować, na przykład cały jutrzejszy dzień, a wyznaczy pan tego — pomachał mu pod nosem legitymacyjnym zdjęciem mężczyzny w mundurze — niech mi pan nie przerywa, bo to jeszcze nie wszystko — mówił monotonnym, cichym głosem, wypranym z wszelkich emocji — zostawi go pan następnie na miejscu po zakończeniu akcji, zrozumiano? — Naujocks potwierdził ze ściśniętym gardłem. A więc zaczyna się karuzela, którą sam nakręcił. Jaki jemu wypadnie los w tym tańcu śmierci? Starał się jednak zachować nieprzenikniony wyraz twarzy i odważnie spoglądał szefowi gestapo w oczy.

— Zanim przejdziemy do najważniejszej sprawy — zabezpieczenia waszej operacji, muszę panu powiedzieć, że zwrócono już na was uwagę. Na szczęście moi ludzie przechwycili meldunek złożony policji przez pewnego emerytowanego asesora górniczego, który zauważył podejrzanych osobników kręcących się wokół radiostacji. Sam pan teraz widzi, że nie macie zadatków na Scherlocka Holmesa.

— Przecież ja tam muszę jeszcze jutro pojechać, i to z całym zespołem — zdenerwował się Naujocks.

— Podzielicie się na grupy, a pan założy jasną perukę i okulary z grubego szkła — rozstrzygnął Müller. — I jeszcze jedno, ustalamy każdy wasz krok od tej chwili, a raczej od pańskiego powrotu do hotelu. Mam nadzieję, że czekają na pana grzecznie?

— Chłopców wywiozłem do leśniczówki niedaleko Gli-

wic, mieszka w niej samotne małżeństwo polecone przez pana jako godne zaufania.

— Hans i Gerda, dobrze, ale stamtąd udacie się prosto do hotelu na kolację i nie opuścicie go pod żadnym pozorem. Jutro przed południem odezwę się i dam nowe dyspozycje, do tego czasu macie ćwiczyć indywidualne zadania i wzajemnie się kontrolować. Ja w międzyczasie postaram się rozpracować gliwicką policję oraz inne formacje, które nieopatrznie mogłyby zakłócić przebieg pańskiej akcji, czyli pogrzeb babci, dobre, co? — roześmiał się.

— Nie możemy pójść dzisiaj do kina? Grają najnowszy film z Mariką Rök — zapytał Naujocks.

— Dzisiaj tak, to nawet dobry pomysł — Müller od razu się zgodził. — Ale od jutra siedzicie murem w hotelu.

Tego samego dnia, mniej więcej o tej samej porze, doszło do rozmowy Canarisa z Heydrichem na neutralnym gruncie, w ogrodzie klubu żeglarskiego.

— Panie admirale, muszę wyrazić swój zdecydowany protest wobec metod, jakie stosują pańscy podwładni i to nie od dziś — Gruppenführer nie krył wzburzenia w przeciwieństwie do swego rozmówcy, który zachowywał kamienny spokój.

— Nie bardzo rozumiem, czy zechciałby pan wyrażać się ściślej?

Przechadzali się ścieżką wysypaną czerwonym żwirem.

— Proszę bardzo, oto raport komisarza kryminalnego z Gliwic, a to zeznanie pewnego osiemnastoletniego uczestnika „dzikiej napaści" na polski urząd celny w Chwałęcicach — wymachiwał plikiem papierów — oba wskazują jednoznacznie na inspiracyjną rolę wermachtu, konkretnie wrocławskiej Abwehry. Nie zaprzeczy pan, że od dłuższego czasu organizujecie zbrojne bandy, złożone głównie z uciekinierów z drugiej strony kordonu, których zadaniem

jest wracać na terytorium polskie uprawiając terror i dywersję.

— Pańskie służby robią to samo, żałować jedynie należy, że nie pomyślano o koordynacji tych wszystkich akcji przeciwko Polakom. Zbyt duże notujemy straty, chociaż na dole, w trakcie bezpośrednich działań, nasi ludzie znajdują w wielu przypadkach wspólny język. To po pierwsze. A po drugie oświadczam panu oficjalnie, że z „dziką napaścią", jak pan nazwał pożałowania godny incydent w Chwałęcicach, nie mam nic wspólnego. Oto z kolei rezultaty mojego śledztwa przeprowadzonego na miejscu przez gliwicką placówkę Abwehry, proszę o chwilę cierpliwości — pospiesznie dodał widząc nerwowy gest, jaki po jego słowach uczynił Heydrich — śledztwa z udziałem pańskich ludzi z SD i gestapo, oto ich podpisy, a także parafa Oberführera Mehlhorna — rozmówca admirała sprawiał wrażenie, jakby nie wierzył własnym uszom, wziął do ręki dokument, który mu wręczył szef Abwehry studiując go przez chwilę.

— Pan ich podszedł — powiedział zwyczajnym głosem. W obliczu niewątpliwej porażki, jaką poniósł, całkowicie się uspokoił. — Pan najzwyczajniej w świecie wyprowadził ich w pole.

— Taka jest po prostu prawda o tej całej historii, a pan nie chce jej przyjąć do wiadomości — łagodnie protestował Canaris.

— Prawda jest taka, że nie możecie przeboleć sukcesów naszego wywiadu i kontrwywiadu, usiłując wszelkimi sposobami nam przeszkadzać. Weźmy chociażby sprawę wrocławską, rezydujący tam szef polskiej siatki na wschodnie rubieże Rzeszy gra wam na nosie przez kilka lat i chociaż wiecie o jego istnieniu, jesteście bezradni. A my się zabieramy do roboty i po paru tygodniach mamy go w ręku.

— Lekka przesada — zaoponował łagodnie admirał — nie kilka lat, a raptem półtora roku, a wy skorzystaliście z naszego tropu i tak zresztą powinno być, tylko ścisłe

współdziałanie może przynieść właściwe rezultaty, mówiłem o tym z całą otwartością Reichsführerowi.

— Niech pan się nie zasłania moim szefem, usiłuje pan odwrócić kota ogonem, ale oświadczam, że te krętackie metody nie zdadzą się na wiele — Heydrich znów podniósł głos nie mogąc ukryć zdenerwowania.

— Pan mnie obraża, Gruppenführer, a ja nie dałem po temu żadnego powodu.

— Ja tylko nazywam sprawy po imieniu, a pan usiłuje za pomocą gładkich słówek ukryć prawdę. Myślę, że lepiej będzie, jeśli zakończymy naszą rozmowę.

— O ile pamiętam, zamówiono nam lekki posiłek w klubie, chyba im nie sprawimy zawodu? — admirał zaskoczył swego towarzysza, który przyjrzał mu się uważnie zanim odpowiedział:

— Pod warunkiem, że nie będziemy więcej mówić o sprawach służbowych.

30 sierpnia

Sztab opolski Heinricha Müllera. Wiadomość, którą przekazał mu właśnie dyżurny, wytrąciła z równowagi flegmatycznego szefa gestapo. Wezwał do siebie niezwłocznie Schäfera.

— Znalazła się nasza zguba, wróciła jak gdyby nigdy nic w domowe pielesze. Kazałem nie spuszczać z niej oka, a gdyby próbowała się ulotnić, zatrzymać. Wyśle pan niezwłocznie samochód z ludźmi i przewieziecie podejrzanego do mnie. Jednocześnie należy utrzymywać kontakt z miejscowym komisariatem, który prowadzi obserwację, meldunek o jego pojawieniu się w domu zawierał również informację, że zabrał się od razu do roboty w obejściu, naprawiając coś w stajni czy oborze.

W jakiś czas potem w gabinecie szefa opolskiego ge-

stapo zebrało się kilku mężczyzn. Zgłosił się też wezwany przez Schäfera sekretarz służby kryminalnej, włączony jeszcze przez Mehlhorna do ekipy operacji „Himmler", Karl Nowak.

— O tym, co pan teraz usłyszy, a potem zobaczy, nie wolno pisnąć nawet za sto lat — powiedział do niego zastępca Schäfera doktor Deumling. — Umie pan po polsku?

— Daję sobie radę — odpowiedział Nowak speszony pierwszą częścią wypowiedzi doktora.

— Pojedzie pan do miejscowości Łubie koło Gliwic w towarzystwie pana inspektora — wskazał na stojącego obok mężczyznę, o którym Nowak wiedział, że pracuje w policji kryminalnej we Wrocławiu i również został odkomenderowany do dyspozycji Mehlhorna — i przywiezie stamtąd niejakiego Honioka, agenta firmy maszyn rolniczych, który właśnie dziś wrócił do domu z dłuższej podróży służbowej i jest nam niezbędnie potrzebny. Sprawę należy załatwić dyskretnie i bez hałasu. Samochód czeka na panów przed budynkiem.

Tego samego dnia podczas odprawy w sztabie armii „Kraków", jej dowódca generał Szyling oświadczył, że przejęto tajne dyspozycje dla wermachtu wprowadzając alarm bojowy dla wszystkich jednostek zgrupowanych wzdłuż granicy polskiej, począwszy od dnia następnego.

— W związku z tym my również ogłaszamy pogotowie i kierujemy nasze oddziały na pozycje — generał przekazał rozkaz naczelnego wodza. — Jakimi innymi informacjami dysponuje wywiad? — zwrócił się do szefa II oddziału armii podpułkownika Zdona.

— Potwierdzają prawdopodobieństwo rozpoczęcia działań wojennych przez Niemcy, nawet jutro o świcie, ale raczej należy się ich spodziewać o dobę później, czyli 1 września. Dowództwo wermachtu zastrzegło sobie u Hitlera prawo do dwudziestoczterogodzinnego manewru po smutnych do-

świadczeniach nocy z 25 na 26 sierpnia, gdy rozkręcająca się już machina wojenna została w pół obrotu zatrzymana.

— A więc pierwszego września — burknął zaaferowany generał. — Czy kojarzy się panom z czymś ta data?

— Nam jeszcze nie, ale jeśli wojna wybuchnie, będzie się odtąd kojarzyć — zauważył jeden z obecnych oficerów.

— W związku z zaistniałą sytuacją należy oczekiwać nasilenia działań terrorystycznych ze strony przeciwnika — zauważył Szyling.

— Jest ich tyle każdego dnia, a właściwie każdej nocy, że można by je uznać za zwyczajny akt agresji, zwłaszcza z uwagi na coraz częstszy udział w nich regularnych jednostek wermachtu — referował Zdon — znane jest jednak panu generałowi stanowisko naczelnego dowództwa, żeby nie dać się pod żadnym pozorem sprowokować Niemcom. Stali się tak bezczelni, że przekraczają granicę nawet w biały dzień, zapuszczając się w głąb naszego terytorium i ostrzeliwując napotkanych po drodze wojskowych, a także cywilów, oraz atakując znajdujące się w okolicy obiekty państwowe i prywatne.

— Panie pułkowniku, proszę być ścisły — poprawił go generał. — Nie naczelne dowództwo a pożal się Boże politycy i dyplomaci, którzy posunęli się tak daleko, że zakłócili tok naszych przygotowań wojennych, podjętych i tak zbyt późno. Zdołali nawet przekonać naczelnego wodza, by zgodził się na zwłokę w mobilizacji powszechnej, którą ogłoszono już wczoraj, aby następnie na blisko dobę odłożyć jej wykonanie. Wreszcie dziś zapadła ostateczna decyzja o mobilizacji, ale zanim dotrze do wszystkich zakątków kraju i przyniesie spodziewane rezultaty, upłynie sporo czasu. A my, panowie, jak wszystko na to wskazuje, czasu nie mamy.

Samochód z Nowakiem i wrocławskim inspektorem ruszył tymczasem sprzed siedziby gestapo w Opolu, kierując

się w stronę Strzelec. Minął Toszek i Pyskowice, gdzie obok szkoły górniczej skręcił na drogę prowadzącą do Łubia. Już we wsi zatrzymali się przed gospodą Jarząbka. Inspektorzy weszli do środka zamawiając dwa kufle piwa. Następnie syna właścicielki lokalu posłali po strażnika ziemskiego. Kiedy się zjawił, inspektor z Wrocławia udał się z nim po Honioka. Wkrótce przyprowadzili niewysokiego, zarośniętego mężczyznę w średnim wieku. Nie wydawał się zaskoczony ani zaniepokojony.

— Za co jestem zatrzymany? — zapytał.

— Dowie się pan na miejscu — odpowiedział mu inspektor. Honiok więcej się nie odezwał, aż do samego Bytomia, gdzie zajechali do miejscowych koszar policji. Gdy samochód znalazł się na dziedzińcu, inspektor zwrócił się do Nowaka:

— Idę załatwić ważne sprawy, a pan głową odpowiada za tego faceta.

Nie było go jakiś czas. Wrócił z dyspozycją, że aresztowanego należy zawieźć do Opola.

— Ten człowiek musi zachować incognito — powiedział, gdy z Nowakiem odeszli od samochodu. — Jego nazwisko nie może być nigdzie odnotowane, ani wciągnięte do więziennego rejestru. Najlepiej niech go pan przechowa do jutra w jednym z pomieszczeń opolskiego gestapo, które ma kraty w oknie — poradził mu przy pożegnaniu — rano zatrzymanego odbierze od pana Deumling.

— Pan z nami nie wraca? — zapytał go.

— Ja już swoje zrobiłem, żeby pan wiedział ile się go naszukałem — wskazał głową auto, w którym siedział Honiok — nigdy by pan nie zgadł, co to za ptaszek, a tak niewinnie wygląda.

— Tym bardziej winien pan mu towarzyszyć do miejsca przeznaczenia — upierał się Nowak.

— Nie zamierzam konkurować z Müllerem, teraz on go weźmie w obroty, dla mnie najważniejsze jest, że odnalaz-

łem brakujące ogniwo i kto by pomyślał, że w takiej zapadłej wsi jak Łubie.

Kiedy Nowak dotarł wreszcie do Opola, był późny wieczór. Honioka zaprowadził do archiwum, które nie miało okna i kratę zamiast drzwi oddzielającą je od sieni. Na środku stała długa ława, na której mógł się śmiało wyciągnąć dorosły mężczyzna. Nowak przyniósł zatrzymanemu kilka koców i sprawdziwszy zamek kratownicy udał się do świetlicy zamienionej na zbiorową sypialnię.

Naujocks położył się spać późno tego wieczoru, a mimo to nie mógł zasnąć. Z rozmowy telefonicznej przeprowadzonej z Müllerem specjalną linią zainstalowaną w gliwickim komisariacie policji granicznej wywnioskował, że zadanie, które go sprowadziło do tego miasta, doczeka się nieodwołalnie realizacji w dniu następnym. Odczuwał ogromny niepokój i tremę przed tym, co miało nazajutrz nastąpić.

31 sierpnia, godziny popołudniowe

Kilka minut przed godziną trzynastą naczelne dowództwo wermachtu przekazało wszystkim placówkom dowodzenia rozkaz Hitlera: „Atak nazajutrz o godzinie 4.45". W tym samym czasie do gabinetu Führera wszedł minister spraw zagranicznych Ribbentrop.

— Machina została puszczona w ruch — powiedział do niego kanclerz III Rzeszy.

Wiadomość otrzymał niezwłocznie Canaris i chociaż się jej spodziewał, przeżył prawdziwy szok. Wolno, jak w transie przeszedł do pokoju swego szefa sztabu. Temu wystarczyło popatrzeć na admirała, żeby się domyśleć, co się stało. Do gabinetu wpadł jak zawsze zabiegany przyjaciel pułk

kownika i jego najbliższy współpracownik Hans Bernard Gisevius. Canaris jakby u niego szukając pociechy złapał mężczyznę pod ramię i odciągnąwszy na bok powiedział:

— Jutro się zaczyna. I co pan na to?

Tamten nie znalazł odpowiedzi. Canaris śmiesznie poruszył ustami, jakby mu nagle odebrało mowę i po chwili wyszeptał:

— To koniec Niemiec.

Ale za chwilę pobiegł do pokoju operacyjnego, by sprawdzić stan przygotowań specjalnych grup dywersyjnych, które miały wyprzedzić regularne oddziały atakujące polskie placówki w strefie przygranicznej i obiekty o ważnym znaczeniu strategicznym.

— Przyrzekłem Führerowi, że nasi chłopcy spiszą się na medal — powiedział do pułkownika Ostera, który mu towarzyszył.

„To jest cały admirał — pomyślał szef sztabu Abwehry — pełen kompleksów i sprzeczności".

Heydrich, który został tym razem poinformowany jako jeden z pierwszych o terminie wystąpienia przeciw Polsce, porozumiał się natychmiast specjalną linią telefoniczną z Müllerem, rezydującym nieprzerwanie od 28 sierpnia w swej sztabowej siedzibie w Opolu.

— Dzisiaj wypuszczamy nasze zatrute strzały — powiedział — rozpoczynają chłopcy z „Haus Oberschlesien", czy są gotowi? — Szef gestapo potwierdził — oficjalnie zawiadomię ich około szesnastej.

— Od wczorajszego wieczoru grupę Naujocksa obowiązuje ostre pogotowie, nie wychylają nosa z hotelu, ja zajmuję się resztą.

— Trzeba zadbać, aby nie mieli zbędnych komplikacji, również ci od „Głuszca" i „Agaty" — po kilku zdawkowych słowach się wyłączył. Müller natomiast niezwłocznie porozumiał się ze swoim zaufanym współpracownikiem doktorem Schäferem, który urzędował od wczesnego rana w komisariacie policji granicznej w Gliwicach.

— Uziemić Schutzpolizei — powiedział mu bez zbędnych wstępów — aż do odwołania!

Sturmbannführer z kolei zadzwonił do prezydium policji. Prezydent, doktor Palten, przebywał na urlopie, Schäfer umówił się z jego zastępcą, dyrektorem Wilhelmem Schade. Chodziło o to, by z rejonu, w którym znajdowała się rozgłośnia, wycofał Schutzpolizei, pełniącą od kilku dni w zwiększonej obsadzie służbę wartowniczą, a także powstrzymał nasilającą się stale ilość patroli ruchomych na szosie tarnogórskiej, przebiegającej w pobliżu obiektów mających być objętych akcją Naujocksa.

— Proszę zdjąć swoich ludzi z radiostacji, a także wstrzymać ruch patrolowy w tym rejonie — Schäfer po przywitaniu się z zastępcą prezydenta gliwickiej policji przystąpił do rzeczy, rozkładając przed nim na biurku szczegółową mapę Gliwic.

— Jakże tak, bez rozkazu? — Schade był kompletnie zaskoczony.

— Mam specjalne pełnomocnictwa — Sturmbannführer znów sięgnął do kieszeni swego munduru w kolorze feldgrau — ochronę radiostacji i całej okolicy przejmuje niezwłocznie SD.

— Ja nie mogę poczynić odpowiednich kroków bez potwierdzenia tego rozkazu na piśmie — wiceprezydent nie zamierzał ustąpić.

— Więc pan odmawia? — zdenerwował się Schäfer.

— Pan na moim miejscu postąpiłby z pewnością tak samo. Nie dalej jak wczoraj dzwonił do mnie komendant Schutzpolizei Górnego Śląska, przypominając odpowiedzialność, jaką ponoszą za ochronę wszystkich znaczących obiektów w obrębie mojego działania, a więc mostów, wodociągów, elektrowni, innych zakładów przemysłowych o znaczeniu strategicznym. Radiostację wymienił pan komendant na jednym z czołowych miejsc i jakże ja mam teraz zdjąć posterunki i wstrzymać patrole bez wyraźnego rozkazu?

— Będzie pan go miał — warknął Schäfer widząc, że nic nie zdziała z tym urzędnikiem policyjnym starej daty, którego nie przekonało nawet pełnomocnictwo podpisane przez Heydricha. Policja, w tym również Schutzpolizei, czyli policja ochronna strzegąca ważniejszych obiektów w rejonie nadgranicznym, podlegała Himmlerowi. Sturmbannführer wiedział, że tylko jego polecenie przyjmie do wiadomości i wykona bez zastrzeżeń dyrektor Wilhelm Schade. Pośpieszył więc do komisariatu, w którym zainstalowane były specjalne połączenia telefoniczne z Berlinem i Opolem. Poprosił o sztab Müllera.

— Oberführer chwilowo nieobecny — zgłosił się dyżurny.

— Sprawa nie cierpiąca zwłoki, wagi państwowej, proszę go niezwłocznie odszukać — Schäfer użył armaty ciężkiego kalibru. Trwało jakiś czas zanim usłyszał głos szefa gestapo. Wyłuszczył mu sprawę. Tamten wysłuchał i kazał czekać. Sam spróbował się połączyć z Gruppenführerem. Zamiast niego zastał przy telefonie adiutanta.

— Bardzo mi przykro, ale szef wyjechał do Kancelarii Rzeszy — Neumann jakoś podejrzanie się jąkał pod wpływem kategorycznie sformułowanego żądania odszukania Heydricha.

— Pewnie wyskoczył gdzieś, niekoniecznie służbowo — pomyślał Müller odkładając słuchawkę — ale żeby w takiej chwili? — zdziwiło go zachowanie sumiennego zazwyczaj i nie pobłażającego sobie ani innym przełożonego.

— A może wódz znów zmienił plany? — na tę myśl ścierpł z wrażenia — to chyba niemożliwe, straciłby zupełnie poważanie wśród wyższych wojskowych, nie mówiąc już o bezgranicznie mu oddanych i wierzących święcie w jego nieomylność i nadziemską intuicję ludziach w czarnych mundurach — zastanawiał się wybijając w zdenerwowaniu palcami na blacie stolika rytm jakiejś melodii z młodych lat i wpatrywał się jak zahipnotyzowany w aparat umożliwiający bezpośrednią łączność z kwaterą

Heydricha. Od czasu do czasu zerkał na zegarek. Jak ten czas szybko leci? — odczuwał coraz większy niepokój. Wreszcie rozległ się charakterystyczny dźwięk. Aż podskoczył na krześle. Po drugiej stronie przewodu zgłosił się szef. Chociaż starał się mówić spokojnie, nie bardzo mu się to udawało. Gruppenführer nie przerywał czekając cierpliwie aż skończy. Potem oświadczył, że zaraz odszuka Reichsführera i spowoduje wydanie niezbędnego rozkazu. Odłożywszy słuchawkę Heydrich postanowił załatwić sprawę osobiście, upewniwszy się wpierw, że Himmler jest na miejscu. Kiedy zdyszany wtargnął do sekretariatu szefa SS i policji, adiutant rozłożył ręce przepraszającym gestem oświadczając: „Wezwał go sam wódz". Nie namyślając się ani chwili podążył w ślad za swoim zwierzchnikiem. W Kancelarii okazało się jednak, że Himmler znajduje się w gabinecie Führera, gdzie odbywa się niezwykle ważna konferencja i nie ma mowy, aby w niej przeszkodzić.

— Napiszę na kartce kilka słów i jeśli nadarzy się okazja, poda ją pan Reichsführerowi — powiedział do adiutanta powoławszy się wpierw na doniosłe znaczenie informacji, którą ma do przekazania przełożonemu. Znów płynęły minuty, a okazja jak na złość nie chciała się nadarzyć. Cichy, przytłumiony brzęczek w pokoju zajmowanym przez generała Bodenschatza poderwał go na równe nogi. Heydrich w ostatniej chwili zdołał mu wetknąć zapisany karteluszek do ręki zanim oddalił się w stronę gabinetu Hitlera. Himmler zjawił się wkrótce i razem przeszli do jednego z niekrępujących pomieszczeń, które znajdowały się na zapleczu.

— Rozumiem, że nie ma chwili do stracenia. Połączę się osobiście z szefem policji w Gliwicach, a pan napisze tekst odpowiedniej noty, którą z moją parafą poślemy temu służbiście. Nawiasem mówiąc podoba mi się, jak on się nazywa? — Reichsführer zwrócił się do swego zastępcy.

— Schade, dyrektor Wilhelm Schade, zastępca prezyden-

ta policji — Gruppenführer wymienił wszystkie tytuły tamtego.

— Na wszelki wypadek zawiadomimy też dowództwo Schutzpolizei na Okręg Górnośląski, drogi Reinhardzie.

Było już dobrze po trzeciej, gdy rozdzwoniły się telefony w gabinecie dyrektora Schade. Wpierw odezwał się adiutant komendanta Schutzpolizei na Górny Śląsk, by w imieniu swego szefa przekazać rozkaz natychmiastowego wycofania policji z terenu radiostacji i wstrzymania ruchu patroli.

— Był tu u mnie dzisiaj pewien Sturmbannführer z podobnym poleceniem, ale nie mogłem go przecież przyjąć na słowo — tłumaczył się dyrektor.

— Potwierdzam je, zaraz otrzymacie pisemny dokument — zaledwie się wyłączył, telefon znów zabrzęczał.

— Tu Himmler — Schade nie wierzył własnym uszom. — Ja wiem, że pan solidnie wykonuje swoje obowiązki, ale tym razem okoliczności są nadzwyczajne. Pieczę nad radiostacją i terenem wokół niej obejmuje z tą chwilą SD. Proszę się zastosować do mojego polecenia.

— Tak jest, Herr Reichsführer — dyrektor z wrażenia aż wstał z miejsca, chociaż rozmówca po drugiej stronie przewodu nie mógł tego widzieć.

— Posyłamy panu również notę dalekopisem, do widzenia, miło mi było zamienić z panem kilka słów.

— Poprosić do mnie pułkownika Kullmera — Schade wydał dyspozycje po zakończeniu rozmowy z Himmlerem. Był to dowódca Schutzpolizei w Gliwicach. Rozmawiali zaledwie parę minut, po czym Kullmer wezwał do swojej siedziby szefa I rewiru policyjnego w mieście, którym był podpułkownik Karl Lubau. Powtórzył mu to, co usłyszał od Schadego. Podpułkownik nie krył swego zaskoczenia.

— Dlaczego właśnie ten obiekt został wyłączony spod pieczy moich jednostek policyjnych? — nie miał ochoty ruszyć się z miejsca, chociaż go Kullmer ponaglał.

— Człowieku, gdybyś wiedział, kto dzwonił do naszego

dyrektora, tobyś nie zadawał niedorzecznych pytań! — komendant Schutzpolizei rozzłościł się.

— Kto mianowicie? — tamten nie tracił spokoju i pogody ducha.

— Himmler. Reichsführer Heinrich Himmler — jego przełożony prawie wrzasnął. To wreszcie poskutkowało na flegmatycznego i niezbyt lotnego oficera policji. Złapał czapkę i niezwłocznie wyniósł się z pokoju.

Tymczasem Heydrich, po rozmowie swego zwierzchnika z przestrzegającym skrupulatnie przepisów zastępcą prezydenta policji, połączył się wreszcie z Müllerem.

— Trochę długo to trwało — burknął Oberführer, kiedy usłyszał głos zwierzchnika.

— Dziękujmy Bogu, że w ogóle udało mi się złapać Reichsführera i skłonić do osobistej interwencji, w takim dniu!

Dopiero potem połączył się z Naujocksem. Powiedział tylko dwa słowa: „Babcia umarła". Dla Sturmbannführera wszystko było jasne. Zresztą dosłownie przed chwilą rozmawiał z Müllerem, który go zawiadomił, że „powietrze wokół domu jest czyste". Oznaczało to, że Schutzpolizei wycofała się z terenu radiostacji. Również szef opolskiego gestapo, nie opuszczający komisariatu policji granicznej w Gliwicach, otrzymał w międzyczasie dwa telefony: od Müllera z Opola i Schadego z miejscowego prezydium policji. Potwierdzały załatwienie sprawy, dla której tu się zjawił. Po odbyciu wszystkich rozmów Müller odczuł niewysłowioną ulgę, miejsce ogromnego napięcia, które towarzyszyło przedłużającemu się ponad wytrzymałość oczekiwaniu, zajęło zmęczenie. Był jak łach przepuszczony przez wyżymaczkę i chciało mu się pić. Spojrzał na zegarek — dochodziła czwarta.

W tym czasie Naujocks wydawał ostatnie instrukcje swoim podkomendnym.

— Ruszamy dokładnie o 19.45, sprawdzić zegarki — zaczekał chwilę, zanim wszyscy nie dostosowali ich do czasomierza, który trzymał uniesiony w górze — zadanie będziemy mieli ułatwione, bo policja zostanie wycofana z całego rejonu. Napaść musi sprawiać autentyczne wrażenie, należy hałasować, a nawet strzelać wewnątrz budynku, nie zaszkodzi coś tam potłuc lub uszkodzić, czy przyłożyć personelowi, byle nie za mocno. Doszło nam jeszcze jedno zadanie, ale niezbyt kłopotliwe — od razu się zastrzegł widząc ich miny — tuż po rozpoczęciu akcji podjedzie pod jedyne nie zamknięte wejście na teren radiostacji, samochód z „konserwą". To będzie autentyczny powstaniec śląski, do tego współpracownik polskiego wywiadu, w tych dniach zdemaskowany przez naszą służbę. Ja go odbiorę z rąk funkcjonariuszy gestapo, lub jeden z was, kto, decyzję podejmę na miejscu. Chciałem was uprzedzić, by widok świeżych zwłok nie nasunął wam skojarzenia, że to ktoś z naszych. My mamy wykonać zadanie bez strat własnych i w ogóle bez zbędnych komplikacji. Pamiętacie obowiązującą nas żelazną zasadę: niczemu się nie dziwić, o nic nie pytać, nie puścić następnie pary z gęby pod żadnym pozorem i nikomu, nawet żonie i kochance w łóżku, jutro ani w przyszłości. O tym ostatnim przykazaniu powinniście szczególnie pamiętać. Kto się do niego zastosuje, daleko w życiu zajdzie. A teraz udajecie się na wypoczynek do swoich pokoi, jeśli ktoś ma ochotę uciąć sobie drzemkę, proszę bardzo, kolacja po powrocie, nie kręćcie się po korytarzach, co najwyżej za potrzebą. Hotel jest przepełniony wojskowymi różnych rang i formacji, jeszcze spotkacie znajomych, a to jest niewskazane.

Po tym przemówieniu skinął na Rungego i udali się do pokoju Naujocksa.

— Masz kontakt z tą twoją blond Wenus? — zagadnął go.

— Zabroniłeś mi się z nią przecież spotykać — odpowiedział z niewinną miną.

— Nie udawaj, przynajmniej w takiej chwili. Odszukaj ją i umów razem z koleżanką na — zawahał się — powiedzmy dziewiątą wieczór w hotelowym barze.

— Spróbuję, ale nie wiem, czy mi się uda, a jeśli w związku z tym będę musiał wyjść na miasto?

— Przykleisz sobie wąsy i brodę, a na dodatek włożysz siwą perukę — roześmiał się Sturmbannführer — rób co chcesz, ale ja muszę mieć dziś w nocy w łóżku kawałek ciała, przecież już trzeci tydzień tej potwornej kwarantanny dobiega końca!

„Konserwą", o której mówił Naujocks, był nie kto inny, jak Franciszek Honiok. Pozostawiony na noc w archiwum opolskiego gestapo opuścił je dopiero w godzinach południowych następnego dnia, czyli 31 sierpnia. O tej mniej więcej porze doktor Deumling wezwał do siebie Karla Nowaka, który kręcił się nerwowo po budynku, nie mogąc się doczekać, kiedy się pozbędzie niewygodnego podopiecznego. Zorganizował Honiokowi śniadanie, umożliwił umycie się i czekał w coraz większym napięciu.

— Weźmie pan więźnia i dostarczy do aresztu komisariatu policji granicznej w Gliwicach, przestrzegając, by również nie odnotowano jego nazwiska w żadnym rejestrze. Odbiorą go nasi ludzie, z gestapo lub SD. Oto 50 marek na ewentualne wydatki po drodze — wręczył mu pieniądze.

Tym samym samochodem, z tym samym kierowcą udali się w drogę. Wóz zaparkowali na dziedzińcu komisariatu, po czym Nowak pozostawiwszy Honioka pod opieką szofera i przywołanego do pomocy wartownika, udał się do kancelarii, gdzie czekał na niego Schäfer i dwóch mężczyzn w cywilu. Jednego tytułowano doktorem. Siedzieli przy stoliku, na którym stała butelka koniaku i do połowy wypełnione kieliszki. Nowak zameldował dostarczenie więźnia, po czym zaproszono go do stołu podsuwając krzesło.

— Napije się pan jednego? — zapytał Schäfer. Gość chętnie przystał na propozycję.

— Jest pan wolny aż do siódmej, po czym zgłosi się pan tu ponownie z kierowcą, teraz może pan zabrać ze sobą samochód — udzielił mu instrukcji kiedy wypili, po czym rozmawiali jeszcze przez chwilę na neutralne tematy, o upalnej aurze i zapowiadających się rekordowych zbiorach zbóż. Nowak podziękował i wyszedł. Towarzyszył mu jeden z cywilów, który zabrał ze sobą Honioka. Miał on na rękach kajdanki zgodnie z instrukcją wydaną Nowakowi przez Obersturmführera Deumlinga jeszcze poprzedniego dnia, kiedy wybierali się do Łubia razem z inspektorem policji z Wrocławia. Schäfer, gdy został sam w pokoju, złożył meldunek Müllerowi łącząc się z nim specjalną linią. Posługiwał się umownymi zwrotami, które Oberführer łapał w lot.

— Pozwolę sobie na dygresję — powiedział na zakończenie krótkiej rozmowy.

— Co tam jeszcze? — w głosie Müllera wyczuwało się zniecierpliwienie.

— Nękają mnie wciąż wątpliwości czy z „konserwy" nie można było czegoś więcej wycisnąć...

— Powiedziałem już panu, że wobec utraty patrona, który poszedł na wymianę za kogoś z naszych, wartość „konserwy" spadła do zera. Honiok pracował indywidualnie, korzystając z udogodnień swego zawodu, przedstawiciela firmy produkującej maszyny rolnicze. Z tej racji był ustawicznie w podróżach nie wzbudzając niczyjego podejrzenia, a poczynione spostrzeżenia, cenne — jak się okazuje, przekazywał wrocławskiemu rezydentowi polskiego wywiadu. Los, który mu zgotujemy, będzie formą zasłużonej kary. Zadowala pana moja odpowiedź?

— W zupełności, przepraszam za natręctwo, kierowałem się tylko dobrem służby.

— Ja wiem, Schäfer, że pan się wyłącznie nim kieruje, niech pan trzyma palec na pulsie, powodzenia.

Szef opolskiego gestapo nawet po odłożeniu słuchawki nie mógł się pozbyć wrażenia, że z Honiokiem należało wpierw jeszcze popracować, tak solidnie, jak to potrafił on i jego podkomendni, zanim skazano go na śmierć.

Już po szesnastej, gdy sześcioosobowy oddział Schutzpolizei plus dowódca warty, który zaledwie przed trzema dniami zmienił pocztową ochronę radiostacji, zabierał się do odejścia, na teren obiektu wkroczyło czterech ludzi. Mieli na sobie policyjne mundury, na ramionach zawieszone karabiny. Dwóch zaraz wyruszyło na obchód całego terytorium zamykającego się między budynkiem rozgłośni, domem mieszkalnym, wieżą oraz płotem z wyjściem na ogródki działkowe, na stałe zamkniętym, podobnie jak obie bramy wjazdowe, główna i boczna. Całość ogrodzona była siatką drucianą na dwa metry wysoką i zabezpieczoną od góry drutem kolczastym. Jedyne wejście prowadziło przez furtkę od ulicy Tarnogórskiej. Teoretycznie mieli jej pilnować pozostali dwaj członkowie straży, ale po sprawdzeniu, że została również zamknięta, udali się do budynku nadawczego.

— Ładni strażnicy, tylko patrzeć jak poproszą o piwo — powiedziała pani Klose do swego męża, odpowiedzialnego za utrzymanie w ruchu nadajnika. Klose właśnie skończył dyżur i przebywał w mieszkaniu prywatnym, mieszczącym się w budynku przeznaczonym na kwatery dla pracowników rozgłośni. Obserwowała przez okno przybycie uzbrojonej czwórki. — Zauważyłeś jak kurczy się nasza ochrona? Niedawno jeszcze liczyła kilkunastu ludzi, potem siedmiu, teraz czterech. Jak tak dalej pójdzie, zostaniecie tu sami.

— Tym lepiej, jeśli brać pod uwagę oszczędność piwa, którym wypada ich poczęstować — Klose roześmiał się.

— A nuż nas napadną, tyle się pisze o polskich terrorystach grasujących na pograniczu? — zdenerwowała się kobieta.

— Tu? Taki szmat drogi od granicy? Wykluczone! — powiedział tonem nie podlegającym dyskusji.

O tej samej porze w stan pełnego pogotowia postawiono również oddziały przeznaczone do realizacji operacji „Himmler" w rejonie Stodół i Byczyny, pozostające pod komendą Karla Hoffmanna, Hansa Trummlera, Otto Rascha i Ericha Schroedera. Wszystkie przygotowania zapięte były na ostatni guzik. Dowódcy czekali jedynie na hasła. Heydrich ich nie zmienił. Nadal więc obowiązywała kolejność: „Mały głuszec", „Wielki głuszec" i „Agata". Pierwsze zostało przekazane około szesnastej, zaraz po telefonie Gruppenführera do Naujocksa, drugie mniej więcej w trzy godziny później. Trzecie... ale nie przedzajmy faktów. W międzyczasie rozegrał się najważniejszy akt całego spektaklu, czyli napad na radiostację wyreżyserowany przez „szarą eminencję" Trzeciej Rzeszy, człowieka o niepohamowanych ambicjach, wyzutego z wszelkich ludzkich uczuć, jak o Heydrichu mówili jego najbliżsi współpracownicy, przyjaciół bowiem nie posiadał. Akcja, której kierownictwo Gruppenführer powierzył Naujocksowi, nie mieściła się w ramach operacji „Himmler", ale była z nią poniekąd związana celem nadrzędnym wszystkich trzech przedsięwzięć realizowanych tego samego dnia w Gliwicach, Stodołach i Byczynie.

Celem tym było dostarczenie Führerowi owych „propagandowych powodów rozpoczęcia wojny, niezależnie od tego, czy będą wiarygodne, czy nie".

Ostatni dzień pokoju w Katowicach, podobnie jak w całym kraju, niczym specjalnie się nie wyróżnił od innych, równie słonecznych i niespokojnych, jakie dominowały w sierpniu owego lata. Może jedynie objawy paniki były większe, ogromny tłok panował zwłaszcza na dworcach ko-

lejowych oraz przed kasami wypłat w bankach i urzędach pocztowych. Ludzie masowo wykupywali żywność.

W biurze katowickiej ekspozytury „dwójki" od samego rana studiowano meldunki i raporty dotyczące głównie hitlerowskich akcji terrorystycznych. Tak spowszedniały oficerom polskiego kontrwywiadu, że przeglądali je bez większych emocji, jakie lektura tego typu dokumentów wywoływała jeszcze miesiąc wcześniej, szukając w nich raczej czegoś nowego, świadczącego o zastosowaniu przez Niemców bardziej wyrafinowanych czy podstępnych form dywersji. Śledzili też uważnie informacje o ruchach wojsk nieprzyjacielskich, jakich również sporo napłynęło tego dnia.

— Spójrz — powiedział w pewnym momencie major Pawlik podsuwając podpułkownikowi Poganowskiemu kartkę papieru — nic ci nie przychodzi do głowy w związku z wiadomością, która dotarła z Gliwic, o pojawieniu się w tym mieście podejrzanie licznej grupy funkcjonariuszy SD z Opola a także z Berlina?

— Zapewne szykują nam jakieś grubsze świństwo — z przekonaniem w głosie oświadczył Poganowski.

— Należy się czegoś takiego spodziewać, gdyby jeszcze udało się drogą dedukacji odkryć, co to za świństwo — Pawlika w tym momencie olśniła myśl, co nie uszło uwagi podpułkownika.

— Ty coś wiesz, Władziu, ładnie to tak traktować przyjaciela? — pogroził mu palcem.

— To tylko luźne przypuszczenie, a gdyby nawet, nie będziemy najprawdopodobniej w stanie pokrzyżować Niemcom ich niecnych planów — odpowiedział z poważną miną major.

— Sądzisz, że wchodzą w grę obiekty po drugiej stronie granicznego kordonu? — zapytał go przyjaciel.

— Tak właśnie uważam, po ostatnich doświadczeniach z niemieckimi placówkami na naszym terenie, policja ma polecenie nie tracić z pola widzenia wszelkich tego rodzaju

lokali, budynków, a nawet prywatnych posiadłości, jak to miało miejsce z panem na Koszęcinie, któremu jego rodacy chcieli wypłatać nielichego figla.

— Wszystkich nie upilnujemy — wpadł mu w słowa Poganowski — tak jak nie jesteśmy w stanie przewidzieć każdego ruchu przeciwnika.

— A ja uważam, Stachu, że mimo tej całej zagadkowej hecy wokół Chwałęcic, należy się spodziewać ponownie dywersyjnej aktywności hitlerowskich bojówkarzy właśnie w tym rejonie. Nie przemawiają za tym żadne racjonalne przesłanki, wręcz przeciwnie, Niemcy winni raczej omijać to miejsce, biorąc rzecz na zdrowy rozsądek, tymczasem mnie chodzi po głowie, że spróbują powtórzyć swój bandycki napad.

— Wszystko jest możliwe, uważam, że należy uprzedzić dowódcę garnizonu w Rybniku, by miał na uwadze Chwałęcice zwłaszcza dzisiejszej nocy. A gdybyś do czegoś doszedł w związku z Gliwicami, podziel się odkryciem z kolegą, może wówczas wspólnie znajdziemy jakieś praktyczne rozwiązanie.

— Wiadomość z Bydgoszczy — zameldował oficer dyżurny wchodząc do pokoju. — Pozdrawia panów niejaki Tomasz i prosi o pilny telefon do biura tamtejszej ekspozytury.

— A więc go wymienili, ulżyło mi — major się rozpromienił.

— Miał chłop szczęście, zdążył za pięć dwunasta — powiedział podpułkownik. — Słuchaj Władek, ostatnio jakoś nie poruszaliśmy tego tematu — dodał po chwili namysłu — a mnie wciąż nie daje spokoju. Nie masz ty czasem i do mnie pretensji, że panna Łubieńska hasa sobie gdzieś po świecie i śmieje się w kułak?

— Dlaczego właśnie do ciebie? — pogodny wyraz twarzy Pawlika zmienił się w jednej chwili.

— Właściwie ja odpowiadałem za ludzi, którzy mieli jej

nie spuszczać z oka w Warszawie, być może działałem nie dość energicznie, gnębią mnie wyrzuty sumienia.

— Niepotrzebnie, w świetle jawnych wątpliwości, które okazywali mi zwierzchnicy nie chcąc uwierzyć nawet w niezbite dowody, te skrupuły są pozbawione racji. Uważam natomiast, że zrobiłeś wszystko, co było w twojej mocy, wystarczy ci? — Poganowski nie zdążył mu odpowiedzieć, bo znów zjawił się dyżurny z informacją, że generał Sadowski oczekuje ich pilnie w sprawie nie cierpiącej zwłoki.

31 sierpnia, godziny wieczorne

„Dom Górnośląski" w Gliwicach, godzina 19.40. Członkowie „himmelkomanda" Alfreda Naujocksa pojedynczo wymykali się ze swoich pokoi. Wpierw uczynili to kierowcy dwóch samochodów, które punktualnie o 19.45 miały zajechać przed hotel. Ostatni zszedł szef grupy. Zatrzymał się jak gdyby nigdy nic przy recepcji, wymieniając kilka słów z siwowłosym mężczyzną. Kątem oka obserwował wyjście. Smugi jaskrawego światła omiotły budynek zaglądając do wnętrza. Zjawiły się samochody. Pośpiesznie wyszedł. Na dworze zapadł już zmrok.

„Co najmniej o pół godziny wcześniej, niż na przykład w Berlinie — pomyślał — ale zmrok jest mi właśnie na rękę."

Uchylono drzwiczki pierwszej maszyny, wsunął się na tylne siedzenie.

— Wszystko w porządku? — zapytał półgłosem.

— W najlepszym — zapewnił kierowca. Obok niego siedział Stanisław, który miał wygłosić przez radio apel do ludności polskiej, zamieszkującej przygraniczne powiaty, o wystąpienie przeciwko Niemcom. Uczył się przez cały

czas tekstu, który im podrzucił specjalny kurier od Müllera.

— Jedź uważnie, Ernest — powiedział do kierowcy oglądając się za siebie. Drugi samochód z pozostałą trójką uczestników „pogrzebu babci" podążał za nimi w przepisowej odległości.

„Zaczęło się bez zakłóceń, oby równie pomyślnie się zakończyło" — pomyślał Sturmbannführer pełen wewnętrznego napięcia.

W tym samym mniej więcej czasie w innej części miasta stał gotowy do wyjazdu z dziedzińca komisariatu policji granicznej samochód sekretarza służby kryminalnej w Opolu, Karla Nowaka. A wokół rozgrywały się dziwne rzeczy. Dwaj cywile, których sekretarz widział w kancelarii komisariatu w towarzystwie Schäfera, przeszli przez podwórze udając się do aresztu policyjnego. Jeden z nich był w białym kitlu. Po chwili wrócili prowadząc pod ramię aresztowanego w Łubiu Honioka. Wepchnęli go do samochodu na przednie siedzenie. Cywil w fartuchu lekarskim został na dziedzińcu, drugi siadł obok Nowaka.

— Jedziemy — powiedział do kierowcy.

— Gdzie? — zapytał tamten.

— Będę wskazywał drogę — padła odpowiedź.

Honiok sprawiał wrażenie człowieka nie całkiem przytomnego, głowa opadła mu do przodu i tkwił tak bez ruchu.

— Co mu jest? — Nowak zwrócił się szeptem do siedzącego przy nim mężczyzny. Ten wymownym gestem położył palec na ustach.

W tym samym czasie kolumna Naujocksa zatrzymała się w ustalonym wcześniej miejscu. Auta zjechały na maleńki placyk, na którym akurat się zmieściły. Wysiadła z nich

cała szóstka i pośpiesznie podążyła w kierunku radiostacji. Furtkę zastali otwartą i ani żywej duszy w pobliżu.

— Pierwszy etap zgodnie z planem — powiedział Naujocks chcąc dodać otuchy ludziom, ale bardziej chyba sobie, nie mógł wciąż się pozbyć niepokoju, który go drążył. — Ochrona poszła sobie do diabła i zostawiła nam otwarte pole działania. — Ernest — zwrócił się do kierowcy, który go przywiózł — zostaniesz na zewnątrz, mając baczenie na wszystko wokół. Gdyby przed bramą główną zatrzymał się samochód i dawał znaki światłami, niezwłocznie mnie zawiadomisz.

Spojrzał na zegarek. Dochodziła dwudziesta. Teraz już tylko w piątkę wkroczyli do wnętrza budynku. Przemknęli korytarzem i schodami, prowadzącymi z położonej na parterze maszynowni, kierowali się do studia, widoczni z daleka przez szklane ścianki. Wyszedł im naprzeciwko dozorca obiektu Foitzik.

— Czego panowie sobie życzą? — pytanie skierowane było do Naujocksa, który szedł pierwszy.

— Ręce do góry! — odpowiedział pchnąwszy go brutalnie. Esesmani rozbiegli się momentalnie po wnętrzu, powtarzając ten sam okrzyk. Ktoś strzelił w górę, kula ugrzęzła gdzieś w suficie. Obecni w studio sprawiali wrażenie całkowicie oszołomionych. Pierwszy zastosował się do polecenia członek ochrony obiektu, który wraz z trójką funkcjonariuszy SD wymienił wartę Schutzpolizei. Jego towarzysze gdzieś się ulotnili, pozostał sam, przy tym bez broni, karabin zostawił bowiem oparty w rogu pokoju. Dostrzegł go natychmiast Runge i złapał wolną ręką, w drugiej trzymał pistolet. W ślad za strażnikiem poszli dyżurni pracownicy: technik Nawroth, maszynista Kotz i dozorca Foitzik. Całej czwórce Naujocksa kazał skrępować ręce cienką linką.

— Walter, zabieraj ich do piwnicy — wskazał na niskiego mężczyznę o śniadej cerze, który przyjechał drugim samochodem, po czym wrócił do pulpitu, manipulował

przy nim Runge wraz z technikiem, specjalistą od łączności a ponadto kierowcą. Obok stał pobladły z wrażenia Stanisław z kartką zawierającą tekst radiowego przemówienia.

— No jak, Konrad? — zagadnął Naujocks technika.

— Przewód modulacyjny od wzmacniacza końcowego wyłączony, chodzi teraz o to, by się włączyć na główną linię, nie widzę jednak mikrofonu — technik otwierał nerwowo jakieś szufladki i skrytki.

— Sprowadź dyżurnego technika radiostacji — Sturmbannführer zwrócił się do Rungego. Ten pobiegł w stronę maszynowni i za chwilę przyprowadził Nawrotha.

— No! — Naujocks przystawił mu pistolet do głowy — jak się to włącza?

— Panowie, nadanie programu ze studia możliwe jest jedynie za pośrednictwem kabla urzędu telegraficznego — przyprowadzony mężczyzna zacinał się ze zdenerwowania.

— Przecież go nie wyłączyli — odpowiedział mu Konrad.

— Ale mogą to w każdej chwili uczynić, jeśli zorientują się, że coś się u nas dzieje — Nawroth nie skończył, bo Runge go znienacka uderzył pytając:

— A gdzie mikrofon? — tamten z jękiem zgiął się wpół. Ponieważ esesman ponownie się zamachnął, Nawroth odskoczył opierając się plecami o szafkę stojącą bokiem do pulpitu z aparaturą w ten sposób, że dzwiczki się otwarły i coś ciężkiego z niej wypadło. Konrad odepchnął od szafki jęczącego Nawrotha.

— Jest mikrofon — zawołał, podnosząc z ziemi metalowy przedmiot.

— Teraz też nam nie pomożesz? — Nie żal ci życia? — wrzeszczał Runge do Nawrotha.

— Ten mikrofon służy nam do zapowiadania pogody i nie przyda się na wiele, jeśli urząd pocztowy zauważył przerwę w nadawaniu wrocławskiego programu — mówił pośpiesznie połykając końcówki słów.

— Dostarcz następnego z piwnicy — Naujocks warknął

do Rungego. Wtem zadzwonił telefon. Odebrał go Nawroth ponaglony przez Sturmbannführera, który wymachiwał mu pod nosem pistoletem.

— To właśnie z urzędu pocztowego — powiedział tamten zasłaniając ręką słuchawkę, zanim zwrócił się do obecnych w studio.

— Odpowiedz pan, że mamy jakieś kłopoty natury technicznej.

— Chwilowe zakłócenia, ale zaraz sobie damy z nimi radę — oświadczył Nawroth po czym pośpiesznie odłożył słuchawkę na widełki, jakby parzyła go w rękę. Runge tymczasem wpędził do studia maszynistę Kotza ponaglając go kopniakiem.

— Ty też się na tym nie znasz? Nie wiesz, jak się mamy podłączyć? — ryczał.

— Mam! — Konrad postukiwał w mikrofon, który wydawał donośne trzaski.

— Zapędź ich z powrotem do piwnicy — Naujocks wskazał Rungemu obu członków personelu radiostacji. Jednocześnie skinął ręką na Stanisława, który wyglądał jak z krzyża zdjęty.

— Weź się chłopie w garść, bo inaczej będzie słychać przez radio, jak zębami ze strachu dzwonisz — powiedział ciągnąc go do mikrofonu. Coś trzasnęło za ich plecami. Zobaczyli jakiegoś mężczyznę w uchylonych drzwiach prowadzących w głąb budynku. Naujocks rzucił się w jego kierunku z wymierzonym pistoletem, ale tamten zniknął. W studio pojawił się natomiast Runge, który wrócił z piwnicy.

— Pilnuj tych drzwi — powiedział do niego — ktoś się w nich pojawił.

— To na pewno jeden z pracowników, który przybiegł z domu, tędy prowadzi przejście do budynku mieszkalnego — zaczął mówić Runge, ale Naujocks mu przerwał:

— Nie ma chwili do stracenia, zaczynaj, Stanisław!

Mężczyzną, który usiłował zajrzeć do studia, był wymie-

niony już uprzednio Klose. Jego bystra żona pierwsza zwróciła uwagę na podejrzane trzaski dochodzące z radioodbiornika, wykluczające w praktyce odbiór audycji. Zdopingowany przez żonę wybiegł, by stwierdzić obecność w studio uzbrojonych osobników manipulujących przy mikrofonie. Jeden z nich wymierzył do niego z pistoletu. Klose czym prędzej więc czmychnął. Wpadł jak pocisk do mieszkania i zamknąwszy drzwi rzucił się do telefonu. Zaczął wykręcać numer najbliższego posterunku policji, gdy wtem żona złapała go za ramię, wskazując aparat radiowy, z którego dochodziły polskie słowa:

„Uwaga! Tu Gliwice, rozgłośnia znajduje się już w naszych rękach. Wzywamy wszystkich Polaków na niemieckim Śląsku, godzina zemsty wybiła!"

— Tu Klose z radiostacji — zawołał histerycznym głosem w odpowiedzi na „halo" po drugiej stronie przewodu — napadnięto na nas!

— Tu porucznik Bohm, kto na was napadł?

— Otwórzcie, do cholery, radio, to usłyszycie przemówienie Polaków, którzy są tu u nas w studio!

— Przyjąłem meldunek, zaraz zjawimy się z odsieczą.

...Nadszedł czas rozprawy z Niemcami. Polacy, zjednoczcie się, aby zlikwidować każdego wroga, który stanie nam na drodze. Do nas należeć będzie zwycięstwo. Niech żyje Polska!" — płynęły z głośnika słowa.

Klose spróbował się teraz połączyć z mieszkaniem naczelnika urzędu pocztowego.

— Ja miałam od razu złe przeczucie — powiedziała jego małżonka — jak tylko zjawili się ci policjanci z bożej łaski — ostatnie wyrazy wypowiedziała z niekłamaną pogardą — zaledwie odeszła Schutzpolizei, przydarzyło nam się to gówno!

— Cicho, kobieto — syknął w jej stronę mąż — rozpraszasz moją uwagę!

— Jeśli mamy takich mężczyzn, jak ci funkcjonariusze

SD, to najwyższa pora, by kobiety wzięły sprawy w swoje ręce!

Przemówienie nadane przez Radio Gliwice odebrano również po drugiej stronie kordonu w katowickiej rozgłośni, w której dyżurowała pełna obsada techniczna i redakcyjna. Już po pierwszym zdaniu zaalarmowano dyrektora rozgłośni, Stanisława Ligonia, który czuwał w swoim gabinecie. Ten połączył się niezwłocznie z wojewodą Grażyńskim, a następnie z generałem Sadowskim. Okazało się, że dowódca grupy operacyjnej „Śląsk" został wcześniej zawiadomiony przez wojskowy nasłuch radiowy.

Po wygłoszeniu apelu rzekomych powstańców grupa Naujocksa rozpoczęła odwrót wybierając tę samą trasę, którą dotarli do studia. A więc schodami w dół na parter i przez maszynownię, korytarzem na dziedziniec. Tutaj Sturmbannführer zadecydował, że technik Konrad oraz Stanisław i Ernest wsiądą do pierwszego wozu, który poprowadzi ostatni z wymienionych i odjadą nim nie zwlekając do hotelu. W tym samym momencie na ulicy przy bramie kilkakrotnie zapaliły się i zgasły reflektory jakiegoś samochodu.

— Ja się nimi zajmę, biegnij po drugi wóz — rzucił Rungemu. Byli już przy furtce.

— A co z Walterem? — tamten zatrzymał się odwracając w stronę zabudowań, jakby chciał zawrócić.

— Ci, co przyjechali, zabiorą go ze sobą — Sturmbannführer pokazał mu ciemną sylwetkę stojącej po drugiej stronie płotu maszyny, widocznej w świetle wyrastającej tuż obok ulicznej latarni. W ostatniej chwili przyszło mu do głowy to kłamstwo. Runge szybkim krokiem ruszył przed siebie, a Naujocks zatrzymał się przy samochodzie. Dwaj mężczyźni wywlekli kogoś ze środka. Był zupełnie bezwładny, leciał im z rąk. W pewnym momencie światło lampy padło na twarz tamtego. Sturmbannführer dostrzegł, że cała była umazana krwią i wzdrygnął się. Wyobraził sobie, że znajduje się na miejscu nieszczęśnika. Przypomniał

mu się Walter i odczuł coś w rodzaju wyrzutów sumienia. Ale z naprzeciwka nadjeżdżał już samochód prowadzony przez Rungego dając znaki przednimi światłami. Naujocks, wsiadając do wozu dostrzegł, jak dwaj mężczyźni porzucają ciało przed otwartą furtkę prowadzącą na teren radiostacji. Runge gwałtownie dodał gazu i odjechał.

Tymczasem esesman Walter, pozostawiony na straży personelu sprowadzonego do pomieszczeń piwnicznych radiostacji, zaniepokoił się brakiem wiadomości od swych towarzyszy i przybiegł do studia, aby stwierdzić z przerażeniem, że nie ma w nim żywej duszy. Rzucił się więc pędem przez korytarz na dziedziniec, by dostrzec jedynie światła odjeżdżających jeden po drugim samochodów. W pierwszym siedzieli Naujocks z Rungem, w drugim funkcjonariusze gestapo, którzy podrzucili „konserwę", czyli Franciszka Honioka. Walter ogarnięty paniką pobiegł w stronę bramy, aby po chwili wrócić do wejścia. Stanął jak wryty, nie mogąc się zdecydować, czy uciekać na ulicę, czy próbować przedostać się na teren ogródków działkowych. W takim stanie ducha zastał go pewien umundurowany funkcjonariusz SD, który przypadkiem znalazł się na terenie radiostacji. Tak potem oświadczył w śledztwie: Przechodził ulicą Tarnogórską, gdy zobaczył w świetle ulicznych lamp mężczyzn wybiegających przez furtkę, a zaraz potem odjechały stojące obok samochody. Kiedy dotarł do furtki stwierdził, że jest otwarta, po czym ujrzał w oddali jakiegoś człowieka. Stał akurat w oświetlonym wejściu do głównego budynku. Wydał mu się wielce podejrzany, zawołał więc:

— Ręce do góry — wyszarpnął pistolet z kabury. Był w mundurze, z bronią przy boku. Mężczyzna zaczął uciekać w kierunku zaplecza obiektu pogrążonego w gęstym mroku. Untersturmführer, bo taki stopień miał ów funkcjonariusz, nie namyślając się wygarnął ze swego pistoletu, kilkakrotnie trafiając uciekiniera. Kiedy podbiegł do niego, tamten już nie żył. Leżał skulony z podciągniętymi kola-

nami prawie do samej piersi. Dostał w bok, prawdopodobnie jedna z kul przeszyła mu serce. Na ziemi, przy piersi, widoczna była plama krwi. Untersturmführer usłyszał kroki, których echo rozchodziło się donośnie wśród wieczornej ciszy. To nadbiegli z głębi budynku Klose z Kotzem, który po opuszczeniu piwnicy przez pilnującego ich mężczyznę, wymknął się do mieszkania kierownika technicznego radiostacji, odpowiedzialnego przede wszystkim za utrzymanie w ruchu nadajnika. Klose skończył właśnie rozmowę telefoniczną z naczelnikiem urzędu pocztowego i natychmiast pośpieszył wraz z Kotzem do radiowego studia. Nie zastali w nim nikogo, w maszynowni także, wówczas usłyszeli strzały. W drzwiach wyjściowych omal nie wpadli na mężczyznę w czarnym mundurze z rewolwerem w ręce.

— Jestem pracownikiem radiostacji, zostaliśmy przed chwilą napadnięci! — wrzasnął Klose jak mógł najgłośniej. W odpowiedzi usłyszeli kategoryczne wezwanie do podniesienia w górę ręce.

— Inaczej strzelam — odgrażał się wojskowy. Klose go posłuchał, czekając, aż tamten podejdzie i zrewiduje go.

— Człowieku, ja jestem tu kierownikiem technicznym i wezwałem już pomoc. — W tym momencie zza jego pleców wyjrzał Kotz. — To jest nasz maszynista — pokazał na niego ruchem głowy.

— To się okaże — warknął esesman, ale kazał mu opuścić ręce.

— Chodźmy uwolnić pozostałych więźniów — zaproponował Klose. Zeszli do piwnicy. Nawroth głośno jęczał twierdząc, że go wszystko boli od otrzymanych ciosów i kopniaków.

Kotz, który został w maszynowni, zaczął wołać, że przyjechała policja. Czym prędzej wyszli jej naprzeciwko: Untersturmführer, Klose, uwolniony z piwnicy strażnik.

— Porucznik Bohm — przedstawił się dowódca kilkuosobowego pogotowia policyjnego, które już wkraczało na dziedziniec. — Co tu się stało?

Klose oraz pozostali pracownicy radiostacji, którzy w międzyczasie się zjawili, zaczęli mu chaotycznie wyjaśniać.

— Zamknąć cały teren obiektu i dokładnie przeszukać, zabezpieczyć też zwłoki — porucznik przerwał w pewnym momencie bezładne wywody. Do rozprawiającej żywo gromadki doszedł rosły policjant.

— Melduje się wachmistrz Schliwa — stanął na baczność salutując.

— Skąd pan się tu wziął? — zapytał go Bohm.

— Przybiegłem jak tylko usłyszałem strzały, znajdowałem się w niedalekim sąsiedztwie, a na teren radiostacji dostałem się przez płot, jeszcze ma się trochę tej sprawności — pochwalił się. — I kogo ja widzę, mojego szefa!

— Przydacie mi się, wachmistrzu — porucznik poklepał go po ramieniu — weźcie dwóch ludzi i dokładnie przetrząśnijcie sąsiednie ulice oraz najbliższą okolicę, czy czasem nie kręci się tam jeszcze ktoś podejrzany?

— Tak jest.

— A ja zajmę się przede wszystkim samym obiektem.

— Panie poruczniku, tą aferą zajmie się nasza służba, która tylko patrzeć jak się zjawi — zwrócił się do dowódcy patrolu Untersturmführer.

— Czy pan jeszcze kogoś zawiadomił? — porucznik Bohm zapytał Klosego, ale tamten kategorycznie zaprzeczył. — Zatem naszym obowiązkiem jest wypełnić swoją powinność. Czy mógłby pan mi pokazać swoją legitymację? — a widząc minę esesmana dodał: — Muszę sprawdzić każdego, kto tu się znajduje, a następnie ująć go w raporcie.

— Jednak są nasi! — Untersturmführer aż podskoczył z uciechy. Na ulicy krzyżowały się światła samochodów hamujących z piskiem opon przed bramą, zaraz potem wtargnęła na dziedziniec gromada mężczyzn w szarozielonych i czarnych mundurach.

— Mam pełnomocnictwa do zajęcia się tą sprawą — po-

wiedział jeden z nich witając się z porucznikiem. To był Sturmbannführer Schäfer. Bohm zaczął mu relacjonować stan faktyczny, który zastał na miejscu, ale ten mu niezbyt grzecznie wtrącił:

— Ustalimy wszystko sami.

— Jaka więc ma być nasza rola? — dowódca pogotowia policyjnego poczuł się urażony.

— Służba na zewnątrz obiektu, który zamykamy aż do zakończenia dochodzenia — po tych słowach odszedł, zostawiając swego rozmówcę z niezbyt mądrą miną.

— Coś tu nie gra — powiedział porucznik do Schliwy, kiedy mniej więcej w godzinę później zwijali posterunki wokół radiostacji, zabierając się do odejścia. Liczna ekipa funkcjonariuszy SD i gestapo, która tak nieoczekiwanie zjechała tuż po przybyciu pogotowia policyjnego, już się też wyniosła po nazbyt pobieżnym, zdaniem porucznika, przeprowadzeniu wstępnego dochodzenia. Chociaż nie miał wieloletniego doświadczenia, wydało mu się, że przeoczono szereg istotnych momentów, a może celowo je pominięto? Na samą myśl o tym Bohm poczuł się nieswojo, korciło go, aby podzielić się wątpliwościami ze swoim zastępcą, starszym sierżantem Julisem Filorem, albo wachmistrzem Maxem Schliwą, ale po prostu nie miał odwagi. Dopiero żegnając się już na posterunku z wachmistrzem, który kończył dyżur i wracał do domu, zdobył się na krótką uwagę. Tamten tylko pokiwał głową ze zrozumieniem. Bohm wsiadając do samochodu zerknął mimo woli na zegarek. Była 21.15.

Tymczasem w ciągu godziny, jaka upłynęła od powrotu Naujocksa do „Domu Górnośląskiego", miało miejsce sporo wydarzeń pośrednio czy bezpośrednio związanych z całą sprawą. Relacje na ich temat wypada zacząć od telefonu Naujocksa do Heydricha. Sturmbannführer biegł do hotelu jak na skrzydłach, by z dumą zameldować swemu szefowi

o pomyślnym wykonaniu powierzonego mu zadania. Wysłał swoje „komando" uszczuplone o jedną osobę na kolację, przy czym podczas krótkiej zbiórki nikt nie zapytał o los Waltera, nawet Runge milczał jak zaklęty. Tylko ponura mina zastępcy Naujocksa świadczyła o tym, że jest w nienajlepszym nastroju. Szef grupy specjalnej nie przejął się tym zbytnio, pochłaniała go wyłącznie jedna myśl — co usłyszy od Gruppenführera?

— Melduję powrót z akcji, przebiegła zgodnie z planem — nie mógł powstrzymać drżenia głosu, gdy mówił te słowa do słuchawki. Reakcja Heydricha wprawiła go wpierw w osłupienie, a następnie sparaliżowała trwogę.

— Pan kłamie! — ryknął szef bezpieczeństwa Rzeszy po drugiej stronie przewodu — siedziałem przez cały czas przy aparacie radiowym i nie słyszałem ani jednego słowa, chociaż odbiornik nastawiony był na Gliwice. Cóż z tego, program nadawał Wrocław! — po czym cisnął słuchawką. Połączenie zostało przerwane. Naujocks stał jak skamieniały, nagle pobladły. Cała krew odpłynęła mu z twarzy. Nie rozumiał, co się stało, przecież zrobił wszystko, co do niego należało. Spróbował porozumieć się z Müllerem, który zgodnie z ustaleniem miał nie opuszczać Opola. Odpowiedziano mu jednak, że jest nieobecny. Faktycznie szef gestapo i koordynator operacji „Himmler" stał obok aparatu, ale nie miał ochoty rozmawiać z Naujocksem. Wystarczyło mu to, co przed chwilą usłyszał od Heydricha. Przeżuwał teraz z napiętą uwagą jego słowa i zastanawiał się, jaki będzie los dwóch dalszych przedsięwzięć składających się na operację „Himmler": napadu na niemiecki urząd celny w Stodołach i na leśniczówkę zamieszkałą przez niemiecką rodzinę w Byczynie. Słuchając przemówienia nadanego przez rozgłośnię gliwicką, był zaskoczony fatalną jakością programu. Właściwie nic nie zrozumiał z rzekomej proklamacji, z odbiornika dochodziły jedynie trzaski i szmery, przypominające przesuwanie ciężkich mebli po podłodze. Przystąpił niezwłocznie do wyjaśnienia przyczyn tego nie-

zrozumiałego dla niego zjawiska, gdy zadzwonił Heydrich. Był tak wzruszony, że trudno było z nim się porozumieć. Müller zaproponował, że sam połączy się ze swym przełożonym, gdy zdoła już ustalić powód nieprzewidzianych zakłóceń w odbiorze przemówienia. Uważał jednak, że Sturmbannführer nie wniesie nic nowego do sprawy, dlatego wolał nie podchodzić do aparatu. Czekał na naczelnika urzędu pocztowego, który miał się zjawić w każdej chwili.

Rozgłośnia w Katowicach, po odebraniu prowokacyjnej proklamacji skierowanej rzekomo przez powstańców śląskich do ludności polskiej na Opolszczyźnie, przerwała swój normalny program i zabrał głos popularny niezwykle po obu stronach granicznego kordonu „Karliczek z Kocyndra", czyli Stanisław Ligoń, autor satyrycznych programów używających sobie ile wlezie na hitlerowcach oraz ich krzykliwym wodzu.

— Nie wierzcie, ludzie, ani jednemu słowu, które padło o ósmej wieczorem z gliwickiego radia. Nikt z Polaków nie zaatakował tej radiostacji, żaden z powstańców śląskich nie stanął przed mikrofonem by wygłosić apel o wszczęciu buntu przeciwko władzy niemieckiej. To jeszcze jedna ohydna prowokacja zbirów spod znaku podwójnej błyskawicy i trupiej czaszki.

Müller kiedy poznał wreszcie prawdę o przyczynach fiaska, którym zakończyła się wyprawa na radiostację, zamówił telefon do swego zwierzchnika. Był znów opanowany, mówił spokojnie.

— Już wiem, dlaczego tak się stało — powiedział po prostu.

— Ja też — odparł Heydrich.

— I kogo tu winić za przeoczenie na pozór tak prostego faktu, że Gliwice są tylko słabą, lokalną stacją i jedynie

emitują program silniejszej, wrocławskiej rozgłośni na tej samej częstotliwości, a swój własny mogą nadać tylko za jej pośrednictwem albo Berlina, w przeciwnym razie słyszalny jest w promieniu kilkunastu do trzydziestu kilometrów, ale bardzo kiepsko, o czym mogliśmy się dzisiaj przekonać.

— Wystarczy — sarknął Heydrich. Zapadło milczenie, którego Müller nie kwapił się przerwać.

— Niestety, ten prosty fakt dotarł do naszej świadomości zbyt późno, Herr Oberführer — Müllerowi wydało się, że wszechpotężny i wszechwiedzący szef bezpieczeństwa westchnął, to zupełnie nie było w jego stylu — niech pan sam pomyśli, jeśli w absolutnej większości niemieckich radioaparatów, nawet na zachodnich i północnych kresach Rzeszy, było głucho o polskiej napaści na gliwicką radiostację, to do czego był nam w ogóle potrzebny „pogrzeb babci?"

— Ma pan rację — odpowiedział Müller — ale przed nami operacja „Himmler", ludzie czekają na „Agatę".

— Czy ona ma jeszcze sens? — Müller nie poznawał Gruppenführera.

— Właśnie teraz ma sens, usilnie proszę o przekazanie trzeciego hasła — przybrał kategoryczny ton.

— Dobrze, chyba pan ma rację — Heydrich powiedział to już pewniejszym głosem.

Hasło „Agata" podał Trummlerowi, odrywając go od kolacji spożywanej w grupie oficerów obu oddziałów: „polskiego" i „niemieckiego", gotowych do podjęcia akcji w Stodołach.

— Nauczeni doświadczeniami wyruszymy na miejsce dopiero około północy — powiedział Trummler do zebranych w sali jadalnej zamku w Chwałęcicach, wznosząc toast za powodzenie akcji.

Grupa przeznaczona do akcji w Byczynie została postawiona w stan pogotowia nieco wcześniej przez doktora Racha, który zjawił się w oberży Wyricha gdzieś około dziewiętnastej w cywilnym ubraniu, z walizką w ręku. Oczeki-

wał go już Sturmbannführer Erich Schroeder, który miał objąć dowództwo nad niemieckim oddziałem likwidującym zbójecki napad „powstańców śląskich" na leśniczówkę, a w gruncie rzeczy stanowiącym jego asekurację. Przybysz poprosił o pokój, w którym założył mundur Oberführera SS, po czym zebrał swych ludzi na odprawę.

— Wyruszamy około dziewiątej przebrani za „zbójeckich cywilów" — oświadczył. — Po drodze do leśniczówki rozmawiamy głośno po polsku i śpiewamy polskie piosenki, na miejscu otwieramy ogień w powietrze, nie zaszkodzi, jeśli kilka kul trafi w budynek, byle nie spowodować większych strat, to mienie niemieckie. Właściciele i personel gospody opuszczą kuchnię i wszystkie pokoje, najlepiej jak się zgromadzą w jednym pomieszczeniu, które ja im wybiorę. Pozostaną w nim dopóki nie załadujemy się na ciężarówki i nie odjedziemy. Na nasz powrót niech przygotują herbatę z rumem, ile tego będzie potrzeba? — zapytał podoficera SS.

— No, chyba ze czterdzieści litrów — odpowiedział po krótkim namyśle.

— Dobrze, czterdzieści litrów herbaty z rumem ma być gotowych na godzinę 22.00.

Późnym wieczorem tego dnia, kapitan Paleczny porozumiał się z Katowic z majorem Pawlikiem, który przebywał w tym momencie w siedzibie sztabu armii „Kraków".

— Co tam u pana nowego, panie kapitanie? — poznał od razu po głosie młodego oficera.

— Wszystko w porządku, przynajmniej na razie, meldunki, jakie napłynęły w ciągu dnia, sprowadzają się do jednego.

— Wiem — przerwał mu. Wszystkie informacje zebrane przez wywiad potwierdzały zamiar rozpoczęcia przez Niemców wojny nazajutrz o świcie.

— Chciałem jeszcze poinformować... — Paleczny speszył

się oschłym tonem swego rozmówcy i przerwał wpół zdania.

— Walcie śmiało, kolego — zachęcił go Pawlik.

— Radio Gliwice nadało o dwudziestej apel rzekomych powstańców śląskich, którzy mieli opanować zabudowania radiostacji. Oczywiście to wierutne kłamstwo, a napad, jeśli miał miejsce, został sfingowany przez Niemców.

— A więc jednak — powiedział bardziej do siebie, niż do Palecznego, major.

— Słucham? — kapitan był zaskoczony reakcją swego rozmówcy.

— Kiedyś to panu wytłumaczę, teraz nie pora na pogawędki, linii telefonicznej nie wolno dziś bez nadzwyczajnych powodów blokować dłużej niż pięć minut.

— Oczywiście, przepraszam, że zawracam głowę, ale kiedy dowiedziałem się o Gliwicach, pomyślałem o panu, wspominał pan o tym mieście...

Pawlik go nie zachęcał, by rozwinął temat, po krótkiej więc przerwie dodał:

— Mam jeszcze jedną złą wiadomość, dowiedzieliśmy się, że „Komiwojażer" nieoczekiwanie wrócił do domu. Czekali na niego i wywieźli w niewiadomym kierunku. Rodzina nie zdołała się niczego dowiedzieć.

— Tak, to przykre, nie będziemy mu już mogli pomóc.

— Należy zatem oczekiwać najgorszego?

— Niech pan będzie dobrej myśli, panie kapitanie, wypełnimy nasz obowiązek wobec ojczyzny.

— Tak jest — głos Palecznego, jakby przyciszony, znów nabrał zdecydowanych nutek.

31 sierpnia – późny wieczór i noc

Z czterech oddziałów specjalnych, wyznaczonych do realizacji operacji „Himmler" w Stodołach i Byczynie, pierw-

szy wyruszył na miejsce akcji grubo przed dziewiątą pod dowództwem Oberführera Ottona Rascha. Wyekwipowany był w broń różnego kalibru i ubrany pstrokato, na pół po wojskowemu, na pół po cywilnemu, według gustu swego dowódcy, który usiłował wzorować się na strojach statystów ze sztuki Schillera. W kilkanaście minut później, w ślad za nią pomaszerował oddział asekuracyjny Sturmbannführera Ericha Schroedera, nie przeszedł jednak na stronę polską, zatrzymując się na samej granicy. Miał się ujawnić jedynie w wypadku bezpośredniego zagrożenia „kolegów" z grupy Rascha. W przeciwieństwie do zachowujących całkowite milczenie ludzi Schroedera, „zbójcy", gdy tylko zagłębili się w las, jeszcze na terytorium Rzeszy podnieśli wrzawę sięgającą nieba. Wrzeszczeli, śpiewali, a kiedy podeszli do leśniczówki Byczyna, otworzyli bezładny ogień. Wdarli się następnie do budynku nie przestając strzelać. Wszystko nie trwało dłużej niż kwadrans, może dwadzieścia minut, po czym doktor Rasch zarządził odwrót. Punktualnie o dwudziestej drugiej dowodzony przez niego oddział wrócił do oberży. Herbata z rumem czekała już na dzielnych „rozbójników". Oberführer wygłosił przemówienie w obecności nie tylko swoich ludzi, ale również gospodarzy, przedstawiając się jako niezłomny obrońca ojczyzny.

— Za pierwsze zwycięstwo odniesione nad Polską! — zakończył okrzykiem wznosząc w górę kufel z „wzmocnioną" herbatą. Jego zastępca, sporządzając tej samej nocy dla Müllera meldunek z przebiegu akcji, zanotował: „W leśniczówce nie zastaliśmy nikogo, kilka pocisków ugrzęzło w drewnianych ścianach, zniszczona została nieco kuchnia, a w niej rozbity kubeł z krwią wołową, która zalała całą podłogę, a także wypłynęła na korytarz. Ta czerwona, rozległa plama sprawiała fatalne wrażenie".

W tym samym czasie, gdy esesmani w gospodzie Wyricha pili herbatę z rumem, pewien robotnik leśny mel-

dował w komisariacie policji w Byczynie o niecodziennym spotkaniu, jakie mu się przytrafiło, gdy wracał późnym wieczorem z furą drewna. Na leśnym trakcie usłyszał nagle polską mowę, okrzyki i śpiew, zjechał więc czym prędzej między drzewa i widział, jak traktem przeszła co najmniej kilkudziesięcioosobowa gromada. Może przysiąc, że szczękała broń. Nie może natomiast zrozumieć, dlaczego podążali z terenu Niemiec w stronę granicy, a nie odwrotnie. Dyżurny policjant kazał mu chuchnąć twierdząc, że wypił o jednego za dużo, i zabierać się do domu nikomu nie wspominając o spotkaniu w lesie.

O tej samej porze niepokojono również inny komisariat policyjny, tyle, że położony w jednej z dzielnic Gliwic. Pewien starszy pan z pieskiem zażądał połączenia z Komendą Główną Policji w Berlinie. Zagroził też, że nie opuści pomieszczenia, dopóki dyżurni funkcjonariusze nie spełnią jego prośby.

— To niesłychane, żeby tak zlekceważyć ostrzeżenie lojalnego obywatela — zachłystywał się ze złości. — Przychodziłem tu, zgłaszałem obserwacje poczynione w okolicy radiostacji, uprzedzałem, że kręcą się wokół niej podejrzani i może stać się obiektem polskiej napaści. I co z tego? Nic. Kiedy się to wydarzyło, mam uzasadnione powody do satysfakcji i żądam ukarania winnych karygodnych zaniedbań. Coś takiego nigdy nie mogłoby się zdarzyć w cesarskiej policji.

Policjanci jak mogli uspokajali starszego pana zapewniając solennie, że sporządzą odpowiedni dokument w tej sprawie i wyślą gdzie trzeba. Udało im się w końcu około północy wypchnąć go do domu.

Natomiast dopiero przed północą wyruszał na akcję w rejonie Stodół oddział Hoffmanna. Esesmanom ubranym w polskie mundury Trummler odczytał przed wymarszem rozkaz Heydricha, który brzmiał następująco:

— Od tej chwili należy mówić wyłącznie po polsku, poruszać się gromadą w szyku otwartym i śpiewać polskie piosenki wojskowe, a także antyniemieckie, koniecznie hymn polski. Należy lżyć Niemcy, wznosić okrzyki: „Niech żyje Polska" i „Precz z Niemcami". Przez cały czas strzelać w powietrze. Po dotarciu do niemieckiej komory celnej zdemolować ją zupełnie, a cały inwentarz porozbijać. Jeśli kogoś się zastanie, nie zaszkodzi trochę kuksańców i kopniaków, każdy ma być całkowicie przekonany o napaści polskiego wojska.

Pozycję wyjściową do natarcia oddział zajął już dobrze po północy. Na dany znak esesmani zaczęli się czołgać, aż dotarli na odległość mniej więcej 100 metrów przed celem. Zalegli tam gdzie kto się znajdował i czekali. Sygnał podał dowódca wystrzałem w górę z pistoletu. Z wielką wrzawą, prowadząc ciągły ogień, zaczęli biec w stronę budynku celnego, wznosząc okrzyki i wydając komendy po polsku. Nie wyszło jedynie ze śpiewem. Kiedy wtargnęli do wnętrza, zastali tam jednego esesmana i kapitana policji, który aż z Berlina zawędrował na placówkę graniczną. Kulili się na podłodze chcąc uniknąć zabłąkanej kuli. Ujrzawszy pierwszych napastników kapitan zaczął wrzeszczeć na przemian po polsku i po niemiecku:

— Nie strzelać!

Ogień się faktycznie urwał, „polscy żołnierze" nie bardzo wiedzieli, jak się zachować, ktoś usiłował zaśpiewać „Jeszcze Polska nie zginęła", ale inni nie podchwycili, więc rychło przestał. Nie zabierali się też do niszczenia wnętrza, dopiero oficerowie dali przykład. W ogólnym harmiderze nie zauważono przyjazdu ciężarówki, która zatrzymała się przed demolowanym budynkiem. Zaczęto z niej zdejmować zwłoki ludzkie i rozrzucać po polu. Pierwszy natknął się na nie Hauptscharführer Josef Grzimek i narobił krzyku.

— Zabito naszych! — wołał. Zlecieli się inni oświetlając leżące ciała światłem z elektrycznych latarek.

— To jacyś nieznajomi — ktoś zauważył.

— Spójrzcie, głowy mają ostrzyżone na zero, wyglądają bardziej na więźniów, niż na naszych kolegów — dorzucił inny.

— Co tam się dzieje? — zjawił się Hoffmann, który właśnie wyszedł z komory celnej.

— Znaleźliśmy zabitych i zastanawiamy się, czy z naszego oddziału, czyżby padli ofiarą nieostrożnej strzelaniny? A może to są prawdziwi Polacy, którzy tu dotarli przed nami? — padały stwierdzenia i domysły.

— Nie zawracajcie sobie tym głowy, zaraz się przekonamy, czy kogoś z nas brakuje, w dwuszeregu zbiórka!

Ustawili się w błyskawicznym tempie, odliczyli, byli wszyscy w komplecie.

— Widzicie więc, że nikt nie zginął, a teraz do samochodów — zarządził Hoffmann.

Zanim wysunął się na czoło maszerującej kolumny, zerknął jeszcze w stronę granicy. Po polskiej stronie było cicho i spokojnie, jakby niczego nie zauważono z tego, co działo się przecież całkiem niedaleko. „A może nie chciano zauważyć?" — pomyślał Sturmbannführer. Postanowił znaleźć się jak najszybciej w samochodzie i mieć za sobą akcję, która napawała go niepokojem, a chyba i zwyczajnym strachem. Nie zwrócił też uwagi na rozmowy, jakie prowadzili między sobą esesmani. Przewijał się w nich wciąż temat zwłok znalezionych na miejscu akcji.

— Kto to mógł być? Skąd się wzięli? A ilu było zabitych, policzyliście? Z dziesięciu na pewno. A zauważyliście, że mieli wszyscy rany postrzałowe głów? Ja widziałem u jednego przestrzeloną pierś, więc prawie wszyscy, czy to nie dziwne? W ogóle to jakaś podejrzana sprawa — krzyżowały się pytania, na które nie znajdowano odpowiedzi.

— A nie sądzicie, że my mogliśmy się znaleźć na ich miejscu? — padło nieoczekiwane stwierdzenie, po którym nikt się więcej nie odezwał.

Na ciężarówki ładowali się razem z „niemieckim" oddziałem dowodzonym osobiście przez Trummlera, który nie

wszedł do akcji, ograniczając się do zabezpieczenia „Polakom" drogi odwrotu spod „bohatersko" zdobytego własnego urzędu celnego. Kiedy docierali do Sławięcic, napotkali zdążające im naprzeciw zmotoryzowane i piesze oddziały wermachtu zmierzające w stronę polskiej granicy. Na dworze zaczynało szarzeć, chociaż do świtu pozostało jeszcze trochę czasu.

Hoffmann miał rację myśląc, że Polacy nie chcieli zauważyć hałaśliwych ekscesów, które jego ludzie wyprawiali wokół budynku straży granicznej w Stodołach. Zniszczona parę dni wcześniej przez bojówkę z inspiracji Abwehry placówka po polskiej stronie, obsadzona została przez silną załogę wojskową, wyposażoną w ciężką broń maszynową. Doprowadzono do niej również linię telefoniczną, za pośrednictwem której dowódca załogi informował sztab pułku o tym, co widział przed sobą, a właściwie słyszał. W odpowiedzi powtarzało się zalecenie:

— Nie dać się sprowokować, nie reagować nawet na ogień skierowany na naszą stronę. Dopiero, gdyby zorganizowany oddział przekroczył granicę, wkroczył do akcji zmuszając go do opuszczenia polskiego terytorium. W żadnym wypadku i pod żadnym pozorem nie wolno zapuścić się w ślad za nieprzyjacielem w głąb Rzeszy.

Meldunek porucznika wysuniętego posterunku w powiecie rybnickim trafił również do sztabu armii „Kraków". Nie wzbudził większych sensacji. Z Łagiewnik dotarły jednocześnie informacje o zaciętych zmaganiach toczonych o hutę „Zygmunt", walki z licznymi i doskonale uzbrojonymi bandami hitlerowskich dywersantów trwały też na przedpolu Chorzowa Starego i Maciejkowic, o kopalnię „Maks" w Michałkowicach i kopalnię „Walenty", koksownię oraz elektrownię w Rudzie Śląskiej. Wobec zaangażowania przez nieprzyjaciela tak poważnych sił, wszędzie tam weszły do akcji regularne jednostki wojskowe wspierając oddziały samoobrony, złożone głównie z byłych powstańców śląskich.

W sztabie śledzono przebieg starć zbrojnych, których namnożyło się tej nocy szczególnie wiele wzdłuż całego polsko-niemieckiego pogranicza, a zwłaszcza na Górnym Śląsku, wsłuchiwano się zarazem uważnie w echa radiowe dobiegających kresu przygotowań do agresji. Przed jedenastą wkroczyły do Gdańska niemieckie formacje wojskowe przerzucone drogą morską z Rzeszy. Dokładnie zaś o północy ustał w eterze jazgot zaszyfrowanych rozmów prowadzonych przez setki krótkofalówek wermachtu. Wzdłuż całej granicy nastąpiła cisza radiowa, jak trafnie oceniono w sztabie armii „Kraków", poprzedzająca napaść hitlerowskich Niemiec na Polskę. Wojska w pełnym pogotowiu czuwały na pozycjach po obu stronach granicznego kordonu.

Polskie Radio kończąc swój program przypomniało o obowiązku zaciemnienia okien, wygaszenia lamp ulicznych. Ogłoszone zostało pogotowie lotnicze dla miasta Warszawy. Przed pożegnaniem radiosłuchaczy dyżurny spiker odczytał fragment wywiadu, jakiego w tych dniach udzielił marszałek Rydz-Śmigły amerykańskiej dziennikarce Mary Heaton Verse, brzmiący następująco:

„...o ile Niemcy trwać będą przy swoich planach Anschlussu, Polska podejmie walkę, nawet gdyby miała bić się sama i bez sojuszników..."

Niestety, słowa te miały się wkrótce sprawdzić.

W Gliwicach owej nocy bawiono się wesoło w restauracji hotelowej Domu Górnośląskiego. Około północy Naujocks miał już tęgo w czubie. Pod wpływem wypitego alkoholu fatalny finał wyprawy na radiostację stracił nieco na ostrości, zadbała o to również powabna partnerka Sturmbannführera, wpływając skutecznie na poprawę jego nadwątlonego samopoczucia. Orkiestra w sali dancingowej spisywała się znakomicie, tańczyli więc do upadłego. Runge też nie próżnował ze swoją platynową pięknością. Na parkiecie było luźno, sala świeciła pustkami, niewielkie sto-

sunkowo grono potrafiło jednak wytworzyć beztroski nastrój. Strzelały korki butelek z szampanem, solowe popisy rozochoconych gości rywalizowały z orkiestrą. Wśród mężczyzn było kilku mundurowych funkcjonariuszy partyjnych i członków pomocniczych formacji, żadnego wojskowego. Ci mieli inne zajęcie. W pewnym momencie Naujoks i Runge zostali sami przy stoliku, ich partnerki postanowiły przypudrować sobie zbyt zaróżowione noski.

— Kto będzie następny? — tym pytaniem Runge zaskoczył swego towarzysza.

— Co masz na myśli? — Naujocks w pierwszej chwili nie pojął.

— Nie udawaj Greka, ty pewnie jeden uratujesz swoją skórę naszym kosztem.

Wreszcie zrozumiał, co tamten ma na myśli.

— Czyś ty oszalał? O jakiej skórze mówisz? — prawie krzyknął.

— Ciszej, bo się ludzie zlecą i nie doczekamy do jutra, a ja mam nieprzepartą ochotę pogimnastykować się z moją laleczką.

— Ty naprawdę sądzisz... — Naujocks wytrzeźwiał w jednej chwili.

— Przecież Walter był pierwszy, więc pytam się ciebie, kto następny?

— Nikt, zabraniam ci w ten sposób do mnie mówić — przybrał oficjalny ton. — Jestem twoim przełożonym i starszy stopniem.

— Mam przed tobą stanąć na baczność? — zakpił Runge wykonując ruch, jakby zamierzał się podnieść z krzesła. Naujocks go przytrzymał mówiąc:

— Nie, ale nie gadać i nie robić głupstw, jedziemy na tym samym wózku, akcja się nie powiodła, nawet już wiem dlaczego, ale to nam niewiele pomoże. Trzeba było wcześniej pójść po rozum do głowy. Spójrz, wracają nasze ślicznotki.

— Ale Walter rozpoczął — upierał się Runge.

— Zamknij się — warknął Naujocks. Tamten nalał z butelki pół szklanki wódki i wypił jednym haustem. Potem wstał wychodząc dziewczętom naprzeciwko. Orkiestra zaczęła grać modnego fokstrota „Cheek to cheek".

Hans Trummler, odpowiedzialny za akcję pod Stodołami, był w błędzie sądząc, że z chwilą powrotu oddziału Hoffmanna z wykonanego zadania, będzie mógł wreszcie zrzucić mundur i wyspać się za wszystkie czasy po trwającym nieprzerwanie trzy doby pogotowiu. Z tego błędu wyprowadził go motocyklista oczekujący przed wjazdem na dziedziniec zamkowy w Chwałęcicach. Światła wozu prowadzącego kolumnę pojazdów z uczestnikami akcji wymacały kuriera w szarej poświacie brzasku. Zeskoczył z maszyny dając znaki szeroko rozpostartymi ramionami. Trummler, który jechał w pierwszej ciężarówce, wyjrzał z szoferki polecając zatrzymać się kierowcy, po czym przywołał kuriera. Okazało się, że przywiózł zalakowaną kopertę, na której wypisane było jego imię, nazwisko i stopień służbowy.

— Mam rozkaz oddać do rąk własnych — kurier upomniał się o legitymację służbową Trummlera.

— Zbierz wszystkich funkcyjnych — powiedział do Hoffmanna po przeczytaniu otrzymanego pisma — nie zmrużymy dziś oka, chociaż mam nieodpartą ochotę zwalić się do łóżka. Zadbał już o to Gestapo-Müller. Musimy rozpocząć dochodzenie, jak tylko pierwszy rzut natarcia wermachtu przekroczy polską granicę. Jutro, a właściwie dzisiaj, zjedzie się tu specjalna komisja dla zbadania okoliczności polskiej napaści na naszą placówkę graniczną, niewykluczone również, że zjawią się dziennikarze krajowi i zagraniczni, wszystko więc musi być przygotowane na medal, aby nikt nie miał wątpliwości, kto w tym maczał palce.

— A co zrobimy z ludźmi? — zapytał jak zwykle konkretny Hoffmann.

— Skierować na kwatery, tylko kadra pozostanie na miejscu, takie już jej psie szczęście — westchnął zdejmując czapkę. Robiło się coraz widniej. Gdzieś całkiem blisko gruchnęły strzały. Wpierw pojedyncze, potem rozhulał się ciężki karabin maszynowy. W górze narastał szum lecących wysoko samolotów. Kierowały się w głąb Polski.

W tym samym mniej więcej czasie dowódca patrolu I batalionu 74 pułku piechoty, wysuniętego nad samą granicę w rejonie Kochcic koło Lublińca, usłyszał narastający warkot silników. Było jeszcze zbyt ciemno, aby rozróżnić kształty pojazdów, które wyraźnie zbliżały się do granicy. Starszy szeregowy położył się na ziemi przykładając ucho do wydeptanej ścieżki, która biegła skrajem rozległych pól ciągnących się po obu stronach granicznego kordonu, a wchodzących w skład włości hrabiego Ballestrema, rezydującego w kochcickim pałacu. Nie ulegało wątpliwości, że były to ciężkie pojazdy.

— Leć migiem do sierżanta, niech się połączy polowym telefonem z majorem Pelcem — to był dowódca ich batalionu — i zamelduje mu, że wielka siła podchodzi pod samą granicę. Widzi mi się, że czołgi i wozy pancerne, może też działa — zwrócił się do jednego z dwóch żołnierzy, którzy zalegali obok niego. Ten podniósł się niezwłocznie i pośpiesznie odszedł. Starszy szeregowy zerknął w górę, niebo z granatowego przybierało szary odcień. Zaczynało świtać. Kiedy się na tyle rozwidniło, że widoczność sięgała kilkudziesięciu metrów, ujrzał pierwszy niemiecki czołg sunący wolno, a obok niego postępujących żołnierzy w hełmach z bronią gotową do strzału. Przekraczali właśnie granicę. Nie miał przy sobie zegarka, ale sierżant, do którego w chwilę potem dotarł opuszczając wysunięty posterunek, sprawdził aktualny czas. Dochodziła 4.30. Na rozkaz do-

wódcy batalionu załoga cekaemu, ukryta w ziemnym schronie, otworzyła ogień do napastników, o cały kwadrans wcześniej, niż działa pancernika Schleswig-Holstein oddały pierwsze strzały do obrońców Westerplatte.

1 września, przed południem

— Wstawaj, życie prześpisz, a tu się tyle ciekawego dzieje! — Naujocks nie od razu oprzytomniał, chociaż Runge potrząsał nim jak siennikiem ze świeżą słomą.

— Czego ty chcesz do cholery, co się stało? — stęknął, w głowie mu huczało jak w parowej kuźni, czym prędzej zamknął oczy porażone jasnym światłem słonecznym, wdzierającym się przez otwarte szeroko okno do pokoju.

— Co? Wojna! Rozumiesz? Nasze starania nie poszły więc na marne! — Naujocks po tych słowach przyszedł od razu do siebie, wyskakując w jednej chwili z łóżka.

— Cicho — wskazał Rungemu dziewczynę, która się również obudziła, usiłując się okryć kołdrą.

— Spójrz! — nie zważając na strój adamowy Sturmbannführera Runge pociągnął go do okna pokazując bezchmurne niebo i hen, wysoko w górze, rząd ciemnych punkcików. W pierwszej chwili Naujocks odniósł wrażenie, że stoją w miejscu wydając pomruk przypominający brzęczenie roju pszczół albo chmary zwabionych światłem komarów. Posuwały się jednak wolno na wschód.

— Lecą nad Polskę, jedna eskadra za drugą — wołał podniecony Runge.

— Więc to naprawdę wojna? — Naujocks nie mógł jeszcze uwierzyć.

— Człowieku! Radio bębni jak oszalałe, nasi atakują i zwyciężają na całym froncie, będzie przemawiał Führer w Reichstagu.

— Chwała Bogu! — wyrwało się Sturmbannführerowi,

aż się speszył zerkając mimo woli na Hedwig, która jednak odwróciła się do nich plecami. Wróciło mu dobre samopoczucie, chociaż niesłabnący ból głowy wydawał się ją rozsadzać. — Pozwól, że się ogolę, wezmę kąpiel i w ogóle doprowadzę się do porządku, a potem porozmawiamy, najlepiej przy sutym śniadaniu, należy mi się za pracowitą noc — uśmiechnął się kierując znów spojrzenie na dziewczynę.

— Myślałem, że wpierw posłuchasz radia, mówią o nas, to znaczy... — znów się zająknął widząc grymas niezadowolenia na twarzy Naujocksa.

— Na wszystko przyjdzie czas — był znów sobą, chłodnym, opanowanym oficerem służby bezpieczeństwa do specjalnych poruczeń. — „A więc nie poszło na marne" — kołatała mu radosna myśl.

Poranna prasa przyniosła relacje na temat polskich prowokacji granicznych, odpowiednio eksponując napad na radiostację gliwicką. „Oberschlesiche Volksstimme" przedrukowała informację, którą poprzedniego dnia nadało radio Berlin o 22.30, powtarzając następnie przed północą. Wszystko na to wskazuje, że wyszła spod pióra samego Josefa Goebbelsa, arcymistrza w fabrykowaniu kłamstw i oszczerstw na użytek hitlerowskiej propagandy. A taka była jej treść:

„W sprawie niesłychanego, podstępnego napadu powstańców polskich na radiostację Gliwice dowiadujemy się z Prezydium Policji w Gliwicach o pierwszych wynikach natychmiast podjętego śledztwa. A więc grupa powstańców polskich krótko po godzinie dwudziestej wdarła się do budynku radiostacji Gliwice. W tym czasie w budynku znajdowała się tylko normalna nieliczna straż nocna, tym bardziej, że radiostacja Gliwice w czwartek wieczorem już nie nadaje własnego programu, a audycje radiostacji Rzeszy we Wrocławiu,

Powstańcy polscy musieli mieć doskonałą znajomość całego budynku radiostacji. Powalili straż i natychmiast wdarli się do studia. Znajdująca się tutaj mała grupa personelu została za pomocą stalowych prętów i pałek powalona na podłogę. Następnie napastnicy wyłączyli stację Wrocław i odczytali przez przyniesiony ręczny mikrofon apel przygotowany w języku polskim i częściowo niemieckim. Powstańcy polscy zgłosili się przy mikrofonie jako »polska stacja Gliwice« i mówili w imieniu »polskich ochotniczych korpusów powstańców górnośląskich«... Oświadczyli, że miasto i radiostacja Gliwice znajdują się w rękach polskich. Dodali najbardziej obelżywe nikczemności na temat Niemiec i mówili o polskim Wrocławiu i polskim Gdańsku. Apel został podpisany przez komendanta ochotniczych polskich korpusów. Całkowicie zaskoczeni słuchacze radia w Gliwicach zaalarmowali natychmiast policję gliwicką. Ta po kilku minutach była na miejscu, zamknęła budynek, wdarła się do radiostacji i wyłączyła ją. Powstańcy otworzyli ogień do policji. Po krótkiej walce udało się policji zatrzymać wszystkich powstańców, przy czym jeden został śmiertelnie ranny. U uwięzionych powstańców polskich znaleziono manuskrypt tekstu odczytanego w języku polskim i częściowo niemieckim. Przed budynkiem zatrzymano powstańca polskiego, postawionego tam na straży. Przesłuchania trwają."

Pisano obszernie również o innych aktach gwałtu i przemocy popełnionych przez „zbrodnicze kręgi polskich awanturników".

Właściwie można powiedzieć, że cała prasa niemiecka i rozgłośnie radiowe zjednoczyły się w dniu 1 września w „gorącym proteście" przeciwko Polsce.

„Völkischer Beobachter" odnotował: „Przygotowany atak polskich band powstańczych z udziałem żołnierzy wojsk regularnych".

„Rhein-Front" pisał: „Polscy szaleńcy wtargnęli na terytorium niemieckie".

Centralny organ NSDAP donosił dalej: „Ustalono ponad wszelką wątpliwość, że została zaatakowana Byczyna w pobliżu Kluczborka. Inny atak — na Stodoły — jeszcze trwa".

Serwis informacyjny zawierał też dane dotyczące bilansu stoczonych walk i jeszcze trwających, według niektórych tytułów prasowych. W Stodołach miano wziąć do niewoli ośmiu polskich powstańców i sześciu żołnierzy, w Byczynie zaś piętnastu Polaków, w tym również sześciu żołnierzy. Policja graniczna straciła jednego zabitego i kilkunastu rannych, zaś strona polska wielu zabitych i rannych.

Ustaleń „ponad wszelką wątpliwość" dokonywały tymczasem specjalne ekipy śledcze, zorganizowane przez Müllera z udziałem specjalistów kryminalistyki, techników, fotografów i wysłane do Stodół, Byczyny oraz Gliwic. Berlińska centrala SD monitowała jeszcze w nocy policyjne władze Górnego Śląska o sporządzenie pełnej dokumentacji obrazującej polskie prowokacje. Rano do akcji włączył się sam Goebbels zapowiadając konferencję prasową na miejscu wydarzeń. Dopytywał się o zdjęcia dokonanych zniszczeń i przede wszystkim zwłok poległych nieprzyjaciół — żołnierzy regularnej armii i członków formacji terrorystycznej.

Jeszcze wieczorem poprzedniego dnia fotograf Prezydium Policji w Gliwicach zrobił na terenie radiostacji serię zdjęć przy użyciu lampy błyskowej. Z rana w dniu 1 września odszukał go w laboratorium szef opolskiego gestapo.

— Wkrótce będę miał gotowe wszystkie negatywy — pochwalił się Schäferowi, który po telefonicznej rozmowie z Müllerem, rezydującym już w Berlinie, osobiście pofatygował się do biura kryminalnego.

— Zabieramy je — rzucił szorstko.

— Ależ panowie! To wspaniały plon, mam do niego pełne prawo — zaprotestował żywo fotograf. — Żebyście widzieli, ile zebrałem odcisków palców, coraz mi wychodziły,

gdy rozsypywałem proszek w różnych miejscach studia, maszynowni, piwnicy, gdzie uwięziono radiowy personel.

Zaniepokojony do najwyższych granic Schäfer czym prędzej mu przerwał, starał się jednak tym razem mówić łagodnie, a nawet przymilnie:

— Berlin pilnie oczekuje na pański materiał, ale proszę się nie obawiać, nikt panu zasług nie odbiera, dołączymy nasz meldunek o pracy, którą pan wykonał. Nie ominie pana nagroda i pochwała, daję na to słowo w imieniu Reichsführera, który się tą sprawą interesuje i osobiście dzwonił do mnie przed chwilą. Zaraz wyruszy specjalny samochód, aby zawieźć pańskie zdjęcia prosto na biurko Himmlera. Skreślę tylko kilka słów, w których nie pominę pańskiego nazwiska — wytoczył najcięższe działa, jakie miał w zanadrzu, ale poskutkowało. Funkcjonariusz cichym głosem zapytał:

— Gdybym mógł chociaż dokończyć pracę nad pierwszymi odbitkami. Doskonale powinny też wyjść zdjęcia zabitych.

— Jakich zabitych? — Schäfer udał szczere zdziwienie.

— Jak to jakich? Jeden leżał przy samych drzwiach do budynku głównego, drugi poza terenem obiektu przy samej furtce — objaśnił.

— Coś się panu pokręciło, to był jeden i ten sam człowiek. Pewien mądry — ostatnie słowo wymówił z wymownym naciskiem — porucznik policji kazał przenieść zwłoki z chodnika przy furtce aż pod drzwi budynku.

— To niemożliwe, widziałem obu zabitych tak jak pana w tej chwili — fotograf ponownie się uniósł — jeden z nich miał całą twarz zalaną krwią...

— Podczas przenoszenia zwłok z miejsca na miejsce ubrudzili mu twarz — Schäfer usiłował zachować spokój, ale gotowało się w nim — dajmy temu zresztą spokój, od tego jest oficjalne dochodzenie, aby wyjaśniło wszystkie okoliczności napadu. Napiszę teraz meldunek, tylko pro-

szę mi podać pańskie imię, nazwisko, stopień służbowy — zdjął czapkę rozglądając się za jakimś krzesłem.

— Nie wystarczyłyby panu odbitki? — spróbował jeszcze, ale tamten mu przerwał ze zniecierpliwieniem.

— Nie, musimy mieć filmy. Dam panu pokwitowanie — wyjął z kieszeni munduru bloczek ze służbowym nadrukiem i pióro. Wtem drzwi się otwarły i w progu stanął sam dyrektor Schade. Wyglądał jakby bardzo się śpieszył.

— Dzwonili z Berlina polecając mi niezwłocznie pana odszukać — był zdyszany.

— Już doszedłem z panem do porozumienia — Schäfer wskazał ruchem głowy fotografa — wobec tego mogę teraz pójść do telefonu.

Zrezygnowany mężczyzna sięgnął po tekturowy karton zamierzając do niego złożyć plon swojej działalności, która nagle zainteresowała tak wysoko postawione osobistości.

Gestapo-Müller zadbał również o zabezpieczenie innych dowodów. Z samego rana aresztowano kilkunastu mieszkańców Opolszczyzny, figurujących w rejestrze byłych powstańców śląskich, który w ostatnim czasie policja zweryfikowała i uzupełniła o nowe nazwiska. Był wśród nich również Marcin Głuch. Zatrzymanych przywieziono do siedziby gestapo w Opolu, gdzie ich selekcją zajął się doktor Deumling, zastępca nieobecnego szefa tej placówki, który wciąż działał na terenie Gliwic. Z każdym rozmawiał indywidualnie, przedstawiając następującą propozycję:

— Podpisze pan dokument o swoim udziale w napaści na radiostację gliwicką i wzięciu przez nas do niewoli. Dali panu do przeczytania gazetę z opisem tego wstrętnego gwałtu Polaków, więc pan wie, jaki był jego przebieg. Jeśli pan nie podpisze, zostanie pan oskarżony o zdradę stanu i postawiony przed sądem wojennym, wyrok może zapaść tylko jeden za tego rodzaju przestępstwo. To nie wszystko, pańscy najbliżsi krewni powędrują do obozu koncentracyjnego pod zarzutem współudziału. Niech pan

więc wybiera. W wypadku podpisania tego oświadczenia pojedzie pan w towarzystwie swoich wspólników na miejsce przestępstwa, gdzie zjawią się również dziennikarze. Udzielać im należy odpowiedzi zgodnie z treścią oświadczenia i opisem incydentu zamieszczonego przez gazety. Krótko mówiąc, napadliście na radiostację, by wygłosić wezwanie do buntu ludności polskiej na niemieckim Górnym Śląsku, przeciwko prawowitej władzy, jasne? Daję panu pięć minut do namysłu — po tych słowach Deumling wychodził z pokoju, a do działania przystępowali jego podkomendni za pomocą takich środków, jak gumowe pałki z metalowym wkładem, razy i kopniaki wymierzone w bolesne miejsca. Ostatecznie Deumling wybrał pięciu kandydatów na „powstańców" wysyłając ich do dyspozycji swego przełożonego, doktora Schäfera, rezydującego aktualnie w Gliwicach.

— A co z resztą? — zapytał jeden z podwładnych Deumlinga.

— Zgodnie z dyspozycją Oberführera skierować do obozu przejściowego w Nieborowicach.

Równie dobrze można by go nazwać obozem śmierci. Został założony z myślą o polskich patriotach, których wykazy otrzymały grupy operacyjne złożone z funkcjonariuszy SS, SD i gestapo, postępujące tuż za wermachtem i realizujące zadania w ramach operacji „Tannenberg". Zakładała wyłapywanie Polaków, którzy mogli zagrozić interesom III Rzeszy. Sporządzona ze znacznym wyprzedzeniem lista przyszłych ofiar hitlerowskiego terroru obejmowała niezmiernie szerokie grono — byłych powstańców śląskich oraz wpływowych ludzi administracji, przemysłu, kultury, sztuki, księży i lekarzy, działaczy społecznych, dziennikarzy i wojskowych, a nawet sportowców, mężczyzn i kobiety. Ujętych przez oprawców Streckenbacha, von Woyrscha, Hahna oraz dowódców innych oddziałów, począwszy od wczesnych godzin rannych w dniu 1 września wysyłano do

Nieborowic, miejscowości położonej między Rybnikiem i Raciborzem. Śmierć zbierała tam obfite żniwo, a w miarę upływu czasu i postępów wermachtu przybywało ludzi skazanych bez sądu na zagładę.

Kampania prasowo-radiowa i gorączkowe kompletowanie dokumentacji mające wykazać „perfidię" polskich aktów gwałtu wobec „pokojowo nastawionej, anielsko cierpliwej Rzeszy", stanowiła tło najważniejszego wydarzenia w dniu 1 września, którym niewątpliwie było przemówienie Adolfa Hitlera. Około godziny dziesiątej przemknął swym samochodem do opery Krolla, w której zebrali się członkowie Reichstagu, aby wysłuchać mowy wojennej Führera.

Stwierdził w niej między innymi: „Z winy Polski doszło do czternastu incydentów granicznych, w tym trzech bardzo poważnych... Polacy dzisiaj po raz pierwszy ostrzelali nasze terytorium, także przy pomocy swoich wojsk... Od godziny 4.45 odpowiadamy na ten ogień" — ostatnią kwestię powiedział podniesionym głosem, prawie wykrzyczał. O Gliwicach nie wspomniał.

Zastanawiające jest również, że inni dygnitarze III Rzeszy pominęli incydent z radiostacją milczeniem. Czyżby uważali, że fałsz jest zbyt przejrzysty, a cała historia szyta grubymi nićmi łatwa do zdemaskowania? Nie uczynił tego ani Ribbentrop chociaż długo i zawile przekonywał francuskiego ambasadora o odpowiedzialności Polaków za rozpętanie wojny. Podobnie postąpił Goebbels w rozmowie z dziennikarzami niemieckimi i zagranicznymi.

Właściwie tylko Goering, próbując przed swym szwedzkim przyjacielem Dahlerusem usprawiedliwić wkroczenie wermachtu do Polski, wymienił jednym tchem napad na radiostację, obok akcji na Stodoły i Byczynę.

1 września, godziny popołudniowe

Zanim jeszcze doszło do „nędznej farsy" na dziedzińcu radiostacji gliwickiej, jak wizję lokalną w miejscu rzekomej napaści polskich bojówkarzy nazwał pewien dziennikarz szwajcarski, Heydrich z Müllerem nie mieli wątpliwości, że operacja „Himmler" łącznie z przedsięwzięciem podjętym poza nią przez Naujocksa, przyniosły bardziej niż mizerne rezultaty. Myśl zorganizowania konferencji prasowej z udziałem zagranicznych dziennikarzy podsunął Heydrichowi Müller, gdy z samego rana zameldował się w jego gabinecie. Z Gliwic do Berlina powrócił samolotem jeszcze w nocy. Spieszył się, by zdążyć przed zakazem lotów maszyn cywilnych, wprowadzonym nad całym terytorium Rzeszy wraz ze świtem 1 września. Okazało się, że Gruppenführer nie opuszczał swej kwatery przez całą noc. Był opanowany, mówił normalnym głosem, bez tendencji do wysokich, „kobiecych" tonów, jak je nazywali wtajemniczeni, które zazwyczaj świadczyły o zdenerwowaniu. Propozycja zorganizowania konferencji prasowej z udziałem byłych powstańców śląskich, przedstawionych jako uczestnicy napaści na radiostację, od razu go zainteresowała.

— Czy aby są pewni? — zapytał.

— Tylko pewni wchodzą w grę — odpowiedział Müller.

— Zasięgnę opinii Himmlera, no i Goebbelsa — oświadczył Heydrich — zdanie ministra propagandy jest dla nas szczególnie ważne, wiadomo, jak się Führer z nim liczy, a ponadto jest nam w stanie zapewnić frekwencję czołowych piór, krajowych i zagranicznych.

W godzinach popołudniowych zajechały samochody z dziennikarzami. Honory gospodarzy pełnili naczelnik urzędu pocztowego w Gliwicach i Klose w imieniu nieobecnego kierownika obiektu, w asyście pozostałych pracowników radiostacji, świadków, a raczej ofiar napaści. Dziennikarzom pokazano dziury od kul w ścianach studia,

pociski i łuski, zdjęcia nieboszczyka, czyli Franciszka Honioka. Kulminacyjnym punktem konferencji było przyprowadzenie przed oblicze dziennikarskiej gromadki wziętych do niewoli członków polskiej bandy terrorystycznej, jak ich przedstawił doktor Schäfer, który wraz z dyrektorem Schade z gliwickiego Prezydium Policji wyrazili gotowość udzielenia odpowiedzi na ewentualne pytania dotyczące dotychczasowych wyników śledztwa. Dziennikarze niezwłocznie obstąpili przybyłych wyciągając notesy i pióra.

— Jesteśmy byłymi powstańcami śląskimi — zaczął Marcin Głuch biegłą niemczyzną — ale nie mamy nic wspólnego z napadem na radiostację — po tym stwierdzeniu zaległa przejmująca cisza. Głuch spieszył się, jakby bojąc się, że mu nie pozwolą dokończyć tego co zamierzał powiedzieć — w nocy wywleczono nas z domów i grożąc śmiercią oraz zagładą rodzin zmuszono do przyznania się do udziału w napadzie.

Do Głucha doskoczył Schäfer uderzając go w twarz.

— Ty kłamco, jak śmiesz!

— Wypraszam sobie, to bezczelność tak się zachowywać w naszej obecności — nieoczekiwanie ostro zareagował wysoki, chudy mężczyzna w okularach — ja nie puszczę tego płazem, jestem korespondentem londyńskiego „Times'a", cały świat się dowie o tej mistyfikacji, a pan — wysunął rękę w stronę Schäfera, który odruchowo się cofnął — odpowie mi za uderzenie niewinnego człowieka, poruszę niebo i ziemię, aby nic mu się nie stało. Jak pan się nazywa? — zwrócił się do Głucha — zapiszę sobie pańskie imię, nazwisko i adres, po powrocie do Berlina udam się niezwłocznie do ministerstwa, dotrę do samego Ribbentropa!

Schäfer odciągnął na bok skonsternowanego dyrektora Schadego.

— Natychmiast zakończyć tę żałosną komedię — szepnął rozdygotanym głosem.

— Ale jak — Schade sprawiał wrażenie kompletnie bezradnego.

— Nic mnie to nie obchodzi, zabrać całą piątkę, już ja się z nimi policzę!

Niezdecydowanego dyrektora wyręczył komisarz kryminalny Neiperg, wykorzystując kłótnię między Głuchem i jednym z jego współtowarzyszy niedoli, który twierdził, że jest uczestnikiem polskiego zamachu na radiostację. Wynikło zamieszanie spotęgowane agresywnym zachowaniem kilku dziennikarzy niemieckich, zarzucających Głuchowi kłamstwo, a nawet obrzucających go obelgami.

— Panowie, wobec niewłaściwego zachowania się niektórych obecnych tu osób, kończymy konferencję — zawołał komisarz biorąc pod ramię Głucha. Podskoczyli mu na pomoc inni funkcjonariusze w mundurach i w cywilu, nadjechały niezwłocznie policyjne wozy.

— Ja też się ujmę za panem — przyłączył się do korespondenta „Times'a" starszy mężczyzna z fajką w ręku — reprezentuję czołowy szwajcarski dziennik wychodzący w Zurychu.

— Proszę być dobrej myśli, nie pozwolimy panu zrobić krzywdy — zawołał Anglik zanim więźniów wepchnięto do samochodów, które natychmiast odjechały.

Za ostatni akt akcji „Himmler" można uznać spotkanie, które z jej bezpośrednimi realizatorami odbył w godzinach wieczornych tegoż dnia Heinrich Müller. Kiedy Trummler, Rasch i Hoffmann zameldowali się u szefa gestapo, znał już przebieg niefortunnej konferencji prasowej. Rozsadzała go wściekłość. Nawet nie zdążyli otworzyć ust, kiedy posypała im się na głowy lawina wyrzutów za nieudolne przeprowadzenie obu akcji — w Stodołach i w Byczynie, które nie wywołały większego zainteresowania, a miały być sensacją dnia na skalę co najmniej europejską. Oficerowie nie poznawali spokojnego zazwyczaj, a na-

wet flegmatycznego Müllera. Woleli jednak przezornie milczeć. Kiedy już powiedział wszystko, co miał na wątrobie, skierował ich do Standartenführera Nebego, który został wcześniej zobowiązany do przygotowania zbiorczego dokumentu poświęconego akcji „Himmler". Jedynie Naujocks pozostał w cieniu. Przedsięwzięcie „Pogrzeb babci" miało być ujęte w owym dokumencie, ale bez udziału jego autorów. Szef służby kryminalnej Nebe kazał następnie zbudować poruszaną elektrycznie makietę wszystkich trzech incydentów granicznych. Po naciśnięciu guzika zapalały się kolejno miniaturowe żaróweczki i słychać było wybuchy oraz terkot karabinów maszynowych na mapie plastycznej, oddającej wiernie miejsca wydarzeń. Był więc las i urząd celny w Stodołach, leśniczówka w Byczynie, budynki radiostacji i ulica Tarnogórska w Gliwicach, ołowiani żołnierze obu armii, polscy terroryści w strojach cywilnych oraz funkcjonariusze policji i SS. Był to ładny kawałek roboty, jak stwierdził Gruppenführer Heydrich, kiedy odwiedził gabinet Standartenführera Nebego, w którym ustawiono „model poglądowy polskiego barbarzyństwa", by osobiście wziąć udział w przedstawieniu godnym teatru marionetkowego.

— Tak, tak, właśnie w ten sposób zaczęła się wojna — powiedział po zakończeniu pokazu.

Makieta tkwiła na honorowym miejscu w biurze szefa policji kryminalnej prawie do wiosny 1940 roku. Obejrzało ją w tym czasie sporo ludzi — dygnitarzy III Rzeszy, jak również dziennikarzy. Nebe szczególnie chętnie zapraszał na swój spektakl korespondentów zagranicznych, a także dyplomatów akredytowanych w Berlinie. Prezentowano go młodzieży szkolnej i rekrutom. Potem, w świetle ważniejszych wydarzeń, które rozgrywały się na froncie zachodnim, makieta straciła widać na atrakcyjności, bo zniknęła z biura Nebego. Podobno przekazano ją do Muzeum Wojskowego.

Ślad operacji „Himmler" można natomiast odnaleźć w Białej Księdze Rządu Rzeszy wydanej w grudniu 1939 roku i opatrzonej wstępem samego ministra spraw zagranicznych Joachima von Ribbentropa. Na kilkuset stronach opisane są przykłady dywersyjnych akcji polskich na terytorium Rzeszy, a także „bestialskich prześladowań niemieckiej mniejszości" latem 1939 roku. Charakterystyczne jest jednak, że „koronnym incydentom" poświęca się tylko kilka zdań na stronie 310, wymieniając razem Gliwice i Stodoły, pomijając Byczynę. Widać ta ostatnia akcja była dla autorów księgi nader problematyczna i brzmiąca fałszywie, brak natomiast choćby pobieżnego omówienia wyników śledztwa, nie podano też liczby ofiar, nie zamieszczono żadnych zdjęć, nawet śmiertelnej ofiary napadu na radiostację, o której tak szeroko rozpisywały się niemieckie gazety. Chodzi o Franciszka Honioka. O Marcinie Głuchu oraz pozostałych „jeńcach" przedstawionych dziennikarzom podczas wizji lokalnej w radiostacji w dniu 1 września na próżno by szukać w księdze jakiegokolwiek śladu. Na jej okładce widnieje znamienne motto: „Schone mich" — czyli „oszczędzaj mnie". Czyżby autorzy wraz ze swoim możnym protektorem, Ribbentropem, który następnie zawisł w Norymberdze skazany na śmierć przez Międzynarodowy Trybunał Wojskowy za popełnione zbrodnie, przewidywali nie tak znów odległą przyszłość?

EPILOG PIERWSZY

Cmentarz komunalny w Hamburgu. Skromny, ale nie tandetny nagrobek. Dwojga imion Naujocks, data urodzin i zgonu. Zatrzymało się przy nim dwóch mężczyzn. Stali jakiś czas w milczeniu.

— Odszukamy ją? — zapytał młodszy.

— No pewnie — potwierdził starszy — zanotowałeś jej adres, Joachimie?

— Sprawdziłem nawet na mapie, to całkiem blisko.

— Wiesz, zastanawiam się czy nie wstąpić do zarządu cmentarza, oni powinni wiedzieć czy pochowane tu zostały zwłoki czy prochy w urnie? — odezwał się starszy kiedy zbliżali się do bramy.

— Jakie to ma znaczenie, Wernerze? Nie zarządzisz przecież ekshumacji? Nie posiadasz do tego najmniejszego prawa — odpowiedział Joachim.

— Masz rację, wzbudzimy tylko niepotrzebną sensację. Jedziemy wobec tego do tej Hildegardy, jak jej tam?

— Runge — podpowiedział młodszy.

— Słuchaj, czy to ci nic nie mówi? — wykrzyknął jego towarzysz.

— Tak, przecież to zbieżność nazwisk...

— Z serdecznym druhem Naujocksa, z którym wykonali „mokrą robótkę" w Gliwicach — wpadł mu w słowa Werner — tym bardziej ją odwiedzimy.

Obiekt ich poszukiwań mieszkał na nowo wzniesionym osiedlu, w czteropiętrowej, na kremowo otynkowanej kamienicy. Drzwi do klatki schodowej były zamknięte. Joachim nacisnął więc guzik domofonu przy wizytówce z jej nazwiskiem.

— Słucham — głucho zabrzmiał głos żeński.

— Pani Hildegarda Runge?

Potwierdziła.

— Jesteśmy dziennikarzami, chcieliśmy z panią porozmawiać o panu Naujocksie, była pani jego gospodynią.

— Nie ma o czym, nie żyje.

— Właśnie dotarła do nas ta smutna wiadomość, składamy pani kondolencje.

— Dziękuję.

— I bardzo prosimy o chwilę rozmowy. Z pewnością pani nas sobie przypomina. Byliśmy u was z wizytą w zeszłym roku we wrześniu, przeciągnęła się na wiele godzin, częstowała nas pani kawą i wybornym ciastem, mój przyjaciel do dziś je wspomina.

— Helmuth był bardzo zdenerwowany po waszym odejściu.

— Niemniej zaprosił nas na następny rok, przyrzekł, że w międzyczasie postara się odtworzyć pewne fakty i spisze je dla nas.

— Ale umarł.

— Pani Hildegardo, przecież nie będzie nas pani tak trzymać za drzwiami, pan Helmuth z pewnością nie miałby nic przeciwko rozmowie z nami, nie zajmiemy pani zbyt wiele czasu i nie wpraszamy się na ciasto z kawą — po ostatnich słowach Wernera, który prowadził dialog z niewidoczną rozmówczynią, zapadła cisza.

— Wychodzę z psem na spacer, mogę z wami chwilę porozmawiać.

— A jednak nas nie zaprosiła do środka — stwierdził starszy z mężczyzn, gdy odeszli od drzwi przechadzając się

chodnikiem wśród kwietników otaczających plac zabaw dla dzieci.

— Przedstawił nas z pewnością jako dziennikarzy-agentów usiłujących dokopać się czegoś brzydkiego w jego przeszłości. Jeśli zapamiętała tak dobrze naszą wizytę, zmarły musiał do niej niejednokrotnie wracać, a ponadto już same kraje, które reprezentujemy, nie nastrajają jej do nas przyjaźnie.

— Z pewnością. Zapytamy ją czy ma coś wspólnego z towarzyszem gliwickiej wyprawy jej gospodarza? — Joachim nie zdążył odpowiedzieć bo ukazała się starsza pani z pieskiem, maleńkim pekińczykiem, którego prowadziła na długiej smyczy. Miała na sobie ciemny kostium, siwe włosy upięte w kok i okulary w złocistej oprawie, które nadawały jej twarzy poważny, a nawet surowy wygląd. Mężczyźni niezwłocznie do niej podeszli kłaniając się.

— Panowie wybaczą, że ich nie zaprosiłam, ale stało się to tak niedawno, że nie mogę się jeszcze z tego otrząsnąć, byłam do Helmutha bardzo przywiązana — mówiła swobodnym tonem spoglądając na nich bystro, w żadnym wypadku nie przypominając żałosnej wdowy.

— To my panią przepraszamy za najście — zaczął Joachim — zaskoczyła nas wiadomość o śmierci pana Naujocksa. W domu, w którym mieszkaliście, dano nam bez trudności pani adres.

— Nie mam powodu aby się ukrywać, może usiądziemy na ławeczce? — zaproponowała wskazując jedną z wielu stojących wzdłuż ścieżki — dom opuściłam bo był dla mnie samotnej za duży, przypominał mi ponadto nieustannie Helmutha.

— To był nagły zgon? — zagadnął jakby od niechcenia Werner.

— Serce, zanim przyjechało pogotowie już nie żył.

— Tutaj zwłoki się kremuje, o ile się nie mylę?

— Niekoniecznie, ale on tego sobie życzył.

— Pod nagrobkiem stoi więc urna z prochami?

— Tak — odpowiedziała machinalnie kobieta, a następnie jakby jakaś myśl jej przyszła do głowy albo i podejrzenie, bo dodała ostrzejszym tonem — dlaczego pan o to pyta?

— Już nikt nigdy nie dojdzie czy to są prochy Obersturmbannführera Alfreda Helmutha Naujocksa, prawda?

— Mój panie, za dużo pan sobie pozwala, nawet w obliczu śmierci człowieka nie stać pana na okazanie mu należnego szacunku — podniosła się z groźną miną z ławki.

— A ich, tych panów spod znaku trupiej czaszki, było stać na szacunek wobec milionów zamordowanych ludzi? — Werner również wstał.

— Nie mam przyjemności z panami dłużej rozmawiać.

— Chwileczkę, pani Hildegardo — wtrącił się Joachim — mój przyjaciel niepotrzebnie się uniósł, ale nie potrzeba sobie znów brać tak bardzo jego słów do serca, jeśli z panem Naujocksem wszystko było zwyczajnie, jak przy ataku serca.

Nie odezwała się, zaciskając usta z zaciętym wyrazem twarzy.

— Czy nieboszczyk nie zostawił dla nas żadnego listu, nawet jednego słowa?

— Nie — rzuciła krótko bez cienia przychylności.

— Miał taką obszerną bibliotekę, może zostało w niej coś co mogłoby nas zainteresować, piszemy książkę o wydarzeniach, w których niepoślednią rolę odgrywał pan Naujocks — zabrał głos Werner nie zrażony tym, że stała odwrócona do niego plecami.

— Zgodnie z jego ostatnią wolą zbiór przejęła biblioteka miejska.

— Ciekawe, że niczego nie zaniedbał, bo przecież w chwili ataku nie był chyba już w stanie sporządzić testamentu? — uwaga Wernera rzucona mimochodem sprawi-

ła, że kobieta odwróciła się w jego stronę łypnąwszy groźnie okiem, ale nic nie powiedziała.

— My tylko chcemy napisać prawdę o tym, co wydarzyło się z górą ćwierć wieku temu — łagodził młodszy z mężczyzn.

— Wasza prawda nie jest naszą — powiedziała to twardym, zdecydowanym głosem.

— Pani Runge — zaczął Joachim widząc, że starsza pani zabiera się do odejścia — mam jeszcze jedno pytanie, zapewniam, że ostatnie. Czy pani ma coś wspólnego z przyjacielem nieboszczyka, który nosił to samo nazwisko?

— To był mój brat.

— Czy może żyje?

— Zginął na froncie zachodnim.

— A kiedy, jeśli można wiedzieć?

— W pierwszych dniach kampanii francuskiej, w maju 1940 roku.

— Czy pani wie, tak się jakoś złożyło, że nie przeżył wojny żaden członek grupy, która ostatniego sierpnia pod wodzą pana Naujocksa napadła na niemiecką radiostację w Gliwicach, udając Polaków.

— No cóż, zginęło tylu ludzi — wzruszyła ramionami.

Joachim zauważył, że jej twarz przybrała nowy wyraz, zaciętość ustąpiła miejsca skupionej uwadze. „Jest czujna jak szarak pod miedzą, do którego dotarły echa myśliwskiej nagonki" — pomyślał.

— Ale pani brat i jego koledzy w zadziwiający sposób szybko rozstali się z tym światem, do tego w dość niejasnych okolicznościach — wyręczył go Werner wyciągając gwałtownym ruchem kartkę z kieszeni — mam tu zapisane, Obersturmführer Konrad Runge poniósł śmierć na postoju...

— Nieprawda — zaprzeczyła kobieta — w czasie nocnego patrolu.

— Ale w pobliżu nie było nawet śladu nieprzyjaciela — nacierał Werner.

— To są podłe kłamstwa, aby zakłócić mój spokój i posiać w mej duszy podejrzliwość! — krzyknęła — ale to wam się nie uda, bo ja wiem jak było naprawdę, a wam się tylko wydaje, że pozjadaliście wszystkie rozumy!

— Niech więc pani nas uświadomi — zaczął kpiącym głosem Werner, ale pani Runge nie zwróciła na niego uwagi kontynuując jak w transie:

— A może on również miał już nie przeżyć 1939 roku? I nie doczekać najpiękniejszej dla każdego Niemca wiosny oraz lata, które przyniósł 1940 rok, jakiego nie było od Sedanu i zwycięstwa nad Francją w 1870... bo jemu był pisany ten sam los, jaki zgotowano jego podkomendnym. Czyż można winić Helmutha za to, że zdołał go jakimś szczęśliwym trafem uniknąć?

— Więc jednak pani nie zaprzecza, że całą grupę pana Naujocksa z góry skazano na zagładę? — Joachimowi udało się przerwać potok słów kobiety — jej członków dobrano już w ten sposób, że każdy nosił w sobie piętno śmierci — jeden miał brata komunistę, drugi zagorzałych Polaków w najbliższej rodzinie, trzeci odznaczał się zakazanymi skłonnościami do osobników własnej płci, czwartego zlikwidowano zaraz na miejscu, bezpośrednio po zakończeniu akcji, piąty utajony wspólnik zwariował. Wreszcie pani brat nie doczekał nawet pierwszej rocznicy akcji na radiostację — ale poległ przynajmniej na polu chwały...

— Od kulki w plecy, którą mu zapewne wpakował serdeczny druh — wtrącił się Werner — naprawdę nie ma pani nic do powiedzenia na jego temat?

— Jeśli coś miałam, to już powiedziałam, żegnam panów — była znów opanowana, mówiła spokojnym głosem. Potem zawróciła na pięcie ciągnąc za sobą psa, który zajęty był obwąchiwaniem rosnącego obok drzewka.

— A czy pani wie, że również pracownicy radiostacji, świadkowie napadu, nie przeżyli wojny? Dlaczego więc jeden pan Naujocks — zawołał w ślad za nią Werner, nie

odwróciła się jednak odchodząc pośpiesznie, jakby ją kto gonił.

— To nie ma najmniejszego sensu, nic więcej z niej nie wydostaniesz — powstrzymał go młodszy mężczyzna.

— Nie jestem taki pewny, gdybym mógł ją tylko skłonić do dalszej rozmowy, może nie teraz, mam ochotę kiedyś jeszcze raz spróbować, sam widziałeś jak się uniosła.

— Skąd ci przyszedł do głowy pomysł z tym Runge, bo przecież nie wmówisz mi... — zaczął Joachim, ale jego towarzysz sprawę od razu wyjaśnił pokazując czystą kartkę papieru.

— Blef mój drogi, zwyczajny blef, ale omal nie zakończył się powodzeniem, to mnie utwierdza w przekonaniu, że warto wrócić do zacnej pani Hildegardy — ruszyli wolnym krokiem w kierunku parkingu, na którym zostawili samochód.

EPILOG DRUGI

Niepozorny, jednopiętrowy domek w ogródku, położony przy cichej uliczce w Sporyszu, niegdyś samodzielnej miejscowości, dziś dzielnicy Żywca. Przed furtką zatrzymał się samochód. Wysiadł z niego młody, wysoki mężczyzna z teczką w ręku. Wszedł do ogrodu kierując się w stronę domu, który stał nieco w głębi.

— Czy pan pułkownik Pawlik w domu? — zawołał zatrzymawszy się jakby w obawie, że go zaatakuje niewidoczny, ale głośno szczekający pies.

— Cicho Azor, przecież to nasz dobry znajomy — przybyszowi wyszedł naprzeciwko starszy pan w białej koszuli i szarych spodniach, na głowie miał wypłowiają furażerkę. Było pogodne, letnie przedpołudnie.

— Witam Joachimie, zapraszam do mojego pokoju, albo wie pan co, usiądźmy w altanie, tam będzie nam się przyjemniej gawędziło, proszę za mną, wrócę tylko do kuchni i nastawię wodę, jestem chwilowo sam w domu, gospodyni na zakupach, gospodarz w pracy — krzątał się wokół gościa z zadowoloną miną. Jego przybycie sprawiło mu widać przyjemność.

— Przysporzyłem panu kłopotów — zaczął młody mężczyzna, ale gospodarz gwałtownie zaprzeczył.

— Jaki tam kłopot, drogi mój Joachimie, niech pan w ogóle nie używa tego słowa, to sama radość móc pana

oglądać i słuchać tego, co pan znów przywiózł z szerokiego świata.

— Niestety, wiadomości nie są zbyt pomyślne — powiedział gość, kiedy usiedli w zacienionej altance.

— Co się takiego wydarzyło? — zaniepokoił się szczerze starszy pan.

— Umarł nasz stary przyjaciel Naujocks, panie pułkowniku — odparł gość.

— Przecież podczas ostatniej wizyty twierdził pan, że cieszył się doskonałym zdrowiem i był całkiem żwawy.

— A tu nagle mu się zmarło, odwiedziliśmy jego grób, rozmawialiśmy z gospodynią, to siostra prawej ręki Naujocksa w czasie akcji gliwickiej, Rungego.

— No proszę, kto by pomyślał, plon ostatniej pańskiej podróży nie jest więc tak całkiem mizerny.

— Nie chciała odpowiadać na nasze pytania. Werner, mój wspólnik, dziennikarz z NRD, zna go pan przecież, próbował ją sprowokować do szczerości, ale mu się to nie udało, obraziła się i odeszła zostawiając nas.

— Jeśli miała za nauczyciela tak wytrawnego agenta jak Alfred Helmuth, nie ma się co dziwić.

— Ocenia go pan niezmiernie wysoko?

— Tak, to nie był tuzinkowy funkcjonariusz SD, mimo dość dziwnego i, rzekłbym, nie zachęcającego badaczy do zajmowania się jego osobą przebiegu kariery. Ale to tylko pozory, albo i celowa zasłona dymna.

— Jestem pewien, panie pułkowniku, że od czasu, kiedy widzieliśmy się po raz ostatni, myślał pan nad tą historią i z pewnością doszedł do nowych wniosków.

— Ja wiem czy nowych, może jedynie bardziej uporządkowanych i ułożonych w logicznej hierarchii. My tu gadu, gadu, a pan z pewnością spragniony i głodny — zatroskał się gospodarz.

— Ale skądże — bronił się gość.

— Umyje pan zapewne ręce po podróży.

— Chętnie — zgodził się młody mężczyzna.

— Wobec tego chodźmy, panie Joachimie, do domu, woda na kawę chyba gotowa. Zrobię coś do niej, mam w tym wprawę, proszę mi wierzyć, tyle lat przeżyłem samotnie na świecie.

— Przywiozłem panu niespodziankę — powiedział Joachim, gdy znów znaleźli się w altanie przy półmisku z kanapkami i filiżankami z wonną kawą.

— Zamieniam się cały w słuch — starszy pan pochylił się do przodu.

— Mój przyjaciel, wspomniany Werner, odszukał wśród akt Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy zgromadzonych w archiwum w Poczdamie pewien dokument dotyczący pana, jeszcze jako majora i byłego pracownika ambasady polskiej w Berlinie, datowany trzeciego maja 1939 roku, zapamiętałem dokładnie, i opatrzony odręczną adnotacją Heydricha. Werner zamówił kopię i przyrzekł mi przysłać albo przywieźć, zapowiada wkrótce swój przyjazd do Polski, wówczas ją panu podaruję na pamiątkę.

— Dziękuję, z datą trzeciego maja powiada pan, dotyczy z pewnością sprawdzenia wszystkich moich kontaktów na terenie Rzeszy — gospodarz odpowiedział po chwili namysłu.

— Tak, Heydrich zalecał wykonanie zadania bardzo starannie i pilnie.

— To zrozumiałe, panna Karolina Łubieńska poczuła się niespokojna, zacieśniali jednocześnie pętlę wokół naszego wrocławskiego rezydenta, spieszyli się więc.

— Wzmożone zainteresowanie pańską osobą ze strony Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy musiało prędzej czy później ugodzić rykoszetem w Erykę, tym bardziej, że mimo pańskich zakazów wplątała się w działalność polskiego wywiadu usiłując ratować Tomasza — stwierdził młody mężczyzna przełknąwszy kolejny łyk kawy.

— Została w porę ostrzeżona i wyjechała jeszcze przed

wybuchem wojny do Skandynawii, a następnie dalej, do Stanów Zjednoczonych.

— To była bardzo ładna kobieta, prawda?

— Tak, uchodziła za przystojną — starszy pan jakby skurczył się i zmalał w głębi wiklinowego fotela, co nie uszło uwagi jego gościa, który poruszył się niespokojnie.

— Ja bardzo przepraszam, że podjąłem ten temat, chciałem rzucić okiem na zdjęcie Eryki.

— Chętnie je panu pokażę, jak wrócimy do domu i nie czuję się bynajmniej urażony pańskim pytaniem ani nie traktuję go jako wścibstwa, niech pan się nie sugeruje moją miną, wspomnienia, gdy powracają nagle, wywołują nieoczekiwane reakcje. Jeśli pan ma jeszcze jakieś pytania związane z Eryką, proszę się nie krępować — zachęcał go wyraźnie.

— Czy... czy nigdy nie próbował jej pan odnaleźć?

— W czasie wojny nie, aczkolwiek marzyło mi się, aby to uczynić, a po zakończeniu wojny sam pan wie, jak sytuacja się skomplikowała. Przecież to było niemożliwe, aby ją sprowadzać do Polski, Niemkę, ponadto z pewnych sfer, pan rozumie, a cóż ja jej mogłem zaoferować? Zresztą po powrocie do kraju wpadłem wkrótce w takie tarapaty, że sam ze sobą miałem dość kłopotów.

— Rozumiem.

— Romantyczna historia o uczuciu dwojga ludzi z przeciwnych sobie obozów rozdzielonych toczącymi się jak lawina wydarzeniami, którzy nigdy nie mogli się spotkać na swej drodze życia. Niech ją pan wykorzysta w książce, którą pan napisze niezależnie od tego, czy Naujocks umarł czy ktoś uznał, że lepiej będzie uważać go za nieboszczyka, prawda?

— Tak — przyznał zapytany — nie wyklucza pan takiej możliwości, że jego śmierć została sfingowana?

— Niczego nie można wykluczyć, jest wiele zagadek w życiu tego pana, których nie udało się rozwiązać i obawiam się, że już się nie uda.

— Gdybym wiedział, gdzie naprawdę przebywał w okresie między Norymbergą i Hamburgiem, bo tam dopiero go odkryto w drugiej połowie lat pięćdziesiątych. Prawie dziesięciolecie, a w nim sekret Naujocksa. Dziesięć lat to bardzo dużo w życiu jednego człowieka — Joachim rozłożył ręce gestem wyrażającym bezradność.

— Sądzę, że mógłbym o nim coś powiedzieć.

— Tak? To przecież klucz do całej zagadki! — wyrwał się młody człowiek — niech pan mnie nie trzyma w niepewności.

— Spokojnie, panie Joachimie, jest pan w gorącej wodzie kąpany. Zreasumujmy wpierw fakty, które zdołaliśmy już ustalić, a dotyczące napadu na radiostację.

A więc napad zaplanował i zrealizował Heydrich na własną rękę. Formalnie wchodził w skład operacji „Himmler", ale nawet jej bezpośredni wykonawcy z koordynatorem Mehlhornem i cały tak zwany sztab Heydricha nie został wtajemniczony w sprawę Gliwic. Poza Müllerem, który w końcowym etapie operacji „Himmler" zastąpił Mehlhorna, no i może jeszcze Schäferem wprowadzonym w „kurs dzieła" najprawdopodobniej na dzień lub dwa przed wybuchem wojny. Kiedy akcja zakończyła się fiaskiem z powodów, które wydają się dziś śmieszne, bo powinien je przewidzieć człowiek znający się nawet bardzo pobieżnie na radiu i technicznej stronie realizacji programu, przestaje nagle być przedmiotem zainteresowania kompetentnych czynników III Rzeszy. Trochę szumu w gazetach właściwie tylko w dniu 1 września, a potem cisza. Nawet Heydrich starał się o niej jak najszybciej zapomnieć. Ale o swym podwładnym nie zapomniał, o czym najlepiej świadczy prowokacja w Venlo i sfabrykowany zamach na Hitlera w listopadzie tegoż roku, roboty Naujocksa, a następnie akcja fałszowania obcej waluty. Nasz dzielny Sturmbannführer nie ucierpiał więc z racji porażki poniesionej w Gliwicach, nawet awansował, otrzymując wkrótce

nowe, zaszczytne zadania w służbie III Rzeszy. Na ten temat przygotowałem dla pana specjalną notatkę, sądzę, że pana zainteresuje.

— Bardzo panu dziękuję, wracając zaś do radiostacji — zaczął Joachim, kiedy pułkownik Pawlik umilkł, widać zmęczony dłuższym wywodem — czy pan uważa, że wyłączenie się z wrocławskiego programu owego wieczoru ostatniego sierpnia przez grupę Naujocksa, które wykluczyło słyszalność nadawanych audycji przez gliwicką radiostację, było przypadkowe?

Gospodarz zaprzeczył.

— A więc zostało zainspirowane? Oczywiście przez ludzi Canarisa, polska strona przecież nie wchodziła w grę.

— W żadnym wypadku, myśmy mogli jedynie rozważać różne hipotezy na temat spodziewanych prowokacji niemieckich, a gdybyśmy się nawet domyślili, nie mieliśmy żadnych możliwości im zapobiec.

— Pan przecież brał pod uwagę ewentualność sprowokowania napaści przez Niemców na radiostację w Gliwicach, a następnie obciążenia winą strony polskiej?

— Przy którymś z rzędu studiowaniu tajnego raportu o niemieckich poczynaniach w Sudetach, zarówno tych zrealizowanych jak i planowanych, przyszło mi do głowy, że mogą zechcieć powtórzyć scenariusz, na którego wykonanie zabrakło im wówczas czasu, a także nie było zapotrzebowania, bo Czesi przyjęli narzucone przez Niemców warunki. Ale to była tylko luźna myśl kołacząca się po głowie — zastrzegł się gospodarz — proszę do tego nie przywiązywać większej wagi, równie dobrze mógł mi się skojarzyć inny obiekt: kopalnia „Centrum" leżąca na obrzeżach Bytomia przy samej granicy polskiej, elektrownia „Zabrze" czy pałac Ballenstremów w Kochcicach — uczynił pauzę — wróćmy jednak do postawionej przez pana kwestii, czy Abwehra starała się torpedować plany Heydricha? Tak. Świadczy o tym „dzika akcja" na polską placówkę w Chwałęcicach, która w znacznym stopniu po-

krzyżowała plany prowokacji w Stodołach, zmuszając autorów do ograniczenia jej zasięgu. Czy Canaris przejrzał również swego rywala odnośnie do gliwickiej rozgłośni? Nie można na to pytanie udzielić jednoznacznej odpowiedzi. Kim się ewentualnie posłużył? Wchodzą w grę tylko dwie osoby: podoficer łączności oddelegowany do grupy Naujocksa z Urzędu I Grupy G od Sturmbannführera Raufa, któremu w Głównym Urzędzie podlegały sprawy techniczne, a więc łączność radiowa, dalekopisy i telefony, albo członek personelu radiostacji Nawroth. Był esesmanem i nie ulega żadnej wątpliwości, że został wspólnikiem Naujocksa. Czy mógł być jednocześnie agentem Abwehry? To jest bardzo prawdopodobne. Bliskość granicy, nietypowy wówczas jeszcze fach, mogły sprawić, że wywiad wojskowy zainteresował się Nawrothem na długo wcześniej, zanim doszło do prowokacji. A może zlecano mu wykonanie zadań szpiegowskich na terenie Polski? — snuł rozważania Pawlik. — Nie wykluczam też, że z powodu wyrzutów sumienia, a bardziej chyba ze strachu przed tym, co go czeka, jeśli mocodawcy spod znaku trupiej czaszki odkryją podwójną rolę, jaką odegrał w aferze gliwickiej, pojawiły się u niego objawy psychicznej choroby, odnotowane w aktach i potwierdzone przez współpracowników.

— A może tylko symulował ze strachu? — wtrącił się Joachim.

— To nie ma większego znaczenia, faktem jest, że przedstawienie gliwickie nie dało spodziewanego efektu i zostało bardzo szybko zdjęte z afisza. Jego gwiazdor jednak nie wypadł z obiegu. Wystąpił w następnych spektaklach, które opisuję w sporządzonej dla pana notatce. Potem nieoczekiwanie nastąpił koniec błyskotliwej kariery naszego bohatera. Ostatecznie trafia do pracy administracyjnej w wojskowym zarządzie Belgii. Żeby chociaż do gestapo czy SD! Czy pan go sobie może wyobrazić przy planowaniu ilości gaci dla wermachtu, albo środków higienicznych przeciwko mendom?

— Byłoby mi raczej trudno — roześmiał się niegłośno Joachim. Przed oczyma stanęła mu twarz Naujocksa, jaką zapamiętał z jedynej wizyty, którą mu złożył. Nawet wówczas, po 25 latach od tamtych wydarzeń, nie pasował do wymienionych przez pułkownika zajęć, chociaż mienił się szacownym kupcem.

— No właśnie. Faktem jest, że nasz bohater wkrótce definitywnie wypadł z gry — mówił dalej gospodarz — a po śmierci Heydricha przestał się w ogóle liczyć na szachownicy strategicznych posunięć „czarnej armii" Himmlera. Wniosek stąd prosty. Był to człowiek do specjalnych poruczeń Reinharda Heydricha, który z niewiadomych powodów, możemy się jedynie domyślać, wycofał go w pewnym momencie z pierwszej linii na zaplecze, ale z pewnością nie zrezygnował z jego usług czy spisał na straty. Kiedy Gruppenführer zginął z rąk czeskich patriotów, jego czołowy agent do specjalnych zadań stracił grunt pod nogami.

— Ktoś jednak podał Naujocksowi rękę po wojnie, zadbał, żeby mu nawet włos nie spadł z głowy.

— A może w zamian za to, że tak wszystko pogmatwał i pokręcił w zeznaniu złożonym przed Międzynarodowym Trybunałem w Norymberdze? Stanowiło dowód prawdy w akcji gliwickiej, pierwszą oficjalną relację bezpośredniego jej uczestnika. Przyjęto ją do wiadomości, chociaż od początku budziła wiele wątpliwości i zastrzeżeń. W miarę upływu czasu jeszcze ich przybyło, ale Naujocks milczał jak zaklęty, albo powtarzał wciąż swoje, musiał mieć w tym cel. Kogoś osłaniał, czy wyłącznie siebie? A przez te dziesięć lat czy tylko odbywał pokutę za swoje grzechy? Ponoć widziano go w Argentynie, gdy ukrywał się tam jeszcze Eichmann, i w Hiszpanii, u boku Skorzennego. Kiedy odszukali go dziennikarze i historycy, nie unikał z nimi spotkań, udzielał wywiadów trzymając się jednak kurczowo swojej wersji, mimo iż była już powszechnie krytykowana. Zażądano wznowienia śledztwa i postawienia Nau-

jocksa w stan oskarżenia, wówczas umarł. Być może tak się stało faktycznie, albo uznał za stosowne ponownie zniknąć, tym razem już na zawsze zacierając za sobą ślady. Uff, ale się rozgadałem — stęknął gospodarz — typowy przykład starczego gadulstwa, nie dopuszczam pana w ogóle do głosu.

— Nic nie szkodzi, słuchałem pana z zapartym tchem, jak to wszystko logicznie do siebie pasuje, co pan powiedział, gdybym potrafił na podobnej zasadzie zbudować konstrukcję mojej książki, może by mi się udało wydedukować, kto przyszedł z tak skuteczną pomocą Naujocksowi.

— By w ten sposób wrócić do punktu wyjścia, znajdując klucz do całej zagadki — ożywił się starszy pan — gdzie był faktycznie Naujocks, co robił w ciągu dziesięciu pierwszych powojennych lat.

— A więc koło się zamknęło, a ja stoję w miejscu — skomentował jego słowa gość.

— Nie tak znów bardzo — zaprzeczył gospodarz — faktów i hipotez zgromadził pan niemało, wystarczy na opasły tom.

— Gdyby pan zechciał uzupełnić je o kilka szczegółów.

— Na przykład o jakie?

— Jaki był dalszy los panny Łubieńskiej?

— Karolina pojawiła się późną jesienią 1939 roku w Warszawie, była bardzo aktywna, prowadziła nawet dom otwarty, ale rozeszła się wieść, że jest konfidentką gestapo i ludzie zaczęli jej unikać. Wyjechała, by następnego roku wiosną znów się pojawić. Spróbowała ponownie odświeżyć stare kontakty i znajomości. Jej drugi pobyt zbiegł się z masowymi aresztowaniami przeprowadzonymi przez gestapo przede wszystkim wśród polskiej inteligencji. Połączono z nimi Karolinę, podobno wydano nawet na nią wyrok i usiłowano go wykonać. Nic jej się nie stało, ale definitywnie zniknęła z Warszawy, z Polski podobno również, niewykluczone, że wyniosła się do któregoś z neutralnych krajów.

— A może do Stanów? A gdyby się tak złożyło, że los zetknął ją z Eryką?

— Ponosi pana fantazja, przyjacielu — roześmiał się życzliwie pułkownik — no cóż, rozumiem, że byłoby to wręcz wymarzone rozwiązanie z punktu widzenia sensacyjnej fabuły przyszłej książki czy filmu. Tylko jaką mnie pan wyznacza rolę w tym melodramacie? Bo przecież jest sprawą oczywistą, że powinienem dołączyć do obu panien w tej Ameryce. A Naujocks też by się tam przydał, nieprawdaż?

— Z panią Runge, która by się okazała oprawczynią z żeńskiego obozu koncentracyjnego na przykład w Ravensbrück — uzupełnił opowieść Joachim.

— Niczego nie da się wykluczyć. Jeśli Naujocksem zaopiekowała się ODESSA — tajna organizacja byłych esesmanów, dlaczego nie miała mu dodać do towarzystwa pani będącej odmianą krwawej Elsy Koch? — odpowiedział z poważną miną gospodarz.

— Pozwoli pan, że zadam jeszcze jedno pytanie: nie trafił pan na ślad kapitana Palecznego?

— Był w partyzantce na Wołyniu, skąd zresztą pochodził, ostatni raz widziano go latem 1944 roku przed ofensywą radziecką, która wyzwoliła te tereny docierając aż do Wisły. Po przejściu frontu wszelki ślad po nim zaginął.

— A pański przyjaciel ze służby, Stanisław Poganowski, nie dał znaku życia, odkąd wywędrował do Australii? — Joachim indagował starszego pana.

— Od 1947 roku, gdy zdecydowałem się na powrót do kraju, a on wyjechał na antypody, nie nawiązaliśmy już ze sobą kontaktu.

— Właściwie wystarczy na dzisiaj — gość zerknął do notatnika, który trzymał w ręku.

— Mam jeszcze coś — pułkownik sięgnął po zeszyt szkolny w całości zapisany, bo kartkował go przez dobrą chwilę — oto dane dotyczące dziennikarza, który wziął w obronę Marcina Głucha, nazywał się Robert Hawkins. Napisałem do mego znajomego z dawnych lat, który na

stałe mieszka w Londynie. Sprawdził w redakcji, odnalazł też korespondencję Hawkinsa z Gliwic. Nie ma w niej wzmianki o Głuchu ani o żadnym z pozostałych podstawionych przez Niemców powstańców śląskich. Mój znajomy zadał sobie trud i zaczął się rozpytywać, czy pracuje w redakcji ktoś, kto znał Hawkinsa, który jeszcze w czasie wojny poszedł na dno wraz z okrętem storpedowanym przez Japończyków na Dalekim Wschodzie. Znalazł się bliski przyjaciel dziennikarza, który dobrze pamiętał powrót Hawkinsa z Berlina do Londynu we wrześniu 1939 roku i jego opowieść o wyprawie do Gliwic. Otóż celowo był bardzo oszczędny w sprawozdaniu z wizji lokalnej zorganizowanej na terenie radiostacji. Kiedy wrócił do Berlina, udał się zaraz na drugi dzień do Ministerstwa Propagandy, a było to 2 września, gdy Anglia jeszcze nie znalazła się w stanie wojny z Niemcami i złożył oficjalny protest, żądając by jego odręczny list w tej sprawie doręczono Goebbelsowi. Urzędnikowi, z którym rozmawiał w kancelarii ministra, dał do zrozumienia, że w swej korespondencji wysłanej do Londynu nie rozwodzi się szerzej nad incydentem z Głuchem wierząc, że to jakieś tragiczne nieporozumienie i władze niemieckie, znane z szacunku dla prawa, wkrótce je wyjaśnią, uwalniając niewinnego człowieka od fałszywych zarzutów. Niech pan sobie wyobrazi, że już nazajutrz otrzymał telefoniczną wiadomość z ministerstwa. Dyrektor gabinetu Goebbelsa przekazał mu słowa podziękowania od swego szefa i zapewnienie, że sprawą Głucha zajmie się osobiście naprawiając wyrządzoną mu krzywdę. Przypominam, że dopiero tego dnia, czyli 3 września Anglia i Francja zdecydowały się wypowiedzieć wojnę Rzeszy. Hawkins wyjechał, ale Marcin Głuch został zwolniony po kilku dniach podpisawszy wpierw zobowiązanie, że nikomu, nawet najbliższej rodzinie, nie piśnie ani słowa o tym, co mu się przydarzyło. Długo jednak nie cieszył się wolnością, gdzieś około świąt Bożego Narodzenia aresztowano go ponownie, wysyłając do obozu koncentracyjnego.

Przeżył dzięki swoim trzem synom powołanym w międzyczasie, jako obywatele III Rzeszy zamieszkali na Opolszczyźnie, do wermachtu. Po kampanii francuskiej, w której wszyscy trzej wzięli udział, napisali wraz z matką, a żoną Marcina, list do Führera, prosząc o łaskę dla swego ojca. Nieoczekiwanie szybko poskutkował i na żniwa w 1940 roku Głuch wrócił do domu, pozostawiony już odtąd w spokoju. Doczekał się wyzwolenia, żył jeszcze przez szereg lat po wojnie. Szerzej zajmował się jego perypetiami Edmund Odorkiewicz, skrupulatny badacz dziejów Śląska podczas II wojny światowej.

— Bardzo dziękuję za tę informację, będzie mi ogromnie pomocna — Joachim podniósł głowę znad notatnika, w którym coś pospiesznie zapisywał.

— A zatem wyczerpaliśmy ten temat, chyba że pana jeszcze coś nurtuje — gospodarz przyjrzał się swemu gościowi.

— Kto był u Heydricha, kiedy zdecydował się ostatecznie powierzyć Naujocksowi misję w Gliwicach?

— Uważa pan, że Gruppenführer był na tyle przezorny, że popełniając największe łajdactwa, jakie człowiek w ogóle może sobie wyobrazić, myślał jednocześnie, jak się zabezpieczyć na przyszłość? Tak na wszelki wypadek, gdyby jednak okazało się, że wizja Wielkiej Rzeszy rozwiała się jak senna zjawa? Jeśli Canaris nawiązywał, a przynajmniej usiłował nawiązać kontakty z wywiadami różnych krajów, dlaczego Heydrich, żżerany zazdrością i żądzą zdystansowania admirała, nie miałby okazać podobnych ambicji? Widzi pan, staram się iść śladem pańskich rozważań, nie zboczyłem z drogi.

— Wykazuje pan zadziwiającą intuicję, panie pułkowniku — Joachim spojrzał na niego z uznaniem.

— To tylko rutyna — roześmiał się tamten — nie przypadkiem ponad dwadzieścia lat parałem się wywiadem. W planach Heydricha Naujocks odgrywał z całą pewnością rolę szczególną jako człowiek do specjalnych poruczeń. To

całkiem prawdopodobna hipoteza, ale znaleźć jej potwierdzenie jest już chyba dziś rzeczą niemożliwą.

— Więc co mi pozostaje?

— Przedstawić fakty, które zdołał pan ustalić oraz wnioski, do jakich pan doszedł drogą dedukcji.

— Czy w pańskim opracowaniu dotyczącym losów „tajnej broni" Reinharda Heydricha znajdę zachętę do dalszych poszukiwań lub stawiania nowych, oryginalnych hipotez na temat losów Helmutha Naujocksa, oficera do specjalnych poruczeń?

— Niech pan się sam o tym przekona po przeczytaniu go, oto materiał, który dla pana sporządziłem — pułkownik wręczył gościowi tekturową teczkę związaną białą tasiemką.

POSTSCRIPTUM

Helmuth Alfred Naujocks bardzo krótko pozostawał w niełasce wszechwładnego przełożonego. Już w październiku 1939 roku wzywa go przed swe oblicze, aby mu powierzyć następne specjalne zadanie. Tym razem „tajna broń" Reinharda Heydricha zostaje wymierzona w samego Führera. W jakich okolicznościach doszło do kolejnej prowokacji w wykonaniu naszego dobrego znajomego z Gliwic?

27 września. Dzień po kapitulacji Warszawy. W Berlinie narada czołowych dowódców trzech rodzajów broni. Zjawiają się tym razem w galowych mundurach obwieszeni orderami, pewni mowy pochwalnej Führera, a może również innych, bardziej konkretnych dowodów uznania za odniesione zwycięstwo nad Polską. Wódz jednak w przekonaniu, że to dzięki niemu w pierwszym rzędzie zostało ono odniesione, przechodzi nad przeszłością do porządku dziennego, roztaczając wizję nowych zadań.

— Wermacht musi przechwycić inicjatywę na Zachodzie — mówi między innymi — nawet za cenę neutralności Belgii i Holandii. Rzesza nie może sobie pozwolić na bezczynne oczekiwanie ewentualnego natarcia mocarstw zachodnich, zwłaszcza że z dnia na dzień stają się silniejsze.

Przez salę przebiega szmer bynajmniej nie aprobaty. Wojskowi spodziewali się raczej zapowiedzi końca wojny, a nie jej rozszerzenia. Hitler w mig orientuje się w sytuacji wytworzonej na sali, dostrzega konsternację malującą

się na twarzach zebranych. W dalszej części swego wystąpienia stara się być bardziej umiarkowany w wyrażaniu opinii, a nawet pojednawczy:

— Oczywiście rozkaz do ataku na Zachodzie wydam tylko wówczas, gdy Anglia z Francją nie przyjmą moich propozycji pokojowych.

28 września Canaris, który w przeddzień narady wrócił z Polski, gdzie nie odstępował Führera, uruchamia ponownie sztab spiskowy złożony z najbardziej oddanych podkomendnych jak Groscurt, Liedig, Heinz, Pfuhlstein, Lahousen, cywil przebrany w mundur, dusza sprzysiężenia Dohnanyi i szef sztabu Abwehry von Oster.

— Atak na Zachodzie to całkowita katastrofa — miota się — nie jesteśmy przygotowani do dłuższych działań wojennych, do tego na zapleczu pozostają Sowiety, z którymi nie ma mowy o trwałym „sojuszu", tym samym rodzi się realne niebezpieczeństwo wojny na dwa fronty...

— Panie admirale, a co na to sztab generalny? — zapytał von Oster.

— Generał Halder oświadczył mi: „nie ma chwili do stracenia, Hitler musi odejść" — brzmiała odpowiedź. — Wobec tego udaję się niezwłocznie do głównej kwatery wojsk lądowych na Zachodzie w celu podjęcia niezbędnych przygotowań.

29 września, spotkanie Hitlera z Himmlerem.

— Znam dobrze przyczyny niechęci panów generałów do rozpoczęcia działań wojennych na zamarłym w bezruchu froncie zachodnim, wiem, na co liczą — mówi Führer — ale ja im dodam animuszu, doleję ognia do ich starczej, wolno płynącej krwi. Pan się postara o ten ogień, Reichsführer.

30 września, Kwatera Główna wermachtu na Zachodzie. Naczelny dowódca generał Ritter von Leeb oraz dowódca I armii generał Witzleben nie kryją wobec Canarisa sympatii dla planów pozbycia się „wulgarnego parweniusza", ale unikają wszelkich zobowiązań i konkretnych ustaleń zasłaniając się... wojskową dyscypliną.

— Jeśli otrzymamy rozkaz, to co innego — odpowiadają zgodnie.

— Ale kto ma go wydać? — pyta zdegustowany admirał.

— Brauchitsch albo Halder — pada odpowiedź.

1 października. Gabinet Heydricha, obecni ponadto Schellenberg i Naujocks.

— Potrzebny jest sposób na krnąbrnych generałów — mówi Gruppenführer — muszą po prostu zaistnieć fakty dokonane, po których nie będzie również odwrotu dla tych nadętych bubków z monoklem w oku, wy zadbacie o te fakty.

— Tak jest — gorliwie zapewnia Schellenberg. Kto inny ma przyjść w sukurs wodzowi, jeżeli nie jego nieza wodni pretorianie spod znaku trupiej czaszki?

— Jak się sprawuje kapitan Solm? — pyta jeszcze jakby od niechcenia Heydrich.

— Od sierpnia pozostaje bezczynny, ale w każdej chwili może się zaktywizować — zapewnia go Naujocks.

— Pora najwyższa — kończy gospodarz spotkania.

3 października. Z podróży inspekcyjnej wraca zniechęcony Canaris.

— Nie chcę więcej słyszeć o bezsilnych generałach — mówi do podpułkownika Lahousena, który mu towarzyszy w wyprawie nad granicę francuską.

4 października. Rezydenci brytyjskiego wywiadu w Holandii, major M. R. Stevens i kapitan S. Payne Best otrzymują wiadomość od kapitana Solma, występującego w imieniu wojskowych niemieckich niezadowolonych z awanturniczych planów Hitlera i gotowych nawiązać kontakt z zachodnimi mocarstwami w celu obalenia Führera. Solm powołuje się na takie uznane w świecie autorytety, jak generałowie Rundstedt i Fritsch von Wietersheim i prosi Anglików o wyznaczenie terminu spotkania z oficjalnymi przedstawicielami spiskowców.

6 października, posiedzenie Reichstagu. Hitler w wygłoszonej mowie proponuje zwołanie konferencji mocarstw europejskich w celu uregulowania spornych spraw, ale zastrzega się stanowczo, że na bazie dotychczasowych zdobyczy niemieckich, oczywiście kosztem Polski.

7 października. Anglia i Francja nie mogą przyjąć oferty, która nie zawiera żadnych ustępstw — w takim duchu ukazują się tego dnia w Paryżu i w Londynie komentarze w prasie na temat przemówienia Kanclerza III Rzeszy, ale oficjalnie rządy wymienionych państw nie zajmują stanowiska.

8 października. Rozmowa kapitana Solma z Schellenbergiem i Naujocksem.

— Brytyjczycy są skłonni spotkać się z panami w najbliższym czasie, muszą jednak wpierw uzyskać aprobatę swych zwierzchników — mówi rzekomy kapitan Solm, faktycznie agent Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy zapisany pod numerem 3031 i opatrzony kryptonimem „Adler", czyli orzeł, emerytowany oficer z I wojny. — Pozwoliłem sobie panów odpowiednio zarekomendować. Pan wy-

stąpi jako doktor Schemmel w randze generała — zwrócił się do Schellenberga — a pan jako pułkownik Martin — wskazał na Naujocksa.

9 października. Szef sztabu generalnego w notatkach, które sporządzał każdego dnia, ujął następujące zdanie:

„Są trzy możliwości: atak, odczekanie, zasadnicze zmiany". Tym samym po raz pierwszy w dzienniku służbowym wermachtu zarejestrowana została oficjalnie możliwość zamachu stanu. Jak później wyjaśnił generał Halder, zasadnicze zmiany, nie oznaczały bowiem nic innego, jak odsunięcie Hitlera od władzy. Atak i odczekanie dotyczyły jego planów na Zachodzie.

10 października. Wódz III Rzeszy nie zamierza czekać na odpowiedź rządów Anglii i Francji.

— Zachód powinien być zaatakowany jeszcze przed końcem roku, w związku z tym należy przystąpić niezwłocznie do operacyjnych przygotowań kampanii zaczepnej — oświadczył na tajnej naradzie wojskowej „śmietanki".

11 października. Walter von Reichenau uchodzący za gorącego zwolennika Führera, w związku z czym nazywano go nawet „hitlerowskim generałem", popada w panikę po spotkaniu wyższych wojskowych z dyktatorem i szuka kontaktu ze spiskowcami. Prosi do siebie Fritza Elsasa, byłego wysokiego urzędnika państwowego, o którym wie, że jest zagorzałym przeciwnikiem reżimu i utrzymuje bliskie kontakty z Canarisem.

— Holendrzy powinni niezwłocznie postawić swoje kanały i drogi wodne w stan pogotowia, a Belgowie wzmocnić linie obrony, zwłaszcza artylerią oraz posiłkowym kor-

pusem francuskim. Byłoby dobrze, gdyby zjawili się również Anglicy, to musi zrobić wrażenie na Hitlerze. Chodzi o to, by nie miał wątpliwości, że nasza ewentualna ofensywa na Zachodzie straciła wszelkie szanse zaskoczenia. Być może zdołamy go w ten sposób odwieść od samobójczych planów — oświadczył Elsasowi generał.

12 października. Haga, restauracja eleganckiego hotelu. Przy stoliku konsumuje obiad „wielka czwórka".

— Nasz spisek nabiera rumieńców, opór wybitnych wojskowych wobec szaleńczych planów Hitlera rośnie — informuje oficerów brytyjskiego wywiadu generał Schemmel. Rozmowa, aby zachować pełną neutralność, toczy się po francusku. Jej uczestnicy przypadają sobie wzajemnie do gustu. Anglicy, zazwyczaj ostrożni i wstrzemięźliwi w ferowaniu opinii, jeszcze tego samego dnia ślą do swej centrali wielce optymistyczne meldunki na temat swych gości.

13 października. Schellenberg i Naujocks już w swych normalnych czarnych uniformach składają wizytę w obozie koncentracyjnym w Dachau. Obiektem ich zainteresowania jest były członek komunistycznej Partii Niemiec — Georg Elser.

— Masz do wyboru albo tu zdechnąć, co się niezawodnie wkrótce stanie, albo otrzymać legalny paszport z wizą szwajcarską i jeszcze parę groszy na otarcie łez i pierwsze kroki, zanim znajdziesz sobie jakieś zajęcie — postawił przed nim sprawę z całą brutalną otwartością Naujocks. Subtelny Schellenberg wolał nie brać udziału w tej rozmowie i ze znudzoną miną oglądał starannie utrzymane paznokcie u rąk.

— A jaką mam gwarancję? — wykrztusił Elser.

— Żadnej, ale odrzucając naszą propozycję automatycz-

nie podpisujesz na siebie wyrok. Czy ty myślisz, że po tym, co ci powiedziałem, masz szanse długo pożyć? Jeśli ją natomiast przyjmiesz, ocalisz głowę.

— Tym bardziej mnie wykończycie. Pozostawiać przy życiu niewygodnego świadka? — miotały nim wątpliwości.

— A po co mam sobie tym ręce brudzić, przecież ty nie puścisz pary z gęby, twoi towarzysze mają długie ręce, gdyby się dowiedzieli, że wszedłeś z nami w kontakty — Sturmbannführer wymownym ruchem przejechał kantem dłoni po swojej szyi.

— Też prawda — w Elsera wstąpiła iskierka nadziei. — Co miałbym wobec tego zrobić?

— Po pierwsze umknąć z naszą pomocą z obozu. Wszystko będzie przygotowane, otrzymasz szczegółowe instrukcje, którędy wydostać się nie zauważony z ogrodu, gdzie zostaniesz zatrudniony. Zabierze cię auto i zawiezie na miejsce akcji. Znasz się trochę na technice, prawda? — Elser przytaknął zamyślony. Widać było, że przeżywa rozterkę.

14 października. Walter von Brauchitsch, najwyższy funkcją generał wermachtu, z natury chwiejny i niezdecydowany, pozostający wciąż pod wpływem zwycięskiej kampanii polskiej, którą oceniał jako „przysparzającą jeszcze uznanie Führerowi w szerokich kołach cywilnych i wojskowych", zaczynał się skłaniać ku stanowisku swych kolegów, uważających politykę intensyfikacji działań wojennych przeciwko mocarstwom zachodnim za zgubną dla interesów Rzeszy. Brauchitsch w rozmowie z Canarisem, po wysłuchaniu jego argumentów, po raz pierwszy zgodził się, że odsunięcie Hitlera oraz jego partyjnych pretorianów od władzy jest w pełni uzasadnione z punktu widzenia przyszłości Niemiec.

15 października. Amsterdam. Ekskluzywny hotel „Central". Kolejne spotkanie „wielkiej czwórki" ma uroczystą oprawę. Obiad, nieco alkoholu.

— My swój problem rozwiążemy sami — mówi Anglikom generał Schemmel — oczekujemy od was jedynie cierpliwości, a następnie poparcia dla nowych władz, które się ukonstytuują po odsunięciu od steru rządów obecnej ekipy. Jest to bynajmniej nieodległa przyszłość.

Rozmówcy wysłanników Gruppenführera byli z tego spotkania jeszcze bardziej zadowoleni, niż z pierwszego. Sprawiła to zapewne przyjacielska, niemal serdeczna atmosfera, jaka mu towarzyszyła. Gdyby wiedzieli, czym się już nazajutrz zajmowali rzekomi spiskowcy...

16 października. Heydrich przyjmuje dwóch swych współpracowników. Zdają mu raport z rozmowy przeprowadzonej z przedstawicielami brytyjskiego wywiadu.

— Aby ich utwierdzić w przekonaniu, że ruch oporu wobec planów Führera jest faktem, należy wyprodukować pewną ilość ulotek, a może też pomyśleć o kilkustronicowym druku, zawierającym bezpardonowy atak na partię, wodza, nas również nie należy oszczędzać — stwierdził Gruppenführer.

— Oczywiście ulotki te i druki winny wpaść w ręce obcych agentów działających na naszym terenie — uzupełnił domyślnie Naujocks.

— Podobno macie kogoś na oku? — zapytał Heydrich.

Tamci potwierdzili.

— Jak się sprawuje Elser? — dodał.

— Pozostaje w pełnej gotowości do wykonania zadania.

17 października. Poufna narada w siedzibie wywiadu wojskowego wermachtu. Canaris wysłuchuje swoich naj-

bliższych współpracowników referujących mu poszczególne fragmenty planu opanowania kraju, zwłaszcza Berlina i centralnych ośrodków władzy.

18 października. W Monachium zjawia się Naujocks, urządza rajd po miejscowych knajpach w towarzystwie zgrabnej blondynki. Na imię ma Helga.

19 października. W Londynie, w sztabie imperialnym, specjaliści analizują meldunki oficerów wywiadu zainstalowanych w Holandii. Oceniają je jako bardzo interesujące.

— Trzeba jeszcze sprawdzić rozmiary i zasięg antyhitlerowskiej konspiracji — stwierdza jeden z dżentelmenów — postawić w stan pogotowia Rupperta, niech uruchomi swoich agentów na terenie Rzeszy.

20 października. Schellenberg i Naujocks wizytują pewną niewielką wytwórnię papieru, położoną nad brzegiem jeziora Eberswalde. Właśnie wymieniono w komplecie kilkudziesięcioosobową załogę pod pretekstem, że warsztaty przechodzą na specjalną produkcję dla potrzeb wojskowych.

21 października. W Hadze spotkał się kapitan Solm z kapitanem Bestem. Omawiają szczegóły kolejnej konferencji z udziałem przedstawicieli kierownictwa organizacji przygotowującej przewrót w III Rzeszy.

22 października. Naujocks gości w obozie koncentracyjnym w Dachau. Obserwuje z ukrycia zachowanie się El-

sera. Omawia z szefem wydziału politycznego okoliczności pozorowanej ucieczki więźnia.

23 października. — Hitler ponagla Himmlera.

— Panowie generałowie zachowują się wciąż bezczelnie, nie wykazując najmniejszego entuzjazmu dla moich planów wydźwignięcia Niemiec na pierwsze miejsce w świecie — oświadcza poirytowanym tonem.

— Mein Führer — stwierdza nieoczekiwanie wierny Heinrich — a gdyby tak spotkać się z gronem weteranów bojów partyjnych w naszym starym, drogim sercu miejscu, w Monachium?

— Tak, to niezły pomysł — odpowiada po chwili Hitler zmierzywszy wpierw uważnym wzrokiem Reichsführera — ci mnie nigdy nie zawiodą i jedynie oni są w stanie poprawić moje samopoczucie nadszarpnięte obcowaniem z niepoprawną bandą cyników i malkontentów.

24 października. Naujocks osobiście odbiera z tajnego magazynu szefa gestapo Müllera bombę zegarową i zawozi do Monachium pozostawiwszy w przechowalni bagażu na dworcu głównym.

25 października. Admirał Canaris rozsyła swych wtajemniczonych w spisek współpracowników do sztabów wojsk stacjonujących w Polsce, Czechach, na południu i północy oraz zachodzie Niemiec. Mają przywieźć najnowsze informacje o nastrojach panujących w wyższej kadrze oficerskiej.

26 października. Naczelne dowództwo armii holenderskiej interesuje się działalnością dwóch rezydentów brytyjskich

na terenie swojego kraju. Zwraca im uwagę na wzmożoną aktywność tajnych służb niemieckich podległych SS i SD na holenderskim pograniczu, wyrażając dezaprobatę dla wykorzystywania neutralnego terytorium do tego rodzaju działalności.

27 października. Major Stevens i kapitan Best otrzymują pomyślne wiadomości z Londynu. Działalność antynazistowskiego ugrupowania została zauważona, w pierwszym rzędzie wśród sfer wojskowych.

28 października. Heydrich wysłuchuje swych dwóch oficerów „do specjalnych poruczeń", którzy mu referują stan przygotowań do operacji „Monachium" i „Venlo". Po raz pierwszy zostały wówczas użyte kryptonimy obu planowanych pod osobistym zwierzchnictwem Gruppenführera przedsięwzięć.

29 października. Wysłannicy szefa Abwehry składają meldunki z obserwacji poczynionych podczas inspekcji w terenie. Potwierdzają nastroje sprzyjające przeprowadzeniu zamachu stanu.

30 października. Halder uznaje za stosowne oficjalnie potwierdzić wobec Abwehry akceptację wojskowego puczu. W tym celu wzywa Groscurta, który pełnił funkcję łącznika między nim a Canarisem. Po krótkim zagajeniu rozpoczyna w obecności zaskoczonego podpułkownika miotać przekleństwa na głowę Hitlera.

— Panie generale, proszę mi wybaczyć, że pozwalam sobie udzielić panu rady, ale nasze przedsięwzięcie wymaga

zimnej krwi i żelaznych nerwów — Groscurt zdobył się w pewnym momencie na uwagę.

— Ma pan rację — sapie Halder, ale przestaje biegać po gabinecie i staje obok wyprostowanego jakby kij połknął oficera. — Niech pan sobie wyobrazi, że od szeregu dni chodzę do Emila — takim kryptonimem opatrzyli spiskowcy Führera — z rewolwerem ukrytym pod marynarką i nie mogę się zdobyć na akt odwagi, aby go zastrzelić — ostatnie słowa prawie wykrzyczał. Podpułkownik ze zdumieniem dostrzegł łzy w oczach zahartowanego w niejednym boju generała.

31 października. Po złożeniu przez podpułkownika sprawozdania z przebiegu rozmowy z Halderem, Canaris zwołuje naradę „sztabu spiskowego", jak nazywa grono swych współpracowników, wtajemniczonych w plany zmiany rządu w Rzeszy. Otrzymują specjalne zadanie: w jak najkrótszym czasie nawiązać kontakty z zaangażowanymi w sprzysiężenie osobistościami, ale również pozyskać dalsze z wpływowych sfer cywilnych i wojskowych. Admirał wymienił takie nazwiska jak: nadburmistrz Monachium Friedrich Goerdeler, były prezes Banku Rzeszy Hjalmar Schacht, były prezydent policji hrabia Helldorf, były szef sztabu generalnego Ludwik Beck.

1 listopada krąg najbardziej wtajemniczonych, wśród których Canaris „jednostronnie i jednoznacznie grał rolę podżegacza", jak go scharakteryzował Halder, postanowił przekazać mocarstwom zachodnim wiadomość o swoich zamiarach. Nie miał pojęcia o roli odgrywanej przez Schellenberga i Naujocksa, alias Schemmela i Martina. W charakterze skrzynki kontaktowej wybrano, za radą polityków katolickich, ogólnie szanowaną głowę państwa neutralnego, papieża Piusa XII. Postanowiono, że uda się do niego

w misji specjalnej adwokat z Monachium Josef Müller, zaufany kilku kolejnych rządów chadeckich w Bawarii, zanim zostały zlikwidowane przez hitlerowców. Przed wyjazdem przeprowadził z nim rozmowę pułkownik Oster w siedzibie Abwehry.

— Centralne kierownictwo wywiadu wojskowego, którego pan jest gościem, stanowi równocześnie centrum niemieckiej opozycji. Chodzi o zawiadomienie rządów Anglii i Francji, za pośrednictwem papieża, że niemieckie koła antyhitlerowskie, przy poparciu reprezentatywnych polityków cywilnych, dążą do obalenia Führera oraz niedopuszczenia do ataku na Zachód.

Müller słucha w skupieniu swego rozmówcy.

2 listopada Groscurta zainstalowanego w kwaterze głównej wojsk lądowych pod Zossen wzywa generał Stülpnagel, by w imieniu Haldera poinformować o rozpoczęciu operacyjnych przygotowań do przewrotu, w których określone zadania przewidziano dla Abwehry. Podpułkownik wyjeżdża natychmiast do Berlina, by złożyć meldunek Canarisowi.

3 listopada w niewielkim miasteczku holenderskim Dinxperlo dochodzi do jeszcze jednego spotkania oficerów brytyjskiego wywiadu z niemieckimi „spiskowcami". Tym razem trwa zaledwie kilkanaście minut. Uzgodniono, że w dniu 9 listopada, w miejscowości Venlo położonej nad samą granicą niemiecką zjawi się na rozmowę jeden z przywódców antyfaszystowskiej opozycji w asyście m.in. generała Schemmela i pułkownika Martina.

4 listopada odbywa się spotkanie generała Stülpnagla z pułkownikiem Osterem.

— Chcemy, aby pan uzupełnił i zmodyfikował plan wprowadzenia władzy wojskowej na terenie całej Rzeszy, sporządzony, o ile mi wiadomo, jeszcze w listopadzie 1938 roku — oświadczył generał po kilku zdawkowych zdaniach.

— Właśnie skończyłem nad nim pracować — zaskoczyła go odpowiedź pułkownika. Z teczki, której nie wypuszczał z ręki, wyjął spięty plik papierów opatrzonych niewinnym tytułem „Studium". — Oto propozycje działania w „godzinie świtu", a więc obsadzenia w pierwszym rzędzie przez oddane nam oddziały dzielnicy rządowej, centralnych gmachów i aresztowania kierowniczych postaci reżimu. — Oster przewrócił kilka stron studium, po czym podsunął je generałowi. Na czystej kartce wypisane były początkowe litery nazwisk Hi, Gö, Rib, Him, Hey.

— Hitler, Göring, Ribbentrop, Himmler i Heydrich, rozumiem — domyśla się bez trudu generał — tych należy przede wszystkim unieszkodliwić.

— Pozwolę sobie wyrazić się bardziej ściśle: niezwłocznie rozstrzelać — dodaje Oster.

— Tak — Stülpnagel nie wyraża sprzeciwu. — Jak pan ocenia stan naszych sił w rejonie wielkiego Berlina?

— Tam razem wykonanie planu będzie trudniejsze, niż gdybyśmy się zdecydowali zrealizować go przed rokiem — odpowiada Oster — gestapo, SD i dyspozycyjne oddziały Waffen SS, są silniejsze od naszych związków bojowych w obrębie stolicy.

— Wobec tego trzeba je wzmocnić — komentuje generał.

5 listopada nadchodzi zaszyfrowana depesza z Rzymu. Zachęcała spiskowców do zrealizowania swoich planów.

6 listopada Brauchitsch i Halder zostają wezwani do Hitlera. Ale punktualnie o godzinie dwunastej do gabinetu wodza poproszono tylko Brauchitscha. Ponura mina stojącego w rozkroku na końcu ogromnej sali kanclerza, jeszcze bardziej zdeprymowała generała, który w obecności dyktatora zwykle czuł się niepewnie, a teraz całkiem stracił rezon, plącząc się w swoim wystąpieniu. Czuł coraz większe zdenerwowanie. Cały jego wywód poświęcony był odżegnaniu się Führera od rozpoczęcia działań wojennych na Zachodzie. Generał nie zaszedł w nim daleko. Gospodarz bowiem wkrótce mu przerwał, zalewając potokiem zarzutów formułowanych w ostrym tonie. Wpierw jednak wezwał na świadka generała Keitla.

— Znam powody niechęci niektórych panów generałów wobec moich planów. Wiem, jakie ta niechęć ma źródło, skąd czerpie swe inspiracje — podnosił coraz bardziej głos, po czym nagle odwrócił się plecami do obu generałów i wyszedł z gabinetu.

Brauchitsch z Keitlem po chwili również skierowali się ku drzwiom. Kiedy Halder, który czekał w przedpokoju, ujrzał Brauchitscha, wystraszył się, generał był blady jak ściana, twarz miał wykrzywioną nienaturalnym grymasem.

— Wie o nas — rzuca oszołomionemu szefowi sztabu cały drżąc.

7 listopada Hitler wyjeżdża do Monachium, aby w gronie starych towarzyszy partyjnych bojów odzyskać dobre samopoczucie — jak oświadczył swemu oficjalnemu zastępcy Rudolfowi Hessowi. Wieczorem w Monachium zjawił się Naujocks, z przechowalni bagażu odebrał walizkę z bombą.

Tego samego dnia, przy zachowaniu wszystkich pozorów ucieczki, Georg Elser wymyka się z obozowego „komanda" zatrudnionego w ogrodnictwie. Przy chodniku cze-

ka już na niego samochód, który miał do przebycia zaledwie kilka kilometrów. Wsiadł do pociągu, a wieczorem odbiera go Naujocks na dworcu głównym w Monachium. Ma na sobie kombinezon, nieco za dużą czapkę naciągniętą na oczy i torbę z narzędziami ślusarskimi. Elser przebiera się w samochodzie również za robotnika, ukrywają się następnie w piwnicy domu sąsiadującego z piwiarnią. Około północy przedostają się na podwórko do sąsiedniej posesji, a potem oknem na zaplecze kuchenne lokalu, w którym następnego dnia miał wystąpić Hitler. Bombę, którą z sobą przyniósł Naujocks, umieścili pod blatem jednego z długich stołów ustawionych na środku sali, wrócili tą samą drogą, którą dostali się do wnętrza budynku, a z podwórza już bez przeszkód dotarli na sąsiednią ulicę, gdzie czekało na nich auto. Elser z radości, że nazajutrz przekroczy granicę szwajcarską, upił się, gdy się zatrzymali w pewnym zajeździe, aby się przebrać. Przy okazji postoju gospodarz zajazdu postawił coś do zjedzenia i wypicia. Kiedy Elser wytrzeźwiał, stwierdził, że wrócił do swego „koncentraku", tyle, że do pojedynczej celi bloku karnego, całkowicie izolowanej od innych więźniów.

8 listopada, w szesnastą rocznicę puczu monachijskiego z 1923 roku, Führer spotyka się ze swoją starą gwardią w piwnicy jednej z miejscowych piwiarni, gdzie przed laty wielokrotnie dyskutował w gronie najbliższych współpracowników i przyjaciół nad zadaniami, które postawiła przed sobą narodowosocjalistyczna partia pod jego kierownictwem. Tym razem znów przy piwie „alte kameraden" wspominają dawne dzieje.

— Ja wyciągam dłoń na zgodę, a w odpowiedzi godzi się we mnie sztyletem zdrady — stwierdził w pewnym momencie Hitler. — Już ja wiem, kto pociąga za sznurki i wprawia w ruch bezwolne kukły! To nad Tamizą zbiegają się drogi międzynarodowego kapitału i żydowskiej oli-

garchii! Ale ma ona i u nas swoich sympatyków, niepoprawnych liberałów i zgniłych pacyfistów!

O dwudziestej pierwszej tego dnia wybuchła bomba w monachijskiej piwiarni, tak zasłużonej dla brunatnego ruchu, ale wódz siedzi już w tym czasie w specjalnym pociągu nr 71, oddanym mu do dyspozycji, który zmierza do stolicy.

Była to bomba podłożona pod plany spiskowców. Zawaliło się jak domek z kart antyhitlerowskie sprzysiężenie. Główni rzecznicy puczu Canaris, Oster, Beck, Goerdeler, Dohnanyi na próżno usiłowali przekonać Brauchitscha i Haldera o realnych szansach powodzenia spisku. Był to strzęp człowieka przenikniętego do szpiku kości tylko jednym uczuciem: panicznym strachem przed Führerem i zgrają jego czranych zbirów z SS i SD — tak scharakteryzował Brauchitscha Oster. Halderowi w trakcie kłótni udzielił się nastrój naczelnego dowódcy wojsk lądowych.

— Pozostaje nam tylko jedno — powiedział admirał, kiedy zawiodły wszystkie środki perswazji — zorganizować prawdziwy zamach i pozbyć się Hitlera, raz na zawsze wykreślając go z rejestru żywych.

Szef Abwehry nie miał wątpliwości, że wybuch bomby w Monachium był sprytnie zainscenizowaną prowokacją. Nie zdawał sobie jedynie sprawy z jej skutków. Umocniła pozycję dyktatora, dając mu pretekst do rozpętania kampanii wymierzonej w zdradzieckich Anglików, knujących ustawicznie spiski na szkodę narodu niemieckiego, posługujących się płatnymi mordercami dybiącymi na życie legalnej głowy państwa i mających popleczników wśród pewnych kół cywilnych i wojskowych, przesiąkniętych niewiarą w wielkość Niemiec. Tak brzmiała oficjalna wykładnia goebbelsowskiej propagandy wydarzeń w monachijskiej piwiarni.

9 listopada w Berlinie, w kierowniczych kołach III Rzeszy podniesiono radosną wrzawę z powodu cudownego ocalenia Führera. Zamach wywołał jednocześnie w Niemczech eskalację gniewu wymierzonego przeciwko Anglikom. Na nich bowiem niedwuznacznie wskazywano jako na organizatorów zamachu. Tymczasem faktyczny jego autor...

„Mordkomando" Schellenberga i Naujocksa w godzinach przedpołudniowych podjeżdża trzema samochodami pod granicę holenderską. Część pasażerów przekracza ją okazując wizy turystyczne. W nadgranicznym miasteczku Venlo Anglicy czekają na generała Schemmela i pułkownika Martina w kawiarni „Bacchus". Widząc przez szybę wystawową zbliżających się kilku mężczyzn, a wśród nich obu znajomych oficerów, wychodzą im naprzeciwko. Spotykają zaś wymierzone lufy pistoletów. Okazuje się, że nie mają przy sobie nawet broni. Sięgnął po nią oficer holenderski Daniel Cooper ale nie zdążył jej wyjąć, trafiony przez Naujocksa. Całą trójkę wepchnięto następnie do samochodów, które w międzyczasie sforsowały słabo strzeżoną granicę, po czym natychmiast wróciły na niemiecką stronę. Anglików przewieziono do centrali SD w Berlinie, Holendra do szpitala w Düsseldorfie.

10 listopada Daniel Cooper zmarł w szpitalu. Hitler zaś zbiera w swoim gabinecie kierownicze gremia cywilne i wojskowe III Rzeszy.

— Wytoczymy proces samemu Churchillowi! — wykrzykiwał do wysokich dygnitarzy — to główny podżegacz wojenny i zapamiętały wróg Niemiec, związany z międzynarodowym żydostwem i masonerią. Udowodnię mu jego zbrodnie przed całym światem, nasyłanie w cudze progi wynajętych morderców, podszczuwanie moich poddanych do buntu! Przedstawię niezbite dowody!

Tego samego wieczoru Heydrich świętował sukces w towarzystwie swych wypróbowanych podkomendnych. Spi-

sali się na medal. Tylko w siedzibie Abwehry było głucho i ciemno. Canaris w samotności przeżywał swoją klęskę. Nazajutrz jednak pogodzony z losem zgłosił się do Führera z planem dywersyjnej działalności Abwehry na terenie Belgii, Holandii i Luksemburga, mającej ułatwić zadanie wermachtowi, gdy przystąpi do regularnych działań. Wódz łaskawie zaakceptował propozycje, nawet je pochwalił.

— Przydałoby się panu częściej sięgać do lektury książek Karola Maya — powiedział mu przy pożegnaniu. — Trochę za mało forteli w tych planach.

Do procesu Churchilla jednak nie doszło, ponieważ porwani z neutralnego terytorium oficerowie brytyjscy okazali się nad podziw wytrzymali w śledztwie i niczego nie chcieli potwierdzić, a tym bardziej już podpisywać, nie pomogły wymyślne tortury ani obiecywanie złotych gór. Zesłano ich w końcu do obozu koncentracyjnego w Dachau, gdzie spotkali swego niedoszłego wspólnika Georga Elsera. Miał być koronnym świadkiem na ich procesie, oczywiście, gdyby się przyznali do winy i potwierdzili planowanie mordu na wodzu III Rzeszy w monachijskiej piwiarni. Elser długo już nie pożył. Zamiast paszportu i pieniędzy na drogę do Szwajcarii otrzymał kulkę, według obowiązujących w gestapo zasad: w tył czaszki.

Alfred Naujocks, już jako Obersturmbannführer, od Obergruppenführera Heydricha otrzymał na początku 1940 roku następne ważne zadanie: zorganizowanie wytwórni fałszywych paszportów, dyplomów, różnego rodzaju świadectw, wydawanych przez instytucje różnych krajów. Dobre wyniki, jakie wkrótce osiągnął, skłoniły Obergruppenführera do podjęcia próby wyprodukowania fałszywych pieniędzy. Wybór padł na funty szterlingi. Naujocks ściągnął do niewielkiej wytwórni papieru w okolicy jeziora Eberswalde, obsadzonej w całości przez funkcjonariuszy SD, wybitnych fachowców, w tym również więźniów, którzy opanowali po mistrzowsku produkcję angielskich pie-

niędzy. Płacono nimi głównie agentom działającym na terenie innych państw. Między innymi fałszywe funty otrzymywał sławny, dzięki filmowi nakręconemu na kanwie pewnej powieści, szpieg niemiecki działający pod kryptonimem „Cicero", a będący kamerdynerem ambasadora Wielkiej Brytanii w Turcji.

Wspaniale zapowiadająca się kariera Alfreda Helmutha Naujocksa nieoczekiwanie załamała się w 1940 roku. Skierowany do Waffen SS nie awansował ani nie otrzymał już żadnego nadzwyczajnego zadania. W 1942 roku, po śmierci Reinharda Heydricha, spadł jeszcze niżej w hierarchii służbowej oddelegowany do Departamentu Ekonomicznego Zarządu Wojskowego Belgii. 19 października 1944 roku poddał się aliantom. W 1945 roku w Norymberdze złożył obszerne zeznanie na temat napadu na radiostację, z którego świat poznał prawdę o jednej z najbardziej perfidnych prowokacji hitlerowskich. Nie była to pełna prawda. Wytrwali szperacze odkryli w relacji Naujocksa wiele luk, usiłując je wypełnić.

Niniejsza opowieść uwzględnia wszystkie nowe fakty i dodatkowe okoliczności, ustalone również przez jej autora. Czy wobec tego „gliwicki incydent", jak nazywany bywa też pretekst, którym posłużył się Adolf Hitler, by rozpętać drugą wojnę światową, można uznać za ostatecznie wyjaśniony? Odpowiedź może być tylko jedna: nie.

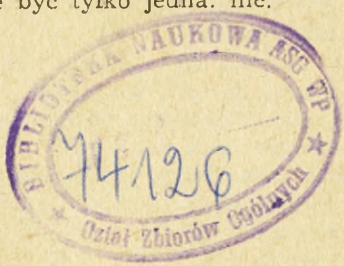
74126

SPIS TREŚCI

Prolog 5
Wrzesień 1938, gdzieś w Sudetach 16
Luty 1939, Warszawa 22
Luty 1939, Berlin 32
Marzec 1939, Berlin 38
Marzec 1939, Berlin 44
Marzec 1939, Warszawa 52
Marzec 1939, Berlin 59
Kwiecień 1939, Katowice 67
Kwiecień 1939, Berlin 72
Kwiecień 1939, stacja graniczna na Pomorzu 75
Maj 1939, Berlin 77
Lipiec 1939, Jastrzębia Góra 83
Lipiec 1939, Berlin 98
Lipiec 1939, Warszawa 101
Początek sierpnia 1939, Berlin 103
Początek sierpnia 1939, Warszawa 106
7—9 sierpnia 1939, śląskie pogranicze Rzeszy 109
9 sierpnia 1939, Katowice 113
10 sierpnia 1939, Berlin, Obersalzberg 116
11—12 sierpnia, Berlin Fuschl 118
13—15 sierpnia 126
16—21 sierpnia 133
22 sierpnia 143
23 sierpnia 151

24 sierpnia 155
25 sierpnia 162
26 sierpnia 174
27 sierpnia 178
28 sierpnia 184
29 sierpnia 189
30 sierpnia 194
31 sierpnia, godziny popołudniowe 198
31 sierpnia, godziny wieczorne 212
31 sierpnia, późny wieczór i noc 227
1 września, przed południem 237
1 września, godziny popołudniowe 245
Epilog pierwszy 250
Epilog drugi 257
Postscriptum 270

Redaktor *Elżbieta Spadzińska*
Redaktor techniczny *Barbara Stokfisz*
Korektor *Krystyna Kossak*

Wydanie I. Nakład 30 000+300 egz. Ark. wyd. 14,1. Ark. druk. 9,125.
Papier druk. mat. kl. V/70 B1. Druk ukończono w marcu 1984 r.
Symbol 32318/S. Cena zł 85,—

Zakłady Graficzne w Katowicach, ul. Armii Czerwonej 138
Zam. 0755/1100/83 U-14

BIBLIOTEKA
ASG
NAUKOWA
3875

Już po napis
pewne informa
wania wiarygo
sów „oficera do specjalnych poruczeń", Reinharda Heydricha, albo jego „tajnej broni" czyli Alfreda Naujocksa.

Gdzie był w tym czasie, co robił? Czy skorzystał z kanału przerzutowego do Ameryki Południowej jak Eichmann, a być może i Bormann, jeśli cało uszedł z płonącego Berlina, oraz wielu innych hitlerowskich dygnitarzy wciągniętych na listę zbrodniarzy wojennych? A może w mnisim habicie jak Skorzenny ukrył się w jednym z klasztorów w słonecznej Italii lub Hiszpanii? Może przebywał w Afryce lub na Dalekim Wschodzie, czy Australii?

Niewykluczone, że Autor pokusi się o nadanie tej hipotezie zbeletryzowanego kształtu.

ISBN 83-216-0406-4